

GRAHAM MASTERTON



WYBUCH



Graham Masterton
Wybuch
(Outrage)

Przełożył: Piotr Kuś

Środa, 12 września, godz. 8.34

Jak zwykle dojazd do bramy szkolnej zastawiały matki, nerwowo manewrując krążownikami szos do przodu i do tyłu, Lynn pokierowała więc swojego explorera do przeciwnego krawężnika i zaparkowała go dwoma kołami na trawie.

–Pamiętaj, dzisiaj idziesz na lekcję tańca – powiedziała do Kathy, odwracając się w fotelu kierowcy. – To oznacza, że po szkole nie masz się guzdrać.

–Nie czuję się dobrze – zaprotestowała Kathy, kuląc się na swoim miejscu.

–Nonsens. Nigdy nie wyglądałaś zdrowiej. Twoje złe samopoczucie spowodowane jest na pewno klasówką z matematyki.

–Boję się, że zwymiotuję. Wciąż czuję w brzuchu te wszystkie naleśniki. Zbiły się w kulę. Nie lubię takiego uczucia.

Lynn ponownie zapięła pas bezpieczeństwa.

–Trudno, skoro tak źle się czujesz... Wracamy do domu, położysz się do łóżka, a lekcję tańca odwołam.

–Ale nie lekcję tańca! Ona jest dopiero o wpół do trzeciej. Do tego czasu poczuję się lepiej.

–Nie, odwołam ją. Nie możesz podskakiwać z brzuchem pełnym zbitych w kulę naleśników.

–Ale ja chcę być aktorką, tak jak ty. Dlaczego mam się uczyć matematyki? Ty wcale nie musisz znać matematyki, żeby być aktorką.

–Tak uważasz? A jeśli będziesz aktorką i będziesz zarabiać miliony dolarów, tak jak Julia Roberts, a twój agent zacznie sobie zabierać trzy i ćwierć procenta więcej, niż mu się należy? Skąd się o tym dowiesz, nie znając matematyki?

–To nic trudnego, wszyscy agenci zabierają więcej pieniędzy, niż im się należy. Agenci to kanciarze i oszuści. Wszyscy pracują dla szatana.

–Na miłość boską! Kto ci to powiedział?

–Ty.

–Daj już spokój – jęknęła Lynn, znowu odpinając pas. – Dalej, chodź do szkoły, zanim pani Redmond wpisze ci kolejną uwagę za spóźnienie.

Kathy wysiadła z samochodu i włożyła берет. Była drobną dziesięcioletnią dziewczynką, jasne włosy zaplecione miała w warkoczyki, a jej twarz była równie blada jak twarz matki. Również jej zielone oczy błyszczały tak intensywnie jak oczy matki, niczym zielone denka butelek, znalezione na morskim brzegu. Nogi Kathy były tak chude, że co chwilę musiała podciągać opadające z nich długie białe skarpetki.

–Na co masz ochotę po lekcji tańca? Mogłybyśmy pójść do De Lunghi na spaghetti, jeśli chcesz.

–Jeżeli Gene nie będzie musiał koniecznie iść z nami.

–Myślałam, że lubisz Gene'a.

–Nie podoba mi się jego nos. Wygląda z nim jak mrówkojad.

–Nieprawda. Jesteś wstrętna.

–On też. Za każdym razem kiedy je zupę, macza w niej czubek nosa.

Przeszły Franklin Avenue i zbliżyły się do szkolnej bramy. Cedars – prywatna

szkoła podstawowa – wcale nie wyglądała jak szkoła. Mimo że była to szkoła kościelna, dzieliła budynek z Pierwszym Kościołem Metodystów, wraz z jego kwadratową wieżą i murami z szarego kamienia. Kilka sal lekcyjnych, chociaż były duże i jasne, miało w oknach witraże, przedstawiające Jezusa Chrystusa w otoczeniu małych dzieci.

–Pamiętaj, żeby zabrać do domu sprzęt do hokeja – poprosiła Lynn.

Jednak w tym momencie Kathy dojrzała swoją przyjaciółkę Terrę. Pomachała matce na pożegnanie i popędziła w kierunku koleżanki. Matka Terry, Sidne, podeszła do Lynn i obie patrzyły, jak ich córki wbiegają przez bramę na boisko szkolne, gdzie zgromadziło się już od trzydziestu do czterdziestu rozwrzeszczanych dzieciaków.

–Ból brzucha – powiedziała Lynn.

–Ach, chodzi o klasówkę z matematyki. – Sidne uśmiechnęła się. – Terra powiedziała, że ma trąd.

–Trąd? Na miłość boską!

–Właśnie. Była to jedyna choroba, jaką potrafiła wymyślić na poczekaniu. Wiem przynajmniej, że czyta Biblię.

–Czasami te dziewczęta są niemożliwe. Bardzo mi się podobają warkoczyki Terry.

–Janie je zaplotła. Nie wiem, skąd bierze do tego cierpliwość.

Powoli ruszyły w kierunku samochodu Sidne.

–Miałaś jakieś wiadomości od George’a Lowensteina? – zapytała Lynn.

–Nie, nic. Jeśli chcesz znać moją opinię, uważam, że szuka kogoś młodszego.

–Ale przecież byłabyś świetna w roli Corinne!

–Sama nie wiem. Być może. Czasami się zastanawiam, kiedy przestanę grać krnąbrne córki i zacznę przyjmować role znękanek matek. Może już czas? Chyba pójdę dziś na masaż i na pedicure. Potem zamówię u Freddiego deser lodowy z truskawkami, z dodatkową porcją kremu.

–Chętnie poszłabym z tobą, ale mamy dziś próbę z czytaniem tekstu.

Lynn pożegnała się z Sidne i przeszła przez ulicę. Przy jej explorerze czekał już niski, ostrzyżony na jeża facet o potężnym karku, w bordowej koszuli z poliestru.

–Do ciężkiej cholery, co to ma znaczyć?! – zawołał.

–Do ciężkiej cholery, co ma co znaczyć? – Lynn nie zamierzała pokazać, że się go chociaż trochę boi.

–Co? Jest pani ślepa? Gdzie jest pani pies przewodnik? Do ciężkiej cholery, zaparkowała pani samochód na trawie!

–Bardzo przepraszam, ale nigdzie indziej nie było już miejsca.

–Tak? I uważa pani, że to jest wystarczająca wymówka? Skoro nie było nigdzie miejsca na parkowanie, powinna pani była jeździć dookoła, aż w końcu coś się zwolni. Wszystkie jesteście takie same, wy, kobiety. Wydaje wam się, że możecie wyrabiać, na co tylko macie ochotę, i mówić, na co macie ochotę, i parkować wasze pieprzone samochody tam, gdzie wam się tylko spodoba, nie licząc się z nikim i z niczym.

Lynn otworzyła drzwiczki explorera i usiadła za kierownicą, jednak mężczyzna stanął przy samochodzie tak, że nie mogła go zamknąć.

–Posłuchaj, damulko, nie mam obowiązku opiekować się tą trawą, a jednak to robię, ponieważ znajduje się przed moim domem i jestem dumny z mojego domu. I wkurza mnie, kiedy ktoś taki jak ty parkuje na mojej trawie swoje przeklęte auto. Co byś powiedziała, gdybym to ja przyjechał pod twój dom i jeździł moim samochodem po twojej trawie?

–Na razie powiedziałabym, żebyś puścił drzwiczki.

–A jeśli nie?

–Zawołam ochronę ze szkoły.

Serce Lynn biło jak oszalałe. Z lewej strony nosa mężczyzna miał dużą purpurową brodawkę. Nie potrafiła oderwać od niej wzroku i była przekonana, że on wie, iż ona się na nią gapi.

Odwrócił na chwilę głowę, jakby szukał kogoś wzrokiem. Wierzchem dłoni otarł pot z czoła. Znów popatrzył na Lynn i powiedział:

–Dobrze. Powiem ci, co zrobię. Przeklnę cię za to. Przeklinam cię. Dzisiejszy dzień będzie najgorszy w całym twoim pieprzonym życiu.

Oderwał dłonie od drzwiczek, a Lynn natychmiast je zamknęła i zablokowała. Stał jeszcze przez chwilę obok explorera, nic już nie mówiąc, wytknął jednak ku Lynn wskazujący palec, jakby chciał podkreślić: „Wspomnisz moje słowa, damulko, zapamiętasz ten dzień do końca życia”.

Środa, 12 września, godz. 8.43

Ann Redmond wyrzała przez okno swojego gabinetu i zmarszczyła czoło. Wokół ławeczki z boku szkolnego boiska zgromadziła się grupa dzieci, dziesięcioro, może dwanaścioro. Wieloletnie doświadczenie w rozróżnianiu różnych uczniowskich zbiegowisk podpowiedziało jej, że dzieciaki robią krąg.

Działo się to wtedy, kiedy uczniowie mieli coś ekscytującego, co koniecznie chcieli wspólnie obejrzeć, jednak bez wiedzy nauczycieli. Według pani Redmond, która natychmiast ich rozszyfrowywała, z równym powodzeniem mogli w takiej sytuacji unieść nad głowy tabliczkę z napisem **JESTEŚMY NIEGRZECZNI**. Ściągnęła z nosa okulary do czytania, wyszła z gabinetu i zatrzymała się dopiero na frontowych schodach, gdzie dyżur miała Lilian Bushmeyer, nauczycielka wychowania fizycznego. Dyżurowała, siedząc na najwyższym stopniu schodów i czytając tani, podniszczony egzemplarz *Co się wydarzyło w Madison County*.

–Tam, proszę pani – powiedziała szorstko, ruchem głowy wskazując na grupę uczniów.

Lilian Bushmeyer osłoniła dłonią oczy i popatrzyła przed siebie. Po chwili potrząsnęła głową i powiedziała:

–Niczego nie widzę.

–Niech się pani nauczy ich konspiracyjnej mowy ciała – poradziła pani Redmond ze zniecierpliwieniem. – Proszę tam pójść i sprawdzić, co oni wyrabiają.

Pani Bushmeyer niechętnie odłożyła książkę i z ociąganiem pomaszerowała we wskazanym kierunku, żeby sprawdzić, czego dotyczy całe zamieszanie. Kiedy podeszła bliżej, usłyszała, że dzieci chichoczą i rozmawiają przyciszonymi głosami. W pewnej chwili dotarły jednak do niej nerwowe głosy:

–Ciszej, ciszej. Idzie „Buszmenka”. Odłóżcie to.

Kilkoro dzieci wyłamało się z kręgu, pozostały tylko dziewczynki, które akurat znajdowały się w środku. Lilian Bushmeyer podeszła prosto do nich i wyciągnęła rękę.

–Co takiego? – zapytała Jade Peller. Skończyła właśnie jedenaście lat i była wyższa i trochę bardziej dojrzała niż pozostałe dziewczynki z szóstej klasy. Miała długie czarne włosy, wąską bladą twarz i zawsze była ubrana na czarno. Jedynie na rękach nosiła srebrne bransoletki. Jej ojcem był Oliver Peller, który pisał muzykę między innymi dla Wesa Cravena i Johna Carpentera.

–Cokolwiek to jest, daj mi to – zażądała Lilian Bushmeyer.

–To nic takiego.

–Najwyraźniej bardzo interesujące „nic takiego”. Daj mi to.

To tylko głupia gra, pani Bushmeyer – powiedziała płacząco Helen Fairfax. Była pulchna, miała różowe policzki i jasne kręcone włosy. Nie można było wątpić, że kiedy tylko pozbędzie się dziecięcych kształtów, wyrośnie na równie olśniewającą piękność jak jej matka Juliana. Jej ojciec Greg był w Hollywood jednym z najbardziej wziętych niezależnych producentów, a ostatnio finansował horror *Oddech*.

Lilian Bushmeyer czekała cierpliwie z wyciągniętą ręką. Być może nie miała jeszcze w sobie takiego radaru, jakim mogła się pochwalić pani Redmond,

natychmiast i bez błędu wychwytyjącego wszystkie wywrotowe zgromadzenia, potrafiła sobie jednak radzić z niegrzecznymi dziećmi znanych osobistości. Należało działać zdecydowanie i stanowczo. Lilian Bushmeyer przychodziło to bez trudu.

W końcu Jade wyciągnęła z za siebie kartkę papieru, złożoną w koronę, i podała ją pani Bushmeyer. Była to zwykła kartka od zawsze służąca dzieciom do losowania wróżb, zapisanych na składanych trójkącikach. Tym razem jednak przepowiednie były o wiele mocniejsze niż zwyczajne „Będziesz miała szczęście w miłości” czy „Będziesz bogata i sławna” albo „Pójdiesz do więzienia”.

Jedna z przepowiedni głosiła: „Będziesz obciążała panu Lomaksowi”. Inna mówiła: „Stracisz obie nogi w wypadku samochodowym”. Kolejna zapowiadała: „Zajdziesz w ciążę w wieku 13 lat”.

–To tylko głupia zabawa, tak jak mówiła Helen – zaprotestowała Jade, widząc, że Lilian Bushmeyer otwiera trójkąciki i czyta wszystkie po kolei. Ostatnia zapowiedź brzmiała: „Umrzesz przed swoimi następnymi urodzinami”.

Skończywszy, Lilian Bushmeyer popatrzyła po kolei po wszystkich dzieciach. Bez wątplenia, troje albo czworo było autentycznie zafrasowanych i zawstydzonych. Odnosiła wrażenie, że chłopcy czerwienią się bardziej niż dziewczęta.

–Czy mam to pokazać pani Redmond? – zapytała.

–Jasne – odparła Jade. – Trochę emocji jej nie zaszkodzi.

–Nie – jęknął David Ritter. – Ona nas za to zabije! Albo zabije mnie moja matka.

Albo macocha.

Lilian Bushmeyer przez chwilę się zastanawiała.

–Wiem, że w gruncie rzeczy nie chodziło wam o nic złego – powiedziała wreszcie.

– Jednak musicie zdać sobie sprawę, że ta zabawa jest niesmaczna. Tak wiele złego smaku mamy na tym świecie, że nie musicie jeszcze wy, młodzi ludzie, pogarszać sytuacji. Pomyślcie tylko, co będzie, jeśli któreś z was naprawdę straci nogi albo zajdzie w ciążę, albo stanie się obiektem seksualnej napaści? Jak wtedy poczują się pozostali?

–Okaże się, że moje przepowiednie naprawdę działają – powiedziała z uśmiechem Jade.

–Co ty wylosowałaś?

–Mam umrzeć przed następnymi urodzinami.

–I chcesz, żeby tak się stało? Żeby twoja przepowiednia okazała się trafna?

–Może być. W końcu, co to jest śmierć? To tak, jakbym się nigdy nie urodziła.

Środa, 12 września, godz. 9.03

Kiedy pani Redmond stanęła przed radą pedagogiczną, słońce oświetliło jej okulary w taki sposób, że można było odnieść wrażenie, iż jest ślepa.

–Jak zwykle październik przynosi nam pierwsze wielkie wydarzenie nowego roku szkolnego, ogólnoszkolny obóz. W tym roku wszyscy pojedziemy do Silverwood Lake w przepięknych górach San Bernardino. W czasie weekendu uczniowie i rodzice będą poznawać się bliżej, śpiewając i snując opowiadania przy ogniskach, wspólnie spożywając campingowe posiłki, odbywając piesze wędrówki, pływając i po prostu piknikując. To doskonały sposób dla nowych rodzin na włączenie się do społeczności Cedars. Pod koniec października będziemy też po raz pierwszy w tym roku zbierać fundusze na szczytne cele. Tym razem będzie się to odbywało w ramach Fiesty Latynoskiej.

–Arribal Arribal – wykrzyknął Tony Perlman, nauczyciel geografii. Zaraz jednak zamilkł i popatrzył po innych, mocno zakłopotany.

Środa, 12 września, godz. 9.06

Unieruchomiony ciągnik z naczepą całkowicie zablokował zjazd z Hollywood Freeway i spowodował ciągnący się na południe ogromny korek, który kończył się dopiero przy Ventura Boulevard. Frank wyłączył bieg i unieruchomił buicka na ręcznym hamulcu.

–Spóźnię się – zaprotestował Danny.

–Przykro mi, mistrzu, ale nic nie mogę zrobić. Ja także się spóźnię, a mam ważne spotkanie w sprawie scenariusza.

–Ale dzisiaj ja miałem pokazywać rysunki.

–Nie martw się. Powiem nauczycielce, co nas spotkało. Danny z gniewem popatrzył przez szybę, jakby od tego spojrzenia tkwiące w korkach samochody mogły posunąć się naprzód. Tymczasem musieli tkwić w miejscu i czekać jeszcze ponad dwadzieścia minut. Policjanci stali tylko, wszyscy w przeciwsłonecznych okularach, i patrzyli na powiększający się korek, żartując pomiędzy sobą i ziewając od czasu do czasu, a kierowcy wysiadali z pojazdów, rozmawiali przez telefony komórkowe i rozprostowywali nogi. Jakaś kobieta wyciągnęła nawet z bagażnika swojego kombi rozkładane krzesło i spokojnie zaczęła czytać gazetę, jakby znajdowała się w ogródku przy domu.

–Założę się, że Susan Capelli pokazuje rysunki zamiast mnie – powiedział Danny, głosem tak zbolalym, jakby przeżywał największą osobistą tragedię od czasów Hamleta.

–Następnym razem przyjdzie kolej na ciebie.

–Kiedy jest się do czegoś wyznaczonym, trzeba być niezawodnym.

Frank potrząsnął głową i nic już nie powiedział. Danny zawsze zadziwiał go swoją powagą. Mógł sobie być ośmiolatkiem o kędzierzawych włosach, zadartym nosie i poobijanych kolanach, posiadał jednak umysł czterdziestoośmiolatka. Niedawno powiedział, że kiedy dorośnie, chce być deweloperem i sprzedawać tanie mieszkania w najdroższych enklawach Hollywood, aby biedni i bogaci ludzie mogli się uczyć żyć obok siebie. Bardzo poważna wizja jak na ośmiolatka.

–Czy powinienem rozmawiać z panią Pułaski? – zapytał Frank.

–Nie musisz. Sam jej o wszystkim powiem. Minęło następne pięć minut, jednak służby ratownicze zabrały się wreszcie do pracy i po kolejnych nerwowych dziesięciu minutach, pełnych gestykulacji i przekrzykiwań ze strony policjantów i ludzi obsługujących holownik, ciągnik został wreszcie odciągnięty w miejsce, gdzie nie tamował ruchu.

–Głupi ciągnik – powiedział Danny gwałtownie, kiedy go mijali.

To był wypadek, Danny, i tyle. Wypadki się zdarzają.

–Nie zdarzałyby się, gdyby ludzie byli bardziej odpowiedzialni.

Ruch samochodów na Hollywood Boulevard był bardzo ospały i za każdym razem kiedy stawali przed czerwonym światłem, Danny jęczał i gestykulował ze zniecierpliwieniem. Wreszcie jednak dotarli do La Brea i skręcili w prawo, w kierunku Franklin Avenue.

–Przypomnij mi, o której godzinie kończysz dziś lekcje – poprosił Frank. – Chyba nie masz dzisiaj próby kółka teatralnego?

–Kółko teatralne jest jutro.

Danny'ego wybrano do roli Abrahama Lincolna w szkolnym przedstawieniu *Bohaterowie i bohaterki Ameryki*. Był gorzko rozczarowany, że nie otrzymał roli Johna Wilkesa Bootha, ponieważ John Wilkes Booth miał rewolwer i skakał ze sceny.

Frank zatrzymał samochód przed szkołą i Danny wygramolił się na zewnątrz.

–Do zobaczenia, mistrzu. Miłego dnia.

Danny pobiegł w kierunku bramy, wywijając tornistrem z X-Men jak śmigłem. Frank odwrócił się jeszcze, by spojrzeć na tylne siedzenie, i stwierdził, że Danny w pośpiechu zapomniał kanapek na drugie śniadanie. Był alergikiem, dlatego zawsze musiał zabierać do szkoły lunch przygotowywany w domu.

Frank wysiadł z samochodu, krzyknął:

–Danny! Hej, Danny! Zapomniałeś swojego... – i wyciągnął ku niemu rękę z plastikowym pudełkiem.

Danny zatrzymał się, zawahał, ale zaraz ruszył z powrotem w stronę ojca. W tej samej chwili Frank ujrzał białego vana, podjeżdżającego do szkolnej bramy i zatrzymującego się przy szklanej budce pana Lomaksa.

Środa, 12 września, godz. 9.32

Kathy przebrała się w strój do hokeja i dołączyła do rozgadanego i roześmianego szeregu dziewczynek stojących przed szatnią. W końcu pojawiła się pani Bushmeyer, w białym stroju sportowym, z gwizdkiem zawieszonym na szyi.

–No, dalej, moje drogie, ustawcie się porządnie. Koniec z gadaniem, nie popychajcie się.

–Amanda ciągnie mnie za warkocze.

–Wcale nie! Nawet koło ciebie nie stoję.

Wyszły z budynku kościoła bocznym wyjściem. Dziewczynki wciąż się sprzeczały. Kathy i Terra szły po obu stronach Lilian Bushmeyer. Lubiły rozmawiać z panią Bushmeyer, ponieważ zawsze opowiadała im, że marzy o przystojnym mężczyźnie z mocnymi czarnymi włosami i lśniącymi białymi zębami. Kiedyś wejdzie do szkoły akurat podczas posiedzenia rady pedagogicznej i na oczach wszystkich zabierze ją stąd raz na zawsze. A potem polecą razem na Karaiby, gdzie całymi dniami będą się wylegiwali na olśniewająco białych plażach i pili najwymyślniejsze drinki z połówek orzechów kokosowych.

–Czy miała pani kiedyś chłopaka, pani Bushmeyer?

–Oczywiście. Na imię miał Clark.

–Był jak Superman?

Pani Bushmeyer założyła opaskę na kręcone włosy.

–Niezupełnie, Kathy. Sprzedawał dywany.

Szły przez szkolny parking, kierując się na boisko do hokeja, kiedy i one zobaczyły białego vana.

Środa, 12 września, godz. 9.34

Był to zwyczajny biały van, jak wiele innych. Musiał się zatrzymać przed bramą, ponieważ ze względów bezpieczeństwa zawsze zamykano ją o godzinie dziewiątej. Do Cedars uczęszczało wiele dzieci, których rodzice nie znajdowali się może na listach najślawniejszych i najbogatszych ludzi w Hollywood, ale byli na tyle zamożni i znani, że ich latoroślom mogło grozić porwanie.

Kierowca vana nacisnął klakson i pan Lomax wyszedł z budki. Pan Lomax był bardzo wysoki i lekko przygarbiony, jak koszykarz. Nosił beżowy mundur i czapkę z daszkiem. Lilian Bushmeyer nie potrafiła przerwać rozmyślań o dotyczącej go „przepowiedni” z listy wróżb Jade Peller i, ku swemu zakłopotaniu, czerwieniła się przy tym. Odwróciła się do szczebioczących dziewczynek i krzyknęła:

–Szybciej, nie mamy całego dnia!

Pan Lomax otworzył bramę; van wjechał na parking i zaczął się zbliżać do maszerującej w dwuszerogu gromadki. Lilian Bushmeyer popatrzyła na samochód. Jechał bardzo powoli, odnosiła wrażenie, że obserwuje go jakby we śnie.

–Z drogi, dziewczynki, zróbcie miejsce!

Van niemal się z nimi zrównał. Lilian Bushmeyer popatrzyła na kierowcę. Nie wiadomo dlaczego, uśmiechnął się do niej, szerokim, szczerym uśmiechem, jakby dzisiaj był najszcześniejszy dzień jego życia. Kierowca był nie ogolony i miał na głowie czarny wełniany kapelusz. Obok niego siedziała kobieta w ciemnych okularach. Ona

jednak się nie śmiała.

Środa, 12 września, godz. 9.35

Lilian Bushmeyer poczuła w uszach dziwny ucisk, jednak niczego nie usłyszała. Van eksplodował zaledwie dziesięć stóp od niej. Wybuch urwał jej nogi i ręce, a tułów wpadł przez wysokie okno z witrażami do wnętrza Zeigler Memorial Library, gdzie dziewięcioro uczniów rozpoczynało właśnie zajęcia z kreatywnego pisania. Sześcioro spośród nich zginęło natychmiast. Pozostałym odłamki szkła poraniły twarz. W tej trójce były Jade Peller i Helen Fairfax. W momencie wybuchu siedziały blisko siebie z pochylonymi głowami i wesoło chichotały.

Kathy znalazła się tak blisko wybuchu, że od kolan w górę jej ciało wyparowało i rozprysło się na murze. Terra została rozerwana na strzępy, a pozostałe zawodniczki z zespołu hokeja na trawie odniosły tak straszliwe rany, że wyglądały jak po ataku dzikich zwierząt; krew, ręce, nogi, głowy, wnętrzności oraz części sprzętu hokejowego, toreb i ubrań były rozrzucone po całym dziedzińcu.

Van zamienił się w dziwaczny blaszany znak zapytania. Wydostała się z niego pomarańczowa kula ognia i popłynęła ku porannemu niebu. Odgłos wybuchu, niczym przeraźliwy krzyk, odbijał się od ścian kanionu zwielokrotnionym echem.

Środa, 12 września, godz. 9.35

Mimo że van wybuchł niemal dwieście stóp od Franka, fala uderzeniowa była tak silna, że Franka zarzuciło na parkującą nieopodal toyotę. Na drzwiczkach od strony pasażera powstało wyraźne wklęsnięcie, odpowiadające mniej więcej kształtowi jego ciała. Danny padł twarzą na chodnik. Budynek Cedars zniknął za wielką chmurą czarnego dymu, a juki, rosnące po obu stronach ulicy, w jednej chwili straciły wszystkie liście, które teraz wirowały w powietrzu.

W gęstym dymie na ziemię zaczął opadać deszcz metalowych odłamków. Spadając, dźwięczały jak pęknięty dzwon. Na chodnik i jezdnię leciały łomy, nakrętki, nawet wycieraczka samochodowa i długi fragment rury wydechowej. Franka uderzyła w ramię felga samochodu, a po chwili jeszcze posypały się na niego kulki z rozerwanego łożyska. Nie tracąc jednak zimnej krwi, odrzucił pudełko z kanapkami Danny'ego, podbiegł do syna i złapawszy go pod pachy, postawił na nogach. Z nosa leciała mu krew, na kolanach miał zadrapania, ale poza tym wydawał się zdrów.

–Nic ci nie jest?! – zawołał Frank, ogłuszony hukami.

–Bolą mnie plecy.

–Co?

–Bolą mnie plecy.

Frank odwrócił Danny'ego, jednak nie dostrzegł na jego plecach żadnego śladu. Nie było krwi, kurtka nie była rozerwana.

–Chodź! – zawołał. – Uciekajmy stąd.

Złapał Danny'ego za rękę i pociągnął go w kierunku samochodu. Szarpnął drzwiczki, posadził syna na tylnym siedzeniu, po czym wyciągnął z kieszeni telefon komórkowy.

–Pogotowie? Wysyłajcie wszystko, co macie. Straż pożarną, policję, ambulansę, wszystko! W Cedars na Franklin Avenue wybuchła bomba. Tak. Nie, nie, to na pewno była bomba. Zginęli ludzie, sam widziałem. Dzieci. Nie wiem ilu.

–Zechce pan podać swoje nazwisko?

–Frank, Frank Bell. Właśnie prowadziłem syna do szkoły, a tu nagle bum! Zginęły dzieci. Ich zwłoki są rozrzucone po całym parkingu. To straszne.

–W porządku, niech pan się uspokoi. Czy znajduje się pan teraz w bezpiecznej odległości od szkoły?

Tak, tak, chyba tak. Ja i mój syn.

–Proszę nigdzie się nie ruszać, dopóki nie przyjedzie pomoc. Istnieje niebezpieczeństwo kolejnego wybuchu. Proszę także ostrzegać innych, by pod żadnym pozorem nie zbliżali się do zagrożonego miejsca.

–Niebezpieczeństwo kolejnego wybuchu? Mówi pan o jeszcze jednej bombie?

–Proszę po prostu trzymać się z daleka od zagrożonego miejsca. Proszę też zgłosić się do policjantów, kiedy się zjawią na miejscu.

–Rozumiem, tak.

Danny był śmiertelnie blady.

–To wybuchła bomba? Naprawdę, bomba?

Frank skinął głową. Zaczął się trząść tak mocno, że z trudem mówił.

–Jak się teraz czujesz? Nadal boją cię plecy?

Danny skrzywił się i przytaknął.

–Krew mi leci z kolan.

Frank sięgnął do skrytki i podał Danny'emu pudełko z papierowymi chusteczkami. Popatrzył na Cedars i zobaczył grubą chmurę szarego kurzu, unoszącą się nad szkolnym parkingiem i nad ulicą. Z tej chmury co chwila wybiegali oszołomieni ludzie. Z rękami wysuniętymi przed siebie wyglądali jak zombi.

–Posłuchaj – powiedział. – Pójdę tam, może ktoś potrzebuje pomocy. Ty zostań tutaj i zatelefonuj do mamy. Powiedz jej, co się stało, i że z nami wszystko w porządku.

–Masz krew na twarzy.

–Co takiego? – Frank dotknął czoła i poczuł, że jest mokre.

Odchylił boczne lusterko i popatrzył na siebie. Na czole pod linią włosów miał niewielką ranę, z której krew sączyła się w dół wąską strugą aż do nosa. Wydarł z pudełka chusteczkę i starł ją. Wydawało mu się, że poza tym drobnym urazem jest zupełnie zdrowy. Widział w lusterku pociągłą, bladą twarz w okularach. Jakim cudem wyglądał tak normalnie, skoro przed chwilą był świadkiem wybuchu potężnej bomby i śmierci mnóstwa dzieciaków?

–Zadzwoń do mamy, dobrze? – powiedział do Danny'ego i podał mu telefon komórkowy. – Zaraz zobaczy wszystko w telewizji. Chcę, żeby wiedziała, że nam się nic nie stało.

Środa, 12 września, godz. 9.41

Frank pobiegł z powrotem do szkoły. Kurz powoli opadał i stopniowo wylaniał się spod niego zarys budynku kościoła. Stojąc na ulicy, można było odnieść wrażenie, że zniszczeniu uległa cała biblioteka i frontowy portal. Bez wątpienia wybite zostały wszystkie szyby w oknach. Przez boczne drzwi zaczęli wychodzić na zewnątrz nauczyciele i dzieci, większość z nich zakrwawiona. Wszyscy szli przed siebie dziwnymi zygzakami, jakby byli zahipnotyzowani. Niektórzy krzyczeli, inni przeciągle wyli.

Kilka osób siedziało już na chodniku. Twarze mieli osmalone, ubrania porozrywane, a w oczach wyraz skrajnego przerażenia. Jakaś kobieta w średnim wieku pokuśtykała w kierunku Franka, podtrzymując prawą dłońią lewą rękę. Była ubrana w brązową sukienkę w kwieciste wzory, a jej rude włosy sterczały wysoko w górę, jakby były naelektryzowane. Zamiast lewego ramienia miała tylko kikut, z którego wystawała biała kość.

–Nic mi nie jest – zapewniła, zbliżywszy się do Franka. – Niech się pan o mnie nie martwi. Proszę się zająć dziećmi.

–Niech pani usiądzie – poprosił ją. Posadził ją na trawie i oparł plecami o koło samochodu. Zerwał z szyi żółto-czerwony krawat i z całej siły zawiązał na kikucie. – Proszę się nie ruszać. Wszystko będzie dobrze. Lekarze będą tutaj za kilka minut.

–Wie pan, wcale nie czuję bólu – powiedziała, patrząc na zdrową rękę i ze zdziwieniem obracając ją na wszystkie strony. – Ani trochę.

Szkolna brama z kutego żelaza wciąż znajdowała się na miejscu, jednak była dziwnie powykręcana; Frank odnosił wrażenie, że patrzy na nią przez spienioną wodę. Budka pana Lomaksa była pochylona pod ostrym kątem ku ziemi, a w jej oknach nie było ani jednej szyby. Sam pan Lomax siedział na swoim obracającym krześle, a jego mundur, jeszcze niedawno beżowy, teraz był podarty i czarny jak pióra kruka. W miejscu lewego oka widać było coś czarnego i kiedy Frank podszedł bliżej, zrozumiał, że jest to żelazny młotek na drewnianym trzonku. Trzonek wbił się tak mocno w oczodół pana Lomaksa, że gdyby nie jego żelazne zakończenie, przebiłby czaszkę na wylot.

Frank stał przy budce, z trudem łapiąc oddech, bezsilny i bezradny. Obok bocznego wejścia do szkoły tłoczyli się już nauczyciele i uczniowie. Desperacko pragnął zrobić coś, żeby komukolwiek pomóc, nie miał jednak pojęcia, od czego powinien zacząć. Dzieciom, których rozszarpane wybuchem ciała porzrucane były po całym parkingu, nie mógł już w niczym pomóc. Można je było już tylko pochować i modlić się za nie.

–Cholera jasna! – zawołał. – Jasna cholera! – Odwrócił się. W jego oczach błyszczały łzy.

Niespodziewanie pojawiła się obok niego jakaś dziewczyna. Jej krótkie brązowe włosy pokrywał kurz, a dzinsy i kremową bluzkę miała zbryzgane krwią. Na jednej nodze wciąż miała sandał, a jej druga noga była bosa.

–Nic panu nie jest? – zapytała. Delikatnie dotknęła ramienia Franka, jakby chciała sprawdzić, czy on naprawdę istnieje.

–Co? – zawołał do niej i zmarszczył czoło. Nadal słabo słyszał.

Pochyliła się ku niemu i mocniej złapała go za ramię.

–Nic panu nie jest? – powtórzyła. – Nie jest pan ranny, prawda? – Miała ochryply głos, jak nałogowy palacz.

–Tylko dzwoni mi w uszach. Poza tym wszystko dobrze.

–To była bomba.

–Wiem. Ale nie wiem, co teraz robić. Zadzwońm po pomoc, ale powiedzieli mi, żebym trzymał się od wszystkiego z daleka. – Odchrząknął i przetarł oczy.

Przesunąwszy palcami po policzkach, zostawił na nich dwie szare smugi. – Mówili coś o drugim wybuchu, możliwości, że jest jeszcze jedna bomba.

–Chyba nie miał pan tu dziecka?

–Mój syn chodzi do tej szkoły. Ale utknęliśmy w korku. W przeciwnym razie...

Chryste, te wszystkie dzieciaki... Boże. Tyle innych dzieci...

–Ja kogoś straciłam – powiedziała dziewczyna.

Obojętny ton jej głosu sprawił, że Frank zamrugał oczyma i przyjrzał się jej uważniej. Miała bladoniebieskie tęczęwki, prawie pozbawione koloru. Frank doznał dziwnego uczucia, że już ją kiedyś widział. Więcej – że ją zna.

–Tak mi przykro. Mam nadzieję, że nie własne dziecko.

–Nie, nie dziecko. Kogoś znacznie bliższego.

Frank rozejrzał się dookoła. W ciepłym porannym powietrzu docierało do niego coraz wyraźniejsze wycie syren.

–Niech pani usiądzie – zaproponował.

–Nic mi nie jest. Chciałam się tylko upewnić, że i panu nic nie dolega.

–Ze mną wszystko w porządku.

Wokół zniszczonego budynku szkoły zapanowała na chwilę nienaturalna cisza. Słysać było tylko szelest liści juki. Powoli opadał kurz. Przerażone dzieci już nie krzyczały. Niektóre łkały, ale cichutko, jakby bały się hałasować.

Środa, 12 września, godz. 9.44

Policyjny radiowóz zahamował przed szkołą. Po chwili dołączyło do niego kilka następnych. Za chwilę, hałasując klaksonami i błyskając światłami alarmowymi, pojawiły się wozy strażackie. Później nadjechał ambulans, kolejne dwa samochody policji, jeszcze jeden wóz strażacki i wreszcie trzy wozy transmisyjne stacji telewizyjnych. W ciągu zaledwie kilku minut Franklin Avenue wprost zaroła się od samochodów policji i wszelkich służb ratunkowych z miasta.

Jakiś policjant o sumiastych rudych wąsach podszedł do Franka i zapytał:

–Czy pan to widział?

–Prowadziłem mojego chłopaka do szkoły... spóźniliśmy się.

–Ale czy widział pan, co się stało?

–Wjechał biały van i... po prostu eksplodował. Przybiegłem, żeby pomóc, ale nie wiedziałem, co robić.

–Dobrze, niech pan posłucha. Na razie musimy zapanować nad sytuacją, później z panem porozmawiamy. Proszę podać mi imię i nazwisko, adres oraz numer telefonu. Ktoś jeszcze dzisiaj się z panem skontaktuje.

Frank sięgnął do portfela i wyciągnął wizytówkę. Ta młoda kobieta także była świadkiem wybuchu.

Policjant rozejrzał się i wzruszył ramionami. Frank odwrócił się w samą porę, by zobaczyć, że dziewczyna znika za rogiem Gardner Street.

–Ona... ona sobie poszła. Jest pewnie jeszcze bardziej zszokowana niż ja.

–W porządku, nic się nie stało. Teraz niech pan jedzie do domu i pozwoli działać fachowcom.

–Oczywiście. Jak najbardziej.

Frank jeszcze raz popatrzył na szkołę. Sanitariusze już chodzili pomiędzy ciałami dzieci. Co chwilę przyklękali w poszukiwaniu oznak życia. Zegar na wieży kościelnej zaczął wybijać za kwadrans dziewiątą. Zwykle reagowały na to kalifornijskie przepiórki, wzbijając się w powietrze, tym razem jednak żadna nawet się nie ruszyła. Były zbyt przestraszone.

Frank wrócił do samochodu i usiadł za kierownicą. Danny nadal siedział na tylnym fotelu i był bardzo blady. Szok, pomyślał Frank. On także był przestraszony, i to tak bardzo, że z trudem składał słowa w logiczne zdania.

–Danny? Udało ci się połączyć z mamą?

Danny jedynie patrzył na niego w milczeniu. Miał dziwny wyraz twarzy, jakby uśmiechał się do jakiejś zabawnej myśli.

–Danny? Dobrze się czujesz?

Chłopiec nie odpowiadał. Frank odwrócił się i powiedział:

–Dalej, mistrzu. Trzymaj się. Zawiozę cię do domu i resztę dnia będziesz mógł spędzić w łóżku.

Danny nadal tylko patrzył na ojca.

–Danny, przestań się wygłupiać. Danny, to nie jest zabawne.

Frank wyskoczył z samochodu i szarpnął tylne drzwiczki po Danny'ego. Dotknął jego ramienia i w tym samym momencie chłopiec przewrócił się na bok. Kurtkę na

plecach miał przesiąkniętą krwią.

–Boże, tylko nie to – jęknął Frank. – Boże, tylko nie Danny.

Wyprostował chłopca i ujął jego twarz w obie ręce. Był wciąż ciepły. Jego oczy wpatrywały się jednak szklście w dal, a usta były szeroko otwarte. Nie oddychał.

Frank poczuł, że serce skacze mu do gardła. Wsunął ręce pod uda Danny’ego i niezdarnie wyciągnął go z samochodu. Krew była wszędzie, na jego kurtce, spodniach, nawet na butach.

–Na pomoc! – zawołał i trzymając Danny’ego na ramionach, ruszył biegiem w kierunku najbliższego ambulansu. – Na miłość boską, lekarza!

Środa, 12 września, godz. 18.47

Młody lekarz wyszedł do szpitalnej poczekalni, gdzie Frank i Margot siedzieli pod wysuszoną juką w towarzystwie czarnego młodzieńca bez przerwy pociągającego nosem. Lekarz miał spokojny głos, ale unikał ich wzroku. Owłosionymi dłońmi, przywodzącymi na myśl dwie oswojone tarantule, nerwowo przesuwiał po swoich kolanach.

–Zbadałem Danny’ego i wiem już, co się stało. W jego plecy, między piątym i szóstym zębem, wbił się zwykły gwóźdź. Trafił go z ogromną prędkością, dorównującą prędkości pocisku z broni palnej. Gdyby przebił ciało na wylot, chłopiec miałby znacznie większe szanse na przeżycie. Niestety, gwóźdź strzaskał mostek i pozostał w brzuchu. Pod dużym kątem wbił się w wątrobę, powodując uraz, który okazał się fatalny w skutkach.

Margot zakryła usta dłonią. W jej oczach błyszczały łzy.

–Niech pan będzie ze mną szczery, doktorze – powiedział Frank.

–Oczywiście.

–Gdybym zdał sobie sprawę, że Danny jest tak poważnie ranny... Chodzi mi o to, że gdybym zabrał go natychmiast do szpitala... Czy można by go wtedy uratować? Lekarz popatrzył z wahaniem na Margot, po czym znów skupił uwagę na Franku.

–Moim zdaniem tak. Ale to tylko moje zdanie, nic więcej.

1

Siedział na kanapie przed telewizorem i oglądał informacje o wybuchu powtarzane w kółko przez różne stacje. Margot ustawiła sobie wiklinowe krzesło przy oknie na werandzie i siedziała niemal bez ruchu, wpatrując się w ogródek, a właściwie w czerwono-żółtą huśtawkę Danny’ego. Frank nie wiedział, czy jego żona słucha telewizji czy nie, czy w ogóle jest świadoma tego, co robi. Palila papierosa – po raz pierwszy od czterech lat i sześciu miesięcy. Od czasu do czasu kaszłała.

–Hollywood i cały świat zamarł dziś rano, kiedy bomba, podłożona przez terrorystów, eksplodowała na terenie jednej z najbardziej elitarnych szkół podstawowych, zabijając przynajmniej siedemnaścioro dzieci i troje nauczycieli oraz poważnie raniąc wiele osób. Zamachowiec samobójca wwiózł bombę na szkolny dziedziniec w białym vanie, po czym zdetonował ją zaledwie dziesięć jardów od grupy dzieci, udających się właśnie na pobliskie boisko na zajęcia sportowe. Ciała niektórych dzieci zostały tak zmasakrowane, że nadal nie można dokonać ich formalnej identyfikacji.

Wśród zabitych i rannych są synowie i córki znanych gwiazd Hollywood, na przykład dziesięcioletnia córka Lynn Ashbee, która gra rolę Megan White w *Od maja do września*, dziewięcioletnia córka Billy’ego Kretchmera, czyli Jeda Summersa z *Rodziny Fairchildów* oraz ośmioletni syn scenarzysty Franka Bella, autora blisko dwudziestu odcinków komedii *Gdyby świnki potrafiły śpiewać*.

Naoczni świadkowie opisali to, co zobaczyli, jako „rzeź”.

Ciała lub fragmenty ciał dzieci porozrzucane były po całym dziedzińcu. Wybuch bomby słyszano nawet w odległym o siedem mil Sherman Oaks. Według wstępnych szacunków w vanie znajdowało się ponad trzysta pięćdziesiąt funtów materiału

wybuchowego. Pojazd wyładowany był także metalowymi przedmiotami, narzędziami, kulkami z łożysk, drutem kolczastym i częściami samochodowymi, po to żeby zwielokrotnić niszczący efekt wybuchu.

Komisarz policji z Los Angeles, Marvin Campbell, natychmiast poprosił o pomoc Federalną Agencję do spraw Kryzysowych z Denton w Teksasie oraz brygady antyterrorystyczne i ekspertów FBI w zakresie materiałów wybuchowych. Jak dotąd żadna grupa ani żadna osoba nie przyjęła na siebie odpowiedzialności za zamach, który komisarz Campbell określił jako „ohydny akt wojny przeciwko niewinnym”.

Margot wstała w końcu z krzesła, przeszła przez salon i wyłączyła telewizor. Stała obok milczącego odbiornika i popatrzyła na Franka – była tak drobna, że wyglądała niemal jak dziecko. Miała czarne, krótko ostrzyżone włosy; ubrana była w ceglastą koszulę, przynajmniej o dwa numery za dużą, oraz czarne legginsy. Miała ostry, zadarty nos i wielkie brązowe oczy, takie same jak Danny, oczy, które nadawały jej synowi tak poważny wygląd, mimo że miał dopiero osiem lat.

–Dlaczego go zostawiłeś? – zapytała ochryplym głosem.

–Już ci mówiłem, Margot, on był sam tylko chwileczkę. Sekundy, minuty, bardzo krótko. Nie zdawałem sobie sprawy, że jest aż tak poważnie ranny. Tam byli także inni ludzie... Chociażby kobieta z oderwaną ręką. Czy uważasz, że gdybym miał chociażby cień przeczucia...

–On był twoim synem, Frank. Cóż wobec niego znaczą inni ludzie? Umierał, a ty go zostawiłeś samego. Umarł, pozostawiony sam sobie, nie rozumiesz tego? Umierał, a jego ojciec nie potrafił w takiej chwili chociażby potrzymać go za rękę.

Frank wstał.

–Jak sądzisz, jak ja się w związku z tym czuję? Masz jakiegokolwiek pojęcie? Podniosłem go z chodnika i sprawdziłem, czy nie jest ranny; nie dostrzegłem niczego, co mogłoby poważnie zagrażać jego zdrowiu, nie mówiąc o życiu. Miał tylko zadrapania na nosie i kolanach.

–I czterocalowy gwóźdź, który rozorał mu wątrobę na strzępy.

–Margot, nie mogłem tego zobaczyć! Nigdzie nie widziałem krwi, kurtka Danny’ego w ogóle nie była rozerwana. Owszem, mówił, że bolą go plecy, ale uznałem, że to nie jest nic poważnego.

–Powiedział, że bolą go plecy, a ty go zostawiłeś!

–Na miłość boską, nie było tam ciebie, nic nie widziałas! Dookoła były dziesiątki ludzi potrzebujących pomocy. W powietrzu unosił się dym, kurz, ziemia była wprost czerwona od krwi, dzieci krzyczały... Chryste, Margot. Nie miałem szansy rozpoznać, że Danny jest aż tak ciężko ranny.

Margot zamierzała powiedzieć coś jeszcze, jednak zmieniła zdanie. Zgasiała papierosa w meksykańskiej popielniczce stojącej na telewizorze. Przez chwilę trwała w milczeniu, jakby się nad czymś zastanawiała, po czym przemaszerowała sztywno do salonu. Frank znowu włączył telewizor, stwierdziwszy jednak, że wszystkie stacje wciąż nadają materiały o wybuchu, wyłączył go. Skierował się do drzwi i wyszedł na patio. Jego odbicie w szybie wyglądało jak jego własny duch.

Jeszcze tego wieczoru, o 19.37, rozległ się dzwonek u drzwi i Frank poszedł

otworzyć. W progu stało dwóch mężczyzn w marynarkach. W rękach trzymali odznaki policyjne. Jeden z nich był bardzo wysoki i jakby smętny, miał falujące siwe włosy oraz wielki nos. Drugi był niskim brunetem z cieniutkim wąsikiem.

–Pan Frank Bell? Jestem porucznik Walter Chessman z policji Los Angeles, a to jest detektyw Stan Booker. Wiem, że był pan dziś rano świadkiem wybuchu bomby w Cedars.

–Zgadza się.

–Wiem także, że pański syn jest jedną z ofiar. Pragnę przekazać panu szczere kondolencje.

–Tak, dziękuję panu.

–Jeśli nie zechce pan rozmawiać z nami teraz, zrozumieć pana. Ale nie muszę chyba mówić, że im szybciej dojdziemy do tego, co za drań przygotował tę bombę, tym będzie lepiej dla wszystkich.

–Oczywiście. Niech panowie wejdą. Prawdę mówiąc, zależy mi, aby z kimś o tym porozmawiać. Moja żona... Cóż, bardzo ciężko to przeżywa. Jest...

Margot stanęła w drzwiach sypialni. Miała zaczerwienione, opuchnięte oczy. W ręce trzymała maskotkę Danny'ego, brązowego niedźwiadka, Pana Burczybrzucha.

–Panowie są z policji. Chcą mi zadać kilka pytań na temat dzisiejszego poranka.

Margot pokiwała głową.

–Rozumiem. – Popatrzyła na porucznika Chessmana i powiedziała: – Czy pan już wie, kto to zrobił?

Porucznik potrząsnął przecząco głową.

–Niestety, jeszcze nie, proszę pani.

–Szkoda. Ja przynajmniej wiem, kto zabił mojego syna.

–Naprawdę? – Porucznik Chessman zrobił zdziwioną minę.

–Margot, na miłość boską... – Frank westchnął.

–To on. – Margot wskazała palcem na męża. – Kiedy Danny umierał, jego własny ojciec zostawił go w samochodzie, żeby się wykrwawił na śmierć, a sam zatroszczył się o mnóstwo innych ludzi, których nawet nie znał. Jego własny ojciec!

Porucznik Chessman popatrzył znacząco na detektywa Bookera, a potem znowu na Margot.

–Muszę pani powiedzieć, pani Bell, że pracuję w swoim zawodzie już dwadzieścia siedem lat. Doświadczenie podpowiada mi, że w tak stresujących sytuacjach wcale nie jest łatwo podejmować najbardziej trafne decyzje.

–Och, najbardziej trafne decyzje? Rozumiem. A czy nie uważa pan, że decyzja o ratowaniu jedyne go syna jest czymś więcej niż najbardziej trafną decyzją? Przecież to jest krytyczna decyzja!

–Pani Bell, musiałbym porozmawiać z pani mężem na osobności. Chciałbym ustalić, co pamięta z dzisiejszego poranka. Wolałbym uniknąć sytuacji, w której na jego odpowiedzi miałby wpływ dodatkowy stres.

–Dodatkowy stres? Czy ma pan na myśli poczucie winy?

–Pani Bell, muszę natrafić na ślad grupy lub człowieka odpowiedzialnego za śmierć wszystkich tych dzieci. Im dłużej będę zbierał potrzebne mi informacje, tym

dalej sprawcy mogą uciec.

–Tak, oczywiście. Uważa pan, że niesłusznie czuję się urażona?

–Proszę pani, to, co pani w tej chwili czuje, jest w pełni zrozumiałe. Ja jednak nie przyszedłem tutaj, żeby kogokolwiek o cokolwiek oskarżać. Chcę ustalić fakty, to wszystko.

–Czy ma pan dziecko? – Margot nie ustępowała.

–Tak, proszę pani. Trzy córki.

–I gdyby znalazły się w pobliżu miejsca wybuchu, zostawiłby pan je same chociaż na minutę?

Porucznik Chessman nie odpowiedział. Wzruszył po prostu ramionami i wyciągnął notes.

–Nie pozwoliłby im pan wykrwawić się na śmierć w samotności, prawda?

Pozwoliłby pan?

–Przepraszam panią, ale mamy mało czasu. Frank, zrezygnowany, przygarbił się i usiadł na kanapie. Ręce skrzyżował na piersiach, jakby było mu zimno.

–Czy widział pan vana przed bramą szkoły? – zapytał go porucznik Chessman.

Frank pokiwał głową.

–Nie zwróciłem jednak na niego żadnej szczególnej uwagi. Ot, po prostu, jakiś samochód dostawczy.

–Czy miał jakieś znaki szczególne, emblematy, naklejki i tym podobne?

–Jeśli nawet miał, to ja ich nie zapamiętałem.

–Czy widział pan kierowcę?

–Nie. Był zbyt daleko. Poza tym nie miałem żadnego powodu, żeby mu się przypatrywać.

Porucznik Chessman szybko coś zapisał, po czym rzucił kolejne pytanie:

–Czy pańskim zdaniem ochrona w Cedars była odpowiednia? Wjazd na parking zamykano zawsze o dziewiątej, przynajmniej tak nas poinformowano. Co się działo, jeśli ktoś zamierzał wjechać na parking po tej godzinie?

–Trzeba była zatrzymać się przed budką ochroniarza i mu to zgłosić. Jeśli pan Lomax kogoś nie znał osobiście, żądał legitymacji, jakiegoś dokumentu.

–Ma pan w tym względzie osobiste doświadczenie?

–Tak, jasne. Kilka razy spóźniałem się z Dannym do szkoły. Zawsze w takiej sytuacji, zanim pan Lomax nas wpuścił, zaglądał do samochodu, żeby sprawdzić, kto jedzie. Kiedyś, akurat przede mną, przyjechała jakaś ciężarówka z dostawą i pan Lomax naprawdę dokładnie ją sprawdził. Obejrzał nawet prawo jazdy kierowcy.

–Czy dzisiaj rano wyszedł z budki?

–Nie. Van zatrzymał się tylko na chwilę i pan Lomax zaraz go przepuścił.

–Jaki wyciągnąłby pan z tego wniosek?

–Nie wiem. To pan jest detektywem. Zapewne znał kierowcę.

–Całkiem rozsądny wniosek.

Słońce powoli zniknęło za horyzontem. Ponieważ zaczęło razić porucznika Chessmana w oczy, Frank podszedł do okna wychodzącego na patio i spuścił żaluzję. Na dworze lekko kołysała się huśtawka Danny'ego. Rzucała na trawnik długie

cienie, trochę przypominające szafot.

Porucznik Chessman stanął za Frankiem i położył dłoń na jego ramieniu.

–Poradzi pan sobie? – zapytał cicho.

–Tak, oczywiście, nie mam wyboru – odparł Frank. Nie chciał współczucia. Miał ściśnięte gardło i bał się, że jeśli policjant zbyt otwarcie okaże mu współczucie, nie będzie w stanie mówić.

–Czy widział pan jakiś błysk, kiedy wybuchła bomba? – zapytał go detektyw Booker.

–Błysk? Tak.

–Czy był bardzo jasny?

–Niespecjalnie. Niewiele jaśniejszy niż błysk lampy błyskowej przy aparacie fotograficznym. Było jednak mnóstwo dymu.

–Czy to był dym czarny, szary, a może brązowy?

–Nie wiem. Po prostu ciemny. Co to za różnica?

–Różne materiały wybuchowe dają różne odcienie dymu. Na przykład podczas wybuchu ładunków kruszących, używanych w górnictwie, jest mnóstwo czarnego dymu, ponieważ w prawie stu procentach składają się z trotylu. Cyklonit z kolei daje niewiele dymu. Kiedy zidentyfikujemy rodzaj materiału wybuchowego, zaczniemy szukać jego źródeł i dowiadywać się, gdzie i przez kogo został zakupiony.

–Mogę panu w każdym razie powiedzieć, że było mnóstwo dymu. Ciemnoszarego dymu, niemal czarnego. Przez jakiś czas było ciemno jak o północy. Z ulicy nie mogłem dostrzec nawet zarysów budynku szkoły.

–Funkcjonariusz, z którym rozmawiał pan na miejscu... Cóż, zanotował, że wspominał pan o jeszcze jednym świadku, młodej kobiecie.

–Rzeczywiście. Podeszła do mnie krótko po eksplozji. Nie miała jednego buta, ale poza tym nic jej nie było.

–Zdaje się, że syn także wydawał się panu w porządku.

–Przepraszam, nie chciałem, żeby to tak wyszło. Rzeczywiście, kobieta mogła być o wiele poważniej ranna, niż to wyglądało na pierwszy rzut oka.

–Jednak mogła chodzić, mówić i wyrażać się zrozumiale, zgadza się?

–Tak.

–Znał ją pan wcześniej?

–Nie.

–Rozumiem, że nie była matką żadnego ucznia z Cedars ani nauczycielką z tej szkoły?

–Nie mam najmniejszego pojęcia, kim była. Zapytała mnie, czy nic mi się nie stało i czy straciłem kogoś w wybuchu. Odpowiedziałem... – Frank zacisnął usta i popatrzył w okno.

–Rozumiem. – Porucznik Chessman pokiwał głową. – W tym momencie nie wiedział pan, że Danny został ranny.

–Bardzo zależy nam na tym, żeby dotrzeć do jak największej liczby naocznych świadków – wtrącił się detektyw Booker. – Gdyby spotkał pan tę kobietę jeszcze raz, czy rozpoznałby pan ją?

Frank wyobraził sobie kobietę o krótkich, pokrytych pyłem włosach i bladoniebieskich oczach. Była niemal piękna, miała słowiański typ urody. Była zupełnie niepodobna do kobiet, które zazwyczaj wzbudzały jego zainteresowanie; zawsze wolał kobiety w typie Audrey Hepburn, jak chociażby Margot, drobna, ciemnowłosa, energiczna. Teraz, kiedy przypomniał ją sobie, musiał przyznać, że było w niej coś interesującego, była zarazem stanowcza i przepelniona bólem. Miała w sobie coś, co przyciągało do niej mężczyzn i sprawiało, że z trudem się z nią rozstawało.

–Tak... Ona po prostu odeszła. Zapewne w szoku, jak wszyscy inni.

–Czy zanim odeszła, coś powiedziała?

Ja kogoś straciłam. Nie dziecko. Kogoś znacznie bliższego. Co to miało znaczyć? Kogoś znacznie bliższego. Kto może być dla kobiety bliższy niż jej własne dziecko?

–Nie, chyba nie.

Detektyw Booker zmarszczył czoło.

–Jest pan tego absolutnie pewien?

–Tak.

Tej nocy oglądał telewizję jeszcze grubo po północy i wypił przy tym trzy czwarte butelki stolicznej. Niemał przez cały czas bezgłośnie płakał. Jego mokre policzki lśniły w poświacie ekranu, na którym rozgrywały się tajemnicze wydarzenia z *Archiwum X* i *Gwiezdnych wrót*. Ani ich nie widział przez załzawione oczy, ani nie słuchał.

Nie potrafił po raz kolejny oglądać wiadomości. Powtarzano wciąż to samo – dym, pył i zakrwawione ciała na szkolnym dziedzińcu.

W końcu, kompletnie wyczerpany, poszedł do sypialni, niepewnym, rozchwianym krokiem, niczym kapitan Ahab na pokładzie statku *Pequod*. Wpadł na niedomknięte drzwi i dopiero wtedy się zorientował, jak boleśnie jest poobijany po zderzeniu z toyotą, na którą rzucił go podmuch wybuchu. Rozpiął koszulę, zdjął ją i popatrzył na lewą rękę. Prawie całe jego przedramię było sinopurpurowe.

–Och, Boże – wyszeptał, zamykając oczy. – Proszę cię, cofnij czas. Boże, proszę, niech to będzie wczoraj.

Jednak kiedy chwiejnym krokiem dotarł do pokoju Danny'ego i zapalił w nim światło, w środku zastał jedynie puste, starannie zasłane łóżko, przykryte narzutą z wizerunkiem X-Men. Na półkach tłoczyły się figurki bohaterów *Gwiezdnych wojen*, sprawiające wrażenie zasmuconych tak samo jak Frank. Nikt nigdy nimi nie będzie się już bawił.

Usiadł na skraju łóżka Danny'ego. Nie płakał już, zabrakło mu łez. Nie chciał dłużej rozmyślać o wydarzeniach poranka. A jednak, kiedy tylko zamykał oczy, w wyobraźni widział dym unoszący się nad szkołą, a potem Danny'ego na tylnym siedzeniu samochodu i przerażenie na twarzy sanitariusza, który odbierał syna z jego rąk.

Kilka minut po drugiej był już pewny, że czas się nie cofnął, poczłapał więc do sypialni. Spróbował otworzyć drzwi, jednak były zamknięte.

–Margot! – zawołał, ale nie doczekał się odpowiedzi. – Margot – powtórzył. – Otwórz, proszę.

Odpowiedziała mu jedynie cisza.

Uniósł pięść, gotów uderzyć w drzwi, ale zaraz się zreflektował i zrezygnował. Jestem zbyt zmęczony i zbyt pijany, pomyślał, Margot wini mnie za śmierć Danny'ego, a ja nie potrafiłbym znieść pełnej wrzasków awantury, z rozbijaniem wazonów i mebli, nie dzisiaj. Danny leży w kostnicy, trzeba zachować spokój. Okażmy mu szacunek.

–Margot, wiem, że mnie słyszysz. Rozumiem cię. – Umilkł, zakołysał się i przytrzymał się framugi, żeby się utrzymać na nogach. – Chcę tylko, żebyś wiedziała, że nie chciałem, żeby tak się stało, na pewno nie. Nie chciałem śmierci Danny'ego, po prostu podjąłem złą decyzję. Wiem, że to ja się pomyliłem, nikt inny. Nikt nie kochał Danny'ego bardziej niż ja. Nikt. Dziś rano podjąłem złą decyzję, przyznaję.

Przycisnął ucho do drzwi i wstrzymał oddech, nasłuchując. Nie słyszał jednak niczego, nawet szlochu Margot. Po chwili wrócił do salonu i usiadł na jednej z sof pokrytych białą skórą. Ściany miały kolor bladych magnolii, wisiały na nich obrazy Margot – duże, niektóre o wymiarach sześć stóp na siedem. *Impresje w bieli I-VII*. Malowała je na postrzępionych płótnach, białą farbą olejną, i chociaż widniały na nich jakieś nieregularne spiralki, zawijasy i krzyżyki, dominowała biel.

–Malarstwo to po prostu malowanie – mówiła zawsze Margot, zasiadłszy na sofie w pozycji kwiatu lotosu. – Chcę, żeby ludzie zapominali o formie, kształcie, kompozycji. Forma, kształt i kompozycja to wszystko są sztuczki, służące temu, aby ludzie nie patrzyli na to, co tak naprawdę się liczy.

Naprawdę, Margot, liczy się nasz syn, martwy i zimny w kostnicy. Liczą się te wszystkie biedne dzieci, porozrywane na strzępy na szkolnym dziedzińcu. Chociaż – skoro ludzie tego świata zdolni są do tak ohydnych czynów – może nic już się nie liczy? Może nie ma już wśród ludzi nadziei, wiary, dobroci, nic niewarte są uśmiechy?

Kiedy we wtorek wieczorem kładliśmy się do łóżka, rozmyślał, nie mogliśmy wiedzieć, że gdy my będziemy spokojnie spać, zastępy okrutników będą gorączkowo pracować. Dlatego kiedy się obudziliśmy, nie mogliśmy wiedzieć, że nie żyjemy już w świecie ufności i szczęścia, lecz w jego niebezpiecznej i bezdusznej replice, w której nie można być niczego pewnym i nikomu nie można zaufać, już nigdy.

Wstał i podszedł do *Impresji w bieli IV*. Wpatrywał się w nią przez długi czas. Wreszcie z pudełka na podręcznym stoliku wziął gruby czarny marker i ze łzami w oczach narysował na obrazie dużą, wykrzywioną twarz chłopca.

Wyszła z sypialni krótko przed siódmą. Wygląd jej twarzy nie pozostawiał wątpliwości, że nie spała. Frank siedział przy stole w kuchni z dużym kubkiem czarnej kawy. Zdążył przygotować kilka tostów, ale jeden z nich zaledwie raz ugryzł.

–Napijesz się kawy? – zapytał.

Potrząsnęła przecząco głową. Otworzyła lodówkę i wyciągnęła z niej karton soku z borówek.

–Są nowe informacje na temat wybuchu – powiedział, wskazując na telewizor. – Przyznała się do niego jakaś arabska grupa terrorystyczna. – Telewizja CNN nadawała kolejne wiadomości. Napis u dołu ekranu nie pozostawiał wątpliwości, kto uważany jest za sprawcę zamachu. – Dar Tariki Tariquat, kto to jest, do diabła? Nikt dotąd nie słyszał o takiej organizacji, ale wygląda na to, że są powiązani z Al-Kaidą.

–Widziałam, co zrobiłeś z moim obrazem – odezwała się Margot.

–Tak.

Czekała na coś więcej, Frank jednak nadal spokojnie sączył kawę i wpatrywał się w ekran telewizora. Wreszcie nie wytrzymała i z hukiem postawiła szklankę z sokiem tuż przed nim.

–To wszystko? „Tak”? Tylko tyle masz mi do powiedzenia?

Frank popatrzył na nią i odstawił kubek. Starał się zachowywać spokojnie, mimo że jego serce biło nienaturalnie szybko.

–Nie, Margot. Mógłbym powiedzieć o wiele więcej, ale w tej chwili chyba byś tego nie zrozumiała. Uważam, że nie chcesz zrozumieć.

Margot wydała tylko ciężkie westchnienie.

–Czego chcesz ode mnie? Żebym cię przeproszał?

–Nie, to zupełnie niepotrzebne. Po tym, co zrobiłeś, mógłbyś powiedzieć milion słów, a ja i tak nie przejdę nad tym do porządku dziennego. Zabiłeś mojego jedyne go syna, Frank. Danny nie żyje i to ty pozwoliłeś mu umrzeć.

–Wiem.

–„Wiem”?! – wrzasnęła. – „Wiem”? Zabiłeś go, a teraz drwisz z jego śmierci, niszcząc moją pracę jakimś... – Głęboko odetchnęła, jakby nagle chciała się uspokoić. – Aż tak mnie nienawidzisz, Frank? No, dalej, powiedz mi. Mój Boże, nie mogę uwierzyć, że tak bardzo mnie nienawidzisz!

Frank zamknął na chwilę oczy.

–Margot, to nieprawda, wcale cię nie nienawidzę. Kocham cię i gdybym mógł przywrócić Danny’emu życie, nawet gdyby to znaczyło, że ja miałbym umrzeć za niego, nie wahałbym się ani przez chwilę.

–Ty nikogo nie kochasz, Frank.

–To ty tak mówisz, kochanie. Wiedz jednak, że żadne nasze słowa nie cofną tego, co się wydarzyło. Gdyby Danny dotarł do szkoły na czas, zostałyby z niego strzępy, tak jak i z reszty tych nieszczęsnych dzieci. Gdybyśmy przyjechali tam dwie minuty później, w ogóle nic by mu się nie stało. Ale przyjechaliśmy wtedy, kiedy przyjechaliśmy, i pech sprawił, że uderzył go ten gwóźdź. Gdybyś to ty była tam z nim, a nie ja, pewnie także nie zdałabyś sobie sprawy, jak poważnie jest ranny. A

może nie mam racji, może byś to zauważyła? W każdym razie żadne gdybania dzisiaj nie mają już sensu.

Margot przez długi czas milczała, szybko oddychając przez nos, niczym biegacz po dotarciu do mety. W końcu wskazała ręką na salon:

–Może więc powiesz mi wreszcie, dlaczego zniszczyłeś mój obraz?

–Wcale nie uważam, że go zniszczyłem, Margot. Nadałem mu jakieś znaczenie, bo do tej pory nie miał żadnego. Nadałem mu trochę człowieczeństwa.

Pojechał do pracy samochodem. Kiedy wszedł do swojego biura w Fox, jego sekretarka, Daphne, spojrzała na niego z otwartymi ustami, jakby zobaczyła ducha.

–Panie Bell! Nie spodziewałam się pana dzisiaj. Tak mi przykro z powodu Danny’ego. To takie straszne.

Z sali konferencyjnej wyszedł Mo Cohen, ubrany w jasnoniebieską koszulę, upstrzoną sugestywnymi rysunkami drzew palmowych. Palił cygaro. Miał duży brzuch, łysiał, jednak po bokach głowy miał kręcone włosy, jak klaun.

–Frank, na miłość boską. – Podszedł i objął go tak mocno, że Frank przez chwilę z trudem oddychał. Kiedy go wreszcie puścił, miał w oczach łzy. – Co mam ci powiedzieć? Biedny mały Danny. Nie mogę uwierzyć, że to prawda.

–Ani ja.

–Co, do diabła, robisz dzisiaj w pracy? Powinieneś być w domu, opiekować się Margot.

–Musiałem się gdzieś na chwilę wyrwać.

Mo położył dłonie na ramionach Franka i ścisnął je tak mocno, że ten aż się skrzywił.

–A z tobą wszystko dobrze? – zapytał.

–Jestem trochę poobijany, ale to nic poważnego.

–Chodź do środka, usiądź na chwilę. Chcesz kawy? Daphne, mój aniele, przyrządź temu człowiekowi filiżankę kawy.

W sali konferencyjnej wspólnie pracowali nad scenariuszem *Gdyby świnki potrafiły śpiewać*. Był to duży pokój o ścianach pomalowanych na kremowo. Znajdowały się w nim trzy kanapy z czerwonej skóry i długi stół, na którym stały trzy komputery. Na stole leżało mnóstwo papierów, starannie zaostrzone ołówki, nagroda Emmy wystrojona w różowy beret, a także plastikowa statuetka trzech śpiewających świnek. Na ścianach wisiały w gablotach telewizyjne nagrody z całego świata, a także oprawione w ramki fotografie Franka, Mo, ich partnerki Lizzie Fries oraz wszystkich występujących u nich gościnnie gwiazd, na przykład Joan Rivers, Willa Smitha i Rusha Limbaugha.

Luźne kremowe zasłony były zaciągnięte, zasłaniając widok na parking. Kiedy pisali scenariusze, wszystko mogło zakłócić ich skupienie – nawet obserwowanie, jak Gene Wilder próbuje zaparkować swoje bmw. Na ścianie po lewej stronie umieszczono kosz do koszykówki, a pod nim leżało mnóstwo zgniecionych w kulkę papierów. Jeśli nie mogli ustalić, czy jakiś gag jest śmieszny czy nie, gnetli kartkę i rzucali do kosza. Rzut niecelny oznaczał, że tekst jest nic niewart.

–Chciałem zadzwonić wczoraj do ciebie, kiedy tylko się dowiedziałem – zaczął

wyjaśniać Mo. – Ale wiesz, Lizzie pomyślała, że lepiej ci nie zawracać głowy.

–Miała rację. Wczoraj byłem w szoku. Sam nie wiem, czy już z niego wyszedłem.

–To jakiś koszmar, totalny pieprzony koszmar. Co za ludzie mogą w taki sposób zabijać niewinne dzieci?

–Nie wiem, Mo. Nawet nie zastanawiam się, dlaczego to zrobili. To była najstraszniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek w życiu widziałem.

–Nie powinieneś być przychodzić dzisiaj do biura. Na miłość boską, Frank, będziesz potrzebował mnóstwo czasu, żeby dojść do siebie po tym wszystkim.

–Musiałem jednak tu przyjść. Prawdę mówiąc, Margot zniosła to okropnie. Widzisz, ona... ona uważa, że to ja jestem winny śmierci Danny'ego. I w pewnym sensie ma rację.

Mo usiadł obok niego i wyjął z ust cygaro.

–Jak możesz być winien? To była pieprzona bomba, na miłość boską!

Frank wszystko mu opowiedział. Mo długo słuchał w milczeniu, od czasu do czasu kręcąc obrączką na palcu, w taki sposób, jak zazwyczaj robią to kobiety.

–To nie była twoja wina, Frank. Skąd mogłeś wiedzieć? Przecież to mogło się zdarzyć komukolwiek.

–Być może. Ale nie przytrafiło się komukolwiek, tylko Danny'emu i mnie.

Na ekranie telewizora, ustawionego w rogu sali, pojawił się komisarz Marvin Campbell. Frank wziął do ręki pilota i włączył fonię.

–...zakodowanym hasłem. Wiadomość przekazana została przez grupę, która nazywa się Dar Tariqi Tariquat, co w języku arabskim znaczy „w ciemności ścieżka”. Grupa nie podała powodu, dla którego zdetonowała bombę, ani nie przekazała żadnych żądań. Rozważamy ewentualność, że grupa powiązana jest z Al-Kaidą lub innymi organizacjami terrorystycznymi. Do tej pory nie natrafiliśmy jednak na ślady, które by tę możliwość potwierdziły lub wykluczyły.

Na ekranie pojawiła się spikerka Barbra Cole.

–Dziś nad ranem, z powodu ran odniesionych w wyniku eksplozji bomby, zmarła ośmioletnia Heidi Martinez, córka gwiazdy Philly 500, Jamesa Martinez, i piosenkarki folkowej Kelly Gooding.

Eksperci FBI, zajmujący się materiałami wybuchowymi, oceniają, że ładunek wybuchowy sporządzony został z mniej więcej dwustu pięćdziesięciu funtów trotylu, ulubionego materiału terrorystów. Chętnie posługują się nim dlatego, że trotyl jest stosunkowo łatwo dostępny i trudno wyśledzić jego nabywców.

Dokładne badania samochodu, w którym wwieziono ładunek wybuchowy na teren Cedars, wskazują, że kierowca był mężczyzną, a na miejscu pasażera siedziała kobieta. Jednak jak twierdzą specjaliści medycyny sądowej, zarówno kierowca, jak i pasażerka, w momencie wybuchu po prostu wyparowali i identyfikacja ich będzie skrajnie trudnym zadaniem.

Krótko po godzinie siedemnastej komisarz Marvin Campbell otrzymał wiadomość telefoniczną od osobnika, który stwierdził, że reprezentuje grupę o nazwie Dar Tariqi Tariquat. Osobnik ten powiedział, że to Dar Tariqi Tariquat podłożyła bombę, jednak nie podał żadnych dalszych szczegółów na temat celów grupy, jej pochodzenia i

związków z innymi organizacjami, jeżeli takie w ogóle istnieją.

Policja intensywnie poszukuje wszelkich świadków wybuchu. O zgłoszenie proszone są też wszystkie osoby, które w ciągu ostatnich kilku dni mogły widzieć biały van marki Ford klasy E, zaparkowany w podejrzanych miejscach, a także osobę, której ewentualnie taki samochód ostatnio ukradziono. Proszeni są o kontakt także dealerzy, którzy sprzedali ostatnio taki samochód.

Na ekranie ukazał się porucznik Chessman, spocony, z zaczerwienioną twarzą.

–Przede wszystkim chcielibyśmy dotrzeć do osób, które dysponują znacznymi ilościami trotylu, rozprowadzanego do kopalń i kamieniołomów. Chodzi nam także o detonatory. Poza tym zamierzamy dotrzeć do punktów złomowania samochodów, które ostatnio sprzedały dwa bloki silnikowe. Pierwszy, o pojemności 4,8 litra, pochodzi z samochodu marki Northstar, drugi to silnik Hondy o pojemności 1,6 litra. Silniki te zostały umieszczone w vanie po obu stronach ładunku wybuchowego i to one w momencie wybuchu wyrządziły najwięcej szkód. Ich części ciężko poraniły ofiary.

Frank wyłączył fonię.

–To straszne, przerażające – powiedział Mo. – Ci ludzie to pieprzone zwierzęta. Gorzej niż zwierzęta. Czy kiedykolwiek o nich słyszałeś? Kon-Tiki Paraquat, czy jakoś tam? Bo ja nigdy!

Frank potrząsnął głową.

–Mam tylko nadzieję, że policja ich znajdzie, to wszystko. I wszyscy zostaną skazani. I skończą w komorze gazowej.

Mo posłał mu krótkie, pełne niepokoju spojrzenie. Nigdy nie słyszał Franka wyrażającego się w ten sposób.

Do sali weszła Daphne z filiżanką kawy. Była to wysoka czarnoskóra dziewczyna o krótkich, pofarbowanych na czerwono włosach. Szklą jej okularów były żółte, a usta miała, według Mo, „jak dwie czerwone aksamitne poduszki, wręcz błagające o to, żeby na nich usiąść”. Frank zatrudnił ją nie tylko dlatego, że była sprawna i niewiarygodnie pogodna – co miało ogromne znaczenie szczególnie wtedy, kiedy wszyscy pracowali w napięciu w ostatnich godzinach przed terminem oddania scenariusza i nikomu nie było do śmiechu. Dzisiaj jednak nie mogła przestać płakać.

–Wciąż mam przed oczyma małego Danny’ego. Nie wiem, jak to zniesiesz – powiedziała do Franka.

–Cóż, chyba nie zniosę.

–Boże, mam nadzieję, że przynajmniej on ma tam spokój.

–Ja też mam taką nadzieję. Dziękuję ci, Daphne. Kiedy wyszła, Mo zapytał:

–Co zamierzasz teraz robić? Prędzej czy później musisz wrócić do domu.

–Sam nie wiem. Nie jestem pewien, czy moje małżeństwo będzie w stanie przetrwać coś takiego.

–Przetrwa, nie obawiaj się. Margot jest w szoku, tak jak ty. Potrzebuje kogoś, kogo by mogła obwinić za to, co się stało, i trafiło na ciebie. Poczekaj, aż policja złapie tych drani, wtedy i Margot przekona się, że to nie była twoja wina.

Frank w milczeniu wpatrywał się w kulki papieru, porzucane po podłodze. Od

wczoraj myślał o Dannym tak często, że bolała go od tego głowa, jakby ktoś bez przerwy uderzał w nią ciężką książką. Potrzebował snu, wiedział jednak, że nie potrafi zasnąć. Musiał też porozmawiać z Margot, jakoś odpokutować wczorajszy dzień, ale zdawał sobie sprawę, że to niemożliwe.

–Co z przyszłotygodniowym programem? – zapytał współnika. – Dacie sobie z Lizzie radę?

–Na miłość boską, nie przejmuj się programem, Frank. Prawdopodobnie w ogóle nie zostanie nadany, władze na to nie pozwolą.

–Tak nie można, nie można się zgodzić na to, żeby terroryści wpływali także na naszą pracę. Bo przecież o to im chodzi.

–Frank, nie tylko *Świnki* ucierpią. Pomyśl tylko o *Philly 500*, o *Rodzinie Fairchilów*, o *Od maja do września*, albo o *Królach Kalifornii*. Pomyśl też o Olliem Pellerze, jest przecież w połowie prac nad nowym filmem Johna Badhama. Jesteśmy u progu pieprzonego totalnego paraliżu. Nikt, kto wczoraj stracił dziecko, nie będzie zdolny do żadnej sensownej pracy, prawda? A wszyscy inni będą zbyt zdenerwowani.

Frank powoli potrząsnął głową.

–Oni doskonale potrafią wybierać cele, prawda? Jedenastego września uderzyli w amerykański kapitalizm, a dwunastego września w amerykańską kulturę masową.

–Radzę ci, idź teraz do domu – powiedział Mo. – Musisz teraz sprostać sytuacji, w jakiej cię postawiła Margot. Oboje musicie zachować się jak dorośli. Mówię ci to jak brat.

–W porządku – odparł Frank. Rozejrzał się jeszcze raz po sali i próbował się uśmiechnąć. – W gruncie rzeczy i tak nie wymyśliłbym teraz żadnego porządnego gagu.

Nie pojechał do domu. Był zbyt przygnębiony, a poza tym wiedział, że Margot nie jest jeszcze gotowa do rozmowy z nim. Wystukał numer domu na telefonie komórkowym, jednak nie podniosła słuchawki. Albo nie chciała z nim rozmawiać, albo pojechała do swojej przyjaciółki Ruth w Coldwater Canyon.

Smog trochę puścił i w mieście zagościł pogodny, ciepły poranek. Frank odnosił wrażenie, że jeździ więcej samochodów policyjnych niż zwykle, a jadąc z Alei Gwiazd na San Diego Freeway, zobaczył nawet policyjne helikoptery. Nie włączył radia w samochodzie. Wszystkie stacje przez cały czas drążyły tylko jeden temat.

Dotarł do oceanu. Woda błyszczała jak kawałki rozbitych lusterek, a nad plażą skrzeczały, zataczając koła, stada mew. Zaparkował i ruszył promenadą w kierunku miejskiego mola.

Podszedł do niego jakiś stary człowiek. Ubrany był w wyciągnięty szary T-shirt i o wiele za duże pomarańczowe krótkie spodnie. Na głowie miał czapeczkę baseballową z długim daszkiem. Żył na jego nogach wyglądały jak mapa drogowa Laurel Canyon, całe mnóstwo krętych, niebieskich dróg. Jedno oko miał zupełnie białe.

–Zagubiony? – zapytał starzec z uśmiechem, ukazując cztery zęby w kolorze mahoni.

Nie zatrzymując się, Frank potrząsnął głową. Starzec pokuśtykał jednak obok niego.

–Zawsze wiem, kiedy ktoś jest zagubiony. To się widzi w człowieku.

–Naprawdę? Co takiego się widzi?

–Zagubienie na twarzy.

–Uspokoję pana, wcale się nie zagubiłem. Doskonale wiem, gdzie się znajduję i dokąd idę, i naprawdę nie potrzebuję pomocy od nikogo. Szczególnie od pana.

–Pan mnie źle zrozumiał. Kiedy mówię „zagubiony”, nie chodzi mi o zagubienie w sensie geograficznym. Jest pan „zagubiony” w tym sensie, że nie wie pan, co, do cholery, teraz robić.

Frank zatrzymał się, sięgnął do kieszeni koszuli i podał starcowi dziesięciodolarowy banknot. Ten wziął pieniądze i pomachał nimi.

–Za co to?

–Za usługę filozoficzną. A teraz zechce mnie pan zostawić samego?

Starzec wykrzywił usta w teatralnym, przesadzonym wyrazie konsternacji.

–Nie jestem wędrownym naciągaczem, proszę pana. Po prostu wskazuję ludziom drogę. Widzę po nich, kiedy ich życie znajduje się w impasie.

–Cóż, to wielki dar. A teraz, jeśli pan pozwoli... – Frank wykonał ręką gest, jakby go odpychał.

Starzec pozostał na miejscu, Frank przyspieszył więc w kierunku mola. Zrobił jednak tylko kilka kroków, kiedy starzec zawołał za nim:

–To nie była twoja wina, Frank.

Frank poczuł się, jakby ktoś przytknął mu do czaszki przewód pod napięciem. Odwrócił się, popatrzył na starego człowieka i zapytał:

–Co takiego?

–Dobrze słyszałeś. To nie była twoja wina.

–Skąd pan wie, jak mam na imię? – zapytał Frank, wracając do starca.

–To jest także dar. Widzisz tę dziewczynę na rolnkach? Ma na imię Helena. Idź, zapytaj ją, jeśli mi nie wierzysz. Widzisz tego faceta z psem? To Guy.

–Co to za szopka? Niech pan stąd odejdzie, zanim zawołam policję!

–To żadna szopka, Frank. To nie była twoja wina, i koniec. Teraz musisz jedynie wybaczyć samemu sobie i żyć dalej.

–Dlaczego pana to obchodzi?

Starzec wyciągnął z kieszeni brudną, zmiętą chusteczkę i wydmuchał nos.

–Obchodzi mnie, bo mnie obchodzi, dlatego że mnie obchodzi. Jaki byłby sens posiadania daru od Boga, gdybym go z nikim nie dzielił?

–W porządku, zna pan moje imię albo je pan odgadł, albo widział mnie pan w telewizji. Czego to dowodzi?

–Wiem o tobie więcej, nie tylko, jak ci na imię, Frank. Wiem, co cię wkrótce czeka. Wiem, dlaczego tutaj jesteś, nawet jeśli ty sam tego nie wiesz. Przekroczysz próg i nie będziesz już mógł powrócić.

Frank czekał, aż starzec wyjaśni znaczenie tych słów, ten jednak jedynie stał, pokazując w uśmiechu cztery brązowe zęby i niemal triumfująco patrząc na niego jednym okiem. Minęła ponad minuta, gdy wreszcie Frank odwrócił się i z wahaniem odszedł. Stary człowiek nadal się uśmiechał i patrzył za nim, dopóki nie zniknął w tłumie.

Na molo Frank oparł się o barierkę i zamknął oczy, pozwalając, by lekka bryza wiejąca od oceanu owiewała mu twarz. Za sobą słyszał leniwie poruszające się samochody, szum deskorolek oraz śmiech i rozmowy ludzi. Słyszał też Pacyfik, lekkie uderzenia fal o burty cumujących jachtów i krzyk mew.

W jego głowie co chwila bezdźwięcznie wybuchała bomba w Cedars, ku niebu, jak gałęzie jodeł, unosił się czarny dym, a na ziemię spadały kawałki metalu, cegieł i strzępy ciał. Widział zakrwawioną rękę Danny'ego, zwisającą bezwładnie, podczas gdy on sam biegł, z synem w ramionach, wołając o pomoc.

Przekroczysz próg i nie będziesz już mógł powrócić.

–Hej! – zawołała do niego jakaś kobieta. Jej głos dobiegał z bardzo bliska.

Frank otworzył oczy i zamrugał kilka razy. Za ledwie o dwie lub trzy stopy od niego o barierkę opierała się młoda kobieta. Widział jednak tylko jej niewyraźną sylwetkę na tle roziskrzonego oceanu. Miała na sobie słomkowy kapelusz z szerokim rondem i białą bawełnianą sukienkę bez rękawów.

–Niestety, nie wiem, jak ma pan na imię – powiedziała. To przynajmniej jakaś odmiana, pomyślał. Wszyscy dookoła chyba to wiedzą.

–Nie pamięta mnie pan? – zapytała. – Spotkaliśmy się wczoraj, kiedy wybuchła ta bomba w szkole.

Oślonił oczy dłonią. To była ta sama kobieta, którą widział wczoraj w jednym sandale. Teraz także miała na sobie okulary przeciwsłoneczne w brązowej drucianej oprawce, o małych okrągłych szklach, i szeroką białą wstążkę, przewiazaną wokół szyi.

–Co za przypadek – zdziwił się. – Co pani tutaj robi?

–Chyba to samo co pan. Próbuję uspokoić umysł.

–Mam nadzieję, że nie odniosła pani żadnych obrażeń.

–Nie, a pan?

–Ja... Umarł mój syn. Straciłem syna.

–Och, mój Boże, tak mi przykro. – Dotknęła jego ramienia. – Musi pan być zrozpaczony.

–Trafił w niego duży gwóźdź. Nie miałem o tym pojęcia. Rozmawiałem z panią, a on tymczasem wykrwawił się na śmierć w samochodzie.

–Okropna tragedia. Nie wiem, co powiedzieć.

–Niech się pani nie martwi. Moja żona wie aż za dobrze.

–Chyba nie obwinia pana o śmierć syna?

–Obwinia? Rozmawia ze mną w taki sposób, jakbym to ja zdetonował tę bombę. Frank rozejrzał się wokół siebie. Kilkanaście kroków od nich stał opalony, młody mężczyzna w niebiesko-żółtej koszulce i z apetytem jadł loda.

–Czy pani jest sama? – zapytał dziewczynę. – Czy ten...

Popatrzyła na niego, zmarszczyła czoło i potrząsnęła głową.

–Nie – odparła. – Jestem sama.

–Może więc mógłbym zaprosić panią na kawę? Albo na drinka?

–Doskonale. – Skinęła głową. – Napijmy się. To mi dobrze zrobi.

Przeszli przez Palisades Beach Road. Na środku szosy dziewczyna złapała Franka za rękę, jakby od dawna byli dobrymi przyjaciółmi. Na skraju chodnika stała jakaś kobieta w brudnej sukni w kwieciste wzorki, z wózkiem na zakupy wypełnionym starymi gazetami, połamanymi abażurami i pustymi puszkami po 7-up. Zobaczywszy ich, zagadkała jak kogut i zawołała:

–Zakochani! Jak na nich patrzę, chce mi się wymiotować!

Dziewczyna mimo to nie puściła ręki Franka.

Frank zaprosił ją do Ziggy’ego, przestronnego baru z jasną podłogą i lśniącoymi krzesłami z nierdzewnej stali. Na ścianie za kontuarem wisiał dziwny obraz, przedstawiający sześć kobiet o niebieskich twarzach, z zamkniętymi oczami i włosami rozwiewanymi przez wiatr.

–Mam na imię Frank – powiedział, wyciągając rękę. – Bardzo mi miło, Frank. Możesz do mnie mówić Astrid.

–Co to znaczy? Czy Astrid to twoje prawdziwe imię?

–A czy imię jest takie ważne, Frank?

Frank z trudem oparł się pokusie, żeby zacytować jej Szekspira: „To, co zwiemy różą. Pod inną nazwą nie mniej by pachniało”* [*Romeo i Julia, akt 2, scena 2, przeł. Stanisław Barańczak, „W drodze”, Poznań 1990].

–Podają tu wspaniałe truskawkowe daiquiri – poinformował ją Frank.

–Doskonale. Może być truskawkowe daiquiri.

–Powiedziałaś, że straciłaś kogoś bliskiego.

Astrid zdjęła kapelusz i położyła go na stoliku. Okulary przeciwsłoneczne starannie złożyła i umieściła na rondzie kapelusza.

–Och, naprawdę nie chcę o tym mówić, Frank, przynajmniej nie dzisiaj. Dzisiaj wyszłam z domu, żeby przemyśleć coś innego.

–Cóż, przepraszam. Czy widziałaś wiadomości w telewizji? Wygląda na to, że bombę podłożyła jakaś arabska grupa terrorystyczna.

–Być może.

–Chryste, pomyśl tylko. Wprost nie chce mi się wierzyć, jak ktoś mógł potraktować w taki sposób niewinne dzieci. To znaczy, to niewiarygodne, jaki demoniczny proces myślowy musiał zachodzić w ich głowach, kiedy postanawiali to zrobić.

Astrid popatrzyła na niego swoimi bladymi, bardzo bladymi oczyma.

–Dla ludzi takich jak oni, Frank, każda gra jest czysta, jeśli pozwala im pokazać światu, jak bardzo są wkurzeni. Nie dbają o to, kto będzie przez nich cierpieć. Nie obchodzi ich, kto umrze.

Podszedł do nich kelner w ciemnoniebieskich, wyzywająco obcisłych spodniach i Frank zamówił truskawkowe daiquiri oraz szkocką.

–Nawiasem mówiąc, policja chce przesłuchać wszystkich naocznych świadków wybuchu. Mam do nich numer telefonu, jeśli zechciałabyś z nimi porozmawiać.

–Chyba nie. Niczego nie widziałam.

–Daj spokój, byłaś tam obok mnie. Musiałaś coś widzieć. Może akurat uważasz, że to nie jest nic szczególnie ważnego, ale nigdy nic nie wiadomo. Może akurat ty dostarczysz glinom drobny fragment, niezbędny do złożenia w całość zagmatwanej układanki.

–Prawda jest taka, Frank, że w ogóle nie powinno mnie tam być. Miałam wtedy przebywać zupełnie gdzie indziej.

–Aaaa... Aha, rozumiem. Ale może chociaż zadzwonisz anonimowo?

–Niczego nie widziałam, Frank. Naprawdę niczego.

Zapadła długa cisza. Wreszcie Frank skinął głową w kierunku obrazu z sześcioma kobietami o niebieskich twarzach i zapytał:

–Jak sądzisz, o co w nim chodzi?

–To obraz o kobietach i ich tajemnicy. Jeśli będziesz wystarczająco długo wpatrywał się w te twarze, odniesiesz wrażenie, że ich oczy się otwierają.

–Nie wpadłem na to, a przecież przychodzę tutaj od dnia otwarcia.

–To dlatego, że nigdy nie wpatrywałeś się w ten obraz wystarczająco długo. Popatrz na mnie, Frank. No, popatrz, naprawdę popatrz. Kogo widzisz?

–Hmm... Nie bardzo rozumiem, o co pytasz.

–Chcę, żebyś mnie zobaczył, to wszystko. Opisz, co widzisz?

–Widzę... Co widzę? Młodą kobietę, w wieku mniej więcej dwudziestu trzech albo dwudziestu czterech lat. Brązowe włosy, niebieskie oczy. Matka Szwedka albo Polka, sądząc po kształcie kości policzkowych. Kobieta pewna siebie, niezależna. Mieszka sama, może z białym kotem?

Astrid roześmiała się.

–Przykro mi, nie mam białego kota. Co jeszcze widzisz?

–Nie wiem. Nie znam cię dość dobrze. Gdzie pracujesz? Z czego żyjesz?

–Z czego żyję? Ot, tak, z dnia na dzień, przynajmniej obecnie. Ale dawniej udawałam kogoś innego.

–Kogo udawałaś? Chyba nie nadajemy na tych samych falach.

–Mylisz się. Albo przynajmniej moglibyśmy nadawać na tych samych falach, gdybyś tylko chciał. Opowiedz mi o sobie.

–Nie mam wiele do powiedzenia. Frank Bell, bardzo daleki krewny Alexandra Grahama Bella. Bardzo, bardzo daleki. Wiek: trzydzieści jeden i pół roku.

–I to wszystko? A życie zawodowe, kariera?

–Chcesz, żebym ci opowiedział całe życie? W porządku... Ojciec prowadził hotel w Ojai i spodziewał się, że kiedy przejdzie na emeryturę, przejmę interes po nim.

–Ale nie przejąłeś.

–Ani mi się śniło. Nienawidzę hotelarstwa. Goście hotelowi zachowują się jak świnię. Wszystko kradną, wszystko niszczą, a żebyś widziała, jak traktują materace! Najpierw zostałem więc barmanem, później czyściłem baseny kąpielowe, potem prowadziłem lekcje tańca, aż wreszcie zagrałem jako statysta w trzech epizodach *Star Trek*. Ubrany w jednoczęściowy czerwony kombinezon, z fałszywym przedłużonym nosem, udawałem, że piję verilliańską whisky w Ten Forward. Kręcąc się wokół *Star Trek*, napisałem pierwszy odcinek telewizyjnego serialu o dwóch chłopcach z farmy na Środkowym Zachodzie, którzy koniecznie chcą zostać sławnymi gwiazdami rocka. Sprzedałem to Fox, później serial odniósł sukces, ot i cała historia.

–*Gdyby świnki potrafiły śpiewać* – powiedziała Astrid z uśmiechem.

–Właśnie.

–Uwielbiam ten program. Naprawdę, uwielbiam. Dusty i Henry są tacy delikatni i nieporadni, kocham też ich dziadka. Co to za piosenka, którą zawsze śpiewa? Ta o utykającej dziewczynie?

–*Dziewczyna, która utykała na lewą nogę*. Wskoczyła na dziewięćdziesiąte siódme miejsce w złotej setce przebojów. I po tygodniu z niej wypadła.

Astrid pochyliła się nad stołem i zacisnęła dłonie na dłoniach Franka. Na serdecznym palcu prawej ręki miała pierścionek ze szmaragdem. Jeśli szmaragd jest prawdziwy, pomyślał Frank, pierścionek musi być wart prawie dziesięć tysięcy dolarów. Astrid popatrzyła na Franka, jakby chciała coś powiedzieć, ale zrezygnowała.

–Co takiego? – zapytał Frank, kiedy kelner podał drinki.

–Pomyślałam sobie właśnie, że po stracie Danny'ego nie będziesz już w stanie napisać nic podobnego.

–Na razie nie, masz rację. Ale nic nigdy nie bywa naprawdę zabawne, jeżeli chociaż raz nie zabol.

Później poszli na spacer po plaży. Frank popatrzył na ocean i powiedział:

–To spotkanie chyba dobrze na mnie wpłynęło.

–Na mnie też.

Jakiś chłopiec popisywał się przed nimi, robiąc gwiazdy na piasku, tak jak kiedyś Danny. Frank obserwował go, a kiedy malec wreszcie ze śmiechem wbiegł do wody,

popatrzył na Astrid. Ona także spojrzała na niego.

–Płaczesz – powiedziała.

Rzeczywiście, chociaż nie zdawał sobie z tego sprawy, po jego policzkach toczyły się łzy.

Przeszli jeszcze kilkaset jardów i Frank wreszcie popatrzył na zegarek. Było prawie wpół do trzeciej.

–Chyba muszę już wracać – powiedział. – Muszę stawić czoło żonie i zająć się przygotowaniami do pogrzebu.

–Chciałbyś się jeszcze ze mną spotkać?

Wiatr zmierzwił Frankowi włosy. Próbował odgadnąć, o czym myśli Astrid, ale nie potrafił.

–Oczywiście, że chciałbym.

–Może jutro? Nie będzie za wcześnie?

–Nie! Cóż, nie... Jutro będzie w sam raz. Gdzie się spotkamy? Mieszkasz gdzieś w okolicy?

–Kiedyś mieszkałam, ale się wyprowadziłam. Możemy się zobaczyć, gdziekolwiek zechcesz.

–Mieszkam w Burbank, ale pomyślmy. Znasz restaurację Garden na Sunset? Kilka przecznic na zachód od Chateau Marmont?

–Nie znam, ale na pewno znajdę.

–A więc, w porządku. W Garden o dwunastej. Pasuje ci?

–Doskonale – powiedziała i zaraz dorzuciła: – Zaśpiewaj to dla mnie.

–Co takiego?

–*Dziewczynę, która utykała na lewą nogę. Zaśpiewaj to dla mnie.*

Frank potrząsnął głową.

–Nie dzisiaj. Może któregoś dnia, ale nie dzisiaj.

Kiedy zajechał przed dom, ujrzał na podjeździe czerwonego jeepa Ruth. Margot i Ruth siedziały razem na werandzie, popijając zieloną chińską herbatę i paląc papierosy. Ruth była ubrana w czarną suknię, która bardziej niż zwykle nadawała jej wygląd osoby zatrudnionej w kostnicy, natomiast Margot miała na sobie białą wełnianą pidżamę. Obie popatrzyły na Franka z nie skrywanym obrzydzeniem.

–Gdzie byłeś? – zapytała Margot.

–W mieście, nigdzie więcej. Spacerowałem po plaży.

–Pojechałeś sobie na plażę? Jak to miło z twojej strony. Dzwonili ze szpitala i pytali, do jakiego domu pogrzebowego zawieźć Danny’ego.

–Domu pogrzebowego?

–Tak, Frank. Danny nie żyje, czyżbyś zapomniał?

Frank zakrył usta dłonią. Wyglądało, że to będzie znacznie trudniejsze, niż przypuszczał. Po chwili odsunął rękę od ust i powiedział:

–Do którego... Co im powiedziałaś?

Wskazałam dom pogrzebowy Kennedy Lester, na Olive. Oni organizowali pogrzeb mojego ojca.

–Tak, dobrze. Doskonale.

–Zatelefonowałam tam i John Lester powiedział, że wszystkim się zajmą. Jutro po południu możemy iść zobaczyć Danny’ego.

–W porządku, dobrze.

Nie wiedział, co jeszcze mógłby powiedzieć. Nie miało sensu pytanie Margot, jak się czuje, ponieważ nie mógł mieć co do tego najmniejszych wątpliwości. Rozejrzawszy się po mieszkaniu, zauważył, że zdjęła ze ściany obraz, który zniszczył, i zastąpiła go kolejną *Impresją w bieli*. Nie miał pojęcia, ile *Impresji w bieli* dotąd namalowała, ponieważ nigdy nie odróżniał jednej od drugiej. Pewne było jedynie to, że za każdym razem kiedy wracał do domu, natykał się na Margot, stojącą przed sztalugami, otoczoną dziesiątkami tubek białej farby. Wyglądało to jak masakra larw.

–Zostaniesz z nami trochę, Ruth? – zapytał.

–Zostanę tak długo, jak długo Margot będzie mnie potrzebowała – odparła Ruth wyzywająco.

–Cóż, to dobrze. Powiedziałbym, że obecnie bardzo cię potrzebuje, biorąc pod uwagę okoliczności. Ja tymczasem... – Zawahał się, ponieważ właściwie nie wiedział, co zamierza robić albo dokąd pójść. – Ja tymczasem zadzwonię w kilka miejsc – rzucił bez przekonania.

Przez całą noc nie mógł spać. Próbował oglądać telewizję w swoim gabinecie, jednak na pierwszym kanale, na który trafił, nadawano *Miasto chłopców*, a na kolejnym *Batman Forever*, ulubione programy Danny’ego.

Poszedł do kuchni i otworzył lodówkę. Znalazł na talerzu dwa kotlety schabowe. Wyciągnął je, popatrzył i zaraz schował z powrotem. Zostały z ostatniego posiłku, który jedli razem z Danny’em, we wtorek wieczorem.

Wróciwszy do gabinetu, otworzył książkę, którą aktualnie czytał, kiedy miał czas, co nie zdarzało się często. Był to Proces Briona Gysina, o czarnoskórym

stypendyście Fulbrighta, który podróżuje do Maroka, aby odkryć Saharę i namiętnie palić haszysz.

„Aksamitna, zagadkowa cisza Sahary zaczyna się już w Ghardai, gdzie przy każdym kroku nogi zapadają się w złocistym piasku. Mężczyźni rozmawiają cicho, wiedząc, że ich głosy unoszą się daleko. Wszystko trzeszczy niczym drobne wyładowania elektryczne albo tak, jakby ktoś szurał nogami po wielkim dywanie. Wszyscy na Saharze są bardzo skupieni, wtopieni w tę wielką, szumiącą ciszę, poprzez którą odgłos silnika nadjeżdżającego pojazdu słyszalny jest na całe godziny przed jego pojawieniem się”. Po dziesięciu minutach nie był już w stanie skupić się na tekście. Włożył zakładkę, żeby zaznaczyć miejsce, w którym skończył, i zamknął książkę. Świt zastał go na werandzie, z czołem przyciśniętym do zimnej szyby, pustym wzrokiem wpatrującego się w przestrzeń, nic nie widzącego.

Przygotował dwie filiżanki mocnej kawy i zaniósł jedną Margot. Leżała w pościeli w indiańskie wzory. Spała albo udawała, że śpi.

–Margot.

Stał nad nią. Po chwili otworzyła oczy. Zamrugowała kilkakrotnie, oślepiona porannym słońcem. Dochodziła siódma.

–Przyniosłem ci kawę.

–Nie chcę kawy. Nie chcę nic od ciebie.

–Margot, musimy o tym porozmawiać.

–Nie chcę rozmawiać. Nie mam nic do powiedzenia. Pozwoliłeś Danny’emu umrzeć, i to wszystko.

Stał nad nią jeszcze kilka chwil. Wreszcie powiedział:

–Idę na spotkanie z Geraldem Marquette’em. Wrócę około trzeciej. Wtedy pojedziemy zobaczyć Danny’ego.

–Nie martw się o mnie, pojedę sama. Wrócił do kuchni i wylał kawę do zlewu.

Do spotkania z Astrid brakowało jeszcze godziny, pojechał więc na Franklin Avenue. Fragment ulicy przed Cedars wciąż był odcięty taśmami policyjnymi, a wzdłuż chodnika parkowało przynajmniej siedem samochodów Patrolowych oraz furgonetki koronera i ciemnozielone opancerzone vany, najprawdopodobniej należące do FBI.

Frank wysiadł z samochodu na rogu Sierra Bonita Avenue i resztę drogi do Cedars przebył pieszo. Zbliżając się do szkoły, widział coraz więcej ludzi w kamizelkach kuloodpornych, poruszających się na rumowisku niczym mrówki. Na miejsce sprowadzono trzy koparki. Dwie z nich rozgrzebywały teraz teren przed ścianą Memoriał Library, a trzecia kopała przed frontem głównego budynku. Wszystko dookoła pokrywał szary kurz. Pod butami Franka coraz głośniej chrupotał gruz.

Porucznik Chessman stał przy taśmie odgradzającej teren szkoły. Ubrany był w pomietą, zieloną płócienną marynarkę, obie ręce trzymał głęboko w kieszeniach spodni. Niedaleko był także detektyw Booker. Ubrany w koszulę z krótkimi rękawami, rozmawiał z młodą mężczyzną o falujących, czarnych włosach. Mężczyzna miał na sobie czarną koszulkę polo i bez wątpienia drogą, szarą sportową marynarkę. Gdy

Frank nadchodził, skierował na niego spojrzenie i lekko mrugnął, jakby go rozpoznał. Frank pomyślał, że mężczyzna wygląda dziwnie, jak diabeł na urlopie.

–Panie Bell! – zawołał porucznik Chessman, unosząc rękę w pozdrowieniu. – Co pana tu sprowadza?

–Właściwie sam nie wiem. Chyba muszę jeszcze raz na to wszystko popatrzeć, żeby siebie samego przekonać, że to wszystko wydarzyło się naprawdę.

–Bardzo proszę. – Porucznik podniósł taśmę i Frank wszedł do odgradzonej strefy. – Zebraliśmy już wszystkie i ciała i zidentyfikowaliśmy zwłoki. Teraz rozglądamy się za odłamkami. Zbieramy fragmenty samochodu i wszystko, co ci dranie do niego władowali.

–Wciąż nie wiecie, kim oni są, ci terroryści? Porucznik Chessman wyciągnął z paczki papierosa i wsunął go do ust.

–Do tej pory nie mamy żadnych śladów, które by do nich prowadziły. Ani FBI, ani CIA o nich dotąd nie słyszały. Wczoraj wieczorem nadawali jakiś komunikat w Al-Dżazirze. Stanowczo zaprzeczyli, że są w jakikolwiek sposób powiązani z Al-Kaidą.

Frank przygryzł wargi. Przez chwilę zastanawiał się, czy powinien powiedzieć porucznikowi o swoim spotkaniu z Astrid. W końcu jeśli mogłaby pomóc policji dojść do tego, kto zamordował Danny'ego i te wszystkie dzieciaki...

A jednak Astrid przysięgała mu przecieź, że nic nie widziała, i powiedziała mu w zaufaniu, że w tym czasie w ogóle nie powinno jej być na Franklin Avenue. Nie chciał nadużyć jej zaufania, nawet jej dobrze nie poznawszy.

–Widzi pan, zwykle, kiedy zdarzy się coś takiego, otrzymujemy multum informacji – mówił porucznik Chessman. – Mamy dość dobre kontakty ze społecznością muzułmańską, z Algierczykami, Irańczykami i innymi. Tym razem jednak wszyscy milczą jak grób.

–Dowiedział się pan, kto prowadził vana?

Porucznik Chessman potrząsnął przecząco głową.

–Oboje po prostu wyparowali. Możemy powiedzieć, że to był mężczyzna i kobieta tylko dlatego, że pięćdziesiąt stóp dalej znaleźliśmy jeden męski but marki Nike, a w drzwiczki skrytki po stronie pasażera wtopiła się spirala antykoncepcyjna.

W tym momencie dziwny młody mężczyzna w szarej marynarce przeprosił detektywa Bookera i podszedł do nich. Już po jego chodzie Frank wywnioskował, że jest bardzo wysportowany. Miał szerokie ramiona, z pewnością mocno umięśnione. Jego nos był prosty jak nos greckiego posągu, oczy ciemne, głęboko osadzone w oczodołach. Frank poczuł do niego antypatię, jeszcze zanim się odezwał. Zbyt przystojny, cholernie zbyt pewny siebie.

Mężczyzna wyciągnął do niego rękę.

–Wydaje mi się, że już się kiedyś spotkaliśmy – powiedział z wyraźnym brytyjskim akcentem.

–Chyba nie.

–Nevile Strange. Może pan o mnie słyszał?

–Przykro mi, ale nie.

–Nevile jest kimś, kogo można by określić detektywem jasnowidzem – wyjaśnił

porucznik Chessman. – Wzywamy go od czasu do czasu, kiedy nie możemy ruszyć naprzód, stosując nasze tradycyjne procedury. Pamięta pan, jak w grudniu ubiegłego roku została porwana córka Dikstromów?

–Jasne, że pamiętam.

–Nevile powiedział nam wtedy, że jej bransoletka z koralików spadła w szczelinę na tylnym siedzeniu samochodu kombi, którym jeździł podejrzany. Kiedy więc po raz drugi przeszukaliśmy samochód, bez trudu ją znaleźliśmy.

–Naprawdę?

–Chyba nie zrobiło to na panu wrażenia. – Nevile uśmiechnął się do Franka.

–Rzeczywiście, nie. Obawiam się, że nie wierzę w istnienie innego świata niż nasz własny.

–Powiedziałbym o sobie to samo – wtrącił porucznik Chessman – ale Nevile ma już imponujące osiągnięcia we współpracy z policją. Pomagał nam rozwiązać zagadki, zdawałoby się nie do rozwiązania. Czy się chce w to wierzyć czy nie, w siedmiu przypadkach na dziesięć okazuje się bardzo przydatny.

–Zademonstruję panu, co tutaj robię – zaproponował Nevile. – Na imię panu Frank, prawda? Detektyw Booker powiedział mi, że stracił pan w wybuchu syna.

Frank popatrzył na porucznika Chessmana, a ten zrobił minę, która miała mówić „Dlaczego nie miałby spróbować”?

Nevile przeszedł przez zniszczoną bramę szkolną. Kiedy dotarł do pogiętej budki ochroniarza, odwrócił się w oczekiwaniu, niczym ojciec, czekający na spóźniające się dziecko. Frank chwilę wahał się, aż wreszcie niechętnie podążył za nim.

Kiedy weszli na parking, Nevile powiedział:

–Każdy dysponuje potencjałem, dzięki któremu mógłby być jasnowidzem, takim jak ja. Widzi pan, to jest umiejętność, a nie dar. Jednak u pewnych ludzi jest ona bardziej rozwinięta niż u innych.

–Naprawdę?

–Jeśli chodzi o mnie, miałem tę umiejętność od urodzenia. Miałem ją już jako smarkaty dzieciak w południowym Londynie. Moi rodzice po prostu to zaakceptowali. Na przykład kiedy matka zgubiła portmonetkę, wołała mnie i pytała, gdzie ona jest, a ja odpowiadałem: „Pod kanapą” albo „Zostawiłaś ją w domu u takiej a takiej pani”. Nigdy nie uważałem tego za coś nadzwyczajnego. Jednak pewnego dnia, kiedy miałem mniej więcej dziesięć lat, mojego najlepszego przyjaciela przejechał samochód, tuż przed jego domem. Mój przyjaciel zginął na miejscu, a kierowca uciekł. Nie było żadnych świadków wypadku, a przynajmniej nikt taki się nie zgłosił. Poszedłem na miejsce, gdzie mój przyjaciel zginął, i kiedy tam stałem, przed moimi oczyma pojawił się Robert, taki, jaki był, zanim uderzył w niego samochód. Nie widziałem go wyraźnie, bezpośrednio, tak jak teraz pana. Widziałem go jedynie kątem oka, jakby stał trochę za mną, z boku. I wtedy właśnie usłyszałem nadjeżdżający samochód. Cofnąłem się na chodnik. Samochód minął mnie jak szalony, z prędkością może czterdziestu albo i pięćdziesięciu mil na godzinę. Niemalże mnie uderzył, nie poczułem jednak pędu powietrza, nie poczułem w ogóle nic. Zobaczyłem tylko, jak Robert toczy się po jezdni, ręce i nogi miał rozrzucone jak strach na

wróble, i zrozumiałem wtedy, że właśnie zobaczyłem, jak zginął. Przejechał go szary hillman minx, a 766 to były trzy ostatnie cyfry na jego tablicy rejestracyjnej. Wróciłem do domu i powiedziałem ojcu, co widziałem. Zaprowadził mnie na policję. Oczywiście, byli bardzo sceptyczni, ale mimo to wszystko sprawdzili. Samochód znaleźli w Brighton, mniej więcej tydzień później. Stale słyszę odgłos, jaki się rozległ, kiedy przedni zderzak wozu uderzył w czaszkę Roberta.

Dotarli na miejsce, gdzie eksplodowała bomba. Zwłoki i strzępy ciał zostały już usunięte, wszystko inne jednak pozostawiono na miejscu. Zespół techników katalogował każdy przedmiot, od postrzępionych T-shirtów po porozdzierane torby sportowe. Pracowali na kolanach, skrupulatnie podnosząc fragmenty rzeczy i wrzucając je do plastikowych torebek, przeznaczonych na dowody rzeczowe.

Frank z trudem oddychał powietrzem, w którym unosił się jeszcze zapach zdetonowanego ładunku, metalu i pyłu z popękanych cegieł.

–Kiedy ktoś ginie gwałtowną śmiercią, pozostawia po sobie coś, co ja zwykłem nazywać „psychicznym odciskiem” na swoim ostatnim fizycznym otoczeniu. Kiedy zabity został mój przyjaciel Robert, uraz tej chwili pozostał wprost wbity w jezdnię, niemal jak seria błyskawicznie, jedna za drugą wykonywanych fotografii. Co ja mogę zrobić, mając mocno rozwinięte zdolności mentalne? Mogę wywołać te fotografie oczyma umysłu i następnie wielokrotnie je przeglądać.

–A więc co pan widzi teraz?

Nevile popatrzył na kredowy obrys sylwetki na zniszczonym asfalcie.

–W tym miejscu umarła mała dziewczynka o jasnych kręconych włosach. Na imię miała Amy, a jej nazwisko składało się z dwóch sylab. W momencie wybuchu śmiała się. Głowę miała przechyloną do tyłu i zamknięte oczy. Nagle nastąpiło wielkie bum! Teraz... Teraz ona myśli.

–Teraz?

–Fizycznie ona nie żyje, Frank. Jednak martwi się w tej chwili o swojego chomika. Boi się, że nikt się nim nie zaopiekuje.

–Martwi się o chomika? – Frank nie wiedział, czy się roześmiać, czy po prostu sobie pójść.

–Nie wierzysz mi, Frank? Myślisz, że jestem cynikiem z bujną wyobraźnią? A jak sądzisz, czym martwiłaby się mała dziewczynka, wiedząc, że już nigdy nie wróci do domu?

Jedna z lekarek sądowych, w białym fartuchu, podeszła do nich, kołysząc biodrami. Jej krótkie rude włosy były nastroszone jak pióra koguta. Zdjęła z twarzy maseczkę ochronną i wierzchem dłoni wytarła pot z czoła.

–A więc i ciebie tutaj przywlekli, Neville? – Wcale się nie zdziwiła. – Muszą być bardzo zdesperowani.

Nevile popatrzył na Franka i uśmiechnął się.

–Lorraine jest niedowiarkiem, tak jak ty. Jeśli czegoś nie da się dotknąć, poczuć, zjeść albo co najmniej zobaczyć pod mikroskopem, Lorraine nie przyzna, że to naprawdę istnieje. Co powiesz na wspólną kolację, Lorraine? Mógłbym skontaktować cię z duchem twojej babci; dowiedziałyby się, co zrobiła z tym naszyjnikiem z pereł,

który zawsze ci się tak podobał.

–Do diabła, skąd o tym wiesz?

–Po prostu potrafię czytać w twoich myślach. A poza tym trzy dni temu spotkałem twoją siostrę w Roeg Gallery. Pytała mnie, czy potrafię odnaleźć dla ciebie ten naszyjnik.

–Falszywy jasnowidz!

–W porządku. – Neville pokiwał głową. – Jeśli jestem taki fałszywy, to powiedz mi, kto zginął w tym miejscu?

Lorraine wzięła do ręki notes, który miała wetknięty za pasek, chwilę kartkowała go, aż wreszcie znalazła stronicę, na której były zapisane informacje o zabitych i rannych.

–Amy Cutter, wiek: osiem i pół roku. Córka Pam Cutter, wiesz, tej aktorki, która gra Kirsty Harris w *Naszych czasach*.

Neville popatrzył na Franka, jakby chciał powiedzieć: „No i co ty na to?”

–Nieźle – powiedział Frank. – W trzydziestu procentach jestem pod wrażeniem. Może jednak spojrzysz na szczątki vana i powiesz, kim byli zamachowcy?

–Już się tym zajmowałem. To była pierwsza rzecz, o jaką poprosił mnie porucznik Chessman.

–No i co?

–Natrafiłem na bardzo słabe ślady. Być może dlatego, że bomba wybuchła zaledwie kilka cali od nich? Wyparowali w milionowej części sekundy, ich dusze nie miały więc czasu na utrwalenie swojej obecności. Mężczyzna, kierowca, pozostawił po sobie bardzo nikły rezonans. Powiedziałbym, że był samotnikiem o bardzo skomplikowanym charakterze i dziwnych przekonaniach na temat sił, które kierują nami z kosmosu. Na imię miał David, jednak zwykle wołano na niego inaczej, po arabsku, na przykład Hassan.

–To wszystko? Żadnych wskazówek, skąd pochodził albo dlaczego spowodował tę masakrę?

–Pracuję nad tym, na razie jednak wiem tylko tyle, ile właśnie powiedziałem.

–A kobieta?

–Dociera do mnie zaledwie szept. Nie znam nawet jej imienia, chociażby jego części. Odbieram jedynie smak octu.

–Co?

–Potrafię odróżniać smaki, zapachy, tak samo jak obrazy w mojej głowie. To się nazywa ejdetyka. Jeśli czuję w ustach smak soli, zwykle chodzi o bicie dzwonów. Jeśli smakuję miedź, tak jakbym miał w ustach garść jedno – centówek, to niepokój. Ocet oznacza zemstę. Smak octu oznacza, że ta dama była na coś strasznie wkurzona i pałała żądzą zemsty.

–To może być jakiś klucz do wyjaśnienia zagadki, prawda? Trudno chyba sobie wyobrazić, żeby jakaś większa liczba kobiet była tak wściekła na Cedars, że można by je podejrzewać o wysadzenie szkoły w powietrze.

–To samo zasugerowałem porucznikowi Chessmanowi. Zaczął po tym kątem przeglądać szkolne dzienniki i korespondencję. Może chodzić o niezadowoloną

matkę jakiegoś ucznia albo o matkę dziecka, którego tu nie przyjęto. Albo o była uczennicę i zadawnione pretensje.

–Może też w grę wchodzić polityka. Jakaś fanatyczka mogła mieć przecież zastrzeżenia do prywatnego szkolnictwa.

Ruszyli powoli w kierunku bramy.

–Skąd ci przyszło do głowy, że znalazłeś mnie wcześniej? – Frank zapytał Neville’a. – Czyżbyśmy się już kiedyś spotkali, a ja tego nie pamiętam?

–Raczej nie. Jednak jest w tobie coś takiego, jakiś magnetyzm... Dostrzegłem to od razu, kiedy zobaczyłem, jak idziesz ulicą.

Neville zatrzymał się i tak poważnie popatrzył mu w oczy, że Frankowi przemknęło przez myśl, iż ma do czynienia z gejem, który właśnie go podrywa. Zmieszał się jeszcze bardziej, kiedy Neville poprosił:

–Podaj mi rękę. Lewą.

Frank posłusznie wykonał polecenie. Neville przez kilka chwil trzymał jego dłoń, po czym – co się Frankowi nie spodobało – zamknął oczy i zaczął pocierać kciukiem kostki na jego dłoni.

Wreszcie otworzył oczy i powiedział:

–Teraz wiem, co to jest. Masz duchowe towarzystwo. Znaczy to, że czyjś duch znajduje się bardzo blisko ciebie i potrzebuje twojej pomocy. A ty sam sprawiasz wrażenie, jakbyś był pełen psychicznej energii. To prawie tak, jakbyś był naładowany elektrycznością i bezustannie iskrzył.

Jakby ktoś szurał nogami po wielkim dywanie.

Frankowi zaschło w ustach.

–Czy sądzisz, że to może być Danny?

–Danny? Twój syn? Bardzo możliwe, ale nie mogę wyraźnie dostrzec, kto to jest.

–Nie wierzę w to. Danny nie żyje.

–Nie wiem, co ci powiedzieć, Frank. Skoro nie wierzysz, nie mamy o czym rozmawiać i kwita. Ja jednak wyczuwam ducha i wyczuwam, czego potrzebuje. Czuję także, co tobie jest potrzebne. Uważasz, że to ty odpowiadasz za śmierć Danny’ego, i nie wiesz, jak naprawić swój błąd, prawda?

–Dowiedziałeś się tego od detektywa Bookera?

–Nie musiał mi nic mówić, Frank. Twój ból jest widoczny z daleka.

Przeszli jeszcze kilka kroków i stanęli w bramie.

–Chyba rozumiesz, że ta sytuacja spowodowała wielkie napięcie pomiędzy mną a żoną? – powiedział Frank.

–Cóż, naturalnie.

–Nasze małżeństwo jest obecnie w takim stanie, jak byśmy oboje trzasnęli w blok cementu z prędkością stu mil na godzinę. Zdaniem Margot to koniec. Doszło do komplikacji, kiedy była w ciąży z Dannym. Chłopiec prawie umarł, a gdy się urodził, lekarze powiedzieli Margot, że nie będzie mogła już mieć dzieci. Tak więc Danny był jej jedyną szansą na naturalne macierzyństwo, a ja prawdopodobnie jestem winien jego śmierci.

–Naprawdę, bardzo mi przykro.

Frank odwrócił głowę, jakby jego rozmówca stał za nim.

–Myślałem... Wiem, co powiedziałem przed chwilą o tym, że nie wierzę w życie po życiu, i tak dalej... Zastanawiam się jednak, czy mógłbyś przyjechać do mnie i jakoś pokazać Margot, że Danny nadal jest z nami? Sam nie wiem... Świadczysz tego typu usługi?

–Chodzi ci o psychiczną komunikację? Albo, inaczej mówiąc, seanse spirytystyczne?

–Chyba tak. To znaczy, czy jesteś w stanie porozmawiać z Dannym, dowiedzieć się, jak on się teraz czuje?

–Wiele zależy od niego samego. Pamiętaj, to nie my mówimy do duchów. To duchy odzywają się do nas.

–Przyznaję, że jestem sceptykiem w tych sprawach. Jestem jednak gotów podjąć próbę.

–Czego chciałbyś się dowiedzieć na temat Danny'ego? Czy przebacza ci to, że pozwoliłeś mu umrzeć?

Frank głęboko odetchnął.

–Być może.

–Sądziś, że jeśli Danny ci przebaczy, Margot też się na to zdobędzie?

Frank wypuścił powietrze z płuc, jak człowiek wchodzący po szyję do zimnej wody.

–W porządku – powiedział Neville. – Jeśli naprawdę tego chcesz, możemy spróbować. Niestety, nie pracuję za darmo. Zapłacisz pięćset pięćdziesiąt dolarów plus moje koszty.

–Nie ma sprawy.

–Daj mi numer telefonu. Zadzwonię jutro, kiedy skończę z porucznikiem Chessmanem. I nie martw się.

Frank wręczył mu wizytówkę.

–Czym nie mam się martwić?

–Jestem sam, nie jestem z nikim związany i ciągle szukam idealnego partnera. Ale nie jestem gejem, więc tym idealnym partnerem na pewno nie będziesz ty.

Zanim Frank opuścił Cedars, podszedł jeszcze do porucznika Chessmana, żeby zamienić kilka słów.

–To było bardzo interesujące – powiedział.

–Tylko niech mi pan nie mówi, że Neville przeciągnął pana na swoją stronę.

–Cóż, można tak powiedzieć. Na pierwszy rzut oka facet nie robi wrażenia, jednak jest w nim coś więcej, niż potrafią zobaczyć oczy.

–Bez wątpienia, jest bardzo dobry. Jeden z najlepszych na świecie. Przyjechał do Kalifornii jakieś dziesięć lat temu, żeby pomóc w ściganiu dusiciela z Santa Monica i już tu został. Nie powiem, że rozumiem, jak pracuje, ale ma wyniki i to mi wystarcza.

–Powinieneś pogadać z moją babcią – wtrącił detektyw Booker. – Potrafi przepowiadać przyszłość z kurzych wnętrzności i rozbitych luster.

–Pozwolisz, że jeszcze to przemyślę – skomentował porucznik Chessman. – Przy okazji, panie Bell, dostałem właśnie wiadomość z centrali. Charles Lasser wyznaczył pięć milionów dolarów nagrody dla osoby, która doprowadzi do aresztowania i skazania wszystkich członków Dar Tanki Tariquat. To może nam pomóc.

–Charles Lasser? Ze Star-TV?

–Ten sam.

–Lasser oferuje pięć milionów nagrody? O co tu chodzi? Facet z głębi serca nienawidzi przecież wszelkiej konkurencji, i z wzajemnością.

–To zapewne nic innego jak chwyt reklamowy. Kogo to jednak obchodzi? Jeżeli dzięki niemu znajdzie się chociaż jeden wiarygodny świadek, absolutnie nic nie mam przeciwko temu.

–Chyba tak – przyznał Frank. – A mówiąc o świadkach...

–Tak?

Do dwunastej brakowało siedmiu minut. Astrid pewnie już na niego czeka. Oczyma wyobraźni widział jej chłodne oczy, jej włosy lśniące w słońcu.

–Jeśli miałbym się jeszcze do czegoś przydać, jestem, oczywiście, do panów dyspozycji.

Porucznik Chessman klepnął go w plecy.

–Dziękuję, panie Bell. Będziemy w kontakcie.

Jak się okazało, Astrid nie czekała na niego, usiadł więc przy stoliku obok fontanny, w cieniu wielkiego zielonego parasola i zamówił wódkę z tonikiem. Popołudnie było gorące, jednak w ogrodzie restauracji wiała chłodna bryza. Rozpoznał kilka osób przy sąsiednich stolikach: agentkę Yvette Kane, reżysera telewizyjnego Laszlo Wittenskiego i Gordona Thurmana z czasopisma „People”. Był pewien, że i oni go poznali, jednak zapewne nie chcieli z nim rozmawiać o wysadzonych w powietrze dzieciach, sącząc ulubione drinki. Te dzieci przecież zostały naprawdę rozerwane na strzępy, bez sztuczek, możliwych dzięki cyfrowemu sprzętowi oraz zastępów kaskaderów. Wybuch w Cedars niespodziewanie wywołał w Hollywood najróżniejsze emocje – złość, histerię, niedowierzanie, ale kiedy minął pierwszy szok, większość ludzi była raczej zirytowana niż zasmucona. Przecież to my, a nie jacyś arabscy terroryści, sprawujemy tutaj kontrolę nad łzami, tragediami i

wielkimi eksplozjami.

Frank usłyszał czyjś śmiech i zaraz potem syk Yvette Kane:

–Ciii...

Astrid pojawiła się na kamiennych stopniach prowadzących do ogrodu dopiero po dziesięciu minutach. Miała na sobie bladoniebieski słomkowy kapelusz i bladoniebieską bawełnianą sukienkę bez ramiączek. Frank wstał i pocałował ją. Rozpoznał perfumy Flowers. Była śliczna, pachnąca, kusząca. Popatrzyła na Franka i zapytała:

–Coś jest nie tak? Chyba nie kazałam ci czekać zbyt długo?

–Nie, skądże, nie o to chodzi. Miałem dziś dziwny poranek, to wszystko.

–Dziwny? W jakim sensie?

Opowiedział jej o spotkaniu z Neville'em Strange'em i jego „psychicznych śladach”, o Amy Cutter i o tym, co Neville powiedział o nim. Astrid słuchała, jednak niezbyt uważnie. Bawiła się widelcem i rozglądała po ogrodzie, jakby się spodziewała, że spotka kogoś znajomego.

–No i co o tym myślisz? – zapytał Frank. – Nigdy w coś takiego nie wierzyłem, w te seanse spirytystyczne, duchy i kontakty z dawno zmarłymi krewnymi. Neville jednak uparcie twierdzi, że Danny wciąż jest ze mną, a skoro chce być ze mną, musi to znaczyć, że nie obwinia mnie za to, co się stało.

–Strange jest pewien, że to Danny?

–A kto inny? W ciągu ostatnich dziesięciu lat nie zmarł nikt z mojego otoczenia. „Duchowe towarzystwo”, tak powiedział. Mówił o duchu, który jest bardzo blisko mnie i którego los zależy ode mnie. To musi być Danny.

Astrid nieznacznie obciągnęła sukienkę, odkrywając trochę więcej dekoltu. Miała pełne piersi, a liczne pieprzyki tworzyły jakby mapę gwiazd. Frank bez trudu dostrzegł, że dziewczyna nie nosi stanika. Meksykański kelner przyniósł jej tequilę sunrise i porozumiewawczo mrugnął do Franka.

–No i co zrobisz? – zapytała Astrid, sącząc drinka i wpatrując się w niego bladymi oczyma. – Chyba nie zamierzasz uczestniczyć w seansie spirytystycznym, co?

–Niby dlaczego? Jeśli dzięki temu udowodnię Margot, że Danny mi przebacza...

–Naprawdę uważasz, że to ma jakieś znaczenie?

–Nie rozumiem, co masz na myśli. Oczywiście, że dla mnie to ma znaczenie.

–Chodzi mi o to, że gdyby Margot naprawdę cię kochała, toby ci przebaczyła.

Niepotrzebny byłby duch i jego zgoda.

–Twierdzisz, że Margot mnie nie kocha? Przecież nawet jej nie znasz.

–A dlaczego miałabym ją poznać?

–Ponieważ jest ładna, ponieważ jest inteligentna i w przeciwieństwie do większości kobiet ma bardzo niezależny umysł.

–Co ty możesz wiedzieć o większości kobiet? Masz trzydzieści cztery lata i miałeś ośmioletnie dziecko.

Frank wyprostował się i zaczął bębnić palcami po stole.

–Uważasz, że moje małżeństwo nie miało sensu? – zapytał.

Astrid roześmiała się i dotknęła jego ręki.

–Wiem, czego potrzebujesz, Frank. Bynajmniej nie przebaczenia. Zabiłeś Danny’ego, ale nie dlatego, że tego chciałeś. Chcesz porozmawiać z kimś i powiedzieć temu komuś, jak źle się czujesz. Chcesz krzyczeć do Boga, wykrzyczeć Mu, jaki świat jest niesprawiedliwy. Życie to gówno, Frank, a największy problem polega na tym, że przeważnie sami jesteśmy temu winni.

Frank zamówił *matata*, szpinak z małżami w sosie maślano-orzechowym, a Astrid poprosiła o tuńczyka i sałatkę Warzywną. Wspólnie zamówili butelkę bardzo zimnego sauvignon z Arniston Bay.

Frank wytarł usta serwetką.

–Może opowiesz mi coś o sobie?

–A muszę?

–Nie musisz, ale jestem bardzo ciekaw. Chciałbym się zorientować chociaż trochę, z kim mam do czynienia.

–Urodziłam się i wychowałam w Oxnard. Mój ojciec był producentem telewizyjnym, a matka tancerką. Zawsze chciałam być lekarką i opiekować się chorymi dziećmi w Afryce.

–Ale nie zostałam lekarką i nie pojechałaś do Afryki?

–Nie.

–Czy twoi rodzice żyją?

–A twoi?

–Hmm... Większość czasu spędzają na grze w brydża, ale fizycznie jeszcze nie umarli, jeśli o to ci chodzi.

Dalej jedli w milczeniu, jedynie spoglądali nie siebie nawzajem, ostrożnie, jakby z czujnością. Od czasu do czasu Astrid posyłała Frankowi lekki, tajemniczy uśmiech, jakby wiedziała coś, czego on nie wiedział. Nie miał pojęcia, co o niej sądzić. Miał wrażenie, że bardzo ją interesuje, jednak do tej pory nie potrafił odgadnąć dlaczego.

Większość znajomych Franka wyszła już z restauracji. Musieli wracać po lunchu do biur i studiów telewizyjnych. Dwie albo trzy osoby podeszły do niego, uściśniły mu dłoń i wyszeptały kondolencje. Yvette Kane ucałowała go w oba policzki. W oczach miała łzy.

–Dzięki, Yvette.

–Jak Margot to znosi?

–Niestety, nie najlepiej.

–Pozdrów ją ode mnie, dobrze? – Yvette miała już odejść, jednak się zatrzymała i jeszcze raz popatrzyła na Astrid. – Przepraszam, czy my się znamy?

Astrid włożyła okulary przeciwsłoneczne i dopiero wtedy na nią spojrzała.

–Chyba nie.

–Jestem pewna, że już się kiedyś spotkałyśmy. Czy przypadkiem nie na przyjęciu urodzinowym Hugona Masona?

–Poznałem Astrid w środę – wtrącił Frank. – Była w pobliżu Cedars, kiedy wybuchła bomba.

–Astrid – powtórzyła Yvette. – Dziwne... Mogłabym przysiąc, że już się spotkałyśmy.

–Nie – powiedziała Astrid stanowczo i odwróciła głowę.

Yvette popatrzyła na Franka, który mógł tylko bezradnie wzruszyć ramionami.

Po chwili podszedł do nich Matt Fielding. Ujął dłoń Franka w obie ręce, jak grubą kanapkę, ale wzrok skoncentrował na piersiach Astrid.

–Cóż mam powiedzieć? Cóż mam ci powiedzieć, Frank.

–Dzięki, Matt. Dziękuję ci.

–A ta pani to...? – Ruchem głowy Matt wskazał na Astrid.

–Och, przepraszam. Astrid, to jest Matt Fielding. Matt, poznaj Astrid.

Matt puścił wreszcie dłoń Franka. Wyciągnął rękę do Astrid i pocałował dziewczynę w dłoń.

–Jestem pod wrażeniem – oznajmił.

Wolną ręką Astrid wymownie wskazała na swoją grzywkę.

–Słucham? – Matt zmarszczył brwi. Tym razem dźgnęła się palcem w czoło.

–Przepraszam, nie rozumiem, co pani...

–Tupecik. Chodzi mi o pański tupecik. Przesunął się trochę za bardzo na lewą stronę.

–Mój... Co takiego? – Matt wpatrywał się w Astrid, jakby właśnie przekłęta go w siedmiu językach.

Kiedy odszedł, Frank pacnął się dłonią w czoło.

–Czy ty masz chociaż pojęcie, kim on jest?

–Nie dbam o to. Gapił się na mnie, jakby chciał obejrzeć mój brzuch aż do pępka.

–Matt Fielding jest dyrektorem do spraw rozwoju w Universalu. Jeśli istnieje jakieś słowo, którego nikt w jego obecności nie używa, w całym Los Angeles i w okolicy, słowo to brzmi „tupecik”.

–Naprawdę? A ja uważam, że byłam wobec niego bardzo grzeczna. Mogłam przecież równie dobrze powiedzieć „peruka”.

Kiedy wyszli z restauracji, Frank popatrzył wzdłuż Sunset i zapytał:

–Gdzie zostawiłaś samochód?

–Jestem bez samochodu. Przyjaciółka mnie podwiozła.

–Więc odwiozę cię do domu.

Astrid przez chwilę zastanawiała się nad propozycją, przyciskając ręką kapelusz, który porywisty wiatr w każdej chwili mógł jej zwiać z głowy.

–Dobrze – powiedziała wreszcie. – Znasz chociaż trochę Venice? Mieszkam przy Palms Boulevard. Niedaleko Lincoln.

Frank popatrzył na zegarek. Dziesięć po drugiej. Wyciągnął telefon komórkowy i zadzwonił do Margot.

–Margot? Gerardowi przedłużyło się spotkanie z partnerami, przyjadę więc jakieś pół godziny później. Będę w domu o czwartej.

–Dobrze – odpowiedziała bezbarwnym głosem.

–Margot...

Tak wiele chciał jej powiedzieć. Że jest mu przykro. Że Neville Strange może jej udowodnić, iż Danny wybaczył ojcu. Że tak bardzo chciałby, żeby znów był wtorkowy poranek i żeby wciąż tkwili w korku na Hollywood Freeway.

–Nie przychodzi mi to łatwo – powiedział do Astrid, kiedy ruszyli na zachód, w kierunku Santa Monica.

–Rozumiem. W ogóle nie jest ci z nią teraz łatwo. W końcu straciliście syna.

–Nie mam na myśli Margot. Chodzi mi o ciebie i o mnie.

–A dlaczego miałyby być łatwo?

–Nie wiem. Ale trudno cię poznać. Zaczynam zadawać sobie pytanie, dlaczego w ogóle zainteresowałaś się mną?

–Chciałam cię poznać, ponieważ oboje przeszliśmy przez to samo doświadczenie, tę bombę.

–Tylko dlatego?

–Chciałam cię poznać, ponieważ... Ponieważ w pewnym sensie jesteśmy pokrewnymi duszami.

–Pokrewnymi duszami?

Astrid milczała. Odchyliła głowę i lekko przymknęła oczy, jakby skupiała wzrok na czymś bardzo odległym.

Frank skręcił z Lincoln Boulevard w Palms, a Astrid wskazała mu łuszczący się różowy apartamentowiec o ciemnozielonych drewnianych okiennicach i werandzie wyłożonej czerwonymi kafelkami.

–Jesteśmy na miejscu. Wejdiesz na drinka?

Znów popatrzył na zegarek.

–Chętnie. Muszę stąd wyjechać najpóźniej o wpół do czwartej.

Frank zamknął samochód i ruszył za Astrid po schodach, zastanawiając się, dlaczego w ogóle nie ma poczucia winy. Zamiast tego niespodziewanie poczuł się wolny i swobodny, jakby zrzucił z siebie wielki ciężar.

Astrid otworzyła frontowe drzwi i weszli do hallu wyłożonego meksykańskimi kafelkami. Pod ścianą stał dębowy stół, zarzucony starą korespondencją, a nad nim wisiało na ścianie duże lustro z mnóstwem wizytówek, wsuniętych za framugę. Poprowadziła Franka po schodach na pierwsze piętro i otworzyła przed nim drzwi po lewej stronie, oznaczone numerem 3. Mieszkanie było jasne, słoneczne, z lśniącą drewnianą podłogą. Dwie proste bawełniane kanapy w salonie przykryte były narzutami, wykonanymi przez Indian z plemienia Navajo. Na ścianie wisiała litografia przedstawiająca nagiego zielonego mężczyznę. Tak wyniosłego wyrazu twarzy Frank jeszcze nigdy nie widział.

–Mieszkasz tutaj sama? – zapytał Frank.

–Nie.

Zajrzał do jednej z sypialń. Stało tam ogromne łóżko z rzeźbionym dębowym zagłówkiem, luźno przykryte czerwono-żółtą narzutą. Astrid przeszła do drugiej sypialni, gdzie łóżko było nienagannie zasłane brązowo – białą kapą. Na wierzchu leżały trzy białe poduszki.

–Z kim więc mieszkasz?

–Z Carłą, stewardesą. Ten weekend spędza w Europie. Frankfurt, Rzym, potem Madryt. Napijesz się kawy? A może jeszcze kieliszek wina?

Stała na środku pokoju. Frank podszedł do niej od tyłu i otoczył rękami jej talię.

Zapach jej perfum, ciepło jej ciała i delikatny szelest sukni sprawiły, że nie mógł się oprzeć.

–Kogo straciłaś? – zapytał. – Czy kiedyś mi to powiesz?

Odwróciła się i pocałowała go prosto w usta.

–Być może. Ale jeszcze nie teraz.

–Powiedziałaś, że to ktoś znacznie ci bliższy niż dziecko. Jestem zaintrygowany.

Nie znam nikogo, kto byłby mi bliższy niż Danny, no może poza Margot. Kto może być dla człowieka kimś bliższym niż syn albo żona?

–Nie potrafisz odgadnąć?

–Nie – odparł.

Astrid pocałowała go jeszcze raz, a potem końcami palców dotknęła jego policzka, tak samo jak zrobiła to podczas ich pierwszego spotkania. Jakby chciała się upewnić, że Frank naprawdę istnieje.

Włosy Danny'ego lśniły od żelu. Na środku miał symetryczny przedziałek, przypominający fryzury dziecięcych gwiazd filmowych z lat czterdziestych. Jego policzki były nienaturalnie rumiane, a rzęsy ciemnobrązowe. Ubrano go w białą koszulę z muszką, a dłonie ułożono skromnie na doskonale wyprasowanych krótkich czarnych spodenkach.

John Lester junior był drobnym człowiekiem w okularach bez oprawek i w lśniących czarnych butach. Orzechowe włosy miał starannie ułożone. Stał przy oknie z witrażem, przez co jedna strona jego twarzy wydawała się żółta, a druga zielona.

–Jestem pewien, że chcą państwo zostać na chwilę sami.

Frank skinął głową i John Lester junior grzecznie wycofał się z kaplicy ostatniego spoczynku, bezgłośnie zamykając za sobą podwójne drzwi. Byłby dobrym służącym, pomyślał Frank.

Margot stała bez ruchu, mniej więcej osiem stóp od trumny, z rękami luźno zwieszonymi po bokach, jakby opuściły ją wszelkie siły.

Frank odchrząknął.

–Bardzo niepodobny do naszego syna za życia, prawda?

Margot nie odpowiedziała. Frank podszedł bliżej do trumny i popatrzył na drobne, sztywne zwłoki; jeszcze tak niedawno był żywym chłopcem. Po chwili znów się odezwał:

–Popatrz, ma podrapane kolana...

Chodziło mu o to, że to nie jest figura woskowa, lecz naprawdę Danny. Z jakiegoś powodu dopiero te zadrapania na kolanach go w tym upewniły.

Po długiej, bardzo długiej ciszy Margot także podeszła do trumny. Wyciągnęła rękę i dotknęła palcami ust Danny'ego. Następnie pochyliła się i pocałowała go. Jej łzy potoczyły się po jego różowych policzkach i wydawało się, że Danny także płacze.

W drodze do domu Frank odezwał się:

–Muszę cię o coś poprosić. Jeśli ci się to nie spodoba, wystarczy, że nie wyrazisz zgody. Wiem, że Danny umarł z mojej winy, sądzę jednak, że jest skłonny mi to wybaczyć, i chciałbym usłyszeć słowa wybaczenia bezpośrednio od niego.

Margot powoli odwróciła głowę i popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

–Słucham? Co to znaczy „bezpośrednio od niego”?

–Dzisiaj rano, przed spotkaniem z George'em, pojechałem do Cedars. Porucznik Chessman przedstawił mi swojemu, powiedzmy, detektywowi jasnowidzowi. Podobno jest bardzo sławny. Pomaga na przykład policji w poszukiwaniu zaginionych dzieci. Ma talent, tak byś to chyba nazwała. Widzi w wyobraźni wydarzenia, które miały miejsce w przeszłości, nawet jeśli przy tych wydarzeniach nie było świadków. Potrafi także zobaczyć zdarzenia, zanim one nastąpią.

–Co to ma wspólnego z Dannym i jego wybaczeniem dla ciebie?

Frank skręcił w prawo, w kierunku domu.

–Ten wróżbita potrafi także kontaktować się z umarłymi.

–Co?

–Facet potrafi nawiązywać kontakty z ludźmi, którzy, jak to się mówi, zesli z tego świata. Jest zupełnie pewien, że potrafiłby skontaktować się również z naszym Dannym.

–I o to ci chodzi? Żebyśmy nawiązali pośmiertny kontakt z Dannym tylko po to, abyś mógł zapomnieć o swoich wyrzutach sumienia?

Frank wjechał na podjazd i zatrzymał samochód dosłownie o cal od drzwi garażu.

–Tak – powiedział. – Dokładnie o to mi chodzi.

Wieczór spędził w gabinecie, starając się dokończyć kolejny odcinek *Świnek*. Czternastoletni Dusty i dwunastoletni Henry leżeli na piętrowym łóżku w domu dziadka, dokąd musieli przenieść się po tym, jak ich własny dom tornado zmiotło z powierzchni ziemi.

HENRY

**Wiesz, co Randy Bennet powiedział
dzisiaj o Ellie-Jane Kuhne?**

DUSTY

**Co, że pozwoli ci popatrzeć na jej
klaksony?**

HENRY

(głośno pociągając nosem)

Właśnie.

(chwila przerwy)

Ile będzie za to chciała?

DUSTY

**Słyszałem, że bierze pięćdziesiąt
centów.**

HENRY

(licząc w dłoni drobne pieniądze)

**Mam dwadzieścia sześć centów. Myślisz,
że pozwoli mi za to popatrzeć chociaż na
jednego?**

DUSTY

**Jaki jest sens patrzeć tylko na jednego
cycka?**

HENRY

**(po chwili namysłu) Nie wiem. Lepiej
popatrzeć na jednego niż na żadnego.**

DUSTY

(skłonny zgodzić się z Henrym)

**Ja mam jedenaście centów. Jeśli się
zrzucimy, może pozwoli nam popatrzeć
na jeden cały i na pół drugiego?**

Frank wyprostował się na krześle i popatrzył na ekran monitora. Nie potrafił ocenić, czy to, co napisał, jest chociaż trochę zabawne. Zamierzał pokazać to w środę rano na cotygodniowym spotkaniu z Mo i Liz, jednak środowy poranek wydawał się teraz tak odległy, że i poczucie humoru większości ludzi musiało ulec od tego czasu zmianie.

Wciąż patrzył w ekran, kiedy do gabinetu weszła Margot.

–Dzwoniła Lynn.

–Tak?

–Powiedziała jej, że pojechaliśmy dzisiaj do domu pogrzebowego, żeby zobaczyć Danny’ego. Lynn nie ma nawet takiej możliwości. Kathy stała przy samym wanie, kiedy samochód wybuchł. Nic z niej nie pozostało.

Frank czekał, co będzie dalej.

–Widzisz... Wspomniałam jej o tym twoim jasnowidzu i o tym, że poprosiłeś mnie, żebym się zgodziła na seans spirytystyczny. – Chwila ciszy. – Lynn powiedziała, że jeśli my...

–Mów dalej.

–Jeśli my byśmy się na to zdecydowali, Lynn bardzo, bardzo chciałyby także w tym uczestniczyć. Koniecznie chce porozmawiać z Kathy. Przecież nie ma nawet ciała, które mogłaby pochować.

Frank przez chwilę milczał, wreszcie pochylił się nad klawiaturą i nacisnął klawisz kasujący.

–Dobrze – powiedział. – Przygotuję to.

Komisarz Marvin Campbell pojawił się w telewizji w wiadomościach o osiemnastej, jeszcze tego wieczoru.

–Mniej więcej przed godziną otrzymaliśmy kolejną zaszyfrowaną wiadomość telefoniczną od Dar Tariki Tariquat, grupy terrorystycznej, która przyjęła odpowiedzialność za środowy wybuch bomby w szkole podstawowej Cedars w Hollywood.

Terroryści ostrzegli nas, że planują kolejne eksplozje wymierzone w przemysł filmowy i telewizyjny. W swoim oświadczeniu terroryści podkreślają: „Niszczący wpływ bezbożnych magnatów amerykańskiej rozrywki na myśl religijną i polityczną na całym świecie uznajemy za imperializm kulturalny najgorszej natury. Jesteśmy zdeterminowani, by zniszczyć zarówno ich, jak i ich sataniczne dzieło”.

Komisarza Campbella zapytano, co, jego zdaniem, znaczą te groźby.

–Myślę, że przesłanie tych pogroźek jest bardzo jasne. Fanatycy ci są przekonani, że amerykańskie filmy i telewizja mają zły wpływ na kraje, w których kobiety, pod groźbą ukamieniania za cudzołóstwo, muszą zakrywać twarze na ulicach. Uważają, że *Seks w wielkim mieście* to obraza Allaha i że wolność wypowiedzi to bluźnierstwo.

Za jak poważne komisarz uważa zagrożenie?

–Zagrożenie jest absolutnie realne. Każdy, kto nie zawahał się przed zamordowaniem niewinnych dzieci, naszym zdaniem nadal zdolny jest do podobnych lub jeszcze gorszych okrucieństw.

Co więc zamierza czynić policja, żeby chronić przemysł rozrywkowy?

–Przede wszystkim musimy być czujni. Wszystko musi działać tak jak do tej pory. Nie zamkniemy żadnego studia, żadnego parku tematycznego, nie zlikwidujemy wycieczek. Rozrywka to nerw tego miast i nie pozwolimy, żeby banda psychopatów w jakikolwiek sposób wpłynęła na jego funkcjonowanie. Będą zapewne opóźnienia i niedogodności, szczególnie w obiektach najliczniej odwiedzanych przez publiczność, takich jak Disneyland, Knotts Berry Farm i duże studia filmowe. Zostanie wzmocniona ochrona w głównych studiach, i to zarówno policyjna, jak i ta prowadzona przez prywatne firmy. Jesteśmy jednak całkowicie pewni, że sposób funkcjonowania miasta nie zostanie zakłócony przez nieodpowiedzialną mniejszość.

Czy policja jest dzisiaj bliższa rozpoznania, czym jest naprawdę Dar Tariki Tariquat i czy dokonano już jakichś aresztowań?

–Dysponujemy kilkoma obiecującymi wskazówkami i nad nimi pracujemy, nie mogę więc mówić o nich publicznie. Muszę jednak przyznać, że w chwili obecnej nie jesteśmy ani o krok bliżej od odpowiedzi na pytanie, kim oni są, niż byliśmy na początku. Nie wiemy też, czy są związani z jakąś inną organizacją terrorystyczną, na przykład Al-Kaidą.

Na miejsce wybuchu bomby ściągnięto Neville'a Strange'a, sławnego detektywa jasnowidza. Czy ma to oznaczać, że już na tak wczesnym etapie śledztwa policja przyznaje, iż nie jest w stanie rozwiązać sprawy przy użyciu konwencjonalnych procedur?

–Absolutnie nie. W policji w Los Angeles pracują najbardziej doświadczeni detektywi i specjaliści medycyny sądowej. Obecnie wykonują oni swoje zadania przez dwadzieścia cztery godziny na dobę i jestem absolutnie przekonany, że są w stanie wytropić terrorystów i postawić ich przed obliczem sprawiedliwości. Pan Strange jest uznanym fachowcem o zdolnościach niezwykłych, lecz uznanym na całym świecie, i uważam po prostu, że źle wykonywałbym swoje obowiązki, gdybym nie skorzystał podczas śledztwa z wszelkiej możliwej pomocy, nawet gdyby miała to być pomoc nawet najbardziej niekonwencjonalna.

Frank nie spał do drugiej nad ranem, słuchając przez słuchawki, żeby nie budzić Margot, ich ulubionych piosenek. *We Have All the Time in the World* Louisa Armstronga. *Easy* The Commodores. *Days Like These* Van Morrisona. Nalał sobie niemal całą szklankę stolicznej, ale nawet jej nie tknął. Nie miał już ochoty na alkohol.

W końcu zdjął słuchawki, rozpiął koszulę i poszedł do gabinetu, żeby się przespać na kanapie. Margot nie powiedziała mu tym razem, że nie życzy go sobie w sypialni, jednak nie potrafiłby jeszcze tej nocy położyć się obok niej.

Ściągał właśnie skarpetki, kiedy zadzwonił telefon.

–Frank?

–Kto mówi?

–A jak myślisz?

–Astrid? Masz pojęcie, która jest godzina?

–Oczywiście. Chciałam ci tylko powiedzieć, że cały czas myślę o tobie.

–Ja też myślę o tobie.

W słuchawce zapadła długa cisza. W domu było tak cicho, że Frank słyszał oddech Astrid po drugiej stronie.

–Powiedz, kiedy cię znów zobaczę? – odezwała się wreszcie.

–Jutro, jeśli zechcesz. To znaczy dzisiaj. Może po południu? Piętnasta ci odpowiada?

–Piętnasta? Doskonale. Jeśli chcesz, możesz przyjechać do mnie.

–Dobrze. – Frank zamilkł, nie wiedząc, co jeszcze może powiedzieć.

Astrid wahała się przez chwilę, aż wreszcie powiedziała:

–Martwisz się, prawda? Martwisz się, bo nie potrafisz dociec, kim jestem. Nie kłopotz się, proszę, ponieważ to nie ma znaczenia.

–Jak możesz tak mówić? Oczywiście, że to ma znaczenie. Chcę się dowiedzieć, kim jesteś, przecież to jest częścią całego procesu poznawania ciebie, wspólnego przeżywania wielu spraw. Do tej pory wiem tylko, że twój ojciec był producentem telewizyjnym, a twoja matka tancerką, i że chciałaś być lekarką w Afryce.

–Nawet tego o mnie nie wiesz. Kłamałam.

–Kłamałaś? Dlaczego?

–Ponieważ chciałaś wiedzieć o mnie tak wiele, a ja nie zamierzałam cię rozczarowywać. Ja natomiast pragnę, żebyś lubił we mnie to, co widzisz, a nie to, co o mnie wiesz. Lubisz to, co widzisz, prawda, Frank?

–Oczywiście. Po prostu nie wiem, na czym w tej chwili stoję, to wszystko.

–Zobaczymy się jutro o piętnastej. Śpij dobrze, Frank.

Sobota, 15 września, godz. 10.09

Matty zaczynał już powoli dochodzić do wniosku, że zabranie Zastępu Skautów z Północnego Hollywood na wycieczkę do Universal Studios było bardzo lekkomyślną decyzją. Minęła niecała godzina od otwarcia bramek z kołowrotami, a mimo to rzesze rozgorączkowanych i niecierpliwych turystów wily się już w kolejkach przez cały parking. Blisko wejścia na teren wytwórni stały trzy samochody policyjne, a każdy, kto przechodził przez kołowrotki, przeszukiwany był przez policjantów i ochroniarzy. Każdemu też zaglądano do bagaży. Dwie lub trzy osoby odprowadzono już na bok i sprawdzono dokładniej.

Bracia Silberowie zdążyli już dwukrotnie się zgubić. Za każdym razem Matty zmuszony był wysłać na ich poszukiwania Irene Wallach, co oznaczało, że pozostawał zupełnie sam, mając pod opieką osiemnastu podekscytowanych chłopaków, z których większość jakby się uparła, żeby chodzić co trzy minuty do łazienki.

Co gorsza, kiedy Irene Wallach krążyła pomiędzy kolejkowiczami w poszukiwaniu braci, Kevin Millfield postanowił przyssać się do Matty'ego i uraczyć go jedną ze swoich długich, smętnych konwersacji. Matty był pewien, że Kevin, kiedy urośnie, zostanie profesjonalnym przepowiadaczem wszelkich nieszczęść albo przynajmniej smętnym rzeczoznawcą w towarzystwie ubezpieczeniowym.

Kevin miał brązowe włosy, które wyrastały z głowy kępkami, oraz wielkie czerwone uszy, lśniące w słońcu. Matty nie pamiętał, żeby kiedykolwiek widział go uśmiechniętego. Jako skaut był chłopcem sumiennym i odpowiedzialnym, jednak zupełnie nie radził sobie z wszelkimi zadaniami praktycznymi, jak wiązanie węzłów czy przygotowanie naprędce pieczeni na rożnie. Jego ojciec był właścicielem sieci sklepów z obuwem.

–Potrafię zrozumieć, dlaczego wszystkie najważniejsze studia filmowe organizują takie wycieczki – mówił posępnym, monotonnym głosem. – Zbijają pieniądze na starych dekoracjach, które w gruncie rzeczy są już śmieciami. A przecież, w tym samym czasie i miejscu, mogłyby reklamować te filmy, które właśnie wchodzą na ekrany. Jednak to by zepsuło zapewne całą iluzję, gdyby ktoś Wcześniej wiedział, co tak naprawdę działo się za kulisami filmów, które właśnie ogląda. Nie uważa pan, panie Doggett?

–Na co nie uważam?

–Czy nie uważa pan, że takie wycieczki negatywnie Wpływają na nasz odbiór wszelkich filmów?

–Cóż, nie, Kevin, naprawdę tak nie sędzę. Myślę, że te wycieczki są interesujące i pouczające. Nie wiesz, gdzie zniknął Joey Mendez?

–Przecież nie chodzilibyśmy na występy magików, gdyby magicy wyjaśniali nam na wstępie, w jaki sposób przepiłowują kobiety na pół, a potem składają je z powrotem. Jaki byłby sens uczestniczenia w takich przedstawieniach? Nie uważa pan, panie Doggett?

Matty zauważył Joeya Mendeza, dmuchnął w gwizdek i stanowczym gestem nakazał mu wrócić do szeregu.

–Gdzie się podziewałeś? Miałeś być z grupą. Co ci mówiłem? Miałeś się trzymać grupy!

–Widziałem Terminatora, proszę pana. Był taki sam jak prawdziwy żywy Terminator. Musiałem podejść i powiedzieć mu: *hasta la vista, baby*.

–Albo będziesz się trzymał grupy, albo sam zaraz się staniesz krwawą ofiarą Terminatora.

–To nie był prawdziwy Terminator – pedantycznie wyjaśnił Kevin Joeyowi. – To był tylko aktor.

–Tylko aktor? – zapytał Matty.

–To z czego, twoim zdaniem, utrzymuje się Arnold Schwarzenegger?

Mniej więcej po dwudziestu minutach dotarli wreszcie do budki z biletami i Matty kupił grupowy bilet. Z powodu rozmiarów swojego brzucha z wysiłkiem i sapaniem przecisnął się przez kołowrotek. Zaraz potem dopadł go ochroniarz i powiedział:

–Muszę pana przeszukać.

–Nie ma sprawy. Jedyna rzecz, jaką szmugluję pod koszulą, to bezgraniczne uwielbienie dla pieczonych kurczaków.

–To pana chłopcy? – zapytał ochroniarz, macając go po brzuchu osłoniętym czerwono-pomarańczową hawajską koszulą.

–Osiemnasty zastęp skautów. Niech pan się nie martwi, zrujną to miejsce w dwadzieścia minut, ale zaraz potem sobie stąd pójdą.

Ochroniarz uśmiechnął się do niego krzywo i klepnął go w plecy.

–Miłego dnia, proszę pana, i dziękuję za współpracę.

Młodzi skauci ruszyli jak szaleni, żeby zająć jak najlepsze miejsca w tramwaiku, który miał przewieźć zwiedzających przez studia. W ostatniej chwili pojawiła się także Irene Wallach. Miała patykowate ręce i nogi, zajęczy zgryz i proste włosy. Jej oczy przesłaniały okulary przeciwsłoneczne w białych, niezbyt czystych oprawkach.

–Tę część lubię najbardziej – wyznała Matty’emu, złączając ręce. – Możemy wreszcie usiąść i zrelaksować się, nie martwiąc się ciągle o chłopaków.

–Robię się na to zbyt stary – powiedział Matty i ciężko opadł na drugą ławkę, tyłem do kierunku jazdy, w pierwszym wagoniku. Ławka za nim zaraz wypełniła się rozszczebiotanymi młodymi Japonkami. Przy nich usiadł młody mężczyzna w wojskowej koszulce i lustrzanych okularach przeciwsłonecznych. Był niemal dwa razy tak szeroki jak Matty.

–Zdecydowaliśmy już, kiedy pojedziemy do Chula Vista? – zapytała Irene. Miała na sobie luźną różową bluzeczkę i Matty z trudem odwracał wzrok od jej doskonale widocznej lewej piersi. Piers była blada i płaska jak naleśnik, ze sterczącą drobną brodawką.

–Chodzi ci o przyjęcie z grillem? Ray zasugerował, żeby to był dwudziesty trzeci listopada.

–Uważam, że powinniśmy skoncentrować się na zdrowej żywności. Wiesz, chodzi o coś takiego jak duszone mięso albo tacos. Żadnych hamburgerów, hot dogów ani innych potraw przesiąkniętych tłuszczem.

–Czyżbyś miała coś przeciwko tłuszczowi?

–Na miłość boską, Matty, wszyscy kochamy cię takiego, jaki jesteś!

–Wiem. Zabawna figurka z leguminy. Czy wiesz, dlaczego grubi ludzie się śmieją?

Bo tylko dlatego potrafią na chwilę przestać płakać.

Tramwaj szarpnął i powoli ruszył. Przewodniczka o rozwianych blond włosach i nieprawdopodobnie białych zębach wzięła do ręki mikrofon i odezwała się sztucznie wesołym głosem:

–Panie, panowie i wszystkie dzieci, witamy w Universal Studios. Zabierzemy was dzisiaj do magicznego świata filmów, świata, którego przenigdy nie zapomnicie.

Kevin odwrócił się do Matty’ego i powiedział:

–Nie zapomnimy, ponieważ już nigdy nie pójdziemy do kina z nadzieją, że to, co się dzieje na ekranie, jest prawdziwe.

–Kevin, do diaska, przestań być takim pesymistą. Poza tym, czy to nie ty mówiłeś mi, że byłeś już na takiej wycieczce?

–Dlatego wiem, że wszyscy będziemy po niej rozczarowani.

Sobota, 15 września, godz. 10.32

W miarę jak tramwaj powoli zjeżdżał w dół do jeziora, w którym miał się pojawić rekin z filmu *Szczęki*, Kevin był coraz bardziej ponury. Wreszcie się odezwał:

–Oto jezioro, z którego za chwilę wynurzy się wielki biały rekin i wszystkich opryska wodą. Na szczęście rekin jest z gumy i nikomu nie robi krzywdy.

–Dzięki, Kevin – powiedział Matty. – To bardzo pocieszające i uczynne z twojej strony. Poza tym, że to miała być dla wszystkich niespodzianka.

Jednak w tej chwili potężny młody mężczyzna, siedzący dokładnie za Mattym, wydał głośny okrzyk, klasnął dłońmi i zawołał:

–Uuuuu! Czy to nie wspaniałe?

Matty odwrócił się, popatrzył na niego i zmarszczył czoło, jednak mężczyzna jeszcze raz klasnął i zaczął głośno tupać w podłogę tramwaju. Młode Japonki, siedzące obok niego, wyraźnie się przestraszyły i odsunęły od niego jak najdalej.

–To jest droga do chwały! – wrzasnął mężczyzna. – Ten tramwaj już nie ma drogi odwrotu! Jedziemy na spotkanie Boga i całego jego majestatu. Tak, proszę pana! – Popatrzył na Matty’ego. – To będzie dla nas wszystkich niezapomniana wyprawa, bez dwóch zdań!

Podniósł się na nogi, brzuchem niemal strącając Matty’emu czapkę, i zaczął kołysać się z boku na bok. Przy każdym przechyle klaskał i głośno wył.

–Proszę pana – włączyła się przewodniczka. – Mówię do pana na tylnej ławeczce. Tak, do pana. Czy zechciałby pan usiąść? Wstawanie, kiedy tramwaj znajduje się w ruchu, jest zabronione. To zarządzenie władz miejskich.

Młody mężczyzna znowu krzyknął:

–Zbliżamy się do Królestwa! Zbliżamy się do Królestwa! Ten tramwaj nie zabiera niewiernych, nie ma mowy!

–Niech pan usiądzie! Musi pan usiąść!

Ale młody mężczyzna pochylił się nad Mattym i uśmiechnął się do młodych skautów.

–Czy wiecie, chłopcy, dokąd zmierzacie? Macie pojęcie? Zmierzacie do ziemi obiecanej, tam właśnie zmierzacie. Czyż nie uważacie się za szczęściarzy?

Prowadzący zatrzymał tramwaj, dokładnie przy Amityville Lake. Zgodnie z planem, jako część pokazu związanego ze *Szcękami*, drewniane moło zostało wyrwane z posad i rzucone na środek jeziora. Na wodzie pływały poszarpane beczki na oliwę, wyglądające tak, jakby porozrywał je wielki rekin. Jednak motorniczy nie zważał na to. Opuścił swoje miejsce i udał się na tył wagonika. Równocześnie przewodniczka uruchomiła radiotelefon i zaczęła wzywać ochronę.

–Zechce pan wysiąść z tramwaju – poprosił motorniczy. Miał ponad sześćdziesiąt lat, siwe włosy, siwe wąsy i był lekko przygarbiony.

Młody mężczyzna zmierzył go spojrzeniem od góry do dołu i znowu wrzasnął:

–To jest przeznaczenie, stary człowieku. To jest siła natury! Nic na tej ziemi nie jest w stanie przeciwstawić się siłom natury!

Matty odwrócił się.

–Posłuchaj, ty dupku. Wsiadaj z tego tramwaju i przestań straszyć dzieciaki.

Młody człowiek wbił w niego spojrzenie, jednak w jego lustrzanych okularach Matty dojrzał jedynie odbicie własnej purpurowej twarzy. W tle, na jeziorze, beczki po oliwie zaczęły podskakiwać coraz bliżej w kierunku brzegu, jednak prawie żaden z pasażerów tramwaju nie patrzył w tamtym kierunku.

–Czy chcesz przywitać się ze swoim Stwórcą? – zapytał Matty’ego młody mężczyzna.

Matty wstał i odwrócił się. Stał teraz twarzą w twarz z agresywnym młodzieńcem.

–Myślisz, że się ciebie boję? – rzucił wyzwanie Matty. – Służyłem w Zatoce i widziałem straszniejsze rzeczy niż twoja mordą.

–Naprawdę? – odpowiedział młody mężczyzna, jednak teraz jego głos był cichszy i jakby spokojniejszy. – A jak myślisz, czy to jest wystarczająco straszne?

Otworzył pięść i rozsunął palce, tylko trochę i tylko na moment, ale to wystarczyło Matty’emu, by zobaczyć włącznik, który trzymał w ręce, i cienki drut, biegnący wzdłuż jego ramienia i znikający pod koszulą.

–Nie zrobisz tego – syknął Matty.

Tymczasem motorniczy wstąpił na stopień tramwaju i powiedział:

–Proszę pana, oświadczam panu, że dopóki pan stąd nie wysiądzie, ten tramwaj nigdzie nie pojedzie.

Młody mężczyzna zignorował go.

–Widzisz mój brzuch? – zapytał Matty’ego, jeszcze ciszej niż przed chwilą. – Jak myślisz, z czego powstał? Z piwa? Z tłuszczu? Błąd, mój przyjacielu! To jest C4, plastyczny cyklonit.

Matty odwrócił się do Irene Wallach.

–Irene, niech wszystkie dzieci wysiądą z tramwaju. Natychmiast.

–Co? – zdziwiła się.

–Wysadź wszystkie dzieciaki z tramwaju i zrób to natychmiast. Proszę.

–Ha, ha, ha! – zaśmiał się młody człowiek w lustrzanych okularach, gwałtownie potrząsając głową. – Nic z tego, nikt już nie wysiądzie. Wszyscy udacie się w drogę razem ze mną.

–Nie! – krzyknął Matty i rzucił się na mężczyznę, by wyszarpnąć drut oplatający jego ramię.

W tej samej chwili rekin ze *Szczęk* wyskoczył ponad taflę jeziora, unoszony przez strumień sprężonego powietrza. Jego lśniące oczy wpatrywały się w tramwaj, a obnażone zęby były groźnie wyszczerzone. Wszystkie dzieciaki z wyjątkiem Kevina wrzasnęły wniebogłosy.

Sobota, 15 września, godz. 10.34

Wybuch słychać było z odległości pięciu mil i z wszystkich kierunków – głucho, wyraźne tąpnięcie. Pierwszy wagonik tramwaju został rozerwany na strzępy, tak że nie pozostało z niego nic poza poczerniałym podwoziem i surrealistycznymi resztkami poskręcanych siedzeń. Większość drugiego wagonika wypaliła się. W całej okolicy wyleciały szyby z setek okien.

„Szczęki”, wielki biały rekin, unicestwiony został jeszcze gwałtowniej niż w filmie. Wybuch w całości stopił biały lateks, pozostawiając jedynie dymiący stalowy szkielet sztucznej bestii.

Jednak spustoszenie, jakie wybuch wywołał wśród zwiedzających, było tak ogromne, że kiedy na miejscu pojawili się pierwsi ochroniarze, z początku nie potrafili zrozumieć, na co patrzą. Dookoła tramwaju, w którym nastąpił wybuch, walały się szmaty oraz większe i mniejsze kości i ścięgna, które przypominały resztki po niedokładnie ogryzionych żeberkach. Na ziemi leżały jakieś miękkie, sflaczałe strzępy, które wyglądały jak przekłute balony, ale wcale nimi nie były. Chodząc po poboju, ochroniarze co chwilę natrafiali na leżące w popiołach lub pomiędzy poskręcany metalowymi elementami buzie chłopców albo jedynie ich fragmenty. Na każdej twarzy widniał taki sam wyraz zdziwienia i przerażenia. Oczy wszystkich dzieci były szeroko otwarte – jednak w tym wypadku nie z powodu przerażenia; był to po prostu jeden z efektów wybuchu. Jak miał później napisać dziennikarz „Timesa” – „wyglądali nie jak młodzi skauci, lecz jak cherubinki, zestrzelone w powietrzu przez raketę przeciwlotniczą”.

7

Frank zadzwonił. Przez interkom usłyszał krótkie „poczekaj”. Po chwili Astrid nacisnęła przycisk w mieszkaniu, dzięki czemu mógł wejść do budynku. Przeszedł przez hali wykładany meksykańskimi kafelkami i zaczął się wspinać po schodach. Czekala już na niego przed drzwiami, ubrana w krótką, białą, muślinową sukienkę. Była bosa, na dużych palcach obu nóg miała srebrne pierścienie. Była blada i wyglądała na zapłakaną lub osłabioną, jakby niedawno zażyła zbyt wiele pigułek.

–Znowu wybuchła bomba – poinformowała go.

–Wiem. Słyszałem ją. Byłem akurat przed domem, wyrzucałem śmieci i nagle bum! Jakby ktoś z całej siły trzasnął drzwiami.

–W telewizji powiedzieli, że zginęło dziewiętnaście osób. Jedenastu młodych skautów. Pokazywali już zdjęcia z miejsca wypadku. Boże, to było takie straszne.

–Hej, ty drżysz.

–Jestem zdenerwowana, Frank. Jestem taka zdenerwowana... Ci wszyscy młodzi chłopcy.

Frank zamknął za sobą drzwi i położył dłonie na jej ramionach.

–Wiem. Kiedy tylko o tym usłyszałem, pomyślałem o ich rodzicach. Nikt nie powinien tak cierpieć dla jakiejś szalonej religii, polityki i innych głupot.

–Myślisz, że to zrobili ci sami ludzie?

–Ci Arabowie? Kto wie? Ale kto inny mógł to być? Policjanci są całkowicie przekonani, że to znów była robota terrorysty samobójcy, a przecież ludzie z

Zachodu nie wysadzają się dobrowolnie w powietrze, prawda?

–Napijesz się czegoś?

Kiwnął twierdząco głową. Astrid podeszła do białego wiklinowego stolika i nalała caberneta do dwóch długich kieliszków. Frank widział jej twarz w lustrze wiszącym na ścianie i był zdumiony, jak inaczej wygląda jej odbicie w stosunku do tego, co może zaobserwować, patrząc na nią bezpośrednio. Może to brak symetrii czynił jej twarz tak uderzająco ładną?

Podawała mu kieliszek z winem.

–Wszystkie studia wstrzymują przyjmowanie wycieczek do odwołania. Zamknięty zostanie także Disneyland – powiedziała.

–Chyba jest na to trochę za późno, nie uważasz? Następnym razem uderzą w zupełnie inne miejsce, na przykład studio telewizyjne w samym środku jakiegoś programu na żywo, albo wymyślą coś podobnego.

–Zabili jedenaścioro dzieci – powiedziała Astrid. – W jakim celu?

Okna apartamentu były otwarte. Astrid wyszła na wąski balkon, wyłożony kafelkami; Frank poszedł za nią. Pod nimi znajdowało się niewielkie ocienione podwórko, z małą kamienną fontanną, obsadzoną pomarańczowymi kwiatami. Ponad dachami wiała lekka bryza znad oceanu, delikatnie szarpiąc muślinową sukienkę Astrid. Frank bez trudu dostrzegł krągłości jej nagiego pośladka i uda.

–Tak się zabija ludzi – powiedziała spokojnie, jakby kogoś cytowała. – Zabijając najpierw ich dzieci.

–Zostaną złapani, szczególnie po tym, co zrobili dzisiaj.

–Naprawdę tak myślisz?

–Szuka ich FBI i połowa policji z Los Angeles.

–Tak, ale kogo właściwie szukają?

Frank potrząsnął głową, jakby bronił się przed owadem, zamierzającym wlecieć mu do ucha. Czasem Astrid mówiła zagadkami.

–Naprawdę mnie okłamałaś, opowiadając mi o ojcu i matce? – zapytał.

–Może tak, a może nie?

–Bawisz się mną.

–Nie, wcale nie. Po prostu chcę, żebyś używał oczu. – Przez kilka chwil stała oparta o barierkę balkonu i sączyła wino. Po chwili zaproponowała: – Wejdzmy do środka.

Frank zdjął buty i oboje usiedli na kanapie, twarzą w twarz, ze skrzyżowanymi nogami. W pewnej chwili podniósł kieliszek i powiedział do Astrid:

–Twoje zdrowie, kimkolwiek jesteś.

Światło przeświecające przez kieliszek z winem barwiło jej usta na jaskrawoczerwony kolor, sprawiając wrażenie, że się uśmiecha, mimo iż przez cały czas była poważna.

–Jak się ma twoja żona? – zapytała.

–Bez zmian. Wczoraj byliśmy w domu pogrzebowym i widzieliśmy Danny’ego. To raczej nie poprawiło sytuacji.

–Jak wyglądał?

–Jak wyglądał?

–Przepraszam, to ciekawość. Jeszcze nigdy nie widziałam z bliska nikogo martwego.

Frank przez chwilę się zastanawiał, po czym wzruszył ramionami.

–Wyglądał jak Danny, ale to nie był Danny, jeżeli rozumiesz, co mam na myśli. Pamiętam mojego dziadka, kiedy leżał w trumnie. Pamiętam, jak myślałem wtedy, co ja tutaj robię, po co się żegnam z tą sztywną kukłą? Leżały przede mną zwłoki dziadka, a ja wiedziałem, że to już nie dziadek. On już odszedł.

–Masz rację. Ciało bez ducha to jak klepsydra bez piasku. To coś, co dla nikogo już nie ma znaczenia.

Frank dopił wino i odstawił kieliszek.

–A skoro już mówimy o duchach, Neville Strange przyjdzie jutro do naszego domu i przeprowadzi seans spirytystyczny.

–Chyba żartujesz. – Astrid popatrzyła na niego uważnie, po czym poprawiła się: – Nie, nie żartujesz.

–Nevile uważa, że potrafi nawiązać kontakt z Dannym i z jedną z jego szkolnych koleżanek.

–No proszę! Czy twoja żona nie ma nic przeciwko temu?

–Początkowo była przeciwna, ale zadzwoniła jej przyjaciółka i zaczęły o tym rozmawiać. Myślę, że to ona ją namówiła. Lynn Ashbee, biedactwo. Z jej córki pozostały jedynie stopy nadal tkwiące w butach. Co to za świat, w którym nie możemy pochować nic więcej niż stopy własnego dziecka?

–To bezduszny świat, świat bez serca. Nawet bardziej bezduszny, niż ci się zdaje.

Razem obejrzeni wiadomości telewizyjne. Podano najnowsze dane o liczbie ofiar z Universal Studios: piętnaścioro zabitych dzieci i siedmioro dorosłych. Poważnie rannych zostało ponad sto osób w różnym wieku, a zniszczenia wyceniono wstępnie na blisko milion dolarów. Do tego dochodziło przymusowe zamknięcie dla odwiedzających całego Universal City i niemal wszystkich głównych atrakcji Los Angeles.

Rzecznik prasowy FBI mówił z ekranu:

–Wstępne testy pozwalają nam na wysunięcie przypuszczenia, że zamachowiec samobójca włożył na siebie gorset z plastycznego materiału wybuchowego, którego nie zdołano, niestety, zidentyfikować w bramkach kontrolnych, wykrywających metal. Tak, na miejscu był pies wyczuwający materiały wybuchowe, ale w tym wypadku zamachowcy udało się uniknąć jego kontroli. Materiał wybuchowy przypomina cyklonit C4, który charakteryzuje się o wiele słabszym zapachem niż wiele innych materiałów wybuchowych.

Frank wyłączył telewizor.

–Cholera jasna. To poważna sprawa. Niedługo nigdzie nie będziemy się czuli bezpiecznie.

Astrid pochyliła się i lekko dotknęła palcami jego czoła, następnie czubka nosa i warg.

–A jak myślisz, że mną jesteś bezpieczny? – zapytała. Złapał ją za ramiona, żeby

przestała go dotykać.

–Istnieje jakiś powód, dla którego miałbym się czuć inaczej?

–Może taki, że oboje powinniśmy poważnie przemyśleć możliwość, iż wkrótce zostaniemy kochankami?

Frank popatrzył na nią badawczo, wciąż trzymając jej ramiona, starając się coś odczytać z jej bladoniebieskich oczu.

–Straciłem mojego jedyne go syna, i to niecałe trzy dni temu. Ty także kogoś straciłaś, chociaż nie chcesz mi powiedzieć kogo. Chyba nie jestem jeszcze na to gotowy, nawet jeśli ty już jesteś.

–Czy to znaczy, że będziesz, kiedy upłynie więcej czasu?

Kiedy przyjechał do domu, Margot właśnie przygotowywała dla nich kolację.

–Cześć – powiedziała i zajęła się nakrywaniem do stołu w kuchni.

Frank stanął w progu i patrzył na nią. Może właśnie w ten sposób powiadamiała go, że będzie w stanie mu wybaczyć, kiedy minie jeszcze trochę czasu?

Przygotowywała biały makaron z kawałkami wędzonego łososia i zielonym sosem ziołowym; danie, którego nie cierpiał. Oczywiście, nigdy jej nie powiedział, że go nie cierpi.

Zdażyła umyć i wyszczotkować włosy, umalowała się i ubrała w biały jedwabny sweter z szerokimi rękawami, kupiony w Nowym Jorku u Saksy na Piątej Alei, oraz w jasnokremowe spodnie. Rozpoznał nawet perfumy. Flowers, takiego samego zapachu używała Astrid. – W lodówce jest wino – powiedziała.

–Dzięki.

–Jak minęło spotkanie z Joem?

–Och, doskonale – skłamał. – Dali mi tyle czasu, ile będę potrzebował.

Nalał sobie kieliszek zimnego sauvignon i usiadł przy kuchennym stole. Na trzech górnych półkach dębowej szafki, pomalowanej na biało, stały rzędy białych talerzy i białych dzbanków do mleka, które Margot sama wykonała na szkolnych lekcjach garncarstwa. Obok szafki wisiał obraz przedstawiający czerwonowłosą kobietę zakrywając dłońmi twarz. Obraz zatytułowany był *Ślepy świadek*.

–O której godzinie przyjedzie Neville? – zapytała, nakładając makaron.

–Powiedział, że spróbuje dotrzeć na pierwszą. Hej, dosyć, to wystarczy!

Naprawdę.

Nałożyła także sobie, po czym usiadła naprzeciwko niego. Frank zawinął trochę makaronu na widelcu, jednak nie podniósł go do ust. Zaczął natomiast z urazą wpatrywać się w Margot. W porządku, zaczęła z nim rozmawiać. W porządku, była gotowa mu wybaczyć. Ale on wcale nie był pewien, że zależy mu na jej wybaczeniu, szczególnie jeśli miałoby ono wyglądać tak jak w tej chwili.

Spojrzała na niego dużymi ciemnymi oczyma Audrey Hepburn.

–Smakuje ci makaron?

–Jasne. Jest... – Machnął uspokajająco widelcem.

–Lynn przyjedzie najprawdopodobniej około dwunastej.

–W porządku.

–Tak jak kazałeś, weźmie ze sobą fotografię Kathy. Znów opuścił widelec. To nie

miało sensu. Czuł się ciężko zraniony, nie fizycznie, lecz psychicznie. Wiedział, że ich życie po stracie Danny'ego nigdy już nie będzie takie samo. Kiedy patrzył na Margot, miał wrażenie, że ogląda na taśmie wideo wspomnienia ze słonecznego dnia, który już nigdy nie wróci. Przypomniawszy sobie zdanie z *Procesu*: „Nigdy w życiu nie przejdziesz ponownie tej drogi, efendi”.

–Nie jesz.

Zmarszczył czoło i popatrzył w talerz.

–Powinieneś coś zjeść, Frank.

Nie był w stanie mówić. Dopiero po chwili wstał i odsunął talerz z makaronem.

Margot natychmiast zabrała talerz i po chwili usłyszał, jak wyrzuca jego zawartość do śmieci. Wróciła i stanęła przy nim.

–Gdybyś chciał wrócić dzisiaj do łóżka, Frank... Odchrząknął.

–Jasne. Najpierw jednak pooglądam trochę telewizję. Rozumiesz...

Nie poruszyła się. Z jej zachowania wnioskował, że chce mu powiedzieć coś, co jest dla niej bardzo ważne.

–Frank, ja wiem, że nie pozwoliłeś Danny'emu umrzeć specjalnie. To wszystko, co ci powiedziałam, jak cię obwiniałam... Cóż, chyba potrafisz zrozumieć, co ja czułam, byłam jego matką.

Skinął głową, wciąż wpatrując się w miejsce, w którym przed chwilą stał jego talerz.

–Rozmyślałam o jutrzejszym dniu. Jeśli tylko dowiem się, że Danny tam, gdzie jest, ma spokój... Zależy mi teraz tylko na tym.

Frank znów pokiwał głową.

Margot oderwała papierowy kuchenny ręcznik i głośno wydmuchała nos. Jeszcze przez chwilę stała obok Franka, lecz on wciąż czuł się zbyt zraniony, by chociaż unieść głowę. W końcu zostawiła go samego w kuchni i poszła do sypialni. Kiedy mijał drzwi sypialni, idąc do gabinetu, zauważył, że zostawiła je nie domknięte.

Wślizgnął się do sypialni krótko po drugiej nad ranem, ubrany w pidżamę, chociaż normalnie już nie używał pidżam. Przystanął na chwilę, starając się wyczuć, czy Margot już śpi. W końcu, tak zmęczony, że kręciło mu się w głowie, ułożył się pod kołdrą odwrócony do niej plecami.

Nie mógł zasnąć do szóstej piętnaście. Wtedy wstał z łóżka, równie bezszelestnie, jak do niego wszedł, i poszedł do kuchni, by przygotować sobie filiżankę kawy.

Nastawiwszy ekspres, włączył telewizor. W porannych wiadomościach nadawano właśnie wywiad z Charlesem Lasserem. Był to potężny, dobrze zbudowany mężczyzna o lekko przyprószonych siwizną czarnych włosach. Jego głowa wyglądała jak nie dokończona rzeźba Rodina, o masywnym czole i haczykowatym nosie.

–Zatem podwyższył pan nagrodę do dziesięciu milionów dolarów, panie Lasser?

–Właśnie. I jeśli będzie potrzeba, jeszcze ją podwyższę i będę podwyższał tak długo, dopóki te szumowiny nie zostaną schwytane.

–Niektórzy ludzie z branży rozrywkowej twierdzą, że to nic innego, jak kolejny chwyt reklamowy Charlesa Lassera... I że używa pan tych wybuchów jak środka napędzającego promocję Star-TV.

–Oczywiście, że tak mówią. To małego ducha, żałośni ludzie. Niech jednak sobie myślą, co chcą, i mówią, co chcą. Nie dotarłem na stanowisko, które obecnie piastuję, będąc dla wszystkich miłym i grzecznym, przyznaję to. Wiem, że wielu ludzi w biznesie telewizyjnym ma do mnie pretensje o to, że jestem teraz karierowiczem, co tu dużo mówić, karierowiczem, który odnosi sukcesy. Jednak w chwili kryzysu powinniśmy wszyscy puścić w niepamięć osobiste niesnaski i wspólnie przystąpić do pracy na rzecz naszego bezpieczeństwa. Mamy właśnie taki kryzysowy czas i właśnie dlatego zwiększyłem moją nagrodę. Nie wolno nam już stracić ani jednego niewinnego życia. Już żadne dziecko nie może odnieść ran. Życzę sobie, żeby wszyscy terroryści z Dar Tariki Tariquat zostali osądzeni i umieszczeni tam, gdzie ich miejsce: w celi śmierci.

Nevile Strange przyjechał z godzinnym spóźnieniem. Prowadził czarnego mercedesa saloon, przynajmniej piętnastoletniego, lecz lśniącego i doskonale utrzymanego. Dzień był pochmurny. Chmury na niebie miały lawendowy kolor, a znad gór San Gabriel docierały słabe, lecz regularne grzmoty. Nevile, w czarnym garniturze i czarnej koszuli, z czerwoną chusteczką w butonierce, energicznie wyskoczył z samochodu.

–Przepraszam, Frank. Musiałem pojechać na miejsce wybuchu w Universal Studios.

–Straszne, prawda?

Nevile popatrzył na niego i skinął głową. Wyraz jego oczu mówił wszystko.

–Natknąłeś się na coś? – zapytał Frank. – Jakieś... psychiczne ślady?

–Mnóstwo przerażenia. Mnóstwo bólu. Na razie jest za wcześnie, żeby wyciągać z tego wnioski.

–Czy jesteś pewien, że dasz radę jeszcze dzisiaj przeprowadzić ten seans? Możemy go przełożyć.

Nevile potrząsnął głową.

–Nie. Dobrze mi zrobi, jeśli skoncentruję się na czymś innym. Tam było tak wiele głosów... Tyle chaosu...

Frank zaprosił Nevile'a do środka. Znalazłszy się w szerokim hallu z dębowymi boazeriami, jasnowidz zatrzymał się i rozejrzał dookoła, jakby wyczuł coś nadzwyczajnego.

–Wszystko w porządku?

–Tak, doskonale. – Stał jednak w miejscu, kręcąc głową na wszystkie strony, z uniesionym w górę palcem, jakby czegoś nasłuchiwał. – Czy Danny był twoim jedynym dzieckiem? – zapytał w końcu. – Tak mi chyba powiedziałeś, prawda?

–Tak.

–To dziwne – stwierdził Nevile.

–Dziwne? W jakim sensie?

–Bardzo słabo, ale wyczuwam tu obecność jeszcze kogoś, kto odszedł, poza Dannym.

–Jakiego rodzaju obecność?

–Trudno dokładnie powiedzieć. To słabo uchwytna obecność. Taka, która chciałaby pozostać poza polem widzenia, w sensie psychicznym. Nie wiem, czy to jest kobieta czy mężczyzna, czy dziecko. Może dziecko, które próbuje grać w chowanego?

–Przed nami mieszkało tutaj pewne małżeństwo. Ich córka zmarła, kiedy miała osiemnaście miesięcy.

–Cóż, może to chodzi właśnie o nią? Małe dzieci potrafią być bardzo złośliwymi duchami.

Frank zaprowadził go do salonu. Była tam już Lynn. Siedziała bez butów na kanapie i rozmawiała z Margot. Na małym białym stoliku przed nimi stały dwie fotografie w ramkach, oparte o wysoki wazon z liliami. Jedna przedstawiała Kathy, a

druga Danny'ego. Oboje byli uśmiechnięci. Kathy brakowało dwóch przednich zębów.

–Nevile, poznaj moją żonę Margot i Lynn Albee. Napiłbyś się czegoś? Na co masz ochotę?

–Nalej mi pernoda, Frank, albo ricarda. W anyżu jest coś takiego, co dodatnio wpływa na percepcję.

–Nevile wraca właśnie z Universal City – wyjaśnił Frank. – Policja poprosiła go, żeby zbadał psychiczne wibracje na miejscu wybuchu.

–Mój Boże – jęknęła Lynn. Była bardzo blada, niemal szara na twarzy, bez makijażu. Włosy miała związane z tyłu w koński ogon. Blandozielony golf nie dodawał jej kolorów. – Mój Boże, to musiało być straszne.

–Tak – przyznał Neville. – Było.

–Czy ciągle nie wiadomo, kim są ci ludzie... ci terroryści? – zapytała Margot. Ubrana była na białą, w luźną jedwabną bluzeczkę ze stójką i w szerokie jedwabne spodnie.

–Jeszcze nie – odparł Neville. – Oficjalnie mówi się, że to jakieś odgałęzienie Al-Kaidy, lecz wciąż nie można powiedzieć nic pewnego. Dostałem do potrzymania okulary przeciwsłoneczne zamachowcy albo przynajmniej to, co z nich pozostało, i muszę powiedzieć, że przekazały mi bardzo dezorientującą wiadomość.

–Okulary przeciwsłoneczne przekazały panu wiadomość? – zdziwiła się Margot.

–Tak. Kiedy z człowiekiem dzieje się coś dramatycznego, jego osobiste rzeczy często absorbują jego rezonans psychiczny. Okulary, biżuteria, buty, nawet ubranie. Zdołałem już w życiu zlokalizować zaginionych ludzi dzięki ich portmonetkom, zegarkom, a nawet fragmentom odzieży. Można mnie nazwać swego rodzaju psem myśliwskim. Jeśli tylko powącham psychiczny ślad, potrafię za nim podążać.

–No i co z tymi okularami?

–Nie wiem. Jest w nich złość i frustracja, ale jest także niepewność siebie. Dziwne, zakładamy, że ci ludzie są Arabami, a tymczasem okulary wskazują na żarliwego chrześcijanina, niemal fanatyka.

–Może to Arab, który się nawrócił? Zdarzają się takie rzeczy, prawda?

Frank podał Neville'owi kieliszek ricarda.

–Bardzo proszę, usiądź.

Nevile wypił łyk i dopiero potem zajął miejsce.

–Czy mogę zadać panu jedno pytanie? – odezwała się Lynn.

–Oczywiście. Chce mnie pani zapytać, czy Kathy będzie świadoma, że próbujemy się z nią skontaktować.

–Tak... Tak, rzeczywiście. Skąd pan wie?

Nevile uśmiechnął się, pochylił się nad stolikiem i sięgnął po rękę Lynn.

–Po pierwsze, musi pani zrozumieć, że każdy człowiek potencjalnie dysponuje takimi umiejętnościami, jakie ja rozwinąłem w sobie. Czyli pani, Lynn, i pani, Margot, i także ty, Frank. Umiejętność odbierania przesłań psychicznych to nic nadzwyczajnego, to zwyczajna umiejętność, z którą rodzimy się wszyscy, jednak tylko niewielu z nas w pełni ją w sobie rozwija.

–Czy to ma znaczyć, że gdybym bardzo się postarała, mogłabym nawiązywać kontakt z Kathy, kiedy tylko bym chciała?

–Tak, w zasadzie tak. Oczywiście, istnieją chwile, w których łatwiej jest kontaktować się z duchami, oraz takie, kiedy jest to trudniejsze. Są miejsca, w których kontakt z nimi jest prostszy. Jeśli chodzi o Kathy, są to takie miejsca, które ona dobrze zna, na przykład jej sypialnia.

–Muszę przyznać, że jestem trochę przerażona – powiedziała Margot. – Nawet bardziej niż trochę.

Nevile odwrócił się i z kolei ujął jej rękę.

–Nie ma powodu, żeby się czegokolwiek bać – powiedział. – Danny już zszedł z tego świata, ale to wciąż jest ten sam Danny. Przerażają nas tylko duchy tych ludzi, którzy przerażali nas za życia.

–Czy będę mógł zadawać Danny’emu pytania? – odezwał się Frank. – Czy będzie mnie słyszał?

To zależy. Odszedł bardzo niedawno, a takie przejście zawsze jest ogromnym szokiem. Mogą minąć dni i tygodnie, zanim duch zrozumie, że nie funkcjonuje już w fizycznym świecie. Czasami mijają lata, a duch nie potrafi zaakceptować, że istnieje tylko w świecie umarłych.

–Rozumiem – powiedział Frank. – Co musimy zrobić?

–Przede wszystkim nie wyciągajcie do ducha rąk. Nie musicie zamykać oczu, chociaż wielu osobom pomaga to w koncentracji. Musicie tylko myśleć o Danny’u i o Kathy i wyobrażać sobie ich takimi, jacy byli wtedy, kiedy ich widzieliście po raz ostatni. Patrzcie na ich fotografie i wyobrażajcie sobie, że nadal są z nami, nie ciałem, ale w naszych umysłach.

–Skąd będziemy wiedzieli, że nawiązał pan kontakt? – zapytała Lynn.

–Z tym bywa bardzo różnie. Czasami duchy są bardzo subtelne i kontaktują się za pomocą znaków, aluzji i za – szyfrowanych sugestii. Na przykład możemy nagle poczuć zapach, przypominający wspólnie spędzone chwile, a w tym samym czasie radio zacznie grać ulubioną melodię. Ale też zdarzają się sytuacje, że duchy ukazują się bardzo wyraźnie, słyszymy ich głosy, czasem nawet, jednak to jest rzadkość, także je widzimy. Potrzeba naprawdę wielkiej wrażliwości psychicznej, żeby zobaczyć kogoś, kto zszedł z naszego świata.

–Naprawdę więc można je nawet zobaczyć? – zapytał Frank.

–Niezupełnie. Takie widzenie bywa raczej powtórzeniem sytuacji, jaka zdarzyła się naprawdę w ziemskim życiu ducha. To jest mniej więcej tak jak wtedy, kiedy zobaczyłem śmierć Roberta.

–W porządku – powiedział Frank. – Czy jesteśmy gotowi?

Siedzieli w ciszy już prawie pięć minut. Neville złączył dłonie i wydawał się skupiony na czymś bardzo, bardzo odległym. Lynn bawiła się nerwowo końcem zielonego jedwabnego szala, którym była przepasana, a tymczasem Margot tkwiła nieruchomo w pozycji lotosu, z głową odchylną do tyłu, oddychając tak, jakby uczestniczyła w lekcji medytacji zeń. Frank, który do idei seansu przystępował z wielką nadzieją, teraz, kiedy Neville naprawdę był pomiędzy nimi, stawał się coraz

bardziej sceptyczny i z coraz większą obawą wyobrażał sobie chwilę, która nastąpi, jeśli nic podczas seansu się nie wydarzy.

Wpatrywał się w roześmianą twarz Danny'ego na fotografii i próbował sobie przypomnieć, jaki był, jeszcze szczęśliwy, żywy, jednak twarz ze zdjęcia wciąż przesłaniało mu ostatnie wspomnienie Danny'ego – siedzącego na tylnym siedzeniu samochodu, wpatzonego w niego szklistymi oczyma, martwego.

Niespodziewanie Neville wyprostował się i odchrząknął.

–Kathy, twoja mama cię szuka. Kathy, czy mnie słyszysz?

Lynn nie potrafiła opanować głośnego jęku. Szybko zasłoniła usta dłonią.

–Kathy, czy wiesz, gdzie jesteś? Czy wiesz, co się z tobą stało?

Nastąpiła długa cisza, podczas której Neville wielokrotnie potakiwał. Jeden palec trzymał przy uchu, jakby kogoś uważnie słuchał.

–Kathy, jest tutaj twoja mama i bardzo chce z tobą rozmawiać. Chce, żebyś wiedziała, że bardzo cię kocha, tęskni za tobą i nigdy cię nie zapomni.

–Czy pan ją słyszy? – zapytała Lynn. – Czy to jest Kathy? Naprawdę pan ją słyszy?

–Jest bardzo blisko nas – zapewnił ją Neville. – Niech pani zachowa cierpliwość.

Przez kolejne dwie lub trzy minuty siedział w milczeniu, po czym odezwał się:

–Kathy? Czy zechcesz porozmawiać ze swoją mamą, kochanie? Mama naprawdę chciałaby się przekonać, że tutaj jesteś.

Neville znów sprawiał wrażenie, że nasłuchuje.

Mam nadzieję, że to nie jest szopka, myślał Frank. W końcu każdy może udawać, że rozmawia z duchem. Nawet ja bym to potrafił. Do tej pory nie przedstawił przecież żadnego dowodu, że naprawdę z kimkolwiek rozmawia.

–Co mówisz, Kathy? – zapytał Neville. – Nie wiesz, co się stało? Był wypadek, kochanie, oto, co się stało. Ty i kilkoro twoich przyjaciół zostaliście ciężko zranieni, Przeszłaś do świata, do którego przechodzą wszyscy ludzie, kiedy umrą.

Jeszcze chwilę słuchał, po czym odezwał się do Lynn:

–Ona niewiele z tego rozumie. Chciałaby się dowiedzieć, dlaczego nie może wrócić do domu.

Oczy Lynn wypełniły łzy.

–Niech pan jej powie, że ją Kocham. Proszę, niech pan jej powie, że zawsze będę ją kochała.

–Jesteś pewien, że rozmawiasz z Kathy? – zapytał Frank. – Oczywiście, nie chcę cię krytykować ani nic takiego, ale wokół nas mogą się znajdować tysiące duchów. W jaki sposób łączysz się akurat z tym duchem, z którym akurat chcesz?

–Och, nietrudno jest odszukać właściwego ducha. Duch Kathy krąży blisko matki, tak samo jak duch Danny'ego jest blisko ciebie i Margot. Duchy nigdy nie opuszczają tych, których kochają.

Nastąpiła kolejna przerwa, po czym Neville skinął głową.

–Tak – powiedział. – Tak. – Odwrócił się do Lynn i wyjaśnił: – Kathy powiedziała, że także panią kocha i nie może się doczekać, kiedy wróci do domu.

–Czy to naprawdę ona? – zapytała Lynn. – Chyba nie mówi mi pan tego

wszystkiego dlatego, żebym poczuła się lepiej? Proszę, niech pan mnie upewni, że to jest naprawdę ona.

–Kathy – powiedział Neville – mama chce usłyszeć twój głos. Mogłabyś z nią porozmawiać?

Nic. Była już prawie trzecia po południu i Frank na serio zaczął żałować, że w ogóle zaprosił Neville'a. Jeśli Margot z głębi serca potrafi mi wybaczyć, to i ja, z upływem czasu, wybaczę samemu sobie, pomyślał. Wcale nie potrzebuję tego wymuszanego angielskiego jasnowidza, żeby mi powiedział, iż Danny nie ma do mnie żalu.

–Kathy – powtórzył Neville z perswazją w głosie. – No, kochanie, odezwij się do mamy.

I znów nic. Lynn przestała płakać i popatrzyła na Franka takim wzrokiem, jakby i ją zaczęły dręczyć wątpliwości. Nagle Neville chwycił rękę Lynn i powiedział:

–Ona myśli, że to była pani wina.

–Moja wina?

–Nie chciała jej pani zabrać na lekcję tańca i posłała ją pani właśnie tam, gdzie się teraz znajduje.

Lynn powoli otworzyła usta.

–Skąd pan to wie? Skąd pan wie o lekcji tańca?

–Kathy mówi także, że ukarała ją pani za złe wyrażanie się o nosie Gene'a.

–Och, mój Boże!

–Kathy bardzo przeprasza i chce już wrócić.

–Och, nie, o mój Boże! Moje dziecko... – Lynn zaczęła gryźć palce, a po policzkach pociekły jej łzy.

Neville bardzo mocno ścisnął jej rękę.

–Ona tutaj jest, Lynn. Niech pani jej powie, że ją kocha. Niech pani jej powie, że to, co się stało, było wypadkiem, że to nie była pani wina.

Lynn wzięła głęboki oddech i wykrzyczała:

–Kathy, ja nie... – Nie była jednak w stanie powiedzieć nic więcej.

Margot otoczyła ją ramieniem i przycisnęła do siebie, gdy tymczasem Neville wciąż trzymał ją za rękę i wpatrywał się w nią, jakby koniecznie chciał usłyszeć, co ma do powiedzenia.

On naprawdę słyszy tę dziewczynkę, pomyślał Frank. Naprawdę ją słyszy. Lekko uniósłszy się z fotela, wyciągnął rękę ku Margot i właśnie w tym momencie kątem oka coś zauważył – jakąś niewyraźną plamę, ruch – i skierował spojrzenie ku oknom wychodzącym na patio. Poczuł, jak włosy stają mu dęba.

Na patio stał Danny w szkolnym stroju, z tornistrem z X-Men na ramionach. Był śmiertelnie blady i patrzył w przestrzeń pustymi oczyma tak samo jak wtedy, gdy Frank znalazł go martwego w samochodzie. Sylwetka Danny'ego rozmazywała się, chwilami w ogóle zniknęła Frankowi z pola widzenia, ale zawsze powracała. Niewątpliwie spojrzenie Danny'ego skierowane było właśnie na niego.

Neville także popatrzył w tamtym kierunku.

–Jezu... – jęknął.

Margot wydała z siebie dźwięk, który z pewnością byłby głośnym krzykiem, gdyby tylko miała dość powietrza w płucach. Z jej ust wydostał się jednak tylko cichy pisk.

–To Danny. – Frank usłyszał własne słowa.

–Nie ruszaj się – ostrzegł go Neville. – Nawet nie myśl o tym, żeby się do niego zbliżyć. Jest wystarczająco zszokowany, chyba nie chcesz go dodatkowo przestraszyć?

–Ale musimy go wpuścić do środka – powiedziała Margot błagalnie.

–To jego duch, Margot. Jego rezonans. To nie jest fizyczny Danny. Jeśli tylko sam będzie chciał wejść do środka, nic mu nie stanie na przeszkodzie i z pewnością wejdzie.

–Danny – powiedziała Margot. – Danny, możesz ze mną rozmawiać? Och, Danny, tak bardzo cię kocham...

Danny wciąż patrzył w przestrzeń niewidzącym wzrokiem i milczał. Ciszę przerwał Frank.

–Danny, czy mnie słyszysz? Nie wiedziałem wtedy, że zostałeś ranny. Gdybym tylko wiedział...

–Mama i tata kochają cię, Danny – wtrącił się Neville. – Powiedz im, że także ich kochasz.

Minęła kolejna minuta. Danny wciąż stał nieruchomo, wpatrzony w przestrzeń, i nic nie mówił.

–Danny – ciągnął Neville. – Czy rozumiesz, co się z tobą stało? Czy wiesz, gdzie teraz jesteś?

I właśnie w tym momencie usłyszeli cichy, przytłumiony głos, zdający się dobiegać z odległości o wiele mniejszej, niż stał duch Danny'ego.

–Jego to nie obchodziło.

–Kogo nie obchodziło?

–Mojego taty. Umierałem, a jego to wcale nie obchodziło.

–Danny! – zawołał Frank. – Przysięgam na Boga, nie wiedziałem, że jesteś tak ciężko ranny. Przysięgam.

–Umierałem, wołałem cię i wołałem, ale ty mnie nie słyszałeś, byłeś głuchy, nie wróciłeś do mnie.

–Danny... – Nic więcej nie zdołał wyksztusić.

–Chcesz, żebym ci wybaczył, ale wtedy cię nie obchodziłem i nigdy ci tego nie wybaczę, przenigdy. Mam nadzieję, że codziennie, aż do własnej śmierci, będziesz widział moją martwą twarz, i życzę ci, żebyś po śmierci poszedł do piekła.

–Danny, na miłość boską...

–Nie powołuj się na niczyją miłość, tato. Pozbawiłeś mnie życia, ponieważ nie obchodziłem cię, kiedy umierałem, a brak miłości to największy spośród wszystkich grzechów.

Frank postąpił krok w kierunku okna. Margot złapała go za rękaw i zawołała:

–Nie!

Uwolnił się od niej i poszedł dalej. Przystanął dopiero wtedy, gdy twarzą niemal uderzył w szybę. Danny ciągle się nie ruszał. Stał na patio z bladą twarzą i oczyma

wpatrzonymi w bezkresną przestrzeń.

–Ostrożnie, Frank – powiedział Neville. – To, co się z nim stało, kompletnie go rozstroiło. Nie pogarszaj sytuacji.

–A co tu jeszcze można pogorszyć? Pozwoliłem mu umrzeć, a on nie chce mi tego wybaczyć.

–Daj mu trochę czasu.

–Czasu? Jakiego czasu? Przecież skutecznie odebrałem mu wszelki czas, jaki miał w życiu.

–Frank – ostrzegł go Neville, on jednak złapał za klamkę i nacisnął ją. – Frank, zastanów się, co robisz.

Pchnął na bok przesuwane drzwi. Stanął na progu. Na werandzie nie było nikogo, wiał jedynie lekki wiatr, a w powietrzu unosił się gryzący zapach eukaliptusów.

–Danny, ja nie wiedziałem – wyszeptał Frank. Nad górami San Gabriel uderzył piorun. – Przepraszam cię, Danny. Naprawdę nie wiedziałem.

Wrócił do salonu. Margot stała w najdalszym kącie, twarzą do ściany. Neville stał obok Lynn i ścisnął jej dłoń.

–Co teraz? – zapytał Frank.

–Danny wybaczy ci w końcu, zobaczysz. Po prostu potrzebuje czasu.

Frank kończył właśnie wypisywanie czeku, przyciskając blankiet do dachu mercedesa Neville'a. Podpisał go i podał jasnowidzowi.

–Muszę powiedzieć, że ciężko zapracowałeś na te pieniądze.

–Sam nie wiem, Frank. Wciąż mam wrażenie, że coś tutaj nie gra. Oczywiście, już wcześniej miałem do czynienia z manifestacjami wizualnymi, ale to był pierwszy raz, kiedy ducha zobaczył ktoś oprócz mnie.

–Cóż, może spróbujemy jeszcze raz, kiedy Danny'ego pochowamy? Może po pogrzebie lepiej się znajdzie w swojej sytuacji?

–Kiedy pogrzeb?

–W środę rano, w Oak Lawn. Zapraszam cię, jeśli tylko zechcesz...

–Być może się zjawię. Dzięki. I dziękuję za... – Uniósł do góry czek, na którym jeszcze nie wysechł atrament.

Frank patrzył za odjeżdżającym mercedesem, dopóki nie stracił go z oczu. Kiedy skierował się z powrotem do domu, zobaczył, że Margot i Lynn wychodzą. Lynn przyciskała do ust chusteczkę, a Margot posłała mu spojrzenie, które znaczyło: „Tylko się do nas nie zbliżaj”.

–Zawiozę Lynn do domu – powiedziała. – Potem odwiedzę rodziców.

–Rozumiem. O której wrócisz?

–Nie wiem. Być może zostanę u nich na noc. W lodówce zostało trochę jedzenia, jeśli jesteś głodny.

–Margot...

–Nic nie mów, Frank. Trudno mi uwierzyć w to, co się dziś stało, ale jednak to się stało. Potrzebuję trochę czasu, żeby wszystko przemyśleć.

–Słyszałaś, co powiedział Neville. Danny jest kompletnie rozbity. Nie wie, co mówi.

–On nie żyje, Frank, i nie chce ci tego wybaczyć. Czy to ci nic nie mówi?

Frank nie znalazł na to odpowiedzi. Stał na werandzie i patrzył, jak Margot wycofuje samochód, potem z piskiem opon wyjeżdża na ulicę i nieuchronnie oddala się w kierunku Hollywood Way.

Właśnie zamierzał wejść do domu, kiedy zza rogu wyłonił się szary ford taurus. Po chwili zatrzymał się przed jego posesją. Z auta wysiedli porucznik Chessman i detektyw Booker.

–Panie Bell! Cieszę się, że zastaliśmy pana w domu. Idąc podjazdem w jego kierunku, porucznik Chessman wyciągnął z kieszeni notes i długopis.

–Mam nadzieję, że nie przeszkadzamy panu. Chciałbym uściślić pewne sprawy i liczę na pana pomoc. Może odgrzebie pan jeszcze w pamięci jakieś szczegóły?

–Poruczniku, wszystko już panu powiedziałem.

–Tak, nie wątpię. Wciąż jednak nie potrafię zidentyfikować kobiety, którą spotkał pan bezpośrednio po eksplozji. Dotarłem do wszystkich naocznych świadków wybuchu, ustaliłem ich miejsca pobytu bezpośrednio przed eksplozją i natychmiast po niej. Ta kobieta wciąż jednak pozostaje dla mnie zagadką. W ogóle nie wiem, kim ona jest, co robiła w Cedars i co widziała.

–Przykro mi, ale nie wiem, jak mógłbym pomóc panu w tej sprawie. Zapytałem ją, czy nic się jej nie stało, a ona zapytała mnie o to samo. Więcej słów nie wymieniliśmy. Podałem swój adres jednemu z funkcjonariuszy, a potem, kiedy się odwróciłem, już tej kobiety nie zobaczyłem.

–Czy zauważył pan w niej coś charakterystycznego? Cokolwiek.

–Miała około pięciu stóp i czterech cali wzrostu, dwadzieścia kilka lat i krótkie włosy.

–Jak była ubrana?

–W prostą sukienkę. Jeśli dobrze pamiętam, żółtą albo kremową.

–A buty? Czy zauważył pan jej buty?

–Miała tylko jeden sandał. Taki zwyczajny. Brązowy.

–Rozumiem. I nic więcej w związku z nią pan nie pamięta? Nie miała przypadkiem jakiejś rzucającej się w oczy biżuterii? Nie powiedziała nic dziwnego, zaskakującego?

–Przykro mi, ale nie.

Porucznik Chessman położył dłoń na jego ramieniu.

–Dobrze, panie Bell. Dziękuję, że poświęcił nam pan swój cenny czas. Jeżeli to możliwe, niech pan powróci jeszcze myślami do tego poranka i spróbuje sobie wyobrazić tę młodą kobietę. Jeśli tylko coś pan sobie przypomni, naprawdę, cokolwiek, proszę natychmiast o telefon.

–Czy ona jest o coś podejrzana?

–Och, nie. Po prostu musimy być dokładni. W takich przypadkach jak ten absolutna dokładność to połowa sukcesu.

Kiedy policjanci odjechali, Frank wrócił do domu. Zatrzymał się na patio, rozejrzał się, jednak po Dannym nie było nawet śladu. Dannym, jego psychicznym wizerunku albo jego duchu, cokolwiek to było. Niebo nad górami powoli się przejaśniało i nagle zaświeciło słońce. Jednak Frank drżał.

Miał nieodparte przekonanie, że w jego życiu dzieje się coś, czego on nie rozumie. Czuł się niemal jak zdradzany mąż, który wraca zbyt wcześnie do domu i na stoliku w hallu znajduje cudze kluczyki do samochodu, albo odbiera telefony i zamiast głosu rozmówcy słyszy po drugiej stronie jedynie trzask odkładanej słuchawki. Miał wrażenie, że wszyscy dookoła wiedzą więcej od niego. Dlaczego porucznik Chessman tak bardzo się upiera, żeby znaleźć Astrid? Dlaczego Neville uważa, że „coś tutaj nie gra”? Dlaczego Astrid nie chce mu wyjawić, kim naprawdę jest?

Mógł powiedzieć porucznikowi Chessmanowi, że spotyka się z Astrid. Powinien był mu powiedzieć. Ale istnienie Astrid było jedyną tajemnicą znaną tylko jemu i nikomu innemu. Chociaż nie do końca zdawał sobie sprawę dlaczego, chciał tę tajemnicę zachować dla siebie, przynajmniej na jakiś czas.

Zadzwoił telefon. Mo.

–Jak leci, przyjacielu?

–Gorzej być nie może.

–Słyszałeś najnowsze wiadomości? To całe Dar Tariki Lunatyki zażądało, żeby natychmiast usunąć z telewizji wszelkie audycje o niemoralnych treściach. Grożą, że w przeciwnym wypadku przeprowadzą największy zamach terrorystyczny od

jedenastego września.

–Czego zażądali? To szaleństwo! Co to właściwie znaczy, „niemoralne treści”? Przecież właściwie każda audycja rozrywkowa, każdy film, zawiera coś, co można pod to podciągnąć. Opery mydlane, seriale policyjne, wszystko. Jak można pokazywać, że dobro zwycięża nad złem, w ogóle nie pokazując zła?

–W każdym razie, przyjacielu, to ultimatum.

–Jak to przyjęli ludzie z branży?

–Na razie zgrywają chojraków.

Pojechał do Sherman Oaks odwiedzić swoją siostrę Carol. Carol mieszkała z mężem, Smittym, oraz trójką dzieci w dużym starym domu na rogu Stone Canyon Avenue. Na trawniku od strony ulicy wiecznie walały się plastikowe skutery i zabawki, a na podjeździe parkował zielony plymouth barracuda z 1968 roku, zawsze pozbawiony jakiejś części.

Znalazł Carol w kuchni, zagraconej rondlami najróżniejszych rozmiarów, próbującą przygotować estofado. Była beznadziejną kucharką, co stanowiło jedną z przyczyn, dla których nie odwiedzał jej zbyt często. Ostatnim razem, kiedy był u niej na kolacji, przygotowała gotowaną pierś kurczaka w kremie chili. Odchorował tę ucztę, spędzając cały następny dzień na sedesie, szczękając zębami i modląc się o szybką śmierć. Do tej pory nie rozumiał, jakim cudem Carol nie otruła jeszcze swojej rodziny.

–Wyglądasz, jakbyś wyszedł z wyżymaczki – powiedziała Carol, krojąc zieloną i czerwoną paprykę.

Była potężnie zbudowaną kobietą, trzy lata starszą od niego. Miała takie same jak on brązowe oczy, ale bardziej okrągłą twarz i grubszy nos. Jej ciemne, kręcone włosy układały się tak bezładnie, jakby nigdy ich nie czesała.

–To wszystko nas wykończyło – powiedział. – Margot i mnie. To chyba koniec.

–Hej, oboje nadal jesteście w szoku.

–Wszyscy jesteśmy w szoku.

–Wszyscy?

–Ja, Margot, także Danny. Dziś po południu przeprowadziliśmy seans spirytystyczny. Słyszałaś o tym Angliku, Neville’u Strange’u, detektywie jasnowidzu? O tym, który pomaga policji znaleźć sprawców wybuchu.

–Seans spirytystyczny? Na miłość boską, Frank, nie wiedziałam, że wierzysz w takie bzdury!

–Nie wierzę. Nie wierzyłem. Aż do dzisiaj. Widziałem Danny’ego, siostró. Naprawdę go widziałem, słyszałem także jego głos.

Do kuchni wszedł Smitty. Był mniej więcej o dwa cale niższy od Carol. Miał rzadkie jasne włosy, które jakby się uparły, żeby rosnać w górę i sterczeć pionowo na jego głowie, niebieskie oczy i bezustanny wyraz zdziwienia na twarzy. Wziął kawałek czerwonej papryki i zaczął ją szybko gryźć bardzo nierównymi zębami.

–Czyżbym usłyszał słowa „seans spirytystyczny”?

–Dokładnie to – odparł Frank. – Spotkałem tego całego Neville’a Strange’a, kiedy kręcił się wokół Cedars. Powiedział, że potrafi kontaktować się z ludźmi, którzy zesli

z tego świata, poprosiłem go więc, żeby porozmawiał z Dannym. Chciałem usłyszeć, że Danny wybacza mi to, co się stało. Nie, to nie do końca tak. Chciałem, żeby to Margot usłyszała, jak Danny mi wybacza.

–Co tu jest do wybaczenia? – zdziwił się Smitty. – Na miłość boską, wybuchła bomba. A poza tym seans spirytystyczny... Przecież to bzdura.

–Tym razem to nie była bzdura.

–Naprawdę? Moja staruszka poszła też na taki seans, kiedy ojciec kopnął w kalendarz. Medium powiedziało jej, że ojciec czeka na nią w niebie, bo chce znów tańczyć z nią przez całą noc, jak dawniej. Oczywiście, kompletna bzdura, bo mój staruszek stracił obie stopy na wojnie. Głupiec stanął zbyt blisko czołgu.

Carol machnęła ręką, żeby go uciszyć.

–Naprawdę widziałeś Danny'ego? – zapytała Franka.

–Stał na patio. Widziałem go tak, jak teraz widzę ciebie. Zresztą wszyscy go widzieliśmy.

–Mówisz poważnie? – zapytał Smitty, pochłaniając kolejny kawałek papryki.

–Powiedział, że to wyłącznie moja wina, że nie żyje. Powiedział też, że chce, abym poszedł do piekła.

Smitty stanowczo pokręcił głową.

–Nie powinieneś w ogóle się tym przejmować. Niczego nie widziałeś, to było tylko złudzenie optyczne. Tak właśnie postępują te wszystkie media. Łudzą ludzi. Optycznie i finansowo. Chyba nie zapłaciłeś temu facetowi, co?

Siedzieli na huśtawce na tyłach domu, ciesząc się ostatnimi ciepłymi promieniami słońca, pijając piwo i gryząc prele. Trzech chłopców Carol bawiło się na trawniku, udając kosmiczne ninje.

–Uwierz mi, nie stracisz Margot – mówiła Carol. – Ona zawsze była bardzo zamknięta w sobie, prawda? Teraz potrzebuje czasu, żeby samodzielnie przetrwać w głowie wszystko to, co się wydarzyło.

–Pewnie masz rację. Jednak czuję się tak, jakby z mojego małżeństwa coś wyciekło. Coś, co już nigdy nie wróci.

–Takie jest życie, Frank. Niemal na każdym kroku, każdego dnia, nieodwołalnie coś tracimy.

Popatrzył na Carol. Doskonale rozumiał, co ma na myśli. W wieku dziewiętnastu lat poślubiła swojego ukochanego ze szkoły średniej, Nicka Vereno. Była wtedy tak szczęśliwa, że wprost kwitła. Rodzina nie widziała jej takiej nigdy przedtem ani potem. Przez siedem miesięcy była niemal ładna. Pewnego dnia jednak Nick nie wrócił na noc, a po siedmiu dniach powiedział jej, że spotyka się z kimś innym – dwudziestoosmioletnią tancerką o niewiarygodnie powiększonym biuście, matką dwuletniego synka. Szczęście Carol zgasło jak światła w pustym domu, kiedy wychodzi się z niego po raz ostatni.

Smitty pociągnął kolejny łyk i powiedział:

–Wiesz, co powinieneś zrobić, Frank? Powinieneś namówić tego całego Strange'a, żeby zrobił to jeszcze raz. Chociażby dla udowodnienia ci, że to, co widzieliście, nie było złudzeniem. Stawiam ci homara na obiad, że tego nie powtórzy.

–A propos obiadu, czyżby się coś przypalało? – zapytał Frank, pociągając nosem.

–Cholera jasna! – zawołała Carol. – Zapomniałam, że nastawiłam dodatkową porcję!

Popędziła do domu. Tymczasem Smitty nadal kołysał się ze stoickim spokojem, popijając piwo.

–Może powinniście z Margot odpocząć od siebie przez jakiś czas? – zasugerował.

–Odpocząć?

–Cóż, moim zdaniem, gdyby między wami wszystko było w porządku, nie winiłaby cię tak bardzo za to, co się przytrafiło Danny’emu. Może oboje powinniście się cofnąć o krok i z perspektywy popatrzeć, co między wami jest nie tak? Chyba rozumiesz, małżeństwo jest małżeństwem, ale na tym świat się nie kończy. Carol była żoną Nicka i doskonale wiem, że nosi w sobie wieczny płomień, który właśnie on rozpałił, ponieważ był przystojny, czarujący i w ogóle był wszystkim, o czym kiedykolwiek marzyła. Jednak mimo to jesteśmy ze sobą tak blisko, że właściwie nie wiadomo, gdzie jedno z nas się kończy, a drugie zaczyna.

Wypił zawartość puszki do dna, zgniótł ją i wrzucił do kosza.

–Nie chcę źle mówić o Margot, ale zawsze wydawała mi się zbyt smętną osobą. Ty z kolei jesteś facetem, który nie potrafi zachować powagi dłużej niż przez pięć minut.

– Smitty wciągnął nosem powietrze i dodał: – Posłuchaj mojej rady, Frank, nie rób niczego na siłę. Nabierz dystansu. Margot z pewnością postara się dojść do siebie, skleić wszystko do kupy, zobaczysz. Ty także podejmij taką próbę, niezależnie od tego, jakiego musiałbyś używać przyklepca.

Frank i Smitty wypili razem tyle piwa, że Frank musiał spędzić noc na kanapie. Około wpół do trzeciej nad ranem jeden z dwóch psów myśliwskich, które miała rodzina Carol, polizał go po twarzy i Frank zerwał się z głośnym okrzykiem przerażenia. Pies zaczął machać ogonem i biegał do drzwi i z powrotem, pokazując mu, że chce wyjść na spacer.

Przez kuchenne drzwi wypuścił psa na podwórko. Księżyc na niebie był tak jasny, że miało się wrażenie, iż jest już dzień. Frank stanął w progu, rozmyślając o wszystkich dobrych radach, jakie usłyszał od ludzi po śmierci Danny’ego. Chwilami wydawało mu się, że za jego plecami wszyscy ludzie tego świata dyskutują o jego losie. Starzec w baseballowej czapeczce. Neville Strange, porucznik Chessman. I Smitty.

Nabierz dystansu. Przekroczysz próg i nie będziesz już mógł powrócić.

Niespodziewanie podeszła Carol i objęła go.

–Dobrze się czujesz?

–Sam nie wiem. Chyba nie.

Rano, po zjedzeniu przypalonej jajecznicy na bekonie, pocałował Carol, potrząsnął dłonią Smitty’ego, dał po pięć dolarów każdemu dzieciakowi i odjechał. Jeep Margot stał już na podjeździe. Kiedy wszedł do domu, zobaczył ją, stojącą na środku pokoju, z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Wyglądała jak nauczycielka, niecierpliwie oczekująca na odpowiedź jakiegoś mało rozgarniętego ucznia.

–Cześć – powiedział. – Wszystko w porządku?

–A wyglądam na osobę, u której wszystko jest w porządku?

Frank spróbował popatrzeć na nią uważnie, mimo dręczącego go kaca.

–Nie wiem – mruknął. – Dlatego pytam.

–A więc nie, nic nie jest w porządku. W gruncie rzeczy jestem całkowicie zdruzgotana. Nie wiem, dlaczego mi to robisz, Frank. Zawsze uważałam cię za cynika. Myślałam, że to dlatego, że wszyscy, którzy piszą komedie, powinni być tacy. Jednak nigdy nie zdawałam sobie sprawy, że jesteś taki okrutny.

Nie mógł zrozumieć, o co jej chodzi. Zrozumiał dopiero, kiedy wszedł do salonu i zobaczył ściany. Oczy Margot były mokre od łez.

Każda z jej *Impresji w bieli* była zniszczona czerwoną farbą w aerozolu. Na jednej z nich widniała hitlerowska swastyka, na następnej ktoś napisał wielkimi literami: „Suka”. Na trzeciej narysowano wielką, obrzydliwą pochwę, przez następną biegło słowo „Wybaczyć?” Zużyte puszki farby leżały na upstrzonej czerwonymi plamami kanapie z białej skóry.

–Chryste, kto to zrobił?! – zawołał Frank.

Margot popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

–Kto to zrobił? I to ty mnie o to pytasz?

–Hej, chyba nie sądzisz, że to ja...

–A kto inny, Frank? Nikt poza tobą nie ma klucza do domu, nikt nie zna szyfru do alarmu. Nikt oprócz ciebie nie wie, ile dla mnie znaczy moje malarstwo. Nikt oprócz ciebie nie gardzi moimi obrazami i nikt oprócz ciebie nie uważa mnie za nazistkę i starą cipę dlatego, że obwiniam cię o to, co stało się z Dannym.

Frank to otwierał, to zamykał usta; po prostu nie wiedział, co odpowiedzieć Margot na te oskarżenia.

–Chcę, żebyś się stąd wyniósł, Frank. Nie interesuje mnie dokąd. Możesz uczestniczyć w pogrzebie, ale po nim nie chcę cię już widzieć do czasu, aż przez to wszystko jakoś przebrniemy.

–Margot, klnę się na Boga, to nie ja! Nawet mnie tutaj nie było w nocy. Pojechałem do Carol.

Margot stała przez chwilę, nie ruszając się z miejsca, z otwartą dłonią, przyciśniętą do czubka głowy. Wyglądała tak, jakby podejmowała właśnie jedną z najważniejszych decyzji w życiu.

–Margot, czy naprawdę wyobrażasz sobie, że byłbym zdolny do czegoś takiego? Jasne, rozzłościłem się na ciebie wczoraj wieczorem, ale więcej w tym było frustracji niż czegokolwiek innego. Potrzebuję cię, Margot, a ty potrzebujesz mnie. Musimy o wszystkim szczerze porozmawiać.

–Nie – odparła. – Nie rozmawiamy. Tobie chodzi tylko o to, żeby mnie ranić bez końca, ponieważ nie wybaczam ci tego, co zrobiłeś Danny’emu. Mogłabym ci wybaczyć, owszem. Nawet zaczęłam ci wybaczać. Ale to dla ciebie za mało, prawda? Chcesz, żebym udawała, że w ogóle nic się nie stało!

–Margot...

–Wychodzę, Frank. Będę z powrotem około trzeciej. Kiedy wrócę, nie chcę cię tutaj widzieć, bardzo cię proszę. Wyszła, zostawiając Franka na środku salonu,

którego ściany także zaplamione były czerwoną farbą. Czuł się, jakby obudził się tego poranka w jakimś równoległym świecie. Przecież był w nocy u Carol i Smitty'ego, prawda? Pies polizał go po twarzy i wyszedł z nim na podwórko, zalane światłem księżyca. A to wszystko się nie wydarzyło? Może rzeczywiście przyjechał tutaj i zniszczył czerwoną farbą wszystkie namalowane przez Margot *Impresje w bieli*?

Podszedł do obrazu zamalowanego swastyką i dotknął go. Czerwona farba wciąż była odrobinę wilgotna, nie mogła więc trafić na obraz dawniej niż przed trzema lub czterema godzinami. Wiedział z absolutną pewnością, że to nie jego robota. Nie mógł, po prostu nie mógł tego zrobić.

Ale jeśli to nie on, to kto?

–Joe twierdzi, że pod żadnym pozorem nie zlikwidują programu, ale moim zdaniem jeszcze jedna bomba i to zrobią – powiedział Mo.

–Niedorzeczność. Co zamierzają na dłuższą metę? Bez przerwy powtarzać *Rebekę ze Słonecznego Potoku*?

–Frank, każdy robi się coraz bardziej przerażony. Co się stanie, jeśli zdetonują bombę dokładnie w trakcie *Koła fortuny*? Albo co będzie, jeśli bomba wybuchnie podczas najnowszej *Mission Impossible* i przy okazji zabije Toma Cruise'a? Kompanie ubezpieczeniowe już wycofują się z wytwórni i z telewizji jak, nie przymierzając, Napoleon spod Moskwy.

Lizzie Fries zapaliła następnego more'a i wypuściła dym nosem.

–Może powinniśmy wprowadzić do scenariusza jakiegoś sympatycznego taliba, a wszystkie kobiety ubrać w czarczafy? – zaproponowała Lizzie.

–W Iowa?

–Tak tylko sobie powiedziałam.

Miała sześćdziesiąt dwa lata, rozwiane włosy w kolorze wyblakłej pomarańczy i była chuda jak szkielet. Miała ostre, wystające kości policzkowe i skórę jak jaszczurka. Zawsze nosiła długie spodnie, bluzeczki z falbankami, a na uszach zawieszała nieprawdopodobnie wielkie kolczyki. Kiedy miała dwadzieścia lat, była aktorką komediową i piosenkarką i nawet Lucille Ball przepowiadała jej wtedy, że będzie następną Lucille Ball. Jednak alkohol, tabletki i cztery nieudane małżeństwa zniszczyły jej urodę. Na szczęście nic nie zdołało osłabić jej poczucia humoru.

–Na czym więc stoimy? – zapytał Frank. – Czy w ogóle ma sens kończenie następnego scenariusza? Skoro nie ma szansy wejść na antenę, z równym powodzeniem możemy pograć sobie w golfa.

–Ciebie w ogóle nie powinno tutaj być – zauważył Mo. – Lizzie i ja damy sobie radę. Prześlemy ci pierwszy szkic pocztą elektroniczną i będziesz mógł go sobie podrzeć w zaciszu własnego domu.

–Chciałbym. Margot mnie z niego wyrzuciła.

–Co takiego?

–Wyrzuciła mnie. – Frank pokrótce opowiedział współnikom o seansie spirytystycznym i o Impresjach w bieli.

Lizzie rozgarnęła ręką kłęb dymu.

–Jesteś pewien, że to nie ty zniszczyłeś te obrazy? Bo nawet nie wiesz, jak często ja sama budzę się w nocy z nienasyconym pragnieniem malowania swastyk i damskich narządów płciowych na ścianach i w ogóle na wszystkim, na czym się da.

–To nie ja, Lizzie. Nie wiem, do diabła, kto, ale to z pewnością nie ja zniszczyłem te obrazy.

–A co z tym seansem spirytystycznym? – zapytał Mo. – Wiesz, Frank, odnoszę wrażenie, że jesteś bliski załamania. Może zamieszkałbyś przez jakiś czas ze mną i Sherma? Doszedłbyś przy nas do siebie.

–Boże, tego mu właśnie potrzeba! – zawołała Lizzie. – Rosołu i starych żydowskich dowcipów.

–Dziękuję za propozycję – powiedział Frank. – Myślę jednak, że lepiej będzie, jeśli spędzę trochę czasu w samotności.

–Chyba nie zrobisz nic głupiego?

–Co takiego? Myślisz, że usiądę w wannie i wrzucę do niej suszarkę do włosów? Nie, Mo, nie zrobię nic głupiego. Po prostu muszę na nowo poukładać sobie wszystko w głowie.

Pojechał do Venice. W odbiorniku samochodowym słyszał, jak dyrektor NBC zdeteminowanym głosem powtarza, że w żadnym wypadku nie da się zastraszyć terrorystom.

–Już pierwsza poprawka do konstytucji Stanów Zjednoczonych gwarantuje nam wszystkim wolność wypowiedzi i wolne media. Dla nas, w NBC, wolność jest więcej warta niż złoto i rubiny. W żadnym wypadku nie pozwolimy mniejszości maniaków zniszczyć spuścizny przekazanej nam przez Ojców Założycieli.

Z drugiej strony, podejmiemy wszelkie środki ostrożności, niezbędne dla ochrony naszych pracowników i naszej własności. Wszystkie osoby wchodzące do biur lub studiów NBC, niezależnie od powodu wizyty, zostaną starannie przeszukane. Jeśli spowoduje to opóźnienia i zakłócenia, cóż, niestety, będzie to cena, którą przyjdzie zapłacić za czujność.

W tym momencie włączył się spiker Will Chase:

–Mimo tych mocnych słów nadal obserwujemy w Hollywood falę ślepej paniki. Wszystkie główne sieci telewizyjne i studia filmowe, jak Fox, Universal, Sony, Warner Brothers, MGM/Pathé oraz studia Disneya w Burbank są strzeżone przez dodatkowe siły policyjne. Modne restauracje i nocne kluby, regularnie odwiedzane przez znakomitości filmowe i telewizyjne, zanotowały w ciągu ostatniego tygodnia istotny spadek obrotów. Polo Lounge w hotelu Beverly Hills ktoś określił ostatnio słowem „mauzoleum”, a Rodeo Drive nazwano „miastem duchów”. Firmom ochroniarzom brakuje ludzi do pracy. Firma Armet z Florydy, specjalizująca się w produkcji samochodów „dyskretnie zabezpieczonych przeciwko atakom bombowym” oraz opancerzonych furgonetek, twierdzi, że została wprost zarzucona zamówieniami bogatych, sławnych i przerażonych ludzi z Hollywood.

Cóż, to fakt, że przemysł telewizyjny i filmowy żyje w strachu i nikt nie ma wątpliwości, że wkrótce nastąpi kolejny zamach bombowy. Pytanie brzmi: kiedy i gdzie.

Frank zaparkował przed apartamentowcem, w którym mieszkała Astrid. Przez chwilę siedział za kierownicą, zastanawiając się, czy dobrze postępuje.

Siedział jeszcze w samochodzie, kiedy zza rogu ulicy niespodziewanie ukazał się jego stary człowiek w czapce baseballowej z długim daszkiem, ubrany w wyświechtane bordowe spodnie do joggingu i wyblakłą żółtą koszulkę. Przez chwilę mężczyzna jakby się wahał, czujnie rozglądając się to w lewo, to w prawo. Obliznął palec i unióś go w górę, jakby sprawdzał, z której strony wieje wiatr. Wreszcie, kuśtykając, podszedł do samochodu Franka i zapukał w boczną szybę. – Jak leci, Frank?

–Niezbyt dobrze.

–Nie trać nerwów, Frank. Z tego nic dobrego nie wyniknie.

–Nie straciłem nerwów. Po prostu nie potrafię zdecydować, co dalej. To wszystko.

–Może to nie będzie zależało od ciebie?

–Naprawdę? Kto więc podejmie za mnie decyzję?

–Los, karma, nazwij to, jak chcesz. Bywa, że przychodzi nam odgrywać wielką rolę w historii, a my nawet o tym nie wiemy. A to oznacza, że możemy jedynie stawiać jedną nogę za drugą na drodze, którą przemierzamy, i obserwować, dokąd dojdziemy.

–W środę chowam mojego jedyne go syna.

Starzec położył dłoń na brzegu szyby. Na każdym palcu miał srebrny pierścień. Jego paznokcie były czarne i połamane. Śmierdział uryną i alkoholem.

–Nic nie dzieje się bez przyczyny, Frank. Nie zawsze rozumiemy przyczynę, nie zawsze ją aprobujemy. A jednak ona istnieje.

–Zatem co powinienem teraz zrobić? – zapytał Frank. Był zmęczony, zgorzkniały, lecz mimo to chciał usłyszeć radę starego.

–Nie masz żadnego wyboru, Frank. Przeszedłeś przez próg. Teraz nie możesz już zawrócić.

Wiedział, że stary człowiek ma rację. Nie było już dla niego drogi powrotu. Dzień wczorajszy nie istniał. Siedział w milczeniu, wpatrując się w emblemat buicka na kierownicy, i niemal czuł, jak ktoś mu wysuwa spod stóp dywan zwany życiem.

Po ciszy trwającej niemal minutę stary człowiek odkaszlnął wreszcie i splunął.

–Dziesiątka.

–Jaka dziesiątka?

–Za duchową wskazówkę. Ostrzeżeń udzielam za darmo, to mój obowiązek filantropa. Jednak, przykro mi, za udzielanie duchowych wskazówek muszę pobierać minimalną opłatę.

Frank otworzył portfel i podał mu banknot dwudziestodolarowy. Starzec uśmiechnął się, obnażając cztery mahoniowe zęby.

–Jesteś dobrodusznym człowiekiem, Frank. Twoja dobroduszość zostanie pewnego dnia nagrodzona. Nie w tym roku. Może także nie w następnym, ale wtedy, kiedy będziesz się tego najmniej spodziewał.

Kuśtykając skrajem jezdni, oddalił się i zniknął za rogiem. Frank próbował sobie wmówić, że jego pojawienie się było zwykłym przypadkiem. W końcu starzec spędzał całe dni nad brzegiem oceanu, włóczęąc się w tę i z powrotem i denerwując ludzi. Poza tym, co przepowiednia o „stawianiu jednej nogi za drugą” miała wspólnego z duchową wskazówką? Przecież lepszą przepowiednię można uzyskać u każdej lipnej wróżki.

Frank wysiadł z samochodu i nacisnął dzwonek domofonu. Przez dłuższą chwilę nikt mu nie odpowiadał, więc zadzwonił jeszcze raz. Tym razem doczekał się reakcji.

–Kto tam? – usłyszał w interkomie.

–Frank. Przyjechałem do Astrid.

–Astrid? Tutaj nie ma żadnej Astrid.

–Czy to apartament numer trzy?

–Tak, apartament numer trzy.

–Pani ma pewnie na imię Carla. Przyjechałem odwiedzić dziewczynę, z którą pani mieszka. Być może podała mi niewłaściwe imię.

–Tu nie ma nikogo oprócz mnie.

–Czy to znaczy, że wyszła? Mógłbym zostawić jej wiadomość?

–To znaczy, że ja mieszkam tu sama.

–Słucham? To niemożliwe. Przecież zaledwie wczoraj po południu byłem z nią w tym mieszkaniu.

–To musi być jakaś pomyłka. Może chodzi panu o inny apartament? Bo w tym nie mieszka nikt poza mną.

–Niech pani mnie posłucha, bardzo proszę. Ona ma krótkie brązowe włosy i niebieskie oczy. Nosi pierścionki na dużych palcach u nóg.

Interkom się wyłączył i Frank pozostał sam przed zamkniętymi drzwiami. Jeszcze kilkakrotnie przyciskał dzwonek, ale Carla nie odpowiadała. Cofnął się i spróbował zajrzeć przez okna do apartamentu na pierwszym piętrze, ale zielone żaluzje były zaciągnięte. W końcu zniechęcony wszedł do samochodu.

Do diabła, co się dzieje, pomyślał. Doskonale wiem, że się nie mylę. Chyba że Astrid nigdy tutaj nie mieszkała. Może dowiedziała się tylko, że Carla wyjechała na kilka dni do Europy i rozgościła się w apartamencie, nie pytając jej o zgodę? Największy problem tkwił jednak w tym, że nie miał żadnej możliwości, żeby się skontaktować z Astrid. Nie znał jej numeru telefonu. Nie znał nawet jej nazwiska. Nagle zrozumiał, że – być może – już nigdy jej nie zobaczy.

Pojechał z powrotem do Hollywood, do hotelu Sunset Marquis przy Alta Loma Road, krótkiej, stromej ulicy, wznoszącej się od Holloway Drive w kierunku Sunset.

–Jak długo pozostanie pan u nas, panie Bell? – zapytał go recepcjonista. Miał jasne włosy, zaplecione w cienkie warkoczyki i wielkie oczy, którymi prawie wcale nie mrugał.

–Nie jestem pewien. Przynajmniej przez tydzień. A może do końca życia? Wszystko zależy, rozumie pan... od przeznaczenia.

–Od przeznaczenia – powtórzył recepcjonista. Nie sprawiał wrażenia zaskoczonego. W końcu w Sunset Marquis zatrzymywało się mnóstwo gwiazd rocka.

Pokój na pierwszym piętrze, który otrzymał Frank, był słoneczny i miał żółte ściany w kwieciste wzorki. Od razu pootwierał wszystkie okna, żeby do środka dostała się ciepła bryza. Wyjął z lodówki puszkę piwa, usiadł na jednym z dwóch wielkich foteli i zamknął oczy.

Nie trać nerwów, Frank. Z tego nic dobrego nie wyniknie.

Obudziło go ciche pukanie do drzwi. Przez krótką chwilę nie wiedział, gdzie jest, i myślał, że to Margot puka do drzwi jego gabinetu.

–Która godzina? – zapytał, chociaż przecież to nie była ona, a on nadal znajdował się w hotelu Sunset Marquis.

Pukanie powtórzyło się. Wstał ciężko z fotela i poszedł otworzyć drzwi.

–Kto tam?

–Służba hotelowa.

Otworzył. W progu jednak nie zobaczył pokojówki, lecz Astrid. Natychmiast minęła go i zakręciła się na środku pokoju.

–Hej, jak tutaj ładnie! Powiedziała, że prawdopodobnie znajdę cię właśnie tutaj.

–Kto tak powiedział?

–Twoja sekretarka.

–Sekretarka? Telefonowałaś do mojego biura?

–Najpierw pojechałam do ciebie do domu, ale twoja żona powiedziała mi, że się spakowałaś i wyprowadziłaś.

–Widziałaś się z Margot?! – zawołał. Pomyślał jednak co innego. To Margot widziała ciebie, w przyciasnej koszulce, krótkiej skórzanej spódniczce i skórzanych butach na szpilkach.

Astrid roześmiała się.

–Tak, rzeczywiście widziałam się z Margot. Co między wami zaszło? – Przybrała obrażony ton Margot: – Nie wiem, gdzie jest Frank, moja droga, i szczerze mówiąc, gównu mnie to obchodzi.

–Znowu się pokłóciliśmy. To chyba szok i żal. Cholera jasna, wszystko się tak skomplikowało. Minie dużo czasu, zanim oboje dojdziemy do siebie po śmierci Danny’ego.

Astrid popatrzyła na lodówkę.

–Będziesz miał coś przeciwko temu, że naleję sobie kieliszek wina?

–Poczekaj, naleję ci.

Napełnił kieliszki chilijskim różowym winem. Astrid wzniosła kieliszek i powiedziała:

–Za twój spokój.

Dopiero teraz Frank zauważył, że Astrid ma na grzbiecie nosa kilka jasnobrązowych kropek. Pijąc wino, popatrzyła mu w oczy, jakby chciała odgadnąć, o czym teraz myśli.

–Szukałem cię – powiedział. – Pojechałem najpierw do Carli.

–Przypuszczałam, że tak zrobisz.

–Dlaczego więc powiedziałaś mi, że tam mieszkasz, skoro to nieprawda?

–Bo tam mieszkam. Ale nie teraz.

–Rozumiem. Dokąd więc się przeniosłaś?

–Czy to ma znaczenie?

–Nie, chyba nie. Może po prostu jestem staroświecki?

Usiadła na kanapie. Jej skórzana spódniczka była tak krótka, że mógł dojrzeć trójkąt purpurowych koronkowych majtek.

–Wcale nie jesteś staroświecki, Frank. Masz skrzydła, ale nikt dotąd nie nauczył cię latać. Zbyt młodo odniosłeś sukces, zbyt młodo się ożeniłeś, zbyt młodo zostałeś ojcem. Cała ta odpowiedzialność, cały ten ciężar, który spadł na ciebie... Nie miałeś jeszcze szansy, żeby być sobą.

–To nie takie proste. Jak mogę być sobą, skoro nawet nie wiem, kim jestem?

Wyciągnęła rękę i zaczęła palcem rysować kółka na jego policzku.

–Myślę, że nadszedł czas, żebyś się tego dowiedział. Co ty na to?

–W środę jest pogrzeb Danny’ego. Może potem...

–Jego już nie ma, Frank. Wiem, jak bardzo go kochałeś, ale powinieneś już teraz zacząć myśleć, co będziesz robił w życiu. Ty, nikt inny.

–Tak, rozumiem. Problem tkwi w tym... – Czuł się zmęczony, zdezorientowany i z trudem przełykał ślinę.

Przez chwilę w milczeniu pili wino.

–Przeprowadziliśmy seans spirytystyczny. – Frank przerwał ciszę.

–Naprawdę? Właśnie miałam cię o to zapytać.

–Udało się. Neville Strange naprawdę to zrobił. Rzeczywiście nas połączył.

–Rozmawiałeś z duchem Danny’ego?

–Więcej, widzieliśmy go! Naprawdę go widzieliśmy stojącego przed oknem.

Wszyscy go widzieliśmy: Margot, Neville, ja i przyjaciółka Margot.

–Niewiarygodne. Jesteś pewien, że to nie była żadna sztuczka?

–Gdyby była, doprawdy nie wiem, jak mógł ją wykonać. Jednak najgorsze w tym seansie było to, że Danny powiedział mi, iż nie mogę liczyć na jego wybaczenie.

Astrid nadal głaskała go po policzku, potem przesunęła palce na włosy.

–Nie powinieneś brać sobie tego do serca. Moim zdaniem Neville Strange to tak czy inaczej zwykły oszust.

–Astrid, widziałem Danny’ego na własne oczy!

–Tak ci się tylko wydaje. Może to była tylko projekcja czy coś podobnego? Może to tylko tak wyglądało, że Danny stoi przed oknem, a Neville Strange rzucał na szybę jakieś obrazy?

–To był Danny. Skąd niby Neville zdobyłby jego wizerunek?

–Pewnie go wcale nie miał. Ale to ty chciałeś zobaczyć Danny’ego, więc uwierzyłeś, że to on.

–Nie, nie kupuję tego. To nie mogła być żadna projekcja. Poza tym Neville nie miał ze sobą żadnych przyrządów, nawet teczki.

–Może przygotował wszystko wcześniej? A może was zahipnotyzował?

Frank wstał i otworzył puszkę piwa.

–Wiem, co widziałem, Astrid.

–I Danny ci nie wybaczył?

–Nie.

–Dlaczego tak uważasz?

–Ponieważ zostawiłem go samego na tylnym siedzeniu samochodu, żeby wykrwawił się na śmierć, prawda? Wołał mnie, ale ja nie zjawiłem się w porę.

–Może duch Danny’ego nie chciał ci wybaczyć dlatego, że to najlepszy sposób, by Neville Strange zaproponował ci kolejny seans?

Frank powoli pokręcił głową.

–Myślałem, że to ja jestem cynikiem.

–Wcale nie jestem cyniczna, Frank. Po prostu myślę realnie. Czy przed śmiercią Danny’ego wierzyłeś, że martwi ludzie mogą powracać i rozmawiać z tobą? Wierzyłeś w duchy?

–Nie, nie wierzyłem.

–Byłeś przekonany, że kiedy ktoś umrze, to jest jego definitywny koniec, prawda?

–Tak.

–Ale teraz zmieniłeś zdanie, tak jak je zmienia wielu ludzi po stracie kogoś ukochanego.

–Wiem, co widziałem, Astrid. I wiem, co słyszałem.

–Skoro tak twierdzisz... Zważ jednak, że Neville Strange to bardzo sprytny facet.

Wie, jak grać na oczekiwaniach ludzi. Nawet policjantów. Czy naprawdę wierzysz, że ludzie pozostawiają po sobie rezonans psychiczny w okularach?

–Jestem bardzo zmęczony, Astrid. Uklękła na kanapie i odebrała mu puszkę.

–Powinieneś odpocząć – powiedziała i zaczęła mu rozpinąć koszulę.

–Hej, co robisz?

Na chwilę przerwała i wbiła w niego skupione spojrzenie.

–Potrzebujesz tego, Frank. Potrzebujesz kogoś, kto by się tobą zaopiekował.

Przynajmniej raz w życiu przestań czuć się odpowiedzialny za wszystko, co się dzieje wokół ciebie.

Powinien był kazać jej przerwać. Mógł jej powiedzieć, żeby zostawiła go samego. Jednak nie potrafił znaleźć w sobie aż tyle siły albo aż tyle woli. Nie oponował już, kiedy powróciła do rozpinania koszuli. Po prostu leżał i patrzył w oczy Astrid, jakby to one mogły mu wyjaśnić, dlaczego ona tak bardzo go pragnie. Jednak jej oczy były tak samo bladoniebieskie jak zawsze, puste jak wietrzne niebo i nie zdradzały mu absolutnie nic.

Rozpięła mu pasek od Gucciego i wyciągnęła koszulę ze spodni. Przesunęła dłonie po jego obnażonej klatce piersiowej i lekko ścisnęła brodawki.

–Lubię szczupłych mężczyzn – powiedziała. – Te wystające żebra. Jak u Jezusa.

Ściągnęła mu koszulę przez głowę. Następnie trzy razy pocałowała go w czoło.

–Namaszczam cię. Namaszczam cię. Namaszczam cię. Odwróciła się, po kolei uniosła jego nogi i ściągnęła z nich jasnoczerwone skarpetki.

–Wiesz, co znaczą czerwone skarpetki? Że odbędziesz podróż do piekła i z powrotem.

–Nie wiedziałem.

–To dlatego, że nigdy nie byłeś w piekle.

Potem rozpięła mu spodnie i zaczęła je zdejmować przez biodra. Jego członek pod białymi spodenkami od Calvina Kleina szybko sztywniał, ale zignorowała to aż do momentu, kiedy całkowicie ściągnęła spodnie i rzuciła je na podłogę, za oparcie kanapy. Następnie usiadła obok Franka i delikatnie położyła dłoń na jego członku. Popatrzyła na niego, a on na nią.

–Chyba nie jesteś do tego przyzwyczajony, co?

–Nie. Czego chcesz ode mnie?

–Gdybym ci powiedziała, nie zrozumiałbyś.

–Spróbuj.

Pochyliła się i pocałowała go w czubek nosa, a następnie w usta.

–Przed wszystkim chciałabym, żebyś się cieszył, że jesteś ze mną.

–Co dalej?

–Na razie wystarczy.

Nie wyjaśniając już nic więcej, ściągnęła mu spodenki i jego uwolniony członek wyprostował się, kołysząc się zgodnie z rytmem pulsu. Chwyliła go w lewą dłoń i ścisnęła tak mocno, że żołądek zrobiła się purpurowa.

–Ewę skusiło jabłko – powiedziała z uśmiechem – ja jednak wolę śliwki.

Powoli zaczęła go lizać, aż żołądek zaczęła lśnić od jej śliny. Uniosła głowę i popatrzyła Frankowi w oczy, jednak nitki śliny, niczym pajęczyna, wciąż łączyły czubek jej języka z jego członkiem.

Teraz zaczęła przesuwając językiem wzdłuż penisa, aż wreszcie dotarła do pomarszczonej skóry na jądrach. Po kolei brała każde z nich w palce, wsuwała je pomiędzy wargi i delikatnie ssała. Frank wsunął dłoń w jej włosy, lecz potrząsnęła niecierpliwie głową, dając mu do zrozumienia, że teraz jest jej kolej na zabawę, a on ma jedynie leżeć i cieszyć się tym, co czuje.

Znów przesunęła językiem w górę, a kiedy dotarła do żołądka, szeroko otworzyła usta i wzięła w niego członek tak głęboko, że przez chwilę Frank bał się, iż się udławi. Ssała go, wsuwając go niemal całego do ust, cały czas posuwając po nim językiem. Frank zamknął oczy. Boże, pomyślał, co się ze mną dzieje? W środku żałoby, w apogeum nieszczęścia, coś takiego.

Dawała mu nie tylko erotyczne zadowolenie. Najważniejsza dla Franka była bliskość Astrid, jej odurzający zapach i fakt, że tak bardzo dba o to, żeby było mu dobrze. Nigdy dotąd nie płakał, kochając się, teraz jednak łzy napłynęły mu do oczu. Nie mógł już wyrwać się z objęć emocji, które go ogarnęły.

Jeszcze raz wciągnęła członek Franka do ust, po czym usiadła. Wciąż trzymała go w dłoni. Usta dziewczyny lśniły, a na jej twarzy malowało się zadowolenie.

–Płaczesz – powiedziała triumfalnie. – Wiedziałam, że się rozplaczesz.

Prawą ręką ściągnęła koszulkę, odsłaniając koronkowy purpurowy stanik.

–Pozwolę ci to zrobić – szepnęła kusząco. Sięgnęła ręką do tyłu i rozpięła stanik. Jej duże krągłe piersi zakołysały się ciężko. Otoczki jej brodawek były podobne do płatków róż, z brązowymi brzegami.

Frank spróbował wziąć jej piersi do rąk, jednak odepchnęła go. Zaraz jednak pochyliła się nad nim tak, że jej brodawki zaczęły pieścić jego klatkę piersiową. Kołysała piersiami tak długo, aż brodawki zmarszczyły się i zeszywniały.

Za każdym razem kiedy unosił ręce, żeby ich dotknąć, odsuwała je. Czuł rosnącą frustrację, lecz zarazem z każdą chwilą był coraz bardziej podniecony. Serce biło mu tak mocno, że słyszał w uszach szum własnej krwi, a całe jego ciało dosłownie dygotało.

Astrid pociągnęła zamek błyskawiczny skórzanej minispódniczki i pozwoliła jej opaść na dywan. Teraz nie miała już na sobie nic oprócz skąpych majtek i butów do kostek.

–No chodź – powiedziała. – To także możesz ze mnie ściągnąć.

Powróciła na kanapę i usiadła na jego piersiach. Majteczki znajdowały się teraz na wprost jego oczu. Frank zawahał się, ale ona czekała, patrząc na niego z góry i

ciężko oddychając.

Napotkał jej wzrok.

–Nie wiem, czy mogę to zrobić.

–A więc nie rób – powiedziała, ale się nie ruszyła.

Wsunął palce pod brzeg majtek i przytrzymał go pomiędzy kciukiem a pozostałymi. Jej brzuch unosił się i opadał, całym ciałem czuł bijące od niej ciepło. Wiedział, że jakkolwiek podejmie decyzję, w jednej chwili zmieni się wszystko pomiędzy nimi. Jego życie nigdy już nie będzie takie samo.

–Już nie ma odwrotu, Frank – powiedziała.

Powoli zaczął zsuwać jej majtki. Włosy łonowe miała całkowicie wygolone, dlatego jej pochwę niemal uśmiechała się do niego niczym dojrzwały różowy owoc. Wargi były lekko rozwarte, widział więc jej wnętrze, już lśniąca wilgocią.

Znów spróbował jej dotknąć, ponownie jednak złapała go za przeguby i ciągnęła jego rękę.

–Nie tak. Musisz mi się całkowicie poddać.

–Nie jestem do tego przyzwyczajony.

–Widzę.

Chwyła jego członek i nakierowała go pomiędzy swoje nogi. Przez cały czas patrzył na nią, próbując zrozumieć, dlaczego to robi, jednak nie potrafił znaleźć odpowiedzi. Przez długi czas nie ruszała się, czekając, z głową uniesioną ku górze, wpatrzona w sufit. Wreszcie powoli usiadła i Frank pogrążył się w niej, najgłębiej, jak to możliwe. Astrid jęknęła z rozkoszy.

Kiedy się obudził, na dworze było już ciemno. Niebo miało kolor granatowego atramentu, zza okna dobiegało granie cykad, słyszał wesołe głosy i plusk wody w basenie, na który wychodziło okno jego pokoju.

–Astrid?

Ukazała się w drzwiach sypialni, w białym, puszystym hotelowym szlafroku, z kieliszkiem wina w dłoni. Jej krótkie włosy sterczały niemal pionowo. Uśmiechała się.

–Obudziłeś się wreszcie?

–Od wielu dni tak dobrze nie spałem.

Usiadła obok niego na łóżku i zmierzwiła palcami jego włosy.

–Potrzebowałeś tego. Bardzo potrzebowałeś, i to od dłuższego czasu.

–Powinienem się czuć winny.

Szlafrok Astrid rozchylił się i Frank ujrzał jej krągłe piersi. Pocałowała go w usta, długo, zmysłowo.

–A czujesz się?

Przez chwilę zastanawiał się nad tym i nagle zdał sobie sprawę, że przecież może powiedzieć jej prawdę. Minęło wiele czasu, odkąd z taką samą radością kochał się z Margot. Nigdy nie okłamał Margot w żadnej poważnej sprawie. Nie skłamał, na przykład, odpowiadając na pytanie, czy ją kocha. Ale też wiele razy powtarzał Margot, jak wielkie wrażenie wywierają na nim jej obrazy, jak bardzo lubi jej przyjaciół (szczególnie wścibską Helen Mitchell z włosami jak druty i jej wiecznie zakatarzonego męża Byrona) oraz jak uwielbia przygotowywany przez nią makaron z łososiem. Te

drobne nieprawdy rok za rokiem coraz bardziej wpelzały pomiędzy nich niczym bluszcz i tłamsiły radość wspólnego życia.

–Nie – odparł. – Jestem smutny, ale nie czuję się winny.

–Smutny?

–Smutny z powodu Danny’ego. Smutny z powodu Margot. Ale to jest tak jak stłuczenie cennej chińskiej porcelany. Nie da się już złożyć jej z powrotem. Najlepiej po prostu ją zapamiętać, taką jaka była w jednym kawałku, perfekcyjnie doskonałą.

–Chcesz, żebym została na noc?

Wsunął dłoń pod szlafrok Astrid i pogłaskał jej ramię. Tym razem nawet nie próbowała go odepchnąć.

–A jak sądzisz? – zapytał.

Tej nocy Astrid wyczyniała z nim rzeczy, o których marzył tylko w najśmielszych fantazjach, a których jednak nigdy nie śmiał wypróbować z Margot. Zdawała się nie mieć żadnych zahamowań i zarazem emanowała wprost niezaspokojonym głodem seksu. Za każdym razem kiedy turlał się na swoje miejsce w łóżku i chciał spać, jej ręce wędrowały ponad jego biodrami i zaczynały pieścić jego członek, a jej język wsuwał się głęboko do jego ucha.

–Chyba nie jesteś jeszcze zmęczony, prawda? – szeptała.

Krótko przed północą przyklękła nad jego twarzą, wygięta mocno do tyłu, trzymając się oparcia łóżka, a Frank lizał ją i lizał. Soki Astrid spływały po jego policzkach. O drugiej nad ranem wsunęła palec w jego odbyt i gryzła jego mosznę, aż zaczęła krwawić. O czwartej trzydzieści, pochrzakując, brał ją od tyłu na dywaniku przy łóżku. Piętnaście po szóstej, kiedy niebo już się rozjaśniło, znów na nim usiadła i kochała się z nim powoli, jak we śnie.

Jeszcze raz obudziła Franka trzy po ósmej, kładąc się na nim całym ciałem i muskając nosem jego szyję.

–Już dosyć, Astrid – jęknął błagalnym głosem. – Jestem wykończony.

–Nie martw się, staruszk. Muszę już iść. Zobaczymy się wieczorem.

Spróbował odwrócić głowę.

–Jak się mogę z tobą skontaktować? Pocałowała go jeszcze trzy razy, po czym zsunęła się z niego.

–Nie możesz. To ja się z tobą skontaktuję.

–Astrid – powiedział, patrząc, jak zapina biustonosz.

–Musisz mi ufać, Frank.

–Posłuchaj... Nie proszę cię, żebyś się do czegokolwiek zobowiązywała. Chcę tylko wiedzieć, dokąd mam zatelefonować na wypadek, gdyby się coś wydarzyło.

–Och! – zawołała. Usiadła obok niego i dotknęła prześcieradła między jego nogami. – Gdyby się coś wydarzyło?

Pocałował ją.

–Jesteś niesamowita, wiesz?

–Wcale się nie różnię od innych dziewcząt, Frank. Mówisz tak dlatego, że zapomniałeś już, jakie są dziewczyny... jeżeli kiedykolwiek coś o nich wiedziałeś.

Patrzył, jak Astrid się ubiera i szcnotkuje włosy.

–Sprawiasz, że czuję się... zupełnie inaczej.

–Wiem – powiedziała i złożyła na czole Franka najdelikatniejszy z delikatnych pocałunków. Po chwili wyszła.

Po jej odejściu Frank długo leżał na łóżku ze wzrokiem wbitym w ozdobne wzory na suficie. Zaczął rozmyślać o *Procesie*.

„Oczywiście, piaski Obecnego Czasu uciekają spod naszych stóp. A dlaczegożby nie? Wielka Zagadka, «Po co tutaj jesteśmy?», stanowi praktycznie wszystko to, co kiedykolwiek nas tutaj trzymało. Strach. «Po co tutaj jesteśmy?» A jednak Zagadka Wieków od dnia, w którym poczyniliśmy Pierwszy Krok w Przeszłości, w rzeczywistości przeniosła się na ulice. Jesteśmy tutaj, żeby iść naprzód!”

Wtorek, 18 września, godz. 15.27

–Hej, jak leci? – Garry Sherman wpadł niczym przeciąg do tak zwanej „poczekalni gościnnej” w Telewizji Panorama. Wokół szyi owinięty miał ręcznik, używany w charakterystyczny sposób. Jego włosy były czarne jak pióra kruk. Ubrany był w szafirowobłękitną marynarkę, a twarz miał niemal pomarańczową.

Troje jego gości siedziało wokół niewielkiego okrągłego stolika. Wszyscy jedli kanapki i pieczone udka kurczaka. Posiłek popijali winem z plastikowych kubków.

–Jesteście wszyscy zbyt spokojni, zbyt ugrzeczni – zauważył Garry z uśmiechem. – Nawet nie zaczęliście rzucać w siebie jedzeniem.

–Dopiero przygotowujemy się do boju – odparła Jean Lassiter. Była przystojną kobietą w wieku około pięćdziesięciu lat, o siwiejących włosach spiętych w kok. Ubrana była w łososiowy kostium i srebrne buciki zapinane na paski.

–Nie to chciałem usłyszeć – powiedział Garry z udawanym wstrętem. – Żądam agresji! Żądam wściekłości! Żądam walki osobowości!

–Och, bez obaw, doczekasz się mnóstwa sprzeczek – odezwał się doktor Fortensky. – To, że jesteśmy na ogół spokojnymi i sympatycznymi ludźmi, wcale nie oznacza, że nie różnimy się w naszych opiniach, i to znacznie. – Doktor Fortensky miał opaloną łysinę, a na nosie wielkie okulary w żółtych oprawkach, modne mniej więcej w połowie lat osiemdziesiątych.

–Właśnie – wtrąciła Sara Velman. – Do tej pory nie osiągnęliśmy zgody nawet co do tego, czym tak naprawdę jest dominacja seksualna. Czy jest to przypięcie kochanka kajdankami do łóżka i upapranie go makaronem z sosem pomidorowym, czy też zmuszanie go, żeby prasował własne koszule?

Sara Velman była brunetką o prostych włosach. Była osobą bardzo asertywną. Nic dziwnego, jako córka bardzo bogatych rodziców otrzymała bowiem staranne wykształcenie w Yassar.

–Och, marzą mi się kajdanki i spaghetti – westchnął Garry.

Do pomieszczenia zajrzał jakiś młody asystent w okularach.

–Panie Sherman, zostały dwie minuty! – zawołał.

Garry podszedł do lustra, wysunął podbródek, po czym kolejny raz sprawdził oba profile.

–W porządku. Przedstawię was po kolei osobom zgromadzonym w studio. Następnie powiem kilka sympatycznych pochwał na temat każdej z waszych książek; w tym czasie na ekranie pojawiać się będą ich okładki. Z kolei każde z was zapytam, co sądzi o dzisiejszym temacie programu: „Kobiety górą”. Potem zaproszę was do dyskusji. Chcę, żebyście mieszaali się nawzajem z błotem i najmniej mnie obchodzi, jakich słów będziecie używali. Możecie nawet wstawać z foteli i prać się po gębach. To nie jest show Jerry’ego Springera, a poza tym mój budżet nie przewiduje wynagrodzenia dla ochroniarzy. Mniej więcej w połowie zrobimy krótką przerwę na reklamy, po czym dopuścimy do głosu publiczność. Ludzie zaczną zadawać wam pytania. Niektóre z nich będą głupie, a niektóre nawet arcygłupie. Próbuje podkręcać publiczność, opowiadając jakieś osobiste anegdoty na temat dominacji seksualnej. Rozumiecie... Na przykład: „Zmusiłam męża, żeby na golasa smażył

kotlety”.

–Co jest złego w smażeniu kotletów na golasa? – wtrącił doktor Fortensky.

–Nic – odpowiedziała Jean Lassiter. – Pod warunkiem, że włoży się przynajmniej fartuch kuchenny.

–Co ci mówiłam, moja droga? – zapytała Sara Velman. – Wszyscy mężczyźni w skrytości pragną być kobietami. Pod każdym garniturem kryje się metaforyczny pas do pończoch.

–Dobra, już w porządku – przerwał im Garry Sherman, zacierając ręce. – Wynośmy się stąd i do roboty.

Poprowadził całą grupę korytarzem zastawionym mnóstwem krzeseł i przeróżnymi, chwilowo zbędnymi, elementami scenografii. Wreszcie znaleźli się w gorącym i rześkie oświetlonym studio. Publiczność – ponad sto osób – niecierpliwie już na nich czekała i kiedy Garry podszedł do swego krzesła obitego białą skórą, rozległy się radosne okrzyki, gwizdy i wreszcie burzliwe oklaski.

Asystent poprowadził gości Garry’ego na podwyższenie, na którym ustawione były trzy białe krzesła, trzy równie białe stoliki, a na nich szklanki z wodą.

Publiczność wpatrywała się w nich, jakby byli wypchanymi ludźmi z *Planety małp*.

–Dlaczego to robimy? – zapytała Sara. – Chyba zwariowaliśmy.

Jean machnęła lekceważąco ręką. – Żeby nasze książki lepiej się sprzedawały. Znasz jakiś inny powód?

–A kogo obchodzą książki? – zapytał doktor Fortensky. – Dostaliśmy ciepłe białe wino, doskonałe kanapki z serem i bilety lotnicze. Czego możemy chcieć więcej?

–Proszę o ciszę – powiedział producent i uniósł rękę.

Wtorek, 18 września, godz. 15.41

Na zewnątrz, przed studiem numer 5, gdzie nagrywano show Garry'ego Shermana, na małej ławce ogrodowej z włókna szklanego, pomalowanej tak, by wyglądała jak wykonana z kamienia, siedzieli Bill Dunphy i Joan Napela. Bill nasunął daszek czapki na oczy, Joan jednak zdjęła okulary przeciwsłoneczne i wystawiała twarz na słońce, żeby odświeżyć opaleniznę. W ciągu minionych trzech tygodni chodziła do pracy na nocną zmianę i zaczynała odnosić wrażenie, że jej skóra żółknie.

Parking był niemal zupełnie pusty, jeśli nie liczyć dwóch wózków stojących przed studiem nr 3, greckich kolumn na kółkach, oraz wysokiego rusztowania pod jedną ze ścian. Teraz, gdy wstrzymano wszelkie wycieczki, cały kompleks Telewizji Panorama był nienaturalnie cichy i pusty. Bill i Joan mieli dzisiaj do czynienia tylko z jednym gościem, a i tak okazał się nim jedynie specjalnie wezwany hydraulik, który miał przepłukać toalety w budynku dyrekcji, a który po wykonaniu pracy zabłądził wśród dekoracji filmowych.

–Minęły trzy tygodnie, dwa dni, pięć godzin i czterdzieści jeden minut – oznajmił Bill.

–Od czego?

–Od chwili, kiedy rzuciłem palenie.

–To bardzo dobry wynik, Bill. Powinieneś być z siebie dumny.

–Nie mam czasu, żeby być z siebie dumny. Jestem zbyt zajęty czuciem się jak pies zbity na kwaśne jabłko.

Joan wyprostowała się i założyła okulary.

–To minie. Pewnego dnia położysz się do łóżka i zdasz sobie sprawę, że przez cały dzień nawet nie pomyślałeś o papierosie.

–Do tego czasu umrę z przejedzenia. Zdążyłem już przytyć siedem funtów i przez cały czas tęsknię za cheeseburgerami. Prawdę mówiąc, mam ochotę na cheeseburgera nawet w tej chwili. I to na potrójnego cheeseburgera, z dodatkowym serem i górą frytek.

Bill pracował w dziale ochrony Telewizji Panorama już od ponad jedenastu lat. Ściany jego salonu zdobiło mnóstwo fotografii. Bill i Warren Beatty. Bill i Meryl Streep. Bill i Leonardo DiCaprio. W przeszłości był gliniarzem w drogówce. Po tamtych czasach pozostała mu długa szrama na policzku. Bill wyglądał groźnie. Sprawiał wrażenie jakby był gotów rozszarpać na strzępy każdego, kto spojrzy na niego niezbyt grzecznie, a tymczasem był nieśmiałym, spokojnym i łagodnym facetem. Miał dziwne hobby – kolekcjonował ćmy.

Joan była drobną, chudą kobietą. Miała tylko pięć stóp i trzy cale wzrostu, duży nos i jasne kręcone włosy. Półtora roku wcześniej jej mąż alkoholik porzucił ją z dwójką dzieci, z których żadne nie skończyło jeszcze pięciu lat, dlatego od pewnego czasu pracowała na dwóch posadach. Najpierw była sprzedawczynią w delikatesach i jednocześnie sprzątaczką w jakimś biurze, jednak pewnego dnia najlepszy przyjaciel jej męża zawiadomił ją, że dział ochrony Telewizji Panorama poszukuje strażników. Nieważna była płeć, warunki fizyczne ani kolor skóry. Joan się zgłosiła i, ku swemu

całkowitemu zaskoczeniu, została przyjęta. Nie miała pojęcia, iż swoich przyszłych szefów zaintrygowała tym, że nigdy nie zamykały się jej usta. Ciągłe miała coś do powiedzenia. Szefowie doszli do wniosku, że samym bezustannym męczącym gadulstwem będzie powstrzymywała ludzi przed sprawianiem kłopotów.

–Powinieneś zastosować akupunkturę – zasugerowała Billowi. – Moja przyjaciółka Lena zgubiła dzięki akupunkturze aż siedemnaście funtów. Wyobraź sobie, że z tego powodu także rzucił ją mąż. Powiedział, że gdyby chciał dzielić życie z ludzkim szkieletem, ożeniłby się z Calistą Flockhart. Ale facet wygląda jak nadmuchana kukła. W prostym sportowym płaszczu przypomina wielkiego orangutana.

–Czy akupunktura polega na wbijaniu igieł? Nie cierpię igieł. Brrr.

–Może więc powinieneś zastosować hipnozę? Albo terapię awersyjną?

–Co to takiego terapia awersyjną?

–Kazaliby ci codziennie jeść potrójne cheeseburgery, przez cały dzień, aż wreszcie miałbyś ich dosyć i do końca życia nie mógłbyś na nie patrzeć.

Bill potrząsnął głową.

–Brzmi wspaniale. Ale to nie dla mnie. Z pewnością by nie podziałało.

Kiedy tak rozmawiali, zza studia numer 4 powoli wyjechała niebieska ciężarówka marki Mack i skierowała się w ich stronę.

Wtorek, 18 września, godz. 15.47

Publiczność w studiu rechotała radośnie. Sara Velman powiedziała właśnie, że kobiety podniecają się, raniąc fizycznie i bijąc swoich kochanków, a Garry zaproponował, żeby udowodniła to, zadając ból właśnie jemu. Sara podbiegła do niego i usiadła mu okrakiem na kolanach. Zaczęła wykręcać mu uszy i ciągnąć go za włosy.

–Hej, przestań pastwić się nad moją fryzurą, dobra? Kosztowała mnie prawie tysiąc czterysta dolców!

Jakaś kobieta o kręconych rudych włosach energicznie podniosła rękę do góry i powiedziała:

–A ja lubię gryźć mojego męża. Wszędzie pozostawiam na nim ślady miłosnych gryzów, szczególnie na jego jajeczkach.

–Cóż, gryzienie partnera wskazuje raczej na skłonności do dominacji niż na samą dominację – skomentował doktor Fortensky. – Dąży pani do fizycznego oznaczenia partnera, żeby każda kobieta wiedziała, iż należy on do pani.

–A ja uważam, że wyjaśnienie jest znacznie prostsze – wtrącił Garry. – Moim zdaniem same ugryzienia wskazują, że nie kocha pani jeszcze męża na tyle, żeby być gotowa w całości i ze smakiem go zjeść.

–Ranienie partnera seksualnego wcale nie musi być aktem dominacji seksualnej – oznajmiła Jean Lassiter. – Moje doświadczenie mówi mi, iż wielu mężczyzn ogromnie się podnieca, gdy się ich bije, drapie albo biczuje. Niektórzy wręcz, pragną, żeby ich raniono. Należy więc sobie zadać pytanie, kto tak naprawdę dominuje w takich sytuacjach? Kobieta, która bije, czy mężczyzna, który jest bity.

–Drapający czy drapani – dodał Garry. – Biczujący czy biczowani.

Niespodziewanie Sara Velman podniosła głowę i uszczypnęła Garry'ego w szyję.

–O nie! – zaprotestował, wierzgając nogami. – Odczep się! Żądam, żebyś przynajmniej mnie dała spokój! Stanowczo tego żądam.

Wtorek, 18 września, godz. 15.49

Ciemnoniebieska ciężarówka skręciła w prawo i zaparkowała tuż przy ścianie studia. Na jej bocznych listwach wymalowane były klatki filmu, a w każdej z klatek umieszczono obrazek przedstawiający pieczonego kurczaka, sałatkę, porcję makaronu albo kalmara. Poniżej biegł biały napis: „Uczta na kółkach. Catering dla przemysłu rozrywkowego”.

Joan wzięła notes i przebiegła palcem po zapiskach.

–Mam. Godzina szesnasta. Catering do programu.

–Sprawdzą ich – powiedział Bill, wstając z niby-kamiennej ławki. – Może poczęstują nas jakimiś nadwyżkami.

Poprawił czapkę i ruszył w kierunku ciężarówki. Pojazd stał, wszystkie drzwi miał pozamykane, jednak jego silnik wciąż pracował. Dotarłszy do kabiny, Bill pomachał do kierowcy. Ten odpowiedział mu podobnie. Był to śniady mężczyzna z czarną brodą. Na nosie miał ciemne okulary. Obok niego siedziała mocno opalona dziewczyna w wieku osiemnastu lub dziewiętnastu lat, w koszulce bez rękawów, z czerwoną przepaską na czole. Ona również pomachała do Billa.

–Czy przywieźliście przekąski na show Garry’ego Shermana? – krzyknął Bill.

Kierowca przytknął zgiętą dłoń do ucha, by mu dać do zrozumienia, że nic nie słyszy.

Bill wykonał prawą ręką ruch naśladujący przekręcanie kluczyka w stacyjce. Miało to oznaczać polecenie, by kierowca wyłączył silnik.

–Proszę zgasić silnik! Muszę sprawdzić dokumenty!

Kierowca nic sobie jednak z tego nie robił. Zarówno on, jaki i dziewczyna wpatrywali się w Billa przez przednią szybę. Oboje mieli na ustach identyczne, puste uśmiechy. Bill ponownie pokazał, że mają wyłączyć silnik, jednak kierowca jedynie wzruszył ramionami.

–Proszę pana! Czy zechce pan wyłączyć silnik i wysiąść z samochodu?

Znów nie doczekał się reakcji. Mimo pogodnego usposobienia Bill zaczynał się już irytować.

–Joan! – zawołał. – Podejdź tutaj! Chyba przyjechała do nas para zombi!

Po chwili Joan stanęła przy nim i zapytała:

–O co chodzi?

–Popatrz na tych dwoje w kabinie. Nie zamierzają zgasić silnika ani wysiąść z wozu.

Joan wskoczyła na stopień po stronie pasażera i kilkakrotnie uderzyła w szybę palcem uzbrojonym w ślubną obrączkę.

–Przepraszam pana... przepraszam panią, tu ochrona. Proszę wyłączyć silnik i wysiąść z samochodu.

Nawet na nią nie spojrzeli. Szarpnęła za klamkę, jednak drzwiczki były zablokowane od wewnątrz.

–Do cholery, w co oni się bawią? – zawołał Bill ze zdziwieniem.

Joan zeskoczyła na ziemię i wydobyła z kieszeni radiotelefon.

–Brama? Cześć, Kevin, tu Joan. Mamy tutaj, przy studiu numer 5, ciężarówkę z

cateringiem. „Uczta na kółkach”. Tak, to oni. Czy nic cię nie zdziwiło, kiedy wjeżdżali? Doskonale, z tym że oni zaparkowali samochód pod studiem i ani myślą z niego wysiadać, żeby wyładować towar. – Przez chwilę kiwała głową, wreszcie znów się odezwała: – Powtórz to, proszę.

–Co się dzieje? – zapytał Bill.

Joan z powrotem włożyła radiotelefon do kieszeni.

–Musimy stąd spieprzać – powiedziała. – Co takiego?

–Musimy biec do studia i jak najszybciej je ewakuować. Musimy zrobić wszystko, żeby ludzie znaleźli się jak najdalej od tego samochodu.

Bill popatrzył na kierowcę i pasażerkę ciężarówki. Kierowca znów do niego pomachał i mimo że w przedniej szybie pojazdu odbijały się chmury, Bill miał wrażenie, iż dziewczyna się śmieje.

–Rozpocznij ewakuację ludzi – powiedział do Joan. – Ja zajmę się tą parą klaunów.

–Bill, powiedzieli mi, żeby wszyscy stąd spadali.

–Rób, co ci powiedziałem, Joan. Przez dwadzieścia osiem lat byłem gliniarzem i nikogo w takiej sytuacji nie puściłem wolno.

Bill rozpiął kaburę i wyciągnął rewolwer kaliber.38. Joan zawahała się, pchnął ją jednak i rozkazał:

–Idź stąd, dobrze? Każ ludziom opuścić studio. Joan pobiegła za róg do głównego wejścia. Tymczasem Bill ujął rewolwer w dwie ręce i odbezpieczył go.

–No, dalej! Rozumiecie mnie? *Comprende?* Uprzejmie was proszę, żebyście wyłączyli silnik tej ciężarówki i powoli wysiedli. Bardzo uprzejmie proszę.

Wtorek, 18 września, godz. 15.52

Joan przeszła przez obrotowe drzwi i znalazła się w recepcji, wyłożonej miękką wykładziną. Na ścianach wisiały fotografie Garry'ego Shermana, Lauren Baker i Whitney De Lano. Recepcjonistka malowała właśnie paznokcie, prowadząc jednocześnie beztroską rozmowę przez telefon. Joan podeszła do kontuaru i zażądała gwałtownie:

–Połącz mnie z producentem. Natychmiast!

–Co takiego? Nie mogę tego zrobić. Jesteśmy w połowie programu.

–Ta sprawa życia i śmierci! Łącz mnie natychmiast.

–Jakiego życia? Jakiej śmierci? To ja zginę, i to z rąk pana Kasabiana, jeśli cię teraz z nim połączę.

–Nie dyskutuj i mnie połącz. Inaczej zginą wszystkie osoby w tym budynku.

Machając dłonią, by wysuszyć pomalowane paznokcie, recepcjonistka wykonała wreszcie polecenie i wręczyła Joan słuchawkę.

–Pan Kasabian? Tu Joan Napela z ochrony. Tak, z ochrony studia. Bardzo mi przykro, panie Kasabian, ale mamy do czynienia z niebezpieczną sytuacją tuż przy budynku studia i musimy natychmiast wszystkich ewakuować. Tak, proszę pana, wszystkich. Nie, proszę pana, nie mogę panu teraz wyjaśnić całej sytuacji. Ochrona otrzymała jednak instrukcje, żeby jak najszybciej opróżnić budynek z ludzi. – Przez chwilę słuchała, po czym odezwała się znowu: – Tak, proszę pana. Dziękuję panu. W tej chwili wejdę do studia i pokieruję ewakuacją. Proszę tylko powiedzieć wszystkim, że nie ma powodu do paniki.

Kiedy oddawała słuchawkę recepcjonistce, ta zapytała z szeroko otwartymi oczyma:

–O co chodzi? Co się dzieje?

–Prawdopodobnie bomba – odparła Joan. – Wynoś się stąd jak najszybciej.

–O mój Boże! – zawołała recepcjonistka i zaczęła zbierać z biurka przyrządy do manicure, grzebienie i kolorowe czasopisma.

–Powiedziałam: bomba! – krzyknęła Joan, z niedowierzaniem przypatrując się recepcjonistce.

Przebiegła przez recepcję i pchnęła podwójne drzwi prowadzące do studia. Główne światła zostały już włączone, a z głośników dobiegał głos Milo Kasabiana. Właśnie kończył wypowiadać ostrzeżenie:

–...zechciejcie więc wszyscy państwo skierować się do drzwi wyjściowych, znajdujących się po obu stronach sceny. Prosimy zachowywać się jak najciszej i jak najspokojniej. Kiedy znajdziecie się państwo na zewnątrz, prosimy stosować się do wskazówek naszych służb ochrony. Prosimy się nie denerwować, ewakuacja jest jedynie rutynowym, koniecznym w obecnych okolicznościach środkiem zapobiegawczym.

Garry Sherman stał na podwyższeniu, machając do widzów, żeby opuszczali swoje fotele.

–Wiedziałem! Wiedziałem, że nam przeszkodzą, kiedy trochę sobie pofolgujemy. Ale trudno, wszyscy kierujcie się do drzwi. Nie ma powodu do paniki, to wszystko

robią tylko dlatego, że zaparowały im monitory!

Publiczność ze śmiechem, wśród wesołych pokrzykiwań, zaczynała się gromadzić przed drzwiami. Joan stała przy nich i ponaglała.

–O co chodzi? – zapytał ją starszy mężczyzna w jasnoróżowej koszulce polo.

–To prawdopodobnie fałszywy alarm – odparła Joan. – Kiedy znajdziecie się państwo na zewnątrz, skierujcie się w prawo. A potem uciekajcie stąd ile sił w nogach.

–Ale czy dostaniemy obiecaną pizzę?

–Jasne. A teraz przechodźcie szybciej! – Wyciągnęła radiotelefon. – Bill? W studio na razie wszystko w porządku. Jak tam z naszymi przyjaciółmi w ciężarówce?

–Wciąż nie reagują. Zaraz tu będzie Schaefer. Wezwał już saperów.

–Bill, może się wycofasz i pozwolisz, żeby policja zrobiła resztę?

–Ja jestem policją!

–Byłeś, Bill. Już nie jesteś policjantem, pamiętaj o tym! Gra nie jest warta świeczki, nie ryzykuj. Lepiej chodź tutaj i pomóż mi wyprowadzić ludzi ze studia.

–Nie martw się o mnie. Jeszcze potrafię dać sobie radę z dwoma dziwakami.

–Bill! Posłuchaj mnie, Bill! Wycofaj się, przecież nie masz pojęcia, co ci ludzie planują!

Odpowiedzi nie było. Joan coraz energiczniej pociągała wychodzących ze studia za rękawy, chcąc, żeby pomieszczenie jak najszybciej opustoszało. Lecz Garry powiedział im przecież, że nie ma powodu do paniki. Nie panikowali więc i wcale się nie śpieszyli. Kilka osób, które potraktowała trochę bardziej stanowczo, zawołało do niej, żeby dała sobie luz, inni przystawali zaraz za drzwiami, żeby poczekać na znajomych.

–Czy mimo wszystko dostaniemy pizzę? – zapytała potężna czarna kobieta w cętkowanej turkusowej sukni. – Przyszłam tutaj tylko dla pizzy.

Joan miała właśnie potwierdzić, tak, dostaniesz, kobieto, swoją pizzę, tylko się pośpiesz, na miłość boską. Lecz w tej samej chwili świat eksplodował z hukiem, jakiego Joan jeszcze nigdy dotąd nie słyszała. Gorący podmuch wyrzucił ją na zewnątrz przez otwarte drzwi. Trafiła w grupę jedenastu ludzi, jednak wraz z nimi poleciała dalej i uderzyła głową w kontuar recepcji. Złamała kark i w tej samej sekundzie zmarła. Na jej zwłoki spadło mnóstwo innych ciał wyrzuconych ze studia, a właściwie ich szczątki – głównie tułowia pozbawione rąk, nóg lub głów.

Eksplozja rozwaliła tylną ścianę studia i zerwała dach. Dziesiątki ludzi zostało pogrzebanych pod ceglami i fragmentami metalowych konstrukcji, które opadały na dół, uderzając o siebie z odgłosem dzwonów piekielnych. W momencie wybuchu Garry Sherman stał bokiem do tylnej ściany, z wzniesioną ku górze lewą ręką, która z potworną siłą została wyrwana ze stawu. Wybuch zerwał mu też skórę i mięśnie z lewej strony twarzy, odsłaniając kości policzka. Jakaś kobieta w średnim wieku znajdowała się w krytycznym momencie pomiędzy sceną a boczną ścianą, tak że wybuch w pierwszej chwili ją oszczędził. Zaraz jednak uderzył ją rozgrzany reflektor o wadze pięćdziesięciu funtów, lecący w dół pod kątem sześćdziesięciu stopni. Jak porażona padła na plecy, z gorącym urządzeniem wbitym w brzuch. Jej krzyk

rozbrzmiewał jeszcze przez wiele minut.

Zewsząd rozlegały się okrzyki bólu. Z rumowiska słyhać było także potworne jęki, łkania i pokasywania. Nad studiem numer 5 rozciągało się teraz jasne niebo, jednak w środku panował półmrok, spowodowany unoszącym się kurzem i gęstym dymem. Niemal nie można już było rozpoznać, że w tym miejscu jeszcze przed chwilą znajdowało się studio telewizyjne. Wszędzie zalegały góry gruzu, rzędy porozwalanych foteli i powykręcane elementy rusztowania. Niemal wszędzie leżały też ciała – zwłoki lub ich części, niektóre spalone, inne poszarpane i okrwawione. Wszystko błyszczało i lśniło, ponieważ na powierzchni zalegała warstwa potłuczonego szkła.

Dzień był szary i chłodny. Wiał ostry, przenikliwy wiatr, a prognozy pogody zapowiadały deszcze. Na uroczystość pogrzebową Danny'ego przyszło na cmentarz św. Łukasza ponad sześćdziesiąt osób. Byli rodzice Franka, matka Margot, Carol i Smitty. Mo i Sherma, Lizzie Fries i jej przyjaciel Walford, a także ich producent Joe Peruggio z żoną Sharleen, Rick i Lynn Albee, agent Franka – Nero Tabori oraz większość aktorów występujących w Świnkach. Frank i Margot usiedli obok siebie, jednak przez cały czas nawet się nie dotknęli. Nie wymienili ani jednego słowa; Frank nie spróbował odezwać się do Margot, nawet czując drżenie ławki, kiedy jego żona cicho łkała. Miała na sobie czarny kapelusz z woalką. Frank nie potrafił odegnać od siebie myśli, że wygląda jak zrozpaczona wdowa z karykatury Charlesa Addamsa.

Wielebny Trent, trzydziestolatek z bladą różową łysiną i w okrągłych okularach, bardziej przywodzący na myśl chłopaka, który ciągle powraca ze szkoły we łzach, niż osobą duchowną, wstąpił na podwyższenie.

–Wszyscy ronimy dziś łzy nad małym Dannym, ale nikt spośród nas nie żałuje go tak mocno jak nasz Pan, Jezus Chrystus, który zawsze płacze wtedy, gdy jedno z jego dzieciątek zasypia, by już nigdy się nie obudzić. Życie Danny'ego dopiero się zaczęło i nigdy się nie dowiemy, kim by został, gdyby osiągnął dojrzałość. Ale z wielką pewnością powiem wam jedno: Iśniłby tak jasno, jak Iśni słońce nad naszymi głowami. Świat bez niego będzie miejscem o wiele ciemniejszym, niż byłby, gdyby Danny żył.

Zanim skończył, wielebny Trent odmówił jeszcze modlitwę za sto sześć ofiar bomby, która zniszczyła studio numer 5 w Telewizji Panorama, oraz potępił Dar Tariki Tariquat.

–Nasza społeczność terroryzowana jest przez grupę ludzi, którzy działają gwałtownie, bez skrupułów i bez poczucia winy. Na chybił trafił mordują naszych ukochanych bliskich i przyjaciół. Zabrali nam Danny'ego, jego szkolnych kolegów i koleżanki, nauczycieli, a wczoraj pozbawili życia ponad sto kolejnych osób. Módlmy się za dusze zamordowanych, niech zaznają wiecznego szczęścia w niebie. Choć czujemy gniew, módlmy się także za tych zbłąkanych ludzi, których nienawiść kryje się za okropnymi eksplozjami. Módlmy się, by mieli odwagę spojrzeć w lustro i by zdołali ujrzeć, jak źli się stali. Módlmy się, by zrozumieli, jak wiele bólu i udręki spowodowali. Niech przejrzą na oczy i żałują swoich uczynków. – Zawahał się i po chwili dodał znacznie ciszej: – Mam jednak bardzo małą nadzieję, że tak się stanie.

Nastąpiła długa cisza, jak gdyby wielebny zastanawiał się, czy powinien powiedzieć jeszcze coś więcej. W końcu uniósł głowę i zdjął okulary. Dolna warga mu drżała, tak gwałtowne uczucia nim miotały.

–Gdybyśmy mieli prawo prosić Boga, by zadziałał w naszym imieniu jako Bóg zemsty i postąpił bezlitośnie wobec osób, które złamały jego przykazania, wierzcie mi, ja pierwszy prosiłbym Go o to.

Kiedy trumnę z Dannym opuszczano do grobu, niebo było zachmurzone i ciemne. Frank wrzucił garść mokrej ziemi, a po chwili Margot uczyniła to samo.

–A więc to już koniec – powiedziała.

Popatrzył na nią, jednak nie mógł dostrzec jej twarzy za ciemną woalką. Czy miało to znaczyć, że teraz już ostatecznie przestali być rodzicami Danny'ego, czy może Margot oznajmiała koniec ich małżeństwa? Nie wiedział, jak ją o to zapytać, a zresztą nie był pewien, czy właśnie teraz chciałby usłyszeć odpowiedź.

Nie powiedziawszy już nic więcej, Margot odeszła od grobu. Po chwili dołączyła do niej Ruth. Frank został nad grobem sam. Wpatrując się w trumnę, przypomniał sobie słowa Francisa Bacona: „Dorośli boją się śmierci niczym dzieci ciemności”. A Danny właśnie znalazł się w ciemności, na zawsze. Frank wiedział, że syn mu tego nie wybaczył. Modlił się jednak, by Danny przynajmniej nie bał się tej ciemności.

Ktoś podszedł i przystanął obok. Odwróciwszy się, Frank zobaczył Neville'a Strange'a, w czarnej koszuli z czarnym krawatem, w bardzo długim czarnym płaszczu. W dłoni trzymał wysoki czarny kapelusz.

–Bardzo poruszające nabożeństwo – powiedział.

–Tak.

–Lubię duchownych, którzy czasem potrafią okazać gniew rodem ze Starego Testamentu. Nie ma to jak okazjonalne walnięcie pięścią w stół, by wierni nie poczynali sobie zbyt zuchwale.

Frank po raz ostatni popatrzył na trumnę, po czym się odwrócił.

–Jedziemy z Margot do domu, by wypić kilka drinków w gronie przyjaciół.

Dołączysz do nas?

Nevile włożył kapelusz na głowę.

–Właściwie to koniecznie chciałem z tobą porozmawiać. Może to nie będzie odpowiednia sytuacja?

–Dlaczego nie? Sytuacji nie można już przecież pogorszyć.

Nevile zmarszczył czoło.

–Och, masz na myśli seans? Między innymi i o nim chciałem z tobą porozmawiać. Chyba niewiele ci pomógł, co? A już na pewno nie pomógł twojemu małżeństwu.

–Nie chodzi tylko o seans. – Frank opowiedział mu o graffiti na obrazach Margot.

–Zacząłem już wierzyć, że ja to zrobiłem, że w lunatycznym śnie wyjechałem w nocy z domu siostry i zrujnowałem ukochane dzieła mojej żony.

Nevile położył dłoń na jego ramieniu.

–Nie mam cienia wątpliwości, że to nie byłeś ty.

–Naprawdę? Lecz jeśli nie ja, to kto?

–Cóż, jest minimalna możliwość, że to zrobiła Margot, specjalnie, żeby obwinie ciebie, żeby znaleźć kolejne uzasadnienie dla swojej złości wobec ciebie. Osobiście jednak bardzo w to wątpię. Podejrzewam, że zaangażowały się w to zupełnie inne siły.

–Co masz na myśli, mówiąc „inne siły”? Na przykład duchy?

Nevile wzruszył ramionami.

–Podyskutujemy o tym innym razem.

–Nevile, wiem, co widziałem na werandzie, jednak im częściej o tym myślę, tym głębiej się zastanawiam, czy to naprawdę był Danny. Pewien mój przyjaciel, tylko się nie obraż, zasugerował nawet, że sam wywołałeś jakoś ten wizerunek, że to wcale nie

był duch, tylko jakieś złudzenie optyczne.

–A ty? Co ty o tym sądzisz?

–Jeżeli to naprawdę było złudzenie optyczne, szczerze mówiąc, nie wiem, kiedy znalazłeś czas, żeby je przygotować. I dlaczego. Mój przyjaciel mówi, że dla pieniędzy... Rozumiesz, żeby nakłonić mnie do powtórzenia seansu. Ja jednak nie wierzę, że mógłbyś posunąć się do czegoś takiego dla marnych pięciuset dolarów.

Nevile uśmiechnął się.

–Twój przyjaciel ma niezbywalne prawo do wątpliwości, Frank, szczególnie jeśli chodzi o ten konkretny seans. Był to pierwszy przypadek, gdy ktoś poza mną zdołał zobaczyć i usłyszeć ducha. Uwierz mi, ja też zacząłem węszyć podstęp. Oczywiście, nie taki podstęp, jaki podejrzewa twój przyjaciel, mając na myśli sztuczkę ze światłem i z lustrami. Ja raczej wyczuwam tutaj sztuczkę duchów. Jakiś inny podszywał się pod Danny'ego.

–Zaraz, kiedy wszedłeś do mojego domu, wyczułeś czyjąś obecność, prawda? Chyba małej dziewczynki?

–Tak, to prawda, ale ona miała zaledwie osiemnaście miesięcy, kiedy umarła. Była zbyt niedoświadczona i o wiele za młoda, żeby aranżować podobną mistyfikację. Widzisz, dzieci, które schodzą z tego świata, już się nie starzeją. Nikt nie starzeje się po śmierci.

Dotarli do starego, lśniącego mercedesa Nevile'a. Na jego karoserii błyszczały krople deszczu.

–Nie – powiedział Nevile, wyciągając z kieszeni kluczyki. – Mamy tutaj do czynienia z dorosłym duchem. Wnioskuje to przede wszystkim ze sposobu, w jaki Danny się wyrażał. Powiedział chyba coś takiego: „Nie obchodziłem cię... pozbawiłeś mnie życia, ponieważ nie obchodziłem cię... a brak miłości to największy spośród wszystkich grzechów”.

–Zgadza się.

–Tylko mi nie mów, że Danny kiedykolwiek w taki sposób się wyrażał. Nie znałem go, Frank, ale miał przecież zaledwie osiem lat. Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek słyszał ośmiolatka mówiącego w taki sposób.

Frank przez chwilę się zastanawiał.

–Chyba masz rację. Do tej pory jakoś nie zwróciłem na to uwagi. Nie potrafiłem myśleć o niczym innym, jak tylko o tym, że Danny mnie znienawidził i już nigdy mi nie wybaczy mojego błędu.

–Przemyśl to jednak, Frank, to może być bardzo ważne. Skoro to nie był duch Danny'ego, musimy się dowiedzieć, kto to był i z jakiego powodu posunął się do takiego oszustwa.

Podeszła do nich Margot. Podniosła woalkę i widać było, że jej oczy są zaczerwienione od płaczu i niewyspania. Usta miała zaciśnięte, nieuszminkowane wargi były cienkie i suche.

–Zaprosiłem Nevile'a do nas – powiedział Frank.

–Chyba nie mogę ci tego zabronić.

–Nevile będzie naszym gościem, Margot.

–W porządku. Niech tylko nie wywołuje znów ducha Danny’ego. Nie sądzę, by nasi znajomi uznali to za dobry żart.

–Margot, przed chwilą go pochowaliśmy.

–Właśnie – powiedziała i odeszła.

Nevile patrzył za nią przez chwilę, po czym się odezwał:

–Cóż, chyba lepiej będzie, jeśli się jednak u was nie zjawię. Spotkajmy się jutro.

Gdzie teraz mieszkasz?

Frank leżał na łóżku w Sunset Marquis z butelką zimnego molsona w ręce i oglądał dzienniki telewizyjne. Zza okna dobiegały piski trzech dziewczyn, które ich chłopcy wrzucili dla żartu do basenu. Było już późne popołudnie. Minęły ponad dwadzieścia cztery godziny od eksplozji w Telewizji Panorama.

Minął już tydzień od śmierci Danny’ego, a jednak Frank wciąż wracał myślami do fatalnej środy, dwunastego września, niczym mały chłopiec patrzący za oddalającym się autobusem, na który przez własne gapiostwo się spóźnił.

Spikerka Chris Chan mówiła właśnie:

–...zabijając sto sześć osób i poważnie raniąc dalsze siedemdziesiąt trzy, w tym osobowość telewizyjną, Garry’ego Shermana, któremu wybuch urwał rękę i straszliwie okaleczył twarz.

Przed niespełną godziną specjalna sekcja antyterrorystyczna FBI potwierdziła tożsamość kierowcy ciężarówki. Nazywał się Richard Haze Abbott, miał dwadzieścia siedem lat, był bezrobotnym robotnikiem budowlanym z Simi Valey.

Na ekranie pojawiła się trochę zamazana kolorowa fotografia, z której do widzów uśmiechał się młody mężczyzna w czerwonej baseballowej czapce, o mocno opalonym nosie, obejmujący czarno-białego kundla. Frank zmrużył oczy, by przyjrzeć mu się uważniej. Mężczyzna z całą pewnością nie wyglądał jak arabski terrorysta. Bardziej przypominał beztroskiego młodzieńca, jakich wielu spotyka się w restauracjach McDonald’sa.

–Ktokolwiek z państwa rozpoznaje Richarda Abbotta, ostatnio go widział lub z nim rozmawiał, proszony jest o natychmiastowy kontakt z FBI lub najbliższą jednostką policji. Prosimy o kontakt pod numerami...

W tym momencie zadzwonił telefon. Frank nie podniósł jeszcze słuchawki, a już wiedział, że to Astrid. Może zaczynał rozwijać w sobie ten zmysł, o którym mówił Neville?

–Frank? Dobrze się czujesz?

–Tak, doskonale.

Ten pogrzeb... To musiało być dla ciebie straszne.

–Cóż, było. Ale już po wszystkim i myślę, że to mi pomogło.

–Jak Margot to zniosła?

Tak naprawdę nie rozmawiamy ostatnio ze sobą.

–Przykro mi. W takiej chwili pewnie bardzo potrzebujesz kogoś, z kim mógłbyś porozmawiać.

–Tak. Ale jestem szczęściarzem, bo mam ciebie.

–Chcesz, żebym przyszła na noc? Jeśli wolisz być sam, zrozumiem to.

–Nie, nie. Będzie mi miło, jak przyjdiesz. Bądź u mnie o wpół do jedenastej, wypijemy kilka drinków.

–Frank...

–Co takiego?

–Nic. Powiem ci później.

–Powiedz teraz.

–Nie, na razie o tym zapomnij. Zobaczymy się później. Frank odłożył słuchawkę i powrócił do telewizora. Na konferencji prasowej w Sacramento gubernator Kalifornii, Gene Krupnik, ogłaszał właśnie stan wyjątkowy na terytorium Los Angeles i wzywał Gwardię Narodową do ustawienia kordonów ochronnych wokół wszystkich głównych studiów telewizyjnych i filmowych. Firma Sony otrzymała telefoniczne ostrzeżenie, iż na jej terenie podłożono bombę. Z całego kompleksu natychmiast ewakuowano wszystkich ludzi, którzy mieli pozostać w miejscach zamieszkania i tam czekać na informacje, kiedy możliwy będzie ich powrót do pracy. Wstrzymano produkcję siedmiu nadawanych dotąd codziennie oper mydlanych, a emisję dwóch nowych seriali telewizyjnych – dramatu wojennego *Bój na pustyni* i mrocznego thrillera *Egzorcyci* – odwołano, ogłaszając zarazem, że emisja innych programów rozrywkowych jest mocno zagrożona. Gubernator mówił:

–Bez dwóch zdań, przemysłowi rozrywkowemu Stanów Zjednoczonych wypowiedziano wojnę. A to oznacza, że wypowiedziano wojnę wolności słowa, która dla wielu z nas jest droższa niż życie. Powiem wam jedno. Na przemoc odpowiemy determinacją. Terror spotka się z naszą niezachwianą wolą jego pokonania. Nie cofniemy się przed agresorami. Zwyciężymy, niezależnie od tego, jaką za to zapłacimy cenę.

Za chwilę na ekranie pojawiły się zdjęcia z San Diego i Pomona Freeways, zakorkowanych przez samochody tych, którzy uznali, że należy wydostać się z miasta.

Nevile pojawił się krótko po szóstej i Frank zabrał go do baru Aligator na Sunset. Usiedli w cieniu, w półokrągłych budkach. U ich stóp rozciągało się lśniąca wielobarwnymi światłami Los Angeles. Bar był dzisiaj zadziwiająco pusty, mimo iż zazwyczaj chętnie bywały tutaj największe znakomitości Hollywood z dawnych lat i gwiazdy telewizyjne z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Pianista grał jakąś dziwną wersję motywu przewodniego z serialu *Posterunek przy Hill Street*, przerywając od czasu do czasu, żeby wypić drinka i porozmawiać z którąś z hostess.

Nevile ubrany był tym razem w ciemnoszary trzyczęściowy garnitur, kremową koszulę i czerwony jedwabny krawat.

–Zgodziłem się być gościem honorowym nowej wystawy. Nazywa się „Wizje świata duchów”.

–Gdzie to jest?

–W Kleban Galery, na Rodeo Drive. O dziewiątej. O nic nie pytaj. Wiem, co się będzie działo, i już żałuję, że przyjąłem to zaproszenie. Większości amerykańskich artystów wydaje się, że „świat duchów” wygląda tak, jak odcinki *Star Trek* z Kirkiem i jego dzielną załogą. Rozumiesz, te greckie kolumny, pomarańczowe niebo i

dziewczyny paradujące w spódniczkach mini w kolorze cytryny.

–Jak na medium, jesteś cynikiem.

–Wcale nie. Po prostu jestem realistą. Świat duchów wygląda identycznie jak świat żywych, poza jednym wyjątkiem: jego mieszkańcy znajdują się w takim stanie, w jakim zeszli na zawsze z naszego świata. Jeśli ktoś zmarł w złości, zawsze już będzie rozzłoszczony w świecie duchów. Niech to będzie dla ciebie ostrzeżeniem.

–Powiedz mi lepiej o Dannym. A raczej o duchu, który się pod niego podszył. Neville upił łyk whiskey.

–Kiedy rozmawiałem z córeczką Lynn Albee, Kathy, nie miałem wątpliwości, że to właśnie ona. Mała Kathy była przerażona i bardzo słaba. Tak naprawdę nie rozumiała jeszcze, co się z nią stało, tym bardziej że zaznała mnóstwo fizycznego bólu. Sposób, w jaki się umiera, ma na zmarłego ogromny wpływ. Jeśli odchodzi się z tego świata w spokoju, duch łatwiej przyjmuje fakt fizycznej śmierci, jest na nią gotowy, akceptuje ją. Ale jeśli stanie się to nagle, tak jak na przykład w przypadku Kathy i innych dzieci ze szkoły, mija mnóstwo czasu, zanim duch zaakceptuje fakt śmierci. Trwa to miesiącami, a czasem latami.

–Czy widziałeś Kathy?

–Widziałem tańczące światło, jak błędny ognik, ale tylko przez kilka sekund. W tak krótkim czasie po gwałtownej śmierci dziewczynki właściwie niczego innego się nie spodziewałem. Dlatego właśnie tak zaskoczyło mnie pojawienie się Danny'ego. Nie zmarł on co prawda nagle, jak Kathy i jej koleżanki z klasy, lecz mimo wszystko nie spodziewał się śmierci, prawda? A jednak się zjawił i jego wizerunek był tak wyraźny, jakby nadal żył. Co więcej, nie był ani onieśmielony, ani zaskoczony. Wręcz przeciwnie. Był rozżalony, obrażony i doskonale to okazywał. Dlatego właśnie jestem w dziewięćdziesięciu procentach przekonany, że to nie był Danny, ale inny duch, który go udawał.

–Czy duchy potrafią postępować w ten sposób? To znaczy, przyjmować postaci innych duchów?

–Oczywiście. Duch konkretnej osoby nie ma fizycznej substancji. To nic innego jak pozostający pod wysokim napięciem zbiór impulsów elektrycznych, konstruujących osobowość za życia. Duch sprawia, że możesz go zobaczyć, stymulując złącza nerwowe w twoim mózgu w taki sposób, że wydaje ci się, iż go widzisz, i wydaje ci się, że go słyszysz, mimo że jest niewidzialny i nie wydaje żadnych dźwięków. Jak myślisz, dlaczego nie istnieją nagrania głosów duchów, dlaczego żadnego nie zarejestrowano na taśmie wideo, mimo że są ludzie gotowi przysiąc, iż rozmawiali ze swą zmarłą matką albo widzieli martwego kochanka stojącego u wezglowia łóżka? To, co zobaczyłeś za oknem, było bardzo wyraźne, ale był to jedynie obraz, który wypłynął z twojej pamięci.

–Dlaczego więc ty także go widziałeś?

–Ponieważ duch, który się podszył pod Danny'ego, potrafił wywołać jego obraz również w moim umyśle, także w umysłach Margot i Lynn. Z tego powodu wszyscy widzieliśmy mniej więcej to samo.

Frank wypił wódkę i skinął na kelnerkę, żeby przyniosła mu jeszcze jedną.

–Chciałbym jednak wiedzieć, dlaczego jakiś nieznany duch to zrobił – powiedział.

–Nie mam pojęcia. Istnieją jednak sprawy, które duchy czasami rozgrywają na własny użytek. Jeśli mężczyzna za życia zdobył się na powiedzenie kobiecie, że ją kocha, może szeptać to w jej mózgu po swojej śmierci. Czasami duchy śpiewają w takiej sytuacji piosenki albo wywołują zapachy, przypominające o ich fizycznych postaciach. Bywa także, że ukazują się ich oczom lub wywołują u ukochanych wrażenie, że ich dotykają. Jednak duchy nie mogą nikogo zranić fizycznie. Nie mogą się mścić, przynajmniej własnymi rękami.

–Naprawdę?

–Oczywiście. Dlatego ludzie w żadnym wypadku nie powinni obawiać się duchów. Duchy potrafią na przykład sprawiać, że w pomieszczeniu nagle spada temperatura albo słabnie oświetlenie; ale to wcale nie oznacza, że naprawdę robi się zimniej albo ciemniej. Po prostu duchy oddziałują na naszą percepcję. Czasami przesuwają jakieś przedmioty, ale to są przecież proste sprawy, podstawy psychokinezy. Z pewnością jednak duch cię nie udusi, nie dźgnie nożem ani nie wyrzuci przez okno z budynku. I to z prostej przyczyny: żaden duch nie jest w stanie sprawić, by ludzki mózg zadziałał wbrew właściwemu każdemu człowiekowi instynktowi samozachowawczemu. Natomiast praktycznie każdy duch potrafi nakazać jakiejś innej żyjącej osobie, żeby, niejako w jego imieniu, dokonała na tobie na przykład aktu zemsty.

–Co chcesz przez to powiedzieć?

–Bardzo wnikliwie badałem to zagadnienie. Dotarłem do kilku przypadków zabójstw, w których wypadku zemsta z za światów jest jedynym możliwym do przyjęcia wyjaśnieniem. Ostatnia taka historia, o jakiej słyszałem, wydarzyła się w Nowym Jorku dwa albo trzy lata temu, kiedy Antonio „Końska Morda” Agnelli został zastrzelony przez jednego ze swych najbliższych przyjaciół, George’a D’Aurię. Broniąc się przed sądem, D’Auria powiedział, że spotkał w pewnej restauracji w Brooklynie niejakiego Brunona, kuzyna „Końskiej Mordy”, i tenże Bruno zdradził mu, że „Końska Morda” ma właśnie gorący romans z jego żoną. Podczas przesłuchania przed wielką ławą przysięgłych okazało się jednak, że Bruno został w 1994 roku wyklęty przez rodzinę Agnelli, a jego zwłoki znaleziono w 1997 roku w spalonym samochodzie w Queens. Musimy więc zadać sobie pytanie: kogo spotkał George D’Auria w restauracji, jeżeli w ogóle kogokolwiek spotkał? Szef restauracji i kelner przysięgali przed sądem, że George jadł sam.

Pianista zaczął grać kolejny utwór, tym razem temat ze *Statku miłości*, improwizując tak, że jego muzyka z trudem przypominała oryginał.

–Wciąż nie rozumiem – powiedział Frank – dlaczego jakiś inny duch miałby się pojawiać przede mną pod postacią Danny’ego i mówić, że mi nie wybacz.

–Szczerze mówiąc, Frank, ja też tego nie rozumiem. Zauważ jednak, że ten duch wpędził cię w poważne tarapaty, maksymalnie oziębził twoje stosunki z Margot. A te graffiti na jej obrazach? Nie sądzisz, że to była kropla, która przelała czarę?

–Uważasz, że to duch zniszczył jej obrazy?

–Sądzę, że to możliwe. Jak już mówiłem, duchy nie mogą cię skrzywdzić

bezpośrednio, jednak wiele z nich zdolnych jest do poruszania przedmiotów, na przykład obrazów, ale nawet i mebli. Niektóre potrafią nawet rzucać czym popadnie.

–Bardzo mi się to nie podoba. Czuję się, jakby ktoś mną sterował, ale nie mam najmniejszego pojęcia, w jakim kierunku.

–Cóż, jest tylko jeden sposób, żeby się tego dowiedzieć. Musimy odbyć kolejny seans. Zanim odmówisz... tym razem nie wezmę od ciebie pieniędzy. Mam zlecenie na napisanie kolejnej książki z tej dziedziny i mógłbym w niej umieścić twój przypadek. Jest naprawdę niezwykły, Frank.

–Dobrze, zgoda. Skoro to miałyby tobie albo mnie w czymś pomóc...

–Ponad wszystko, moim zdaniem, ten seans może spełnić rolę bardzo istotnego środka zapobiegawczego. Widzisz, Frank, wszystko wskazuje na to, że duch, który ci się ukazał, ma zamiar spłatać ci jakiegoś przykrego figla.

Astrid zapukała do jego drzwi krótko po jedenastej. Kiedy tylko otworzył jej drzwi, przyciągnęła Franka do siebie i nie mówiąc ani słowa, przywarła do niego całym ciałem. Jakiś młody muzyk o haczykowatym nosie i długich do ramion kręconych włosach, zamieszkujący pokój naprzeciwko, zajrzał do środka przez otwarte drzwi i powiedział:

–Masz, stary, jak w raju, co?

–No, już dobrze, Astrid, wszystko dobrze – mruknął Frank. Wyswobodził się z jej ramion i zamknął drzwi.

–Przez cały dzień myślałam tylko o tobie.

Astrid wyglądała zupełnie inaczej niż wczoraj. Miała inną fryzurę – jej włosy były zaczesane do tyłu i natłuszczone żelem, inaczej też była ubrana – w białą hiszpańską bluzkę z jedwabiu i w spodnie z czarnego atłasu, obcisłe u góry i szerokie w kostkach.

–Wszystko w porządku, dochodzę do siebie – powiedział Frank. – Pogrzeb chyba dobrze na mnie wpłynął.

–Nie wytrącił cię z równowagi, naprawdę?

Frank pokręcił przecząco głową.

–Zaśpiewaliśmy ulubione hymny Danny’ego, paru jego kolegów powiedziało o nim kilka słów i wszyscy płakaliśmy. Dobrze nam to zrobiło. Wcale nie czuliśmy się tak, jakby coś się kończyło. Minie dużo, naprawdę dużo czasu, zanim zapomnimy o Dannym. Tyle że miałem okazję pożegnać mojego syna. I przeprosić go.

–Dlaczego miałbyś go przeproszać?

–Bo Danny nadal ma do mnie pretensje, dlatego. Nieważne, że ja nie byłem winien temu, co się stało.

Przeszedł do małej wnęki kuchennej i nalał do kieliszków wódkę z tonikiem. Do każdej szklanki wrzucił plasterki cytryny.

Astrid usiadła ze skrzyżowanymi nogami na kanapie.

–Nic nie ma w telewizji – zaczęła narzekać. – Tylko te bomby i bomby.

–Cóż, sytuacja zrobiła się naprawdę poważna – powiedział Frank. – Przemysł rozrywkowy w całym stanie uległ totalnemu paraliżowi. Nie wstrzymano jeszcze *Świnek*, ale *Mo* uważa, że stanie się to najpóźniej jutro rano. Zauważyłaś, że Hallmark wstrzymał *Beltway*? Program jakoby gromadził zbyt małą widownię, tak to uzasadnili. A przecież to wcale nieprawda, cieszył się dużym zainteresowaniem. Problem w tym, że głównym czarnym charakterem jest tam bliskschodni dyplomata, bezprzykładny łajdak i zdrajca.

–Nie chcę rozmawiać o bombach. To mnie przeraża. To przeraża wszystkich, i zupełnie słusznie.

–Hollywood już nigdy nie będzie takie samo jak przedtem, prawda?

Frank pokiwał głową. Astrid miała rację, Hollywood zmieniło się na zawsze. Nie samo miasto jako takie, ale zmienił się portret Ameryki, który odzwierciedlało Hollywood, w milionach filmów i seriali telewizyjnych. Stolicy amerykańskiego przemysłu rozrywkowego nie zagrażały ani wymyślane gigantyczne mrówki

nadchodzące z pustyni, ani obcy z kosmosu, lądujący statkami, długimi na milę. Zagrożenie było proste i realne, dookoła ginęli znajomi i sąsiedzi, groźba śmierci czyhała wszędzie i o każdej porze. Nie można było przed nią uciec, wychodząc po prostu z kina albo wyłączając telewizor.

Już nigdy żaden Amerykanin nie będzie spokojnie strzygł trawnika, nie zaprosi rodziny na Święto Dziękczynienia, nie będzie podróżował samochodem wzdłuż wybrzeża, ciesząc się gorącym słońcem, świecącym w oczy, z przekonaniem, że jest bezpieczny, ponieważ znajduje się w Ameryce. Organizacja Dar Tariki Tariquat zamordowała coś więcej, niż tylko ludzi. Zamordowała pewność jutra, pozostawiając za sobą krew spływającą do rynsztoków.

Frank zamówił pizzę pepperoni. Jedli ją w łóżku rękami, nie przejmując się, że okruchy ciasta lądują w pomiętej pościeli.

–Co masz zamiar zrobić z Margot? – zapytała Astrid, oblizując palce.

–A co mogę zrobić? Chyba dam jej trochę czasu, żeby ochłonęła.

–Myślisz, że ochłonie?

–Nie wiem – odparł Frank.

Chciał powiedzieć, że go to nie interesuje, ale w ostatniej chwili ugryzł się w język. Zdziwiło go, że w gruncie rzeczy rzeczywiście los Margot wcale go nie obchodzi. Gdyby go obchodził, nie siedziałby przecież teraz z Astrid w łóżku, w dniu pogrzebu swojego jedyne dziecko. Pomyślał jednak, że on jest w tej chwili ostatnią osobą, którą Margot pragnęłaby mieć przy sobie, która mogłaby koić jej ból. Powiedziała przecież, że być może pewnego dnia wybaczy mu śmierć syna, ale nigdy nie zapomni. Jak więc mogłaby trwać w małżeństwie z nim, skoro zamierzała do końca swoich dni wypominać mu tę tragedię?

Popatrzył na profil Astrid, wyostrzony przez blask bijący z telewizyjnego ekranu – głęboko osadzone oczy, ostro zarysowane kości policzkowe i zmysłowe, lekko otwarte usta. Spojrzał na jej nogi o długich palcach, na które nałożyła srebrne pierścienie. Było w niej coś magicznego, jakby była elfem, który przybył ze Śródziemia. Nie potrafił powiedzieć, czy ich znajomość do czegoś doprowadzi, dochodziło jednak między nimi do dziwnego iskrzenia; czegoś takiego nigdy nie doświadczył z Margot.

–Chciałaś mi coś powiedzieć – odezwał się.

–Naprawdę? Co takiego?

–Nie wiem. Zaczęłaś coś mówić przez telefon, ale w końcu postanowiłaś zostawić to na później.

–Ach, racja. Chciałam cię zapytać, czy wyjechałbyś ze mną na weekend.

–A konkretnie dokąd?

–Mam przyjaciółkę, która ma małą chatkę w Rancho Santa Fe. To tylko godzina jazdy stąd.

–I co byśmy tam robili?

–Pływali. Rozmawiali. Objadali się truskawkami.

–Cóż, prawdopodobnie i tak nic w tym czasie nie napiszę.

–Czy to ma znaczyć „tak”?

–To znaczy „tak”.

–Wspaniale! Będiesz mógł mi śpiewać *Dziewczynę, która utykała na lewą nogę*.

Spojrzał Astrid w oczy, próbując odgadnąć, o czym myśli, ale nie potrafił.

Błyszczały i były rozbiegane, a jednak Frank nie wiedział, czy świadczy to po prostu o spontanicznej radości i zadowoleniu dziewczyny, czy może o czymś zupełnie innym. Może była z nich duma kobiety, która zawsze otrzymuje to, czego chce?

Zasnęli przytuleni i objęci, jednak nie kochali się. Nad ranem, kiedy zaczynało się już rozjaśniać, Franka obudził czyjś głos. W pierwszej chwili pomyślał, że ktoś obcy wszedł do salonu, ale zaraz zrozumiał, że to głos Astrid.

–Uwierz w to... w swojej głowie. To jedyna droga. Ciemna... Wiem, że ciemna. Ciemna! Czy słyszysz fontannę? Przejdź przez ogród i nigdy nie wracaj.

Po chwili odwróciła się do niego plecami i zaczęła bardzo głęboko oddychać, jakby chciała się uspokoić. Niebo za oknem stawało się coraz bardziej błękitne, a w końcu pojawiło się słońce i jego promienie padły na łóżko. Astrid otworzyła oczy i uśmiechnęła się do Franka.

–Chyba mi się coś śniło – powiedziała.

Z tego, że minął bramę do domu Neville’a, Frank zdał sobie sprawę dopiero wtedy, gdy przejechał obok stoiska Earth Mother Juice. Jeśli zobaczysz stoisko Earth Mother Juice, tłumaczył mu Neville, będzie to znaczyło, że pojechałeś o jakieś dwieście jardów za daleko. Frank popatrzył we wsteczne lustro i cały ten odcinek pokonał na wstecznym biegu.

Podjazd prowadzący do domu Neville’a opadał łagodnie pomiędzy żywopłotami z cisów. Frank przejechał pomiędzy nimi żwirową drogą, skręcającą w lewo, aż znalazł się na placu przed domem. Jakiś chudy nastolatek w hawajskiej koszuli woskował właśnie mercedesa Neville’a. Frank nie musiał pytać, czy gospodarz jest w domu. Wszystkie ściany budynku wykonane były ze szkła, bez trudu więc ujrzał wnętrze salonu, taras na tyłach i Neville’a, chodzącego tam i z powrotem z telefonem komórkowym przy uchu.

Podszedł do drzwi frontowych i nacisnął dzwonek. Otworzyła mu przysadzista Meksykanka w fartuchu w kwieciste wzory; usłyszawszy dzwonek, przerwała w kuchni siekanie czerwonej papryki i kołysząc się, przeszła przez hali, wyłożony lśniącym parkietem.

–Tak? – odezwała się takim głosem, jakby była zdziwiona, że w ogóle ktoś stoi za drzwiami.

–Nazywam się Frank Bell. Neville mnie oczekuje.

–Dobrze. Wejdzie pan.

Wprowadziła go do bawialni, w której stały niskie kanapy obite naturalnym lnem i lśniące włoskie krzesła. W rogu stał brązowy posąg nagiej kobiety, zakrywającej oczy rękami. Na największej ścianie wisiało malowidło, przedstawiające szkarłatny trójkąt i czarny kwadrat. Zatytułowane było *Wątpliwość*.

Neville zobaczył Franka przez okno i skinął na niego, żeby przeszedł na taras. Tylna część domu spoczywała na wysokich filarach i rozciągał się z niej piękny widok na Laurel Canyon: drzewa, dachy i jasnoniebieskie baseny kąpielowe. W

oddali rozciągało się zamglone miasto. Ruchem ręki Neville poprosił Franka, żeby usiadł.

–Tak! – krzyknął do telefonu komórkowego. – Wyciągnąłem z tego tylko takie wnioski. Próbowałem, niech mi pan wierzy, ale przecież nie chciałby pan, żebym fabrykował dowody, prawda? Nawet dowody parapsychiczne!

Nerwowo wsunął telefon komórkowy do kieszeni niebiesko-czarnej koszuli od Armaniego.

–Znów porucznik Chessman – powiedział. – Przekazał mi to, co zostało z siedzenia kierowcy ciężarówki, którą wykorzystano do zbombardowania studio numer 5. Chciał się dowiedzieć, czy wyciągnąłem jakieś wnioski.

–A wyciągnąłeś?

–Mam kilka przebłysków, ale nie tworzą one żadnej sensownej całości. Najpierw czyjś krzyk, jakby rozzłoszczony ojciec krzyczał na dziecko. Drugi przebłysk bardziej niż cokolwiek innego przypomina sen. Jakby ktoś wędrował pomiędzy rzędami cyprysów, a nad jego głową świecił księżyc w pełni.

–I co z tego wynika?

–Jak dotąd, kompletny bałagan. Oba przebłyski najwyraźniej prezentują bardzo istotne chwile z życia kierowcy, inaczej nie pozostałby na jego siedzeniu tak ostry rezonans. Jest także bardzo prawdopodobne, że oba przebłyski związane są z decyzją kierowcy, żeby podjąć się roli zamachowcy samobójcy. Ale co dalej... Możesz zgadnąć tyle samo co ja.

–Nadal nie masz pojęcia, kim są terroryści?

–Naprawdę nie. Jestem mocno przekonany, że za tym wszystkim stoją motywacje religijne, ale niemożliwe jest określenie, o którą religię chodzi. Poza tym mam przecucie, że Dar Tariki Tariquat ma potężnego i charyzmatycznego przywódcę, kogoś, na kim ci wszyscy zamachowcy samobójcy chcą zrobić wrażenie. Niemal we wszystkich materiałach z miejsc wybuchów, które badałem, wyczuwam nadzwyczajne poczucie dumy. To jest coś takiego, czego nigdy dotąd nie odebrałem na miejscu zbrodni, nawet kiedy armia brytyjska kazała mi oglądać ludzkie szczątki po wybuchach w Irlandii Północnej.

Frank przywołał na twarz grymas niechęci.

–Kimkolwiek są ci zamachowcy, z pewnością osiągnęli już swój cel. Telewizja wstrzymała emisję praktycznie wszystkich nowych seriali, zamknięto nawet trzy duże kina.

–Wejdźmy do środka – zaproponował Neville. – Zobaczymy, może Danny coś nam podpowie?

Neville zaprowadził go do gabinetu. Wzdłuż jednej ze ścian stały półki ze słownikami, oprawnymi w skórę encyklopediami i teczkami, zawierającymi dokumentację różnych zjawisk paranormalnych. Na kolejnej ścianie wisiały fotografie przedstawiające Neville'a z różnymi sławnymi ludźmi – z Uri Gellerem, Eltonem Johnem, Shirley MacLaine, Henrym Kissingerem. W pomieszczeniu nie było biurka; na środku stał jedynie duży, niski, kwadratowy stół z lśniącego czarnego marmuru.

–Ten stół to moja duma i radość. Przywiozłem go aż z Delf, gdzie żyła wieszczka

Pytia. Słyszałeś o wyroczni delfickiej?

–Jasne.

–Legenda mówi, że Pytia przepowiadała przyszłość, będąc w transie. Uważam jednak, że istnieją bardziej przekonujące dowody na to, iż była jasnowidzką. Posiadała umiejętność trafnego przepowiadania tego, co miało się zdarzyć w najbliższej przyszłości, lecz jedynie w zarysach, mówiła też zagadkami, ponieważ przyszłość docierała do niej drobnymi impulsami, tak jak informacje docierają do mnie i do każdego innego medium. Na przykład potrafiła przewidzieć, że „drewniane ściany ocalą Ateny przed Persją”. I co się stało? Grecka flota pokonała flotę perskiego króla Kserksesa w bitwie pod Salaminą, czterysta osiemdziesiąt lat przed Chrystusem. Przewidziała w ten sposób wiele wydarzeń.

–O jedno chciałbym cię zapytać, zanim zaczniemy – powiedział Frank. – Jeśli Danny’ego zaczniesz udawać kolejny duch, w jaki sposób skontaktujemy się z prawdziwym Dannym?

–Gdy do niego dotrzemy, da nam jakoś znać, że to naprawdę on. Jestem przekonany, że doznał takiego samego szoku jak Kathy Albee i wszystkie inne dzieci, dlatego ostatnim razem, kiedy próbowałem się z nim skontaktować, jego duch był jeszcze bardzo słaby. Ten drugi duch był bardziej dojrzały i w konsekwencji o wiele silniejszy, dlatego był w stanie zepchnąć Danny’ego na dalszy plan. Zakłócił jego sygnał, tak należałoby to powiedzieć. Mam wielką nadzieję, że tym razem Danny będzie chciał z nami rozmawiać i da sobie radę.

–W porządku, rozumiem. Zaczynamy więc.

Nevile usiadł wyprostowany w fotelu z czarnej skóry i skoncentrował wzrok na ścianie ponad głową Franka. Frank także się wyprostował, mimo że Neville go o to nie prosił.

Nastąpiła długa, bardzo długa cisza. Było tak cicho, że Frank słyszał oddech Neville’a. Po kilku minutach zegar wybił godzinę jedenastą. Przed domem, w jasnym blasku słońca, młodzieniec w hawajskiej koszuli właśnie kończył polerowanie przednich zderzaków mercedesa.

–Czy to ty, Danny? – zapytał niespodziewanie Neville. – Chciałbym porozmawiać z Dannym.

Frank wyprostował się jeszcze bardziej i przesunął się na brzeg krzesła. Popatrzył na Neville’a, próbując ściągnąć na siebie jego uwagę, jego oczy wciąż były jednak skoncentrowane na ścianie.

–Chcę rozmawiać z Dannym – powtórzył Neville. – Z nikim innym.

Frankowi nie pozostawało nic innego, jak patrzeć na niego.

–Nevile – odezwał się głośnym szeptem. – Czy ktoś tu jest?

Nevile posłał mu szybkie spojrzenie i pokiwał głową.

–Czy to Danny? Proszę cię, Boże, niech to będzie Danny.

Nastąpiła kolejna długa cisza. Neville powoli opuścił głowę. Wpatrywał się teraz w lśniący dębowy parkiet, co chwila kiwając głową, jakby czegoś nasłuchiwał. W końcu odezwał się:

–W porządku. Dlaczego jednak nie dasz mi znaku, jeśli jesteś prawdziwym

Dannym? A najlepiej będzie, jeśli się pokażesz.

Frank czekał, a serce łomotało mu w piersiach. Neville jeszcze raz skinął głową, po czym popatrzył na Franka.

–Mówi, że powinieneś o nim zapomnieć i rozpocząć nowe życie.

–Co? Jakże mógłbym o nim zapomnieć?

–Mówi, że powinieneś patrzeć w przyszłość, a nie w przeszłość.

–Skąd mam wiedzieć, że to naprawdę on?

–Mówi, że ci wybacza, wie, że to nie była twoja wina. Przedtem był zły, ponieważ nie miał pojęcia, że nie żyje.

–Tak, ale skąd mam wiedzieć, że to jest on, a nie jakiś inny duch, który się pod niego podszywa?

Neville jedną dłonią osłonił oczy. Milczał prawie dwie minuty.

–Pan Burczybrzuch... Czy coś ci to mówi? – zapytał wreszcie Franka.

–Co?

–Pan Burczybrzuch, jego pluszowy miś. Mówi, że to właśnie ty go tak nazwałeś. Mówiłeś, że to przez niego burczy ci w brzuchu, kiedy czytałeś Danny’emu książki do poduszki. *Zielone jaja i szynka*, to mu właśnie czytałeś.

Frank bezwiednie otworzył usta i zamknął je znowu. Tak, to był Danny. To musiał być Danny. Kto inny by o tym wiedział? I Danny... Danny powiedział, że mu wybacza. Nagle oczy Franka wypełniły się łzami.

–Danny! Danny, czy mnie słyszysz? To ja, twój tatuś! Neville znów przez chwilę nasłuchiwał, po czym powiedział:

–Tak... On cię słyszy. Kocha cię. Chce, żebyś był szczęśliwy. Mówi, że powinieneś rozpocząć nowe życie.

–Danny, nie zapomnę cię. Przenigdy.

–Mówi, że powinieneś pójść za głosem swojego serca. Właśnie spotkałeś osobę, z którą powinieneś spędzić resztę życia.

Frank zmarszczył czoło.

–Nie rozumiem. Skąd on może o tym wiedzieć?

–Ponieważ jest z tobą, dokądkolwiek się udajesz. I już zawsze z tobą będzie.

–Danny, kogo masz na myśli? O kim mówisz? Znowu chwila ciszy. Wreszcie Neville odpowiedział:

–Jej imię rozpoczyna się na literę A. „A” jak Aardvark.

–Danny, o kogo ci chodzi? Kto to jest?

Neville długo i bezskutecznie czekał na odpowiedź.

–Nie odpowiada – oznajmił. – Być może już sobie poszedł. Albo jest zbyt zmęczony, żeby z nami rozmawiać. Komunikowanie się z ludźmi, którzy zeszli z tego świata, jest bardzo męczące. Równie męczące jest to dla duchów.

–Jesteś pewien, że już go nie ma? – zapytał Frank. Rozejrzał się dookoła, jakby się spodziewał, że ujrzy Danny’ego w jakimś kącie albo na tarasie.

–Chyba tak. Nic nie słyszę i nic nie czuję.

Frank wyciągnął z kieszeni wymiętą chusteczkę i wytarł nos.

–Nie wiem,co powiedzieć. To był Danny, prawda? Wiedział przecież, jak nazywa

się pluszowy miś i dlaczego tak się nazywa.

–Nie traktowałbym tego jako decydującego dowodu. Ale tak, bardzo prawdopodobne, że to był on.

–Boże, dlaczego ja nie mogłem go usłyszeć? Ale Danny mi wybacza, to jest dla mnie najważniejsze.

Nevile wstał i położył dłoń na ramieniu Franka.

–Cieszę się z tego. Naprawdę bardzo się cieszę. Ale... sam nie wiem. Jedna rzecz mi tu bardzo nie pasuje.

Frank popatrzył na niego pytająco.

–Niby nic wielkiego – powiedział Neville. – A jednak zastanawiam się, dlaczego Danny z takim entuzjazmem namawiał cię, żebyś rozpoczął nowe życie?

–Może wie, że Margot i ja znaleźliśmy się u kresu wspólnej drogi? To znaczy, że skoro Margot nie potrafi przyjąć do wiadomości faktu, iż nie zabiłem Danny'ego...

–Nie jestem pewien. Moim zdaniem większość ośmioletnich chłopców chciałaby, żeby ich rodzice byli razem, bez względu na wszystko.

–A moim zdaniem Danny zdaje sobie sprawę, że Margot i ja nie będziemy już razem szczęśliwi.

–Hmm... To mógłby być raczej osąd kilkunastoletniego młodzieńca, a nie ośmioletniego chłopca, tym bardziej chłopca, który niedawno został zabity. No, ale co powiesz na drinka? Mam bardzo dobrego rieslinga, jeśli lubisz wino.

–Nie, dzięki. Chyba już pójdę. Pojadę do studia, zorientuję się, jak wygląda sytuacja ze Świnkami.

–Czy jest w twoim życiu kobieta, której imię zaczyna się na literę „A”?

Frank przez chwilę wahał się, po czym odparł:

–Tak.

–Mam nadzieję, że nie uważasz mnie za zbyt wścibskiego. Ale muszę wiedzieć, czy Danny trafił w sedno czy nie.

–Ma na imię Astrid. Spotkałem ją w Cedars kilka chwil po wybuchu bomby. Jest bardzo atrakcyjna i chyba dobrze nam jest ze sobą, chociaż uważam, że jest jeszcze o wiele za wcześnie, żebym mógł myśleć o spędzeniu z nią reszty życia.

–Oczywiście.

–Niepokoi mnie, że Astrid utrzymuje swoją przeszłość w tajemnicy. Nie wiem, gdzie ona mieszka ani z czego żyje. Nigdy nie spotkałem nikogo spośród jej przyjaciół czy znajomych. Wiem o niej tylko, że ma na imię Astrid, nic więcej.

–To niezwykle. Nie mówię, że takie rzeczy się nie zdarzają... Może jest zamężna? W każdym razie z pewnością nie jest to zwyczajna znajomość.

–Wiem. Ta dziewczyna umie jednak słuchać, zdaje się rozumieć, co czuję i, jeśli o mnie chodzi, w tej chwili tylko to się liczy. – Frank wstał i potrząsnął dłonią Neville'a.

– Chciałbym ci podziękować za dzisiejszy seans. Zdjąłeś ze mnie wielki ciężar. Naprawdę.

–Musimy to powtórzyć. Być może dowiemy się więcej.

Nevile wyprowadził Franka do hallu. W tym samym momencie z salonu wyszedł Danny. Zobaczyli go obaj jednocześnie, bardzo wyraźnie, a przecież mimo szklanych

ścian Frank do tej pory go nie widział.

–O mój Boże. – Frank usłyszał własny jęk.

Danny stał przed nim w całej okazałości, tak wyraźny, jakby nadal żył. Jedynie jego włosy były straszliwie potargane, a twarz śmiertelnie blada. Ubrany był w szarą koszulę, szorty koloru khaki oraz znoszone kapcie – strój, którego Frank nie potrafił rozpoznać. Koszula i szorty chłopca były uwalane zaschniętą krwią. Krwia poplamione było też jego ucho, krwawe szramy widniały na czole i nogach. Oczy miał szeroko otwarte, jednak wpatrywał się w dal bez żadnego wyrazu; przypominały szklane oczy wypchanego zwierzęcia.

Frank poczuł, że cierpnie mu skóra.

–Danny? – powiedział ochryplym głosem.

Postąpił krok do przodu, jednak Neville szarpnął go za ramię.

–Frank! Nie!

–Ty też go widzisz?

–Tak, ale to nie jest Danny. Uwierz mi, Frank. Danny nie miałby siły na coś takiego.

–Danny? – powtórzył Frank. – Danny, do diabła, co się z tobą stało? Czy ktoś cię zranił?

Oderwał palce Neville'a od swojego ramienia, ale ten natychmiast złapał go wpół, pociągnął do tyłu.

–Przestań, Frank. To może być niebezpieczne.

–To jest Danny, Neville! Popatrz na niego! To jest Danny!

–Na miłość boską, to niemożliwe!

–Danny, kto ci to zrobił? Kto cię zranił? Puść mnie, Neville! Na miłość boską, puść mnie! Muszę się dowiedzieć, kto wyrządził krzywdę mojemu synowi!

Danny nadal w milczeniu wpatrywał się w przestrzeń. Frank wyrwał się w końcu Neville'owi, wyciągnął ręce i postąpił kilka kroków ku niemu.

–Frank, posłuchaj mnie, przestań – ostrzegł go Neville. Frank padł na kolana.

–Danny, znasz mnie? To ja, twój tatuś. Kto cię skrzywdził, Danny? Chciałbym ci pomóc.

Danny skierował na niego wzrok. Jego oczy ani trochę nie przypominały oczu Danny'ego za życia, było w nich jednak coś, co Frank rozpoznał, jakby spoza maski, która miała kształt twarzy jego syna, przypatrywał się mu ktoś znajomy.

–Tatuś...

–Co takiego?

–Tatuś mnie skrzywdził.

–Nie rozumiem. Nigdy cię nie uderzyłem, nie aż tak.

–Tatuś mnie skrzywdził.

–Danny, podejdź do mnie, umyję cię.

–To jest duch, Frank – wtrącił się Neville. – Nie możesz go umyć. Nie możesz nawet go dotknąć. Jego tutaj nie ma.

Frank odwrócił się.

–Do diabła, co to znaczy, że go nie ma? Widzę go i słyszę. Ktoś mu zrobił

krzywdę, i to mi wystarczy.

–Frank...

Kiedy Frank odwrócił się z powrotem, Danny przeraźliwie krzyknął i rzucił się na ścianę. Po chwili biegł przez hall. Po drodze uderzył w nogę stolika, ustawionego pod ścianą. Ze stolika spadł szklany wazon i roztrzaskał się na podłodze. Danny przewrócił się i na pośladkach, nogami do przodu, zaczął się ślizgać po parkiecie w kierunku drzwi wyjściowych. Można było odnieść wrażenie, że ktoś go ciągnie za kostki.

Frank pobiegł za nim i spróbował złapać go za ręce. Poczuł na dłoniach jakby podmuch, niczego jednak nie chwycił. Nie było już Danny'ego, nie było jego rąk. Danny zniknął, nagle, w jednej chwili, tak samo, jak się pojawił. Frank stanął w miejscu, drżący, zdezorientowany. Z jego łokcia kapła krew. Zranił się o ostry kawałek szkła z rozbitego wazonu.

–Co się stało? Gdzie on jest?

–Mówiłem ci, Frank. Widziałeś go, ale go tutaj nie było.

–Przecież zrzucił wazon ze stolika! Gdyby go tu nie było, w jaki sposób by to zrobił?

–To zadziałała tylko energia psychokinetyczna, jak u poltergeista. Chodź ze mną do kuchni, opatrzę ci ranę.

–On tutaj był, Neville. Był tutaj, stał przede mną.

–Wiem. Ja też go widziałem. Był jednak jedynie w naszych umysłach.

Przysadzista kucharka z dezaprobatą patrzyła, jak Neville płucze ranę Franka pod zimną wodą. Wreszcie Neville podał mu jeden papierowy ręcznik, żeby wytarł ręce, a drugi przyłożył do rany.

–To nic takiego, Frank. Do wesela się zagoi.

–On przecież wyglądał dokładnie jak Danny. Nie mogę tego zapomnieć.

–Wiem, Frank, ale to nie był on. Myślę, że to był ten sam duch, którego widzieliśmy u ciebie na werandzie.

–Ale dlaczego? Czego on chce?

–Moim zdaniem, chce ci coś powiedzieć, coś wyjaśnić, jednak Bóg jeden wie, co takiego. Duchy są jak Pytia delficka. Mają frustrujący zwyczaj mówienia zagadkami, aluzjami, udzielania niewyraźnych podpowiedzi.

Wyszli na taras i Frank, wciąż drżący, usiadł. Neville otworzył butelkę wina i podał mu pełen kieliszek.

–Piękny kolor, prawda? Czyste złoto.

–Co mam teraz robić? – zapytał Frank.

–W normalnych okolicznościach powiedziałbym ci, żebyś o dzisiejszym dniu w ogóle zapomniał.

–Ale to nie są normalne okoliczności, prawda?

–Nie są. Uważam, że twój pierwszy odruch był prawidłowy. Ktoś, z jakiegoś nieznanego powodu, chce cię gdzieś zaprowadzić. To może być tylko jakaś psota znudzonego ducha. Wielu zmarłych ludzi ma dziwne poczucie humoru. Nie sądzę jednak, że tym razem chodzi o zabawę. Musimy się dowiedzieć, co ten duch chce ci

przekazać, i to szybko.

W wiadomościach telewizyjnych o osiemnastej spikerka Chris Chan poinformowała, że jednostka antyterrorystyczna policji w Los Angeles uzyskała dalsze informacje na temat Richarda Haze'a Abbotta, kierowcy ciężarówki z firmy „Uczta na kółkach”.

–Abbott uczył się w szkole średniej w Simi Valley, jednak w wieku szesnastu lat został usunięty ze szkoły za złe zachowanie. W latach 1994-1996 wielokrotnie zmieniał pracę; zatrudniał się między innymi jako malarz, dekorator, dekarz, taksówkarz, w żadnej pracy nie wytrwał jednak dłużej niż kilka tygodni. Według niektórych z wielu jego krótkotrwałych pracodawców, był pracownikiem „kłótliwym”, „niezdyscyplinowanym” i „dziwołagiem”. W październiku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego szóstego roku Abbott przyłączył się do trzydziestopięciosobowej komuny mającej siedzibę w górach niedaleko Escondido, w hrabstwie San Diego. Członkowie tej komuny nazywali siebie Kontrolerami Ruchu Powietrznego, ponieważ wierzyli, iż ich życiową misją jest umożliwienie lądowania pojazdu kosmicznego z przybyszami spoza naszej planety.

Mniej więcej w tym okresie Abbotta aresztowano za kilka drobnych przestępstw, w tym głównie za kradzieże i wandalizm. W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym ósmym roku skazany został na trzy lata więzienia za handel narkotykami i nielegalne posiadanie broni. W więzieniu w Vista znalazł się w orbicie wpływów znanego islamskiego agitatora, Ibn Athira, który odsiadywał wyrok pięciu lat za sfałszowanie paszportu. Athir namówił Abbotta, by ten przeszedł na islam.

Opuściwszy więzienie, Abbott przyłączył się do odłamu islamskich aktywistów, zwanych się Synami i Córkami Iblis, w skrócie SICI. Podczas nalotu policji na główną siedzibę SICI w sierpniu 2002 roku odkryto materiały wybuchowe, broń palną i mnóstwo literatury wywrotowej. Na Abbotta znów wydany został nakaz aresztowania, jednak do jego zatrzymania nie doszło. Powszechnie przypuszczano wówczas, że udało mu się nielegalnie przekroczyć granicę z Meksykiem.

Na ekranie pojawiła się matka Richarda Abbotta, sfilmowana przed rodzinnym domem w Simi Valley – gruba, prosta kobieta o tłustych włosach, w brudnej bawełnianej koszulce.

–Richie był miłym chłopakiem, oczywiście, jednak ojciec bił go za byle co i nawet dzieciaki w szkole się nad nim znęcały. Właściwie wciąż był nieszczęśliwy, przez całe życie, i to, co zrobił, ta cała historia z bombą, nie mogę powiedzieć, że się zdziwiłam. Richie zawsze mówił, że któregoś dnia się na wszystkich odegra. Mawiał, że ludzie, którzy traktują innych ludzi jak śmieci, na nic nie zasługują. Nie zasługują ani na to, żeby żyć, ani nawet na to, żeby oddychać.

Na ekranie ponownie ukazała się Chris Chan.

–Policja i FBI przyznały dzisiaj, że nie posunięto się nawet krok naprzód w działaniach mających na celu zidentyfikowanie przywódców Dar Tariki Tariquat. Dowiedziono jednak ponad wszelką wątpliwość, że materiały wybuchowe, których użyto do wysadzenia w powietrze studia numer 5, zostały skradzione ponad rok temu z kamieniołomu w Raymond w hrabstwie Madera. Komisarz policji Marvin

Campbell powiedział, iż fakt ten dowodzi, że mamy do czynienia z „przemysłaną i starannie, na chłodno zaplanowaną kampanią terroru”.

Na wizji pojawił się Campbell; wyglądał na zmęczonego i zestresowanego.

–Nie powinniśmy się łudzić myślami, że te zbrodnie popełnili amatorzy albo jacyś nawiedzeni fanatycy. Ci ludzie dokładnie wiedzą, co robią, planowali to od bardzo dawna i nadal znajdują się o krok przed nami. W tej chwili mogę jedynie powtórzyć moje wcześniejsze ostrzeżenia wobec wszystkich mieszkańców Los Angeles, szczególnie tych związanych z przemysłem rozrywkowym: bądźcie bardzo czujni. W razie jakichkolwiek pytań lub problemów, gdybyście dysponowali państwo jakimiś ważnymi waszym zdaniem informacjami, dzwońcie na numer 911.

–Tymczasem Charles Lasser, właściciel Star-TV, ogłosił, iż stacja jest zdecydowana przeciwstawić się Dar Tariki Tariquat, nadając cały program zgodnie z planem, w tym między innymi pikantny serial *Rajski gaj* oraz *Karen Mulcahy Show*. W tym drugim programie goście Karen zwierają się na wizji ze swych najbardziej wyuzdanych fantazji seksualnych, a wszystkiego słuchają w studio ich życiowi partnerzy.

W telewizorze pojawił się Charles Lasser, wysiadający z rolls-royce’a, który prowadził jego kierowca.

–Dzień, w którym zmienię w programie Star-TV chociaż jedną sekundę ze strachu przed jakimiś szaleńcami w nocnych koszulach i obłędem w oczach, będzie zarazem dniem, w którym zamknę się w gabinecie z butelką whiskey i strzelę sobie w łeb.

Determinacja Charlesa Lassera, by nie dać się zastraszyć terrorystom, z dnia na dzień potroiła liczbę odbiorców jego stacji. Pochwalił się, że wpływy z reklam wzrosły o ponad siedemnaście procent.

–Nie robię jednak tego dla pieniędzy. Każdy dodatkowo zarobiony cent dokładam do wyznaczonej przeze ranie nagrody. Chcę, żeby tych sukinsynów dosłownie wypleniono, i mogę poświęcić w tym celu nawet i milion dolarów.

Dziennikarz zapytał go, czy zbyt pochopnie nie naraża na niebezpieczeństwo swoich pracowników i publiczności obecnej w studio przy nagrywaniu programu.

–Żaden z moich pracowników nie ma obowiązku przychodzenia do pracy w trakcie obecnego kryzysu, jeśli uważa, że ryzykowałby w ten sposób zbyt wiele. Nikt, kto zrezygnuje z pracy podczas kryzysu, nie zostanie w żaden sposób ukarany. Kiedy kryzys minie, wszyscy zostaną serdecznie powitani z powrotem w Star-TV. Osoby, które pojawią się w naszych studiach nagraniowych, by brać udział w programach nadawanych na żywo, i w ogóle we wszystkich programach rozrywkowych, będą musiały podpisywać deklaracje zawierające rezygnacje ze wszelkich roszczeń wobec Star-TV w razie śmierci lub odniesienia jakichkolwiek ran albo urazów. Nasza ochrona jest, zapewniam, najdoskonalsza z możliwych, jednak decyzje w sprawie udziału w naszych programach podejmować należy samodzielnie, na własne ryzyko.

–Cóż za wielkoduszność! – powiedział Frank do Astrid. – Nawet jeśli jesteś zbyt przerażona, żeby teraz chodzić do pracy, Charlie Lasser powita cię z powrotem z otwartymi ramionami, kiedy tylko zagrożenie minie. Zauważ jednak, że Charlie nie

obiecuje, iż powrócisz do tej samej pracy. Przed bombami wiceprezes do spraw kontaktów międzynarodowych, a po bombach: zarządca toalety.

–Czy spotkałeś go kiedyś? – zapytała Astrid. Tuliła się do niego, ubrana jedynie w białą bluzeczkę w różowe prążki.

–Charliego Lassera? Tylko raz, podczas jakiejś ceremonii wręczenia nagród telewizyjnych. To potężny facet, tylko tyle pamiętam. To znaczy wygląda na tęgiego już na ekranie, ale kiedy spotkasz go normalnie, w życiu, będziesz miała wrażenie, że jest wielkoludem. Czułem się przy nim jak Stuart Malutki.

–Uważam, że coś w sobie ma. Sama nie wiem, charyzmę?

–Uważasz tak dlatego, że jest wielki, tyranizuje ludzi i dobrze mu się powodzi. Kobiety lgną do takich potężnych sukinsynów.

–Coś takiego! A przecież ty nie jesteś potężny ani nikogo nie tyranizujesz, a ja nie potrafię ci się oprzeć.

–To dlatego, że cię rozśmieszam. To jedyne pozostaje mężczyznom, którzy chcą uwieść kobietę, a są zbyt słabi i zbyt nieśmiali, żeby nad nią dominować.

–Czasami doprowadzasz mnie także do płaczu. Ten fragment ze *Świnek*, kiedy Henry się zdenerwował tymi wszystkimi latami na spodniach... Był bardzo smutny.

Frank uśmiechnął się na wspomnienie tego tekstu i głośno zacytował:

–Nasze spodnie miały na tyłkach tyle lat, że były to bardziej łaty niż spodnie. Osobiście nie mogłem zrozumieć, dlaczego duma naszego ojca wymagała, żebyśmy chodzili do szkoły w czymś, co wyglądało jak tradycyjny pstrokaty amerykański patchwork, naszyty na tyłki naszych spodni z szarej flaneli. Przecież żadna duma nie jest warta tego, by dwaj mali bracia stali w kącie gorącej pustej klasy, cicho popłakując, bo przecież nie mogą nigdzie pójść, nie pokazując wszystkim innym swych upstrzonych spodni.

–Och, jakie to smutne – powiedziała Astrid. – Biedny Dusty. Biedny Henry.

–Życie jest smutne, i tyle – odparł Frank i pocałował ją w czoło.

Kiedy wreszcie poszli tej nocy do łóżka, Astrid kochała się z nim, jakby nigdy nie miała dosyć. Sprawiała, że początkowo Frank poczuł się jak wiking, który właśnie powrócił z długiej morskiej wyprawy i jest gotów gwałcić wszystkie kobiety, jakie mu się tylko nawiną. Ale w miarę jak upływał czas, Frank był coraz bardziej zmęczony, podrapany i poobijany. Desperacko pragnął przespać się chociaż kilka godzin, jednak Astrid chciała, żeby brał ją na takie sposoby, o jakich on dotychczas tylko fantazjował, i na takie, jakich do tej pory sobie nawet nie wyobrażał. Podczas orgazmów wydawała odgłosy, jakich Frank jeszcze nigdy u kobiety nie słyszał: syczała, wyła wysokim tonem i krzyczała. Drapała go, biła otwartą dłonią i gryzła. Tarzali się w przepoconej pościeli tak długo, że wreszcie Frank stracił poczucie rzeczywistości. Nie wiedział już, gdzie się znajduje, kim jest i co tak naprawdę robi.

Nad ranem Frank się obudził i ujrzał przed oczami stopy Astrid. Uniósł się na łokciu. Spała na brzuchu, a włosy na jej głowie starczały jak kolce. Bardzo długo błędził wzrokiem po krągłościach jej ciała i doszedł do wniosku, że jeszcze nigdy nie spotkał tak magicznej kobiety. Jej skóra była jak z jedwabiu. Jej szyja miała cudowny kształt. Uwielbiał także jej zapach, zapach kobiecej wilgoci i zwiędłych kwiatów. Po

raz pierwszy zauważył, że na lewym biodrze ma malutki tatuaż, jakby garbatego kozła okrytego peleryną.

Wstał z łóżka i podszedł do okna, żeby rozsunąć zasłony. Astrid poruszyła się i zamrugała.

–Która godzina? – zapytała.

–Pięć po ósmej. Chyba się nie śpieszysz?

–Nie.

–Pomyślałem, że moglibyśmy zjeść śniadanie w barze u Charliego. Podają tam najlepszą na świecie peklowaną wołowinę. Zabiłabyś za nią własną matkę.

–Moją matkę?

To taka przenośnia. Nie bierz tego tak dosłownie.

–Moją matkę? – powtórzyła Astrid chrapliwym i rozkojarzonym głosem, jakby nie potrafiła sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek miała matkę.

–Daj spokój, zapomnij, że to powiedziałem. Co powiesz na prysznic?

Usiadła i przeciągnęła się, wyginając plecy w łuk; szczupłe ramiona wyrzuciła do tyłu jak skrzydła.

–Mam dzisiaj tyle spraw na głowie.

–Na przykład? Myślałem, że może byś poszła ze mną do biura. Przedstawiłbym cię Mo i Lizzie.

–Chyba jest na to jeszcze trochę za wcześnie, nie uważasz?

Usiadł i pocałował ją.

–Wcale nie. Poza tym Mo i Lizzie doskonale rozumieją życie, szczególnie Lizzie. No, ale masz przynajmniej czas na wspólne śniadanie, prawda?

–Nie. Chyba już pójdę.

–I co dalej? Zobaczą cię dziś wieczorem? Popatrzyła mu prosto w oczy, jakby chciała spenetrować najdalsze zakamarki jego umysłu.

–To zależy.

–Od czego?

–Od tego i owego. Od tego, czy będę zajęta.

–No cóż, trudno. Może więc dasz mi numer telefonu, żebym mógł zadzwonić?

–Mówiłam ci już, nie mam telefonu.

–Chyba masz przynajmniej komórkowy? Potrząsnęła przecząco głową.

–Chryste, przecież każdy człowiek na tej planecie, może z wyjątkiem głuchych jak pień mieszkańców pustyni Kalahari, ma telefon komórkowy.

Astrid wstała i naga poszła do łazienki. Frank ruszył za nią. Usiadła na toalecie, jednak wciąż wpatrywała się w niego tym dziwnym, rozkojarzonym spojrzeniem.

–Nic nie rozumiem – powiedział Frank. – Jak to jest możliwe, że nie masz telefonu?

–Lubię, kiedy nie można się ze mną skontaktować.

–Nawet jeśli to chodzi o mnie?

Spuściła wodę i podeszła do umywalki. Szybko opłukała twarz i zwilżyła włosy. Frank podszedł do niej i dotknął kropelki wody na jej powiekach i czubku nosa.

–Nevile przeprowadził dla mnie kolejny seans.

–Naprawdę?

–Połączył się z Danny. Jestem całkowicie pewien, że tym razem to był naprawdę on. Prawdziwy Danny.

Astrid wytarła twarz i przeszła do sypialni. Wzięła grzebień i zaczęła czesać włosy. Frank znów poszedł za nią.

–Danny powiedział, że właśnie spotkałem osobę, z którą mam spędzić resztę życia. Powiedział, że jej imię zaczyna się na literę „A”.

–No i?

–„Astrid” zaczyna się na „A”, prawda?

–Kurczę, ty w to naprawdę wierzysz? Już ci mówiłam, Neville to zwykły oszust i naciągacz. Gdyby nie kręcił się wokół policji i nie zgrywał detektywa jasnowidza, pewnie grałby na jakimś bazarze w trzy karty.

–Nie masz racji. On znał imię pluszowego misia Danny’ego i wiedział, dlaczego tak go nazwaliśmy.

Astrid wyciągnęła spod łóżka szafirowoniebieskie majtki i włożyła je.

–I to miał być dowód jego prawdziwości?

–Mnie wystarczył.

–Frank, ja także wiem, jak miał na imię niedźwiadek Danny’ego, i wiedzą to prawie wszyscy mieszkańcy Stanów. Mówili o nim w wiadomościach NBC. „Dzisiaj samotny pluszowy miś płacze za małym chłopcem, który tulił go do siebie z taką miłością”.

–Naprawdę? Nie widziałem.

–Bo nadawali to w środę, kiedy ty byłeś na pogrzebie. Astrid włożyła biustonosz i bluzkę. Frank zapiął jej guziki na plecach.

–Mimo wszystko wierzę, że Neville zdołał dotrzeć do Danny’ego. A on powiedział, że moje życie zaczyna się od początku, z kobietą, której imię rozpoczyna się na literę „A”.

Astrid powoli potrząsnęła głową.

–Sądysz, że jestem częścią twojego nowego życia? Frank, przecież mnie wcale nie znasz.

–Więc chcę cię poznać. Może powiesz mi w końcu, jak brzmi twoje nazwisko i gdzie mieszkasz?

Znalazła torebkę i wyciągnęła z niej tusz do rzęs.

–To, że poznasz czyjeś nazwisko i adres, wcale nie oznacza, że poznasz tę osobę.

–Może nie, ale to dobry początek.

Odwróciła się, pocałowała go, delikatnie, lecz namiętnie. Przejechała językiem po zębach Franka.

–W nocy byłeś wspaniały – powiedziała. – Miałam fantazję, że jestem królową Saby, a ty jesteś moim niewolnikiem.

–I tak właśnie się czułem, możesz mi wierzyć. W gruncie rzeczy czułem się tak, jakbym był kilkoma niewolnikami naraz.

–Popatrz tylko – odezwała się Astrid. Obróciła go w ten sposób, że mógł widzieć w lustrze swoje plecy. Na ramionach i pośladkach miał szkarłatne ślady zadrapań. –

Lubisz, jak ci zadają ból, prawda? Wiesz, co zrobię następnym razem? Będę cię gryzła tak mocno, że zaczniesz wyć z bólu. – Otworzyła szeroko oczy. – Zagryzę cię. – Po chwili milczenia znów go pocałowała. – Do zobaczenia.

Po chwili już jej nie było. Przez chwilę słychać było tylko stukot jej różowych kłapek na schodach. Frank stał na środku pokoju z ramionami opuszczonymi wzdłuż tułowia i po raz pierwszy od wielu lat miał wrażenie, że stracił kontrolę nad tym, co się z nim dzieje. Czuł się tak jak podczas podróży do Portland w Oregonie przed trzema laty. Wypożyczony samochód, który prowadził, wpadł nagle w poślizg na oblodzonym zakręcie. Frank gorączkowo obracał kierownicą w prawo i w lewo, jednak czarne skały zbliżały się ku niemu z zawrotną szybkością. Nie mógł już nic zrobić, jedynie przygotować się na zderzenie.

Przez cały dzień czekał przy telefonie, jednak Astrid nie zadzwoniła, więc wkrótce po dwudziestej pojechał do Burbank, żeby zobaczyć się z Margot. W końcu wciąż byli małżeństwem, a on zaczynał czuć się coraz bardziej winny, że pozostawił ją samą sobie z jej żalobą. Przecież nie miała nawet nikogo, z kim mogłaby porozmawiać.

Margot otworzyła mu drzwi, jednak o krok za nią stanęła Rachel, ubrana w jakieś niezwykle, ręcznie tkane ponczo z frędzlami, ozdobione symbolem słońca, oraz w workowate, brązowe, bawełniane spodnie. Margot miała na sobie dżinsowe ogrodniczki i była bez makijażu. Jej twarz wyglądała blado jak oskrobany ziemniak.

–Czego chcesz? – zapytała go.

–Myślałem, że moglibyśmy porozmawiać.

–Myślałam, że wszystko, co miałeś mi do powiedzenia, wyraziłeś, niszcząc moje obrazy.

–Wciąż uważasz, że to ja zrobiłem?

–Obchodzi cię, co uważam?

Frank popatrzył na Rachel, a ona odwzajemniła spojrzenie. W jej zwężonych oczach czaiła się nienawiść.

–Margot potrzebuje czasu, żeby odbudować swój uczuciowy system wartości – powiedziała.

–Nie wiedziałem, że ten system uległ zniszczeniu.

–Oczywiście, że uległ zniszczeniu, Frank. Całe jej pojęcie o tym, jak powinno wyglądać pożycie małżeńskie, jest w totalnej rozsypce.

Frank zmarszczył czoło i popatrzył na Margot takim wzrokiem, jakby nie mógł sobie przypomnieć, kim ona jest. A tak naprawdę próbował dojrzeć w jej twarzy powód, dla którego się z nią ożenił, dla którego poczęli Danny'ego i dla którego żyli razem tak długo. Dostrzegł jedynie febrę na jej górnej wardze.

–Czy to prawda? – zapytał ją. – Całe pojęcie o tym, jak powinno wyglądać pożycie małżeńskie?

–Jak możesz ze mnie drwić po tym, co się stało?

–Wcale z ciebie nie drwię, Margot. Drwię ze świata, który zamienia prawdziwe uczucia w żargon bez znaczenia. Próbuję cię przekonać, jak bardzo jest mi przykro. Ale chcę ci także powiedzieć, że nie możemy już cofnąć wskazówek zegara. Albo

będziemy razem dzielić naszą żalobę, spróbujemy razem się z niej pozbiierać i wspólnie dojść do wniosku, co właściwie pozostało z naszego małżeństwa, albo powiemy sobie, że nasz statek został przedziurawiony poniżej linii wody i musimy go opuścić, ale wtedy każde z nas zrobi to na własną rękę.

W pierwszej chwili Margot nic nie odpowiedziała. Rachel postąpiła krok do przodu i lekko potrząsnęła jej ręką, posyłając Frankowi pełne zadowolenia spojrzenie właścicielki, jakby chciała powiedzieć: „Widzisz, straciłeś ją, teraz jest moja. Jesteśmy siostrami, popatrz tylko na nasze paskudne stroje, włosy zaczesane do tyłu i na nasze twarze bez śladu makijażu. Nie musimy być atrakcyjne dla mężczyzn, ponieważ ich nie potrzebujemy”.

–Frank – odezwała się wreszcie Margot. – Wiem, co chcesz powiedzieć. Wiem, jak ci przykro. Ale ja naprawdę potrzebuję znacznie więcej czasu.

–W porządku. – Frank pokiwał głową. – Jestem gotów wspaniałomyślnie ci go ofiarować. Ile potrzebujesz? Dwóch tygodni? Miesiąca? Może roku? A co powiedziałałyś na dziesięć lat?

W tym momencie spojrzeli na siebie i już wiedzieli, że wszystko się skończyło.

–Nasi zegarmistrze będą w kontakcie, dobrze?

Po powrocie do Sunset Marquis zatelefonował do Neville’a.

–Pan Strange wyjechać z miasta – poinformowała go służąca.

–Czy wie pani, kiedy wróci? Mówi Frank Bell. Muszę z nim pilnie porozmawiać.

–On nie powie. Może pan zadzwonić na jego telefon komórkowy?

–Tak zrobię. Dzięki.

Zatelefonował na komórkę Neville’a, ale telefon był wyłączony. W końcu było już późno, mijała właśnie dwudziesta trzecia trzydzieści. Pozostawił wiadomość na sekretarce; nic więcej nie mógł zrobić. Nie wiadomo dlaczego, zaczął odczuwać przerażenie, wręcz panikę, jakby wkrótce nieuchronnie miało się wydarzyć coś złego, mimo że nie miał pojęcia co. Bardzo wstrząsnęło nim pojawienie się poranionego, krwawiącego Danny’ego w domu Neville’a. Co to miało oznaczać? Czy Danny chciał mu pokazać, że jako ojciec był dla niego obojętny, niewrażliwy, wręcz okrutny? Fakt, musiał to przyznać przed samym sobą, zawsze był wobec niego stanowczy, czasami zbyt stanowczy. Jednak uważał, że zawsze był też wobec syna sprawiedliwy i czuły.

Może rany Danny’ego były metaforą, która miała oznaczać coś innego? W końcu, jeśli Neville miał rację, wcale nie ukazał mu się Danny, lecz jakiś inny, znacznie silniejszy duch, udający Danny’ego. Jednak, skoro był to silniejszy duch, dlaczego pozwolił się ciągnąć przez hali i wywlec na zewnątrz?

Popatrzył na swoje odbicie w lustrze. Włosy miał potargane, a pod oczyma ciemne obwódki.

–Oto portret szaleńca – stwierdził.

Piątek, 21 września, godz. 15.26

Siedział właśnie na balkonie, z nogami opartymi o barierkę, kiedy odniósł wrażenie, że z północnego wschodu dotarł do niego jakiś głuchy odgłos. Inni ludzie też musieli go usłyszeć, ponieważ nagle odgłosy zabawy i śmiechy przy basenie zamarły. Wszyscy zastygli w bezruchu i zaczęli nasłuchiwać.

–Słyszałeś to? – zapytał muzyk o długich włosach i haczykowatym nosie. – To była cholerna bomba, znowu pieprzona bomba.

Frank wszedł do pokoju i włączył telewizor. Przerzucał kanały tak długo, dopóki nie natrafił na CNN. Nie minęło nawet pięć minut, jak na ekranie pojawił się pasek z informacją: „W studiach Walta Disneya w Burbank przy Buena Vista Road doszło przed chwilą do potężnej eksplozji. Naoczni świadkowie mówią, że zginęły dziesiątki ludzi, są setki rannych, a z powierzchni ziemi zniknęła ponad połowa głównego budynku administracyjnego”.

Przez resztę popołudnia pozostał przed telewizorem. Stopniowo rozjaśniał się obraz sytuacji. Bomba, umieszczona w samochodzie, zabiła czterdziestu pięciu pracowników Disneya, a ponad sto osób odniosło ciężkie rany. Budynek administracyjny zapadł się, a ruiny ogarnął ogień, który zniszczył warte miliony dolarów nieodtwarzalne rysunki i taśmy filmowe. Tylko trzech spośród siedmiu Krasnoludków, których rzeźby podtrzymywały dach, nie uległo zniszczeniu.

Na moment na ekranie telewizora pojawił się komisarz Campbell. Powiedział bardzo niewiele:

–Los Angeles znowu straciło dziesiątki cennych istnień ludzkich. Cały świat stracił niewinność.

14

Dwie godziny po wybuchu bomby w studiach Disneya do Franka zatelefonował jego producent, Peter Brodsky – Naprawdę podłożyli bombę u Disneya? Chryste!

–I na tym nie poprzestaną, Peter. Nie poprzestaną, dopóki z Hollywood nic nie zostanie.

Przez moment obaj milczeli, wreszcie odezwał się Peter:

–Pomyślałem sobie, że powinienes się dowiedzieć pierwszy. Świnki zdjęto z ekranu do odwołania.

–Cóż, nie mogę powiedzieć, że się tego nie spodziewaliśmy.

–Rozumiesz więc, że to nie ma nic wspólnego z tym, jak oceniamy ciebie i twój program. Musimy po prostu myśleć o bezpieczeństwie osób zaangażowanych w to wszystko, i nic więcej. Kiedy tylko ci przekłęci terroryści zostaną ujęci...

–Peter, doskonale wszystko rozumiem.

–U ciebie wszystko w porządku, Frank? Marcia się zastanawia, czy chciałbyś przyjść do nas w niedzielę na późne śniadanie?

–To bardzo miło z jej strony, proszę, podziękuj jej ode mnie. Jednak na weekend jadę do Rancho Santa Fe, by spędzić trochę czasu z przyjaciółmi.

–Okay, rozumiem. Bylebyś tylko nie był sam.

Znów zadzwonił do Neville'a, jednak nadal nie było go w domu. Ponownie zostawił wiadomość na automatycznej sekretarce, prosząc go, żeby jak najszybciej

oddzwonił.

–Czuję się dziwnie przestraszony. Właściwie nie wiem dlaczego. A ta bomba u Disneya wcale nie poprawiła mi samopoczucia.

Przed główną bramą studiów Disneya wywiadu udzielał burmistrz Joseph Lindsay. Widoczna w tle Alameda Avenue wciąż zatłoczona była przez wozy bojowe straży pożarnej i ambulanse. Na dachach pojazdów bezustannie błyskały czerwone światła. Burmistrz tymczasem mówił:

–Myślę, że wypowiem się w imieniu wszystkich mieszkańców Los Angeles, kiedy stwierdzę, że kreskówki Disneya były ważną częścią mojego dzieciństwa. Ktoś, kto zaatakował studia Disneya, zagroził nie tylko mojej wolności słowa jako człowieka dorosłego, ale zaatakował także moje dzieciństwo. Zaatakował moje wspomnienia i wszystko to, co ma dla mnie największą wartość. Napadł na moje kulturalne dziedzictwo.

Ni to znudzony, ni to poirytowany Frank pojechał, żeby spotkać się z Mo, który mieszkał w Santa Monica w kilkupiętrowym domu na Lincoln Boulevard. Mo najwyraźniej wydawał przyjęcie, ponieważ przed budynkiem parkowało na ulicy mnóstwo samochodów, a pomiędzy drzewami, w ogrodzie za domem, świeciły kolorowe światła. Otworzył drzwi w szerokim złotym kaftanie, podpity, z wielką szklanką whiskey w dłoni.

–Frank! Zjawiasz się w samą porę! Popatrzcie tutaj wszyscy! Statek może sobie tonąć, ale kapitan jest na mostku.

–Przepraszam, Mo. Gdybym wiedział, że masz gości... Mo otoczył go ramieniem.

–Nie pieprz. Zbliża się koniec świata, Frank. To Armagedon, wielka klęska.

Wszyscy są tutaj mile widziani.

Hall i salon wypełnione były ludźmi, w większości żywo dyskutującymi i krzyczącymi, a tymczasem na pianinie najlepsze utwory Irvinga Berlina grał, prawie nie słyszany przez nikogo, rudowłosy muzyk wyglądający jak Art Garfunkel z nadwagą. Żona Mo, Naomi, przygotowywała w kuchni knysze z tuńczykiem, kulki białego chleba na patykach i grillowane udka kurczaka. Towarzyszyło jej siedem czy osiem przyjaciółek, z których każda zdawała się mieć większe od niej pojęcie o przygotowywaniu jedzenia.

–Nigdy nie podawaj pieczonego kurczaka na papierowych serwetkach, one się lepią do mięsa. Czy chcesz, żeby twoi goście pluli dookoła papierem?

Mo wyciągnął dla Franka z lodówki bardzo zimne piwo.

–Obchodzimy właśnie siedemdziesiąte dziewiąte urodziny mojej matki – powiedział. – Właściwie powinienem był cię zaprosić, ale przemyślałem sprawę i powiedziałem sobie, że nie, że za bardzo ciebie lubię, żeby przedstawiać ci moją rodzinę. Popatrz na nich. Cohenowie. Widziałem już hieny z chorobą Alzheimera, zachowujące się lepiej niż oni.

Przedstawił jednak Franka jubilatce, wysuszonej kobiecie w czerwonej jedwabnej sukni, opalonej na mahoniowo, z wielkimi diamentami niemal na każdym palcu.

–Mo wiele mi o panu opowiadał. Wyobrażałam sobie, że jest pan wyższy.

–Słuchając go, zapewne siedziała pani na krześle.

Mo chuchnął do ucha Franka oddechem cuchnącym whiskey.

–Ona wcale nie ma poczucia humoru. Wciąż tylko wprawia ludzi w zakłopotanie. Ostatni raz się śmiała, kiedy Naomi podała jej kugel.

Mo przedstawił Franka jeszcze kilkunastu innym członkom rodziny Cohenów. Jeden z nich był lokalnym dealerem Oldsmobile'a, kolejny grał na skrzypcach w Santa Monica Symphonia, a następny uważany był za króla pomidorów. Każdy z nich przerywał prowadzoną akurat rozmowę lub kłótnię po to, by odezwać się do Franka:

–Straciłeś syna, prawda? Cóż mogę ci powiedzieć? Wreszcie Frank i Mo zostali sami na werandzie oświetlonej pochodnią.

–Nadeszły dziwne czasy, Frank – powiedział Mo. – Jednego dnia wiemy dokładnie, na czym polega ten świat, wydaje się nam, że doskonale w nim funkcjonujemy. Mamy dobrą pracę, sympatyczne mieszkanie, jesteśmy otoczeni kochającą rodziną. I pewnego dnia wchodzi pomiędzy nas Bóg i przypomina: Przepraszam, ale chciałbym wam wszystkim powiedzieć, że niewidzialna siła przypisała wasze nogi do kuli z niestabilnej skały, która obraca się w całkowitej próżni. Musicie dzielić tę kulę z milionami obłąkanych ludzi. Wielu spośród nich nie używa dezodorantów, a niektórzy marzą tylko o tym, żeby zaważnąć tym, co posiadacie, chcieliby torturować wasze zwierzątka domowe, a wam samym najlepiej podstrzeliwać głowy. A teraz słuchajcie, wszystko to, co sprawia, że jesteście w stanie taką sytuację znieść, czyli cheeseburgery, whiskey i cygara po umiarkowanej cenie, jedynie skracają wasze życia. W końcu zresztą i tak wszyscy poumieracie, półślepi, półgłusi, w mokrych pidżamach, w Pasadenie.

Frank przełknął łyk piwa i otarł usta ręką.

–Tak też można na to wszystko patrzeć – powiedział.

Opowiedział Mo o seansie z Neville'em. Mo powoli zaczynał trzeźwieć. Słuchał go, potakiwał, a od czasu do czasu wycierał spoconą twarz chusteczką zwiniętą w kulę.

–Jesteś pewien, że to nie zadziałała tylko twoja wyobraźnia, że nie fiksujesz z przepracowania? W końcu od śmierci Danny'ego minęło zaledwie dziesięć dni. Nie chrzań mi, że szok już minął.

–Widziałem go, Mo. Albo jakiegoś innego ducha, udającego Danny'ego. Nic z tego jednak nie rozumiem.

–Nie wszystko w życiu znajduje logiczne wyjaśnienie, Frank. Popatrz tylko na moją rodzinę. *Quod erat demonstrandum*.

–Przecież nigdy nie uderzyłem Danny'ego. Nigdy nie spowodowałem u niego żadnych ran. Nigdy nie leciała mu przeze mnie krew.

–Oczywiście, że nie. Ale popatrz na to z innej strony. Może ten duch udaje Danny'ego, żeby zwrócić na siebie twoją uwagę?

–Co takiego?

–Twoi rodzice nigdy nie mieli za dużo pieniędzy, prawda? Jako dzieciak byłeś przez to nieśmiały i niepewny siebie i wyczyniałeś różne rzeczy, jak wtedy, gdy chciałeś zaimponować pewnej dziewczynie, całując ją w dłoń, a w efekcie kichnąłeś na nią wielkim zielonym smarkiem. Jednak jeśli osobiście poszedłbyś do telewizji i zacząłbyś użalać się nad swoim marnym dzieciństwem, ty, Frank Bell, nikogo by to

nie zainteresowało, prawda?

–Nie rozumiem, do czego zmierzasz?

–Biedny, stary, niesprawiedliwie traktowany Frank Bell. Nikt by się twoim marnym losem nie zainteresował, dobrze o tym wiesz. Ale w *Świnkach* wymyśliłeś Dusty’ego oraz Henry’ego i kiedy Dusty i Henry wpadają w tarapaty albo się denerwują, albo robią z siebie idiotów, ludzie mogą się z nimi identyfikować, prawda? Widownia wczuwa się w ich sytuację. „Chryste, dokładnie tak się czułem, kiedy byłem dzieciakiem”. To dlatego ten program jest tak cholernie popularny.

–W ogóle nie wiesz, o co mi chodzi. Może się jeszcze napijesz?

–Nie, nie, posłuchaj. Może ten duch robi to samo? Gdyby pokazał ci się tak, jak wygląda naprawdę, jako obcy facet, którego nigdy w życiu nie spotkałeś, nie zainteresowałbyś się jego dzieciństwem, prawda? I to niezależnie od tego, jak bardzo byłby pobity i poraniony. Ale on udaje przed tobą Danny’ego, ponieważ bardzo cię martwi to, co się dzieje z Dannym, tak jak twoja publiczność przejmuje się losami Dusty’ego i Henry’ego. Jesteś taki, jaki jesteś, i kiedy widzisz Danny’ego, nawet jeśli wiesz, że tak naprawdę to nie jest on, nie potrafisz powstrzymać opiekuńczych odruchów.

Frank przez chwilę zastanawiał się nad słowami przyjaciela, po czym wzruszył ramionami.

–Sądzę, że ta teoria jest równie dobra jak każda inna. Ale nie odpowiada na pytanie: Dlaczego?

Mo podniósł kieliszek.

–„Kim właściwie jest człowiek? Co nim kieruje? Kiedy jest sobą, a kiedy nie jest?” Wiesz, kto to powiedział? Dań Leno. Wiesz, kim był Dan Leno? Tylko mi nie mów, że młodszym bratem Jaya Leno.

–Miałem rację. Powinieneś się napić.

Wrócili do salonu. Odgłosy sprzeczek były teraz jeszcze głośniejsze. Pianista grał *Isn't It a Lovely Day?*, a matka Mo próbowała śpiewać, wydobywając z gardła wysokie skrzeki.

–Moja mamusia potrafiłaby w niecałe trzy minuty ewakuować ludzi z Carnegie Hall – powiedział Mo z dumą w głosie.

Następnego dnia o szóstej dwadzieścia pięć Franka obudził dzwonek telefonu. Podniósł słuchawkę i odezwał się:

–Astrid?

–Pan Walker? Zamawiał pan budzenie na szóstą trzydzieści.

–Musiał się pan pomylić. Tutaj Frank Bell z pokoju 105. – Och, bardzo przepraszam. Życzę miłego dnia.

–I nawzajem – odparł Frank.

Przewrócił się na drugi bok i próbował znów zasnąć, jednak jaskrawe promienie słoneczne wypełniały już cały pokój, a ogrodnik z głośnym sykiem podlewał wodą z węża ‘rośliny i trawę dookoła basenu. Podczas przyjęcia u Mo Frank wypił jedynie trzy lub cztery piwa, a mimo to kręciło mu się w głowie jak na ciężkim kacu.

Zaczął się zastanawiać nad słowami Mo. Właściwie mógł mieć rację, kiedy mówił o

duchu i przyczynach, dla których ukazuje się pod postacią Danny'ego. Jednak teoria ta nie udzielała odpowiedzi na pytanie, co takiego duch przebieraniec chciał mu przekazać i dlaczego.

O szóstej pięćdziesiąt jeden ostatecznie wstał i wsypał trochę palonej czarnej kawy do ekspresu. Następnie wziął prysznic. Kąpiąc się, kilkakrotnie zakręcał wodę i nasłuchiwał, ponieważ wydawało mu się, że dzwoni telefon. Wreszcie uznał, że jest śmieszny. Oto Frank Bell, dorosły facet, znany i uznany scenarzysta, mąż i ojciec, czeka na telefon od jakiejś tajemniczej dziewczyny, telefon z propozycją wspólnego spędzenia weekendu.

Usiadł na balkonie i popijał kawę, jedząc bułeczki, podgrzane na tosterze i posmarowane galaretką morelową. Był niespokojny i zdenerwowany, nie tylko dlatego, że Astrid nie telefonowała ani że wciąż nie mógł się skontaktować z Neville'em, ale też dlatego, że nie miał żadnego tekstu do napisania. To był jego pierwszy weekend od trzech lat, podczas którego nie musiał pośpiesznie kończyć kolejnego odcinka świnek. Wymyślił już kolejną historyjkę, w której Dusty wreszcie podbija serce klasowej piękności, Libby Polaski. Poczawszy od trzeciego odcinka, Dusty fantazjował, jak to siedzi z Libby na brzegu Thick Silty River, odrywa z jej poranionych kolan strupy zaschłej krwi i je zjada. „W wieku dwunastu lat to jest prawie tak, jakby się uprawiało oralny seks”. Pisanie tego nie miało teraz jednak żadnego sensu.

Może mógłby popracować nad serialem o mężczyźnie, któremu zabito syna i duch tego syna powraca do niego, żeby pomóc mu podjąć właściwe decyzje w zagmatwanym życiu uczuciowym? Ni to tragedia, ni to tragikomedia.

Może Astrid w końcu zadzwoni?

Do południa nikt nie zapukał do drzwi ani nie zatelefonował, Frank postanowił więc pojechać nad ocean. Był ciepły dzień, od zachodu wiał jednak silny wiatr, a chmury kotłowały się w pośpiechu, by jak najszybciej znaleźć się nad górami.

Właściwie Frank nie miał pojęcia, czy spodziewa się spotkać starego człowieka. A jednak kiedy usiadł na ławce, nie minęło nawet dziesięć minut, a go zobaczył, w czapeczce baseballowej włożonej tyłem do przodu i purpurowej koszulce. Mężczyzna ciągnął za sobą na sznurku szarego kundla. Zatrzymał się mniej więcej dwadzieścia stóp od Franka, zdjął czapkę i podrapał się po czaszce.

–Jesteś sam? – zapytał Franka, mrużąc oczy, w które dał wiatr od oceanu.

–Byłem sam. Do tej pory.

–Cóż, Frank, nie możemy się spodziewać, że inni ludzie zawsze będą robić to, czego się po nich spodziewamy. Czasami musimy sobie uzmysłwić, że nie jesteśmy Słońcem, a inni ludzie nie są krążącymi wokół nas planetami.

–Posłuchałem twojej rady.

–Tak? Jakiej rady?

–Stawiam jedną nogę przed drugą, ale wciąż nie wiem, dokąd mnie one, cholera, prowadzą.

Stary człowiek zachichotał i pociągnął nosem.

–Bądź cierpliwy, Frank. Dowiesz się, dokąd zmierzasz. Dowiesz się prędzej, niż

przypuszczasz.

W niedzielny wieczór siedział na łóżku. Właśnie miał ściągnąć skarpetki, kiedy usłyszał gwałtowne pukanie do drzwi.

–Dobrze, dobrze! Już otwieram!

W drzwiach zobaczył Astrid. Włosy miała w nieładzie, a pod jej oczyma widniały dwa wielkie szkarłatne siniaki. Ubrana była w gruby ciemnoniebieski sweter, jakby na dworze było zimno.

–Na miłość boską – jęknął Frank.

Astrid weszła, kuśtykając, do pokoju i od razu usiadła na kanapie. Frank zobaczył, że nie ma butów, a jej lewa stopa jest zakrwawiona. Zamknął drzwi i usiadł obok niej. Spróbował wziąć jej ręce w swoje dłonie.

–Chryste, Astrid, co się stało, do diabła?

–Nieważne. Miałam pewne kłopoty, to wszystko.

–Kłopoty? Jakie kłopoty? Spójrz tylko na siebie. Wyglądasz, jakbyś stoczyła dziesięciorundową walkę z Mike’em Tysonem.

–Nieważne. Należesz mi drinka?

Przeszedł do wnęki kuchennej i przyniósł jej szklankę dietetycznej coli.

–Drinka, Frank. Chodzi mi o porządnego drinka.

–Uważasz, że to jest wskazane? Popatrz, w jakim jesteś stanie.

–Frank, nie jesteś moją matką.

Nalał jej do szklanki jacka danielsa i nie rozcieńczył. Wypiła jednym łykiem, zakaszła i wyciągnęła rękę po następną porcję.

–A więc powiesz mi, co się stało? Myślałem, że mieliśmy spędzić weekend w Rancho Santa Fe.

–Przepraszam cię, Frank. Musiałam się z kimś spotkać.

–I ten ktoś cię pobił? Powiesz mi, kto to był? Wypiła kolejny łyk whiskey.

–Już ci mówiłam, to nie ma znaczenia. Zasłużyłam na to.

–Daj spokój – powiedział Frank, znów siadając obok niej. – Nie mam prawa wścibiać nosa w twoje prywatne sprawy, ale jesteśmy chyba dla siebie osobami znacznie bliższymi niż tylko przyjaciółmi, prawda? Więc kiedy przychodzisz do mnie cała posiniaczona i poraniona, zasługuję na wyjaśnienia, nie sądzisz?

–Przepraszam cię za Rancho Santa Fe. Powinnam była zatelefonować.

–Co się właściwie stało? Gdzie byłaś?

Popatrzyła na niego, a Frank odniósł wrażenie, że nigdy nie widział nikogo tak smutnego jak Astrid w tej chwili.

–Przepraszam – powtórzyła.

Przez długi czas siedzieli w całkowitym milczeniu. Astrid powoli sączyła whiskey i nie odrywała oczu od ekranu telewizora, mimo że głos był wyłączony. Frank z kolei przez cały czas wpatrywał się w nią. Telewizyjny reporter stał pomiędzy żalnymi szczątkami Śmieszka, Apsika, Śpieszka i Nieśmiałka. Napis u dołu ekranu oznajmiał: „Liczba ofiar wybuchu w studiach Disneya wzrosła do 113”.

Otworzył drzwi do kabiny prysznicowej bez ostrzeżenia. Astrid próbowała się zasłonić, jednak niewiele wskórała. Nie miała szansy ukryć przed Frankiem jednocześnie sińców na ramionach i udach oraz śladów ugryzień na piersiach. Zrezygnowana, stanęła z opuszczonymi rękami, jednocześnie zawstydzona i zła, a woda spływała jej po twarzy.

Frank przypatrywał jej się przez bardzo długą chwilę, po czym zamknął drzwi. Usiadł na brzegu wanny i czekał, aż Astrid skończy. Wreszcie ukazała mu się, opatulona w gruby, biały hotelowy szlafrok.

–Nie wiem, co o tym myśleć – odezwał się. Była to prawda.

Astrid stanęła przed lustrem i zaczęła wycierać włosy.

–Im mniej wiesz, tym mniej cię to boli.

–Bzdura. Wszystko, co boli ciebie, tak samo boli mnie.

–Frank, spędziliśmy razem dwie noce. Nie jesteśmy małżeństwem.

–Danny powiedział, że jesteś moją przyszłością. Nie uważasz, że to coś znaczy? Bo dla mnie znaczy bardzo wiele.

–Na miłość boską, Frank, Danny niczego ci nie powiedział. To był Neville Strange i jego głupie dowcipy.

–Nie zgadzam się z tobą. Słyszałem, co słyszałem, i widziałem, co widziałem. Skoro nie jesteś moją przyszłością, dlaczego do mnie telefonujesz, przychodzisz tu i śpisz ze mną w jednym łóżku?

Astrid podeszła do niego i delikatnie złapała go za podbródek. Odwróciła jego głowę tak, że mogli popatrzeć sobie w oczy.

–Myślałam, że kogoś potrzebujesz. Kogoś, kto zrozumie, jak bardzo cierpisz. Myślałam też, że potrzebujesz kogoś, żeby na kilka godzin zapomnieć o Danny'm i pomyśleć o sobie.

–W tej chwili myślę o tobie. Nie sądzę, żebyśmy mogli utrzymywać ten związek, dopóki nie wiem, kim ty jesteś.

Astrid uśmiechnęła się i pocałowała go w czoło.

–Jestem po prostu sobą, Frank. I nie jestem warta tego, żebyś nie sypiał przeze mnie po nocach.

–Muszę się dowiedzieć, kto cię skrzywdził. I dlaczego. Znow go pocałowała. Pachniała przemijającym latem.

–Wcale nie musisz.

Oboje wypili zbyt dużo Jacka Daniela i kiedy położyli się do łóżka, niemal od razu zasnęli. Jednak w środku nocy Frank obudził się, czując, że Astrid dotyka jego członka.

–Nie... – mruknął, ale położyła dłoń na jego ustach i kontynuowała zabawę, z każdą chwilą energiczniej. Kiedy zeszytniał, usiadła na niego i wsunęła go w siebie. Kiedy jęknęła z bólu, Frank próbował zepchnąć ją z siebie, jednak złapała go za rękę i przycisnęła do łóżka.

Kiedy była już bliska orgazmu, zaczęła płakać i pociągać nosem. Znow usiłował ją zepchnąć, ale krzyknęła na niego:

–Przestań! Przestań!

Poruszała się jak oszalała, z każdą chwilą szybciej, wreszcie ogarnęły ją jakby spazmy, z całej siły zacisnęła uda. Jej pot ciężkimi kroplami zaczął kapać Frankowi na twarz, dostał się też do oczu, które zaczęły go piec.

Wreszcie położyła się odwrócona do niego plecami. Cały czas lekko drżała, a kiedy dotknął jej policzka, zorientował się, że jest mokry od łez.

–Astrid – powiedział. – Musisz mi opowiedzieć, kto ci to zrobił.

–Nie mogę.

–Musisz. Nieważne, kto to taki, zasługuje na więzienie.

–Nie jestem tego warta, Frank. Nigdy nie byłam tego warta.

Usiadł i zapalił nocną lampkę.

–Jak możesz tak mówić? Jesteś piękna.

–Wcale nie. Jestem nikim.

Nie wiedział, jak na to zareagować. Był zbyt zmęczony, w głowie mu huczało, usta miał suche i opuchnięte. Jedno wiedział jednak z całą pewnością. Dowie się, kto pobił Astrid. Dowie się i zrobi wszystko, żeby drań otrzymał to, na co zasłużył, bez dwóch zdań.

Następnego dnia Astrid spała niemal do jedenastej. Siniaki na jej policzkach stały się purpurowe, a oczy tak jej spuchły, że z trudem je otwierała. Frank zaczął dzień od tego, że usiadł obok niej na łóżku i podsunął jej swoje lusterko do golenia.

–O Boże – jęknęła.

–Wciąż nie chcesz mi powiedzieć, kto to zrobił? Potrząsnęła przecząco głową.

–Rozumiem. Nie, to nie. Masz do tego prawo. Co zamierzasz dzisiaj robić? Może pojedziemy na lunch do Kapitana Hookera, na wybrzeżu. W końcu możesz założyć ciemne okulary.

–Nie, dzisiaj jestem zajęta.

–A wieczorem?

–Dzisiaj wieczorem? Cóż... zgoda.

–Spotkajmy się więc około siódmej, dobrze? Mam nadzieję, że nie zmienisz zdania i nie pójdziesz gdzieś po kolejne lanie.

–Frank...

–Tak, wiem. To nie jest zabawne. Zawodowy żartowniś, taki jak ja, mógłby ułożyć o tobie fantastyczny skecz. „Czy twój chłopak cię bije? Nie, zawsze zdążę w porę wyskoczyć z łóżka”.

–Frank!

–Zależy mi na tobie, Astrid, nawet jeśli tobie nie zależy na sobie samej. Nie mogę zrozumieć, dlaczego nie chcesz mi powiedzieć niczego o sobie, jednak gotów jestem to zaakceptować. Chcę się z tobą spotykać, mimo że starannie ukrywasz przede mną swoją tożsamość. Mimo że przychodzisz do mnie posiniaczona i pogryziona i nie chcesz mi powiedzieć, kto ci to zrobił.

Astrid pocałowała go.

–Jesteś wyjątkowym, wspaniałym facetem, Frank. Wcale nie, pomyślał. Jestem kłamcą.

Przygotował dwie filiżanki mocnej kawy i wypili ją razem w salonie. Frank nie wiedział, o czym z nią rozmawiać, a to dlatego, że był zły i zazdrosny, lecz nie chciał tego okazać.

–Więc co dzisiaj robisz? – zapytał, bardzo się starając, żeby to brzmiało zdawkowo. – Coś interesującego?

–Muszę załatwić kilka spraw, to wszystko. Mam też kilka spotkań z przyjaciółmi.

–Jeśli skończysz przed siódmą, zawsze możesz do mnie zadzwonić.

Nie odpowiedziała, za to odstawiła filiżankę z nie dopitą kawą na stolik, wstała, podeszła do niego i go pocałowała.

–Do zobaczenia wieczorem, dobrze?

–Jasne.

Odczekał, aż zamknęła za sobą drzwi. Powoli policzył do pięciu. Wreszcie sięgnął pod kanapę i wyciągnął spod niej lekkie buty z jasnobrązowej skóry. Chwycił niebieską płócienną marynarkę i podszedł do drzwi. Otworzył je szybko, lecz bardzo cicho, i zaczął nasłuchiwać. Żadnych kroków na schodach, nikt nie jechał windą. A więc Astrid z pewnością wyszła już z hotelu.

Zbiegł do hallu. Na dole znalazł się akurat w porę, by zobaczyć, jak Astrid przebiega przez ulicę i wsiada do czerwono-zielonej taksówki. Przyłgnął plecami do ściany, częściowo ukryty za rozłożystym figowcem, i odczekał, dopóki taksówka nie odjechała. Recepcjonista popatrzył na niego ze zdziwieniem, jednak nic nie powiedział. Kiedy tylko taksówka zniknęła z pola widzenia, Frank wybiegł z hotelu przez obrotowe drzwi. Jego samochód zaparkowany był w odległości zaledwie pięćdziesięciu stóp. Wskoczył do niego, włączył silnik i, cofając, lekko zahaczył o przedni zderzak parkującego za nim jeepa.

Taksówka Astrid skręciła w lewo, w Holloway Drive, a po chwili ostro w prawo, w kierunku Santa Monica. Frank musiał poczekać na skrzyżowaniu z trasą do Santa Monica. Czekając na zielone światło, nerwowo bębnił palcami w kierownicę. W końcu jednak mógł ruszyć i wyprzedzając kolejne samochody, niczym w slalomie, dogonił taksówkę, kiedy dotarła do Rodeo Drive. Widział teraz Astrid w tylnej szybie i modlił się, żeby się nie odwróciła.

W końcu taksówka skręciła w lewo, w Aleję Gwiazd, następnie w prawo, i zatrzymała się na półokrągłym parkingu przed budynkiem Star-TV. Był lśniący biały, zbudowany w falistym kształcie litery „S”. Na dachu miał wielką, obracającą się gwiazdę, wykonaną z błyszczącej stali. Szyby wszystkich okien, widziane od zewnątrz, były czarne, dlatego pracownicy często nazywali budynek „limuzyną”.

Frank zaparkował za furgonetką pocztową i patrzył, jak Astrid wysiada z taksówki. Przecięła marmurowy chodnik i zniknęła za czarnymi obrotowymi drzwiami.

Przez kilka chwil się wahał. Wreszcie wysiadł z samochodu i ruszył za nią. Istniała możliwość, że wciąż znajduje się w hallu i czeka na kogoś, z kim się umówiła, albo po prostu na windę. Musiał zaryzykować. Pchnął drzwi i natychmiast ogarnął go miły chłód doskonale klimatyzowanego pomieszczenia. Hall wyłożony był płytami lśniącego białego marmuru i sięgał wysokości trzeciego piętra. Po jednej ze ścian kaskadami spływała woda, a z sufitu zwisały całe galaktyki gwiazd.

W jednym z rogów stały kanapy obite czarną skórą i przeznaczone dla gości, jednak nie było na nich nikogo, poza dwoma niechlujnie wyglądającymi projektantami z dużymi teczkami, przeznaczonymi na rysunki. Ściana z windami znajdowała się po lewej stronie, jednak na jazdę w górę czekał tylko goniec z poczty i pulchna sekretarka z torbą pączków i papierowym kubkiem z kawą.

Niemal natychmiast do Franka podeszło dwóch ochroniarzy w mundurach błękitnych jak bezchmurne niebo. Jeden z nich był czarny i wyglądał jak grubszy brat Yapheta Kotto. Drugi, biały, nieprawdopodobnie chudy, miał niemal niebieski podbródek i oczy osadzone bardzo blisko siebie.

–Czy jest pan z kimś umówiony? – zapytał.

–Tak, rzeczywiście, jestem umówiony. Moja znajoma wyznaczyła mi spotkanie właśnie tutaj.

–Zechce pan podać jej nazwisko? – znów zapytał ochroniarz, unosząc notatnik, gotów do natychmiastowego sprawdzenia informacji.

–Polaski. Libby Polaski.

Ochroniarz przesunął długopisem po liście z nazwiskami.

–Przykro mi, proszę pana, ale nie mam tu takiej informacji od żadnej pani Polaski. Zechce mi pan powiedzieć, w jakim dziale pracuje pani Polaski?

–W dziale informacji. Jest asystentem redaktora. Pracuje tutaj dopiero od kilku tygodni. Tak mi przynajmniej powiedziała.

Ochroniarz przerzucił kilka stron, wpatrując się w swój informator tak intensywnie, jakby co najmniej prześwietlał go promieniami Roentgena. W końcu oznajmił:

–Żadna pani Polaski nie pracuje w dziale informacji.

–Cholera, chyba wyszedłem na idiotę. A tyle mi opowiadała o wspaniałej karierze, jaką robi w telewizyjnym dziale informacyjnym.

Na ochroniarzu to wyznanie nie zrobiło żadnego wrażenia.

–Przykro mi, ale muszę pana poprosić o natychmiastowe opuszczenie obiektu.

–Jasne, rozumiem. Te wszystkie bomby, które ostatnio wybuchają...

–Będziemy panu wdzięczni, jeśli zechce pan o tym nie wspominać.

–W porządku, jasne. Bardzo panów przepraszam. Przepraszam, że sprawiłem kłopot.

Frank wyszedł z budynku i wolnym krokiem powrócił do samochodu. Obok stał policjant i zapisywał coś w notesie.

–To pana auto? – zapytał.

–Tak – odparł Frank. – Przepraszam, ale musiałem coś odebrać ze Star-TV.

–Odebrać? Co takiego?

–W końcu okazało się, że nic. Osoba, z którą byłem umówiony, nie zjawiała się.

–Jak się nazywa ta osoba?

–Polaski. Libby Polaski.

–A co takiego miała panu przekazać?

–Płytę DVD. Spotkałem ją wczoraj wieczorem w barze i obiecała mi pożyczyć DVD z *Czarną środą* w wersji reżyserskiej. Ale nie ma jej nawet na liście pracowników

Star-TV, wszystko więc wskazuje na to, że zostałem wystawiony do wiatru.

Policjant schował notes do kieszeni.

–Niestety, muszę się z panem zgodzić.

–Naprawdę?

–Niestety, tak. Czy kiedyś już słyszał pan nazwisko Libby Polaski? Libby Polaski to ta mała blondynka z programu *Gdyby świnki potrafiły śpiewać*.

Frank uderzył się otwartą dłonią w czoło.

–Chryste, rzeczywiście, ma pan rację! Ale ze mnie głupiec!

Jechał właśnie do Carol, kiedy zadzwonił telefon komórkowy. To był Neville.

–Odebrałem twoje wiadomości, Frank. Przepraszam, coś się wydarzyło i musiałem na weekend wyjechać. Jak się czujesz?

–Sam nie wiem. Ponad wszystko jestem zdezorientowany. I martwię się.

–Może przyjedziesz do mnie? Zanim zaczniemy brnąć w to wszystko dalej, musiałbym ci o kilku sprawach opowiedzieć.

–W porządku. Będę za piętnaście minut.

Służąca miała zapewne wolne, ponieważ drzwi otworzył mu głupio uśmiechnięty nastolatek w poplamionej hawajskiej koszulce, z głupim uśmiechem na ustach.

–Bardzo, bardzo serdecznie pana witamy, *señor*.

Nevile czekał na niego na tarasie, ubrany w czarą koszulę i czarne spodnie, jak ksiądz. Był blady, jakby zdekoncentrowany, a pod oczami miał ciemne obwódki.

–Cześć, Frank. – Wzniósł w górę szklankę z rżniętego kryształu, do połowy wypełnioną whiskey. – Nalać ci drinka?

–Jak na mnie jest jeszcze trochę za wcześnie, dzięki. Neville przysunął sobie krzesło i usiadł.

–Winien ci jestem przeprosiny – powiedział. – W końcu zniknąłem z powierzchni ziemi, nie uprzedzając cię. Ale wcale nie miałem zamiaru zostawiać cię na lodzie. Musiałem wyjechać na kilka dni i przemyśleć ostatnie wydarzenia, w przeciwnym wypadku byłbym bezużyteczny dla wszystkich, także dla siebie.

Umilkł, a Frank w milczeniu czekał na dalsze wyjaśnienia.

–Widzisz, sedno sprawy tkwi w tym, że cała historia z Dannym jest o wiele bardziej skomplikowana, niż się początkowo wydawało. Może też być o wiele bardziej niebezpieczna. Szczerze mówiąc, najlepiej byśmy zrobili, gdybyśmy o niej w ogóle zapomnieli.

–Poczekaj chwilę. W piątek mówiłeś mi, że to absolutnie konieczne, żebyśmy się dowiedzieli, co Danny zamierzał mi powiedzieć.

–To było w piątek.

–Ale dziś jest dopiero poniedziałek! Co się zmieniło?

–Cóż... Po twoim wyjściu postanowiłem podchwycić trochę więcej rezonansu psychicznego z siedzenia ciężarówki, które otrzymałem od porucznika Chessmana. Chyba pamiętasz? Tej ciężarówki, w której podłożono bombę w studiu numer 5.

–No i co?

–Po naszym seansie znajdowałem się akurat we właściwym stanie ducha. Jak ci to opisać? Moja antena psychiczna pracowała na najwyższych obrotach.

–No i co się stało?

Nevile wypił łyk whiskey i skrzywił się.

–Na początek odebrałem tylko kilka przebłysków, tak jak wcześniej. Krzyk jakiegoś mężczyzny, później spacer wśród drzew cytrusowych. To wciąż nic mi nie mówiło. Nie było w tym nic, co mogłoby doprowadzić mnie do mężczyzny, który postanowił wysadzić się w powietrze. Ale trochę później, jeszcze tego samego wieczoru, kiedy siedziałem w bibliotece i robiłem notatki, nagle mój komputer zaczął

się dziwnie zachowywać. Na monitorze pokazywał się tekst zupełnie inny niż to, co akurat zapisywałem. Popatrz tylko – powiedział i wręczył Frankowi wydruk.

Tekst zaczynał się bardzo prosto:

*Czwartek, 20 września. Rozpocząłem z Frankiem Bellem sesję, której celem jest nawiązanie kontaktu z prawdziwym duchem Danny'ego. *patrz – moje notatki, strona 13.*

Dalej Frank czytał:

Chcąc przekazać duchowi Danny'ego rozpoznawalny sygnał, wykorzystałem nieodparte dążenie pana Bella, pragnącego usłyszeć, że Danny mu wybaczył. Ukierunkowałem i wzmocniłem intensywność uczuć Franka w ten sposób, by Danny mógł je odebrać; coś na podobieństwo sygnału Dopplera, który identyfikuje w gęstej mgłę lotnisko. Nie miałem pojęcia, czy Danny jest gotów przebaczyć ojcu czy też nie. Mógł mu zarówno przebaczyć, jak i go przekląć za to, co zrobił, albo raczej za to, czego nie zrobił i co zaniedbał. Moim priorytetem było jednak nawiązanie kontaktu i uzyskanie pewności, czy natrafiłem na prawdziwego Danny'ego, czy też na kogoś innego.

W tym momencie tekst zupełnie zmieniał charakter.

ZaBIJĘ drani za TO co mi zrobili oni wszyscy to dranie niGDy więcej nigdy więcej nie BĘdą mnie traktować gorzej jak psa GorzeJ jak psie gównu A tata krzyczał i krzyczał nigdy więcej nigdy więcej BICia i tego co kazali mi robić tata i jego koledzy i oni wszyscy to robili ze mną aŻ wymiotowałem i mdlałem i nikt mi nigdy nie pOMógł nikt nigdy aLe teraz mam szansę żeby pozabijać tych DRAni i to zrobiĘ.

Frank przeczytał tekst i wręczył go z powrotem Neville'owi.

–Nic nie rozumiem.

–Automatyczne pismo początku dwudziestego pierwszego wieku – wyjaśnił Neville.

–Automatyczne pismo? Co to takiego?

–Powstaje wtedy, kiedy duch wkrada się do świadomości żywej osoby i pisze wiadomość z tamtej strony. To właśnie stało się w mojej bibliotece.

–Czy wiesz, kto to taki?

–Myślę, że Richard Abbott. Nie jestem stuprocentowo pewien, ale spędziłem całe popołudnie, próbując się z nim skontaktować poprzez to siedzenie z ciężarówkami. W końcu był ostatnią osobą, która z niego korzystała.

–I to on napisał do ciebie?

Nevile pokiwał głową.

–Automatyczne pismo jest jednym z najbardziej efektywnych sposobów kontaktowania się z ludźmi, którzy zeszedli z tego świata. Zadajesz pytanie, otwierasz umysł i pozwalasz duchowi, żeby prowadził twoją rękę w trakcie pisania. Niektóre media wykorzystują tablicę ouija, większość jednak wybiera długopis i kartkę. Każdy może w ten sposób skontaktować się z duchem, ty też, jeżeli tylko nastawisz się na dwudziestominutowe spokojne oczekiwanie, a potem pozwolisz słowom swobodnie popłynąć. Nie zagwarantuję ci, że te słowa będą miały sens ani że będziesz wiedział,

który duch przekazuje ci swoje myśli, jednak w ten sposób z całą pewnością po prostu skontaktujesz się z zaświatami. Znam media twierdzące, że kontaktował się z nimi sam Szekspir i dyktował im nowe dramaty. Albo że Beethoven inspirował je do dokończenia jego symfonii.

–Ale ten duch pisał do ciebie na twoim komputerze?

–Tak, i słyszałem już o wielu takich przypadkach. Kiedy się nad tym zastanowić, można dojść do wniosku, że duchowi jest o wiele łatwiej pisać na klawiaturze komputera niż piórem. Komputer to w końcu urządzenie elektroniczne i duchy muszą jedynie używać własnej energii elektrycznej, żeby naciskać właściwe klawisze.

–Zatem Richard Abbott próbuje ci powiedzieć, że był maltretowany przez tatę i jego przyjaciół?

–Tak, na to wygląda.

Frank przez chwilę się zastanawiał, po czym powiedział:

–Ale to ukazanie się pod postacią Danny’ego? Danny także wyglądał na zmaltretowanego.

–Właśnie – przytaknął Neville. – To bardzo ważna wskazówka. I uważam, że właśnie ona prowadzi nas w głęboki mrok. Mogę się mylić, ale nie sądzę, żeby prawdziwy Danny, twój Danny, miał z tym wszystkim cokolwiek wspólnego. Po prostu wykorzystują twojego syna po to, żeby cię w to wciągnąć. Wiem, co mówię, Frank. To może być bardzo, bardzo niebezpieczne.

–W jakim sensie niebezpieczne? To znaczy, z czym właściwie mamy do czynienia?

–Z szaleństwem i śmiercią, Frank. Właśnie z tym.

Kiedy przyjechał porucznik Chessman w towarzystwie detektywa Bookera, Frank wciąż rozmawiał z Neville’em. Obaj policjanci wyszli na taras; porucznik oparł się o barierkę i kilkakrotnie głęboko odetchnął.

–Trochę inaczej się tu oddycha niż w Los Angeles, gdzie dominuje tlenek węgla.

–O tym mówiłem panu przez telefon. – Neville przeszedł od razu do rzeczy. Wręczył mu komputerowy wydruk „automatycznego pisma”. Porucznik Chessman przeczytał tekst, poruszając wargami, po czym przekazał kartkę detektywowi Bookerowi.

–Dziwne. Co panu podpowiada doświadczenie? Na ile to jest wiarygodne? – zapytał Neville’a.

–Bardzo wiarygodne, jeśli chodzi o komunikację z duchami. Przelanie czegokolwiek na papier jest dla ducha czynnością niezwykle wyczerpującą, ponieważ wymaga maksymalnej koncentracji i ogromnej dawki naturalnej energii. Kinetycznej, jeśli w użyciu jest długopis i kartka, a w tym wypadku elektrycznej. Powiem w ten sposób: bardzo niewiele duchów zadaje sobie trud, żeby napisać coś głupiego lub jakiś żart. To zbyt wielki wysiłek.

–Jakie pan więc wyciąga wnioski? Naprawdę uważa pan, że to napisał Richard Abbott?

–Postawiłbym na to duże pieniądze. Przeprowadzę dalsze doświadczenia, żeby to potwierdzić, niech pan jednak pamięta, co powiedziała w telewizji jego matka. Ojciec

często go bił.

–Co więc chce nam powiedzieć pan Abbott?

–Jeśli to on, jestem przekonany, że chce nam powiedzieć, iż nie tylko bywał bity, ale bezlitośnie maltretowany przez ojca, jego przyjaciół i innych ludzi i że to doświadczenie jest jednym z powodów, dla których zdecydował się zostać zamachowcem samobójcą.

Porucznik Chessman wyciągnął z kieszeni zmiętą chusteczkę i wytarł nos.

–Raczej kiepska teoria, nie sądzi pan? A co z pozostałymi zamachowcami?

–Jeszcze nie wiem. Jednak przeprowadziłem łączenie psychiczne dla obecnego tutaj pana Bella, który koniecznie chciał się skontaktować z Dannym. Odwiedził nas duch. Moim zdaniem nie był to duch Danny'ego, lecz jakiś inny, który użył wizerunku Danny'ego, by wzbudzić współczucie pana Bella. Niezależnie od tego, czyj to był duch, wszystko wskazuje na to, że osoba ta w dzieciństwie była w sposób niedopuszczalny maltretowana i molestowana.

–Dokąd to nas prowadzi?

–Nie mam żadnej pewności, doświadczenie jednak mi podpowiada, że maltretowane dzieci same wyrastają na okrutne osoby, szukające na społeczeństwie rewanżu za cierpienia, jakich zaznawały w dzieciństwie. Może teraz mamy do czynienia właśnie z takim zjawiskiem?

–Jakiś wyrodny ojciec bije chłopaka pasem, a ten następnie wysadza w powietrze studia Disneya?

–Można to sobie wyobrazić. Ma pan jakieś inne pomysły?

Przed wyjściem porucznik Chessman spojrział na Franka.

–Tak przy okazji, panie Bell, w sprawie tej pańskiej tajemniczej kobiety...

–Co z nią?

–Mam jeszcze jednego świadka, kobietę, która widziała ją, jak szła Gardner Street krótko po eksplozji w Cedars. Ta kobieta powiedziała nam, że tamta ubrana była w dżinsy i kremową koszulę oraz że była w jednym sandale i dlatego idąc, utykała. Nawet zatrzymała ją na moment i zapytała, czy dobrze się czuje.

–Rozumiem.

–Kobieta zeznała, że tamta była mniej więcej w wieku dwudziestu trzech lub dwudziestu czterech lat, miała krótkie, ciemne włosy. Była bardzo ładna, mimo osmalonej twarzy. Przypominała jej kogoś, kogo wcześniej знаła, ale nie mogła sobie przypomnieć kogo.

–Och.

–Pomyślałem, że te informacje twórczo wpłyną na pańską pamięć, panie Bell. Niech pan pomyśli o jakichś aktorkach telewizyjnych, które mogą być podobne do tej kobiety.

Frank przez chwilę się zastanawiał, przywoławszy w wyobraźni obraz Astrid, jednak potrząsnął przecząco głową.

–Przykro mi – powiedział. – Ja jedynie piszę dla telewizji. Niestety, bardzo rzadko cokolwiek oglądam.

Kiedy Neville odprowadzał porucznika Chessmana i detektywa Bookera do drzwi,

Frank skorzystał z okazji, żeby rozejrzeć się po bibliotece. Na bocznym stoliku zobaczył fotografię w srebrnej ramce. Zdjęcie przedstawiało szczupłą blondynkę w słomkowym kapeluszu, opierającą się o barierkę na jakimś moście. Jedną ręką trzymała kapelusz, żeby nie zerwał go wiatr. Śmiała się do fotografa.

–Atrakcyjna kobieta – zauważył Frank, kiedy Neville powrócił.

Neville wziął zdjęcie do ręki i popatrzywszy na nie, uśmiechnął się z tęsknotą.

–Tak. Tę fotografię zrobiłem na Albert Bridge w Londynie. – Chwila ciszy. –

Mieliśmy się pobrać.

–Przepraszam – mruknął Frank. – Nie chciałem być wścibski.

–Nie przejmuj się. To było bardzo dawno temu. Minęło dziewięć lat i trzy miesiące, żeby być precyzyjnym. Miała na imię Alison. Była bardzo inteligentna i pełna radości. Była prawnikiem i szybko awansowała. Wkrótce miała odebrać nominację sędziowską.

–Co się stało?

–Wypadek. Została zaproszona na urodziny, które odbywały się na płynącym statku wycieczkowym. Ja także byłem zaproszony, ale akurat tego dnia pracowałem dla policji z Sussex, próbując odszukać dwie dziewczynki, które zaginęły w South Downs. A później wieczór był tak piękny, że wracałem samochodem do miasta z odsuniętym dachem. Akurat jechałem przez Putney, kiedy radio podało, że niedaleko Westminster Pier jakaś pogłębiarka zderzyła się ze statkiem wycieczkowym i utonęło mnóstwo młodych ludzi. W końcu okazało się, że utonęły pięćdziesiąt dwie osoby. Wśród nich była Alison.

–Tak mi przykro. Chryste, to musiało być dla ciebie straszne.

–Zgadza się. Byłem zdruzgotany. Do teraz się z tym nie pogodziłem. Często się zastanawiam, jaka Alison byłaby teraz, gdyby żyła. Czasami, kiedy jadę samochodem, widzę jej sylwetkę, to znikającą w jakiejś bramie lub wsiadającą do taksówki. Wiem, że to nie jest ona, ale nie potrafię usunąć jej ze swojej wyobraźni. Dwa lata po śmierci Alison po raz pierwszy osobiście doświadczyłem zjawiska automatycznego pisania, dlatego wiem, że to bardzo wiarygodny sposób komunikacji z duchami.

–Alison napisała do ciebie? Neville skinął głową.

–Pewnego sierpniowego popołudnia siedziałem nad Tamizą w Boulter's Lock. Było bardzo spokojnie, w końcu znajdowałem się kilkanaście mil od miasta, w górę rzeki. Robiłem akurat notatki do wykładu na temat psychicznej wykrywalności różnych zjawisk. Wypiłem jednak do lunchu o jeden lub dwa kieliszki wina za dużo i zaczynała mi ciążyć głowa. Moja ręka z długopisem zaczęła dziwnie krążyć po papierze, jakby ją ktoś hamował, chociaż niczego nie czułem. Zaczęła rysować kółka, a potem jakieś zakrętasy i zygzaki. Nagle poczułem, że Alison jest blisko mnie. Próbowałem zwalczyć w sobie chęć odwrócenia głowy, ponieważ wiedziałem, że tak naprawdę nie ma jej przy mnie, jednak w końcu nie wytrzymałem.

–No i?

–Miałem rację. Nie było jej.

Neville urwał na chwilę i uśmiechnął się tęsknie do swojego wspomnienia.

Następnie pochylił się i otworzył jedną z szuflad pod półkami pełnymi książek.

–Popatrz – powiedział do Franka. – Oto ta kartka. Frank wziął ją do ręki i spróbował czytać. Stwierdził jednak, że patrzy jedynie na litery, „GA, ltn, DRO grb i WIZ” zapisane w przypadkowej kolejności. Niczego z nich nie zrozumiał.

–Nie odczytasz tego, jeśli nie wiesz, czego szukasz – powiedział Neville. – Tymczasem automatyczne pismo przeważnie jest bardzo osobiste. Jeśli złożysz papier w środku, litery DRO i GA utworzą słowo „droga”. Wiersz Droga Edwina Muira był jednym z ulubionych wierszy Alison. Mówi o mijającym czasie. Zaczyna się tak:

Jest pewna droga, która zawsze skręca

Skrótem od krainy nieskończoności.

Tym werselem Alison chciała przypomnieć mi o swoim odejściu.

Mężczyzna w letni wieczór

Kładzie się spokojnie w swoim grobie.

Czy jego śmiertelny wizerunek

I ten w łonie matki

Nie są ogniwnem jednego fatum?

Popatrz tylko, „ltn” oznacza „letni”, „grb” to grób, a WIZ to po prostu wizerunek.

– Schował kartkę z powrotem do szuflady. – Powiedziała mi, że wszyscy musimy umrzeć. Że musimy mieć tego świadomość nawet wtedy, kiedy stoimy uśmiechnięci na Albert Bridge. Ale nasza podróż nie kończy się nawet po śmierci, chociaż jej trasę znają już wtedy tylko umarli.

W wiadomościach telewizyjnych o osiemnastej komisarz Marvin Campbell oznajmił, że otrzymał od Dar Tariki Tariquat nową zaszyfrowaną wiadomość. Wezwali do wycofania z telewizji, w ciągu siedemdziesięciu dwóch godzin, „wszystkich filmów i programów, które gloryfikują obsceniczne i niegodne zachowania”. Konsekwencją niezastosowania się do tego polecenia ma być „Armagedon dla Hollywood... który rozpocznie się w piątek. Wokół Los Angeles, w odstępach dwudziestoczworgodzinnych, zostanie zdetonowanych jedenaście bomb. Rzucają one na kolana tych, którzy szerzą rozpustę i bluźnierstwa”.

Komisarz powiedział, że nie ma powodu, aby wierzyć, iż wiadomość ta jest głupim żartem, i że traktuje ją z „największą powagą”. Jednocześnie próbował zapewnić mieszkańców Los Angeles, że środki bezpieczeństwa, podjęte przez władze, jeszcze nigdy nie były tak surowe.

–A ponadto pragnę państwu powiedzieć, że nasze zespoły antyterrorystyczne są już bliskie dokonania pierwszych znaczących aresztowań.

–Wierzysz w to? – zapytał Smitty, otwierając kolejną puszkę piwa. – Moim zdaniem to koniec świata, koniec tego świata, który wszyscy znamy.

Frank pojechał z powrotem do Sunset Marquis. Wszedłszy do hallu, natychmiast zobaczył Margot. Czekwała na niego. Była sama, blada i jakby skurczona. Włosy miała upięte w kok pod fioletoworóżowym turbanem.

–Frank – powiedziała, wstając. – Naprawdę musimy porozmawiać.

–Tak, jasne.

Popatrzył na zegarek. Brakowało ośmiu minut do dziewiętnastej. Poprowadził ją na górę, do swojego pokoju, i otworzył drzwi. Weszła do środka i zaczęła obchodzić pomieszczenie wzdłuż ścian, rozglądając się uważnie, jakby spodziewała się znaleźć coś, co pomoże jej wiele spraw zrozumieć.

–Napijesz się czegoś? – zapytał. – Mam chardonnay, chardonnay albo chardonnay. Albo piwo.

–Nie, dzięki. Po prostu uważam, że powinniśmy razem ustalić, co robimy dalej.

–A jak uważasz, co powinniśmy robić dalej? Bo ja nie wiem.

–Frank, od ośmiu lat jesteśmy małżeństwem. Czy to się już nie liczy?

–Oczywiście, że się liczy. Jednak nie ma sensu udawać, że nic się między nami nie stało.

–Mogę ci wybaczyć to, co się stało z Dannym. Wiem, że mogę.

–Ale jeszcze nie teraz?

–Proszę cię tylko o czas, Frank.

–Wiem. I nie winię cię za to. Gdyby nasze pozycje się odwróciły, gdybyś to ty wiozła Danny’ego do szkoły tego dnia, kiedy wybuchła bomba, prawdopodobnie czułbym teraz to samo, co ty czujesz.

Margot przez chwilę jakby się wahała, po czym powiedziała:

–Przyszłam tu dzisiaj po to... Cóż, chciałam ci po prostu powiedzieć, że mimo to, co się stało, wciąż cię kocham. Mówiłeś o rozwodzie, ale ja nawet nie chcę myśleć, że z nami już koniec.

Frank wyciągnął z lodówki do połowy wypełnioną butelkę białego wina i nalał sobie kieliszek.

–A ja nie jestem tego pewien. Zaczynam się zastanawiać, czy nie było tak, że od dłuższego czasu łączył nas jedynie Danny. Przez cały czas jadaliliśmy przy tym samym stole i sypialiśmy w jednym łóżku, to prawda. Ale zdaje się, że zbyt często ze sobą nie rozmawialiśmy?

–Czy nasze małżeństwo naprawdę było takie złe?

–Nie, skądże. Przez większość czasu było nam wspaniale. Ale być może powoli oboje staliśmy się innymi ludźmi, a obecność Danny’ego sprawiała, że nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy?

–Powiedz mi tylko, czy byłeś ze mną szczęśliwy czy nie.

–Chryste, Margot. Zachowujesz się tak, jakbyś właśnie podeszła do jedynego człowieka, który ocalał z katastrofy samolotu, i zapytała go, czy miał wygodny fotel.

–Muszę wiedzieć, co myślisz o nas obojgu, Frank. Muszę wiedzieć, co zamierzasz dalej robić.

–Nie wiem, co zamierzam, Margot. I nikt tego teraz nie wie, w całym Los Angeles, i nie będzie wiedział, dopóki nie złapią tych przeklętych terrorystów. W tej chwili sprawy mają się tak, że w krótkim czasie wszyscy staniemy się bezrobotnymi bankrutami.

–Nie mówię o twojej pracy, tylko o nas dwojgu.

Frank przez chwilę zastanawiał się w milczeniu, a Margot czekała. Popatrzył na nią, ale wyraz jej twarzy niewiele zdradzał. Podeszedł do drzwi balkonowych i otworzył je. Stał w progu, w jasnoczerwonych promieniach zachodzącego słońca. Wreszcie odwrócił się i powiedział:

–Nevile przeprowadził dla mnie kolejny seans. Rozmawiał z Dannym, a on powiedział, że powinienem rozpocząć nowe życie.

–On rozmawiał z Dannym i Danny tak właśnie powiedział?

–Dokładnie tak.

–Chyba nie wierzysz, że Danny pragnąłby naszej separacji?

Frank nie zdołał już odpowiedzieć, ponieważ otworzyły się drzwi i do pokoju weszła Astrid, w ciemnych okularach, żakiecie z kożlej skóry i obcisłej, białej prostej sukience. Zobaczyła Margot i zawołała:

–Och! Bardzo przepraszam.

Margot popatrzyła na Franka.

–Chyba zrobiłam z siebie idiotkę – powiedziała.

–Skądże znowu. Margot, poznaj Astrid. W chwili wybuchu także znajdowała się przy Cedars.

–Już się kiedyś spotkałyśmy, dzięki. Chyba już pójdę.

–Margot, gdybyś chciała porozmawiać jutro...

–Nie, Frank, nie będę chciała porozmawiać jutro. Pytanie, które przysłałam ci zadać, wydaje mi się w tej sytuacji bez sensu.

Przez cały wieczór czuł się okropnie. Nie tylko z powodu Margot, lecz także przez Astrid. Zabrał ją do Tony’ego Ascariego na pollo a tegame, jednak prawie nic nie

zjadła. Zdawała się rozkojarzona i zdenerwowana. Przez cały czas rozglądała się po restauracji, tak jakby za chwilę spodziewała się zobaczyć kogoś, na spotkanie z kim wcale nie miała ochoty.

–Nie smakuje szanownej pani? – zapytał Marco, szef kelnerów, kiedy zabrano talerze ze stołu.

–Bardzo przepraszam – odparła. – Chyba nie jestem głodna.

–Co się stało? – zapytał ją po chwili Frank. – Nic nie zjadłaś, a od kiedy usiedliśmy przy stoliku, powiedziałaś ledwo dwa albo trzy słowa.

–Nic się nie stało, rozumiesz?

–Co więc dzisiaj robiłaś? Czy ktoś cię zdenerwował?

–Byłam w Venice na spotkaniu z przyjaciółmi, to wszystko.

–W Venice?

–Właśnie. Jedliśmy pizzę w Tomato UFO.

–Aha... To tłumaczy, dlaczego nie jesteś głodna. Mogłaś mi wcześniej powiedzieć.

Dotknął jej dłoni na czerwonym obrusie. Z powodu ciemnych okularów nie mógł widzieć twarzy Astrid. W szklach odbijały się jedynie ruchome płomyki świeczek stojących a stole. A jednak czuł, że dziewczyna jest podekscytowana jak nastroszony kot. Czuł to nie tylko dlatego, że bił od niej mocny zapach perfum, nie tylko dlatego, że zachowywała się inaczej niż zwykle, ale po prostu dlatego, że go okłamywała. Przecież nie pojechała do Venice na spotkanie z przyjaciółmi. Pojechała do Star-TV, tylko po co? Spotkać się z człowiekiem, który tak strasznie ją pobił? Znowu dostać od niego lanie? A może chciała mu powiedzieć, jak bardzo go nienawidzi?

Tej nocy Frank był w łóżku bardziej gwałtowny niż Astrid. Niemal stoczyli ze sobą walkę, lecz w końcu to on zwyciężył. Położywszy się na niej, złapał ją za przeguby tak, że nie zdołała się uwolnić, po czym zaczął wchodzić w nią, ostro, gwałtownie, za każdym pchnięciem głębiej; wsuwając członek tak głęboko, jak tylko zdołał.

–To boli – jęknęła. Jej spocone policzki płonęły, włosy miała mokre, w nieładzie.

–Kłamstwa też bolą.

–Jakie kłamstwa? O czym ty mówisz?

–Takie kłamstwa jak na przykład: „Byłam w Venice na spotkaniu z przyjaciółmi, to wszystko. Jedliśmy pizzę w Tomato UFO”.

–A dlaczego cię to obchodzi?

–Bo mnie obchodzi. Szczególnie, jeśli wracasz do mnie cała w sińcach.

–Nie jestem twoją własnością, Frank.

–Nigdy tego nie powiedziałem. Ale nie lubię patrzeć na twoje rany.

–Masz chyba na myśli to, że nie lubisz, jak mnie rani inny mężczyzna. Bo jeśli sam to robisz, to wszystko jest w porządku, co?

Frank zsunął się z niej. Natychmiast ciasno owinęła się prześcieradłem i położyła na skraju łóżka.

–Ty świnię – powiedziała przytłumionym głosem.

Próbował otoczyć ją ramieniem, ale odepchnęła go. W końcu odwrócił się do niej plecami i spróbował zasnąć. Zanim zapadł w sen, minęły dobre dwie lub trzy godziny,

ponieważ muzyk z zakrzywionym nosem odtwarzał na cały regulator piosenki Bruce'a Springsteena, a przy basenie ktoś wydawał przyjęcia. Dobiegające z dołu wrzaski przywodziły na myśl ścieżkę dźwiękową z najstraszniejszego filmu grozy.

W środku nocy coś go obudziło. Ktoś delikatnie dotykał jego policzka. W pierwszej chwili pomyślał, że to mucha; zanim zasnął, słyszał, jak latała po całym pokoju. Uderzył dłonią w policzek, chcąc się jej pozbyć, po czym naciągnął kołdrę na twarz. Nie chciał się obudzić rano cały pogryziony.

Jednak przeleżał w spokoju tylko kilka minut, gdy nagle poczuł, że ktoś ściąga mu kołdrę z głowy. Otworzył oczy, przestraszony tak, że aż ścierpła mu skóra. W sypialni było dość ciemno, jednak w półmroku zdołał dojrzeć, że ktoś stoi przy jego łóżku i uważnie mu się przygląda. Dziecko. Jego oczy lśniły w ciemności.

–Tatuś mnie skrzywdził.

Chryste, to był Danny! Frank leżał i wpatrywał się w niego, nie ośmielając się poruszyć.

–Tatuś mnie skrzywdził.

–To nie była moja wina, Danny – odparł Frank. Musiał wcześniej odchrząknąć, ponieważ nie był w stanie wydobyć głosu. – To była bomba, Danny. Nie wiedziałem, że zostałeś ranny. Nie miałem żadnej możliwości, żeby się tego dowiedzieć.

–Bił mnie, a później przeproszał, a jeszcze później kazał mi robić te wszystkie okropne rzeczy.

–Danny, nie biłem cię i nigdy nie kazałem ci robić nic okropnego, przecież wiesz.

Postać wciąż na niego spoglądała. W miarę, jak oczy Franka stopniowo przyzwyczajały się do ciemności, coraz wyraźniej dostrzegał krótko obcięte włosy Danny'ego i jego bladą, trójkątną twarz. Boże, jak bardzo był podobny do Margot.

–Bił mnie i kazał robić te wszystkie okropne rzeczy. Ale go kochałem. Tak bardzo go kochałem. Później płakał i przeproszał mnie, i mówił, że już nigdy mnie nie uderzy.

Frank powoli usiadł. Astrid spała głębokim snem, oddychając lekko i równomiernie, jakby właśnie płynęła przez wszechświat na pokładzie towarowego statku kosmicznego Nostromo. Frank bał się, ponieważ jego zmarły syn ukazał mu się właśnie w sypialni w środku nocy, ale równie mocno pragnął się dowiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi? Czuł, że jeśli tego nie odkryje, coś okropnego przydarzy się jemu samemu i innym ludziom wokół niego.

–Danny... Nie biłem cię, prawda? I nigdy nie skrzywdziłem cię w żaden inny sposób.

–Tatuś mnie skrzywdził – powtórzyło dziecko.

Frank wyciągnął rękę.

–Proszę, dotknij mojej dłoni.

–Tatuś mnie skrzywdził. Bił mnie i kazał mi robić te wszystkie okropne rzeczy.

–Dotknij mojej dłoni – powtórzył Frank.

Dziecko, choć z wahaniem, wyciągnęło jednak rękę do Franka.

–No widzisz, nie ma się czego bać.

Frank pochylił się do przodu i dotknął dłoni dziecka, ale w tym samym momencie, w którym dłonie się zetknęły, wycofał swoją, przerażony. To wcale nie była ręka

dziecka. Była delikatna, o przyjemnej skórze, ale to była ręka kobiety, o długich paznokciach, z pierścionkiem na palcu.

Siedział w bezruchu, z szeroko otwartymi oczyma, przyglądając się sylwetce, oddychając tak szybko, jakby właśnie ukończył wyczerpujący bieg.

–Kim jesteś? – zapytał głośno. – Musisz mi powiedzieć, kim jesteś?

–Nie wolno mi.

–Mnie możesz powiedzieć. Zachowam to w tajemnicy, tylko dla siebie.

Postać milczała, jednak wciąż się nie ruszała. Za hotelowym oknem zaczynało jaśnieć i sylwetka dziecka powoli stawała się coraz wyraźniejsza. Bez wątpienia wyglądał jak Danny, ubrany był jednak w bladożółtą pidżamę, ozdobioną obrazkami maszerujących niedźwiadków. Danny nigdy takiej nie miał.

–Ty nie jesteś Danny, prawda? – zapytał Frank.

Astrid poruszyła się w łóżku i powiedziała:

–Nie. Nie teraz.

Frank popatrzył na nią z ukosa, a kiedy z powrotem skierował wzrok na Danny'ego, jego już nie było.

Przez dwadzieścia minut siedział wyprostowany na łóżku, mając nadzieję, że duch zjawi się ponownie, jednak za oknami robiło się coraz jaśniej i było już oczywiste, że tajemnicza sylwetka zniknęła na dobre.

Frank był dziwnie pewien, że tym razem nie miał do czynienia z własnym synem. Odpędzał od siebie myśl o nim, wędrującym po świecie duchów, zagubionym, dezorientowanym, brudnym. Z drugiej strony musiał się dowiedzieć, dlaczego tajemniczy duch wybrał sobie właśnie postać Danny'ego, gdzie znajduje się prawdziwy Danny i czy jest spokojny w swoim nowym świecie.

Wstał i prosto z kartonika wypił trochę soku pomarańczowego, który trzymał w lodówce; był tak zimny, że aż palił w gardle. Właśnie wtedy nasunęło mu się pytanie, dlaczego Danny ukazał mu się w chwili, kiedy w pobliżu nie było Neville'a. Nie było żadnego seansu, głębokiej koncentracji, niczego. Sylwetka chłopca zmaterializowała się tak po prostu, spontanicznie.

Powróciwszy do łóżka, zauważył, że Astrid leży z otwartymi oczami.

–Która godzina? – zapytała go.

–Piąta pięć.

–Nie mogłeś spać?

Poprawił poduszkę i wsunął się pod kołdrę.

–Miałem po prostu zły sen.

Leżeli przez chwilę w ciszy, po czym Astrid niespodziewanie uniosła się na łokciu i pocałowała go w usta.

–Czasami mogę cię okłamać, Frank, ale nigdy cię nie skrzywdzę.

–Co to ma znaczyć?

–Czasami prawda jest zbyt trudna do zniesienia. Czasami kłamstwo jest dobrodziejstwem.

–A zatem, gdziekolwiek wczoraj byłaś, uważasz, że jest lepiej, żebym nie wiedział gdzie?

–Czy wciąż kochasz Margot?

–Co ma wspólnego jedno z drugim?

–Chciałabym po prostu wiedzieć, czy okłamujesz samego siebie. Nie możesz mieć do mnie pretensji o kłamstwa, skoro i ty jesteś kłamcą.

Kiedy Astrid wyszła rano z hotelu, Frank znów zaczął ją śledzić. Tym razem taksówka powiozła ją przez cały Sunset Boulevard aż do Beverly Glen, a później krętymi drogami Bel Air, wśród pachnących kwiatów oraz złoconych, pilnie strzeżonych bram najdroższych rezydencji w Hollywood.

Taksówka zatrzymała się przed bramą ogromnego białego domu, wybudowanego w stylu Przemienęło z wiatrem. Z drogi był niemal niewidoczny, Frank mógł jednak dostrzec portyk opierający się na wysokich filarach i miedzianą kopułę ze skierowanym na zachód wiatrowskazem na szczycie. W stromo opadającym ogrodzie rosło mnóstwo róż, a z licznych fontann w kształcie delfinów i nagich syren tryskała woda. Taksówkarz powiedział kilka słów do interkomu przy bramie. Po kilku sekundach drzwi się otworzyły i samochód wjechał do środka. Frank powoli minął bramę, po czym zawrócił i zatrzymał się mniej więcej pięćdziesiąt jardów za posiadłością. Czekał.

Taksówka wyjechała z bramy po dwóch lub trzech minutach. Frank wysiadł ze swojego auta i pomachał ręką. Taksówkarz opuścił boczną szybę. Był dziobaty, miał długie, opadające wąsy i różaniec owinięty wokół pięści niczym kastet.

– Czy zechciałby pan zrobić mi przysługę? – zapytał Frank. Wyciągnął z kieszeni swoją wizytówkę z Fox-TV i podał ją taksówkarzowi. – Czy słyszał pan kiedykolwiek o serialu *The Beverly Hillbillies*?

– Żartuje pan?

– Wcale nie. Planujemy nakręcić remake, ze Steve'em Martinem w roli Jeda i Pamelą Andersen jako Elly May. Poszukujemy obiektów do zdjęć i konkretnie ten dom bardzo by nam pasował. Czy nie wie pan przypadkiem, do kogo należy?

Taksówkarz potrząsnął głową.

– Nie mogę udzielić panu takiej informacji. Jest zastrzeżona.

– Na miłość boską, przecież pan jest taksówkarzem, a nie ginekologiem! Co pan powie na drobne honorarium?

Wyciągnął z portfela i pokazał mu banknot dwudziestodolarowy. Taksówkarz wyrwał mu banknot tak szybko, że Frank nawet nie zauważył, gdzie go schował.

– Do Charlesa Lassera. – Już miał ruszać, jednak zaraz nacisnął mocno na hamulec. – Zna pan Charlesa Lassera? – zapytał i szybko odjechał.

Frank stanął przed bramą i zaczął wpatrywać się w budynek. A więc Astrid poszła z wizytą do Charlesa Lassera, właściciela Star-TV? Był dezorientowany. Z jakiej przyczyny taka dziewczyna odwiedza faceta takiego jak Lasser? Czy to możliwe, że są kochankami? Co gorsza, może Astrid jest prostytutką? To by wyjaśniało jej niechęć od opowiadania czegokolwiek o sobie.

Ale skoro jest prostytutką, dlaczego co noc powraca do jego łóżka? Może to właśnie Charles Lasser ją bije, a ona potrzebuje kogoś, przy kim się uspokoi, kogoś, kto będzie jej współczuł, będzie czuły i delikatny i nie będzie jej osądzał?

Niezależnie od tego, czy była prostytutką, Frank nie musiał sobie zadawać pytania, co Astrid widzi w obleśnym, spoconym grubasie, jakim był Charles Lasser. Na początek prywatny boeing 767, jacht o długości dwustu pięćdziesięciu stóp i

domy w pięciu krajach. Frank znał żony i kochanki zbyt wielu sławnych aktorów i zbyt wielu grubych ryb z przemysłu rozrywkowego, żeby wątpić, jak wielkie upokorzenia potrafią znosić, byleby tylko pozostawać w blasku bijącym z wąskiego kręgu śmietanki towarzyskiej. Jak kiedyś to ujął Mo: „Te damulki raczej będą zjadać gówna na rozkaz, niż zrezygnują ze stylu życia, do jakiego są przyzwyczajone. W gruncie rzeczy znam taką jedną, która to zrobiła, a dzisiaj paraduje w różowej jedwabnej sukience i w naszyjniku z pereł”.

Pojechał na cmentarz, aby odwiedzić grób Danny'ego. Stał nad nim prawie kwadrans, nie dbając o to, że silny wiatr rozwiewa mu włosy.

–Danny – wyszeptał. Oczywiście nikt mu nie odpowiedział. W powietrzu unosił się jedynie odległy huk silników samolotu, krążącego nad lotniskiem w Burbank. – Chciałbym, żebyś się do mnie odezwał, Danny. Chciałbym po prostu wiedzieć, że nie jesteś za bardzo nieszczęśliwy, że tam, gdzie jesteś, znalazłeś sobie kilku przyjaciół. Nie mogę znieść myśli, że jesteś samotny.

Właśnie zbierał się do odejścia, kiedy zdał sobie sprawę z tego, że niedaleko stoi młody człowiek w ciemnych okularach i znoszonej skórzanej kurtce. Młodzieniec miał czarne włosy, ostrzyżone na jeża, i ręce skrzyżowane na piersiach. Można było odnieść wrażenie, że na kogoś czeka. Kiedy Frank go mijał, odezwał się:

–Jest pan jednym z nich, prawda?

Frank zatrzymał się.

–Mówi pan do mnie?

–Tak. Powiedziałem: „Jest pan jednym z nich, prawda?” Jednym z kłamców.

–A mów sobie, człowieku, co chcesz – odparł Frank i ruszył dalej.

Nie odszedł jednak daleko, ponieważ stwierdził, że młody człowiek podąża za nim. Znów się zatrzymał i chłopak przystanął także. Kiedy ponownie ruszył, ruszył także młodzieniec. W końcu Frank odwrócił się i powiedział:

–Posłuchaj, nie wiem, co chcesz mi sprzedać, ale niczego od ciebie nie kupię, nie jestem zainteresowany.

Młody człowiek uśmiechnął się.

–Niczego nie sprzedaję, Frank, przynajmniej nie w takim sensie, jaki masz na myśli. Nie sprzedaję kłamstw ani marzeń, które nigdy nie mogą się spełnić. Nie sprzedaję nadziei, skoro wiem, że żadnej nadziei nie ma.

–Skąd znasz moje nazwisko?

–Jakie to ma znaczenie? Jesteś jednym z kłamców i tylko to się liczy. Jesteś jednym z tych, co wymieniają pieniądze w świątyni prawdy i tak jak nasz Pan, wyprowadzimy cię z niej.

–Posłuchaj – powiedział Frank. – Nie wiem, do diabła, o czym ty bredzisz i, szczerze mówiąc, nie chcę wiedzieć. Przyszedłem tutaj odwiedzić grób mojego syna i byłbym wdzięczny, gdybyś uszanował i mnie, i jego.

–Uszanować? A jaki szacunek kiedykolwiek ty komuś okazałeś, co? Piszesz o radosnych rodzinach, ale gdzie one są, gdzie się znajdują te wszystkie radosne rodziny? Piszesz o miłości, a tymczasem na świecie pozostała już tylko zdrada i fałsz. Sprawiasz, że ludzie wierzą w świat pełen szczęścia, którego już nie ma. Czyż

można być bardziej okrutnym? Patrzcie, ludzie! Mama i tata i obiad z okazji Święta Dziękczynienia! Patrzcie, ludzie! Bóg pokonuje zło i źli ludzie idą do więzienia. Och, będziemy musieli powalczyć. Może uronimy kilka łez? Ale na końcu to zawsze na nas czeka! Odpowiedź na wszystkie nasze modlitwy! Złote Miasto! – Młody człowiek zdjął okulary przeciwsłoneczne. Oczy miał przekrwione, jak wampir. – Problem tkwi w tym, że to wszystko jest mirażem, prawda, Frank? To wszystko są tylko bajeczki, które powstają w twojej głowie. *Gdyby świnki potrafiły śpiewać*, Frank. Gdyby tylko, kurwa, potrafiły.

Frank wyciągnął z kieszeni telefon komórkowy, by zadzwonić po policję. Młody człowiek z powrotem założył okulary, odwrócił się na pięcie i szybkimi krokami zaczął się oddalać. Wkrótce zniknął Frankowi z oczu pomiędzy nagrobkami.

Tego wieczoru Astrid przyszła krótko po ósmej. Zamówili dania na wynos z chińskiej restauracji: kulki z krewetek, siekaną wołowinę oraz kurczaka z imbirem i wegetariańskim makaronem.

–Jak minął dzień? – zapytał Frank.

Krewetka stoczyła się z jego talerzyka i wpadła pod kanapę.

–Dobrze – odparła Astrid.

–Cóż, to dobrze – mruknął Frank, próbując nabrać kolejną kulkę.

–A tobie?

–Dobrze. – Frank wyprostował się. Wiedział, że za chwilę będzie musiał wszystko powiedzieć.

–Dobrze? – powtórzyła Astrid.

–Właściwie i tak, i nie. To zależy. Odkryłem coś bardzo interesującego.

–Tak?

–Dowiedziałem się, do kogo pojechałaś.

Astrid wbiła w niego wzrok.

–Co takiego?

–Pojechałem za tobą, rozumiesz? Nie wiń mnie za to, zależy mi na tobie. Chcę wiedzieć, kim jesteś i co robisz. Chcę wiedzieć, kim są twoi przyjaciele. Odłożyła pałeczki na talerz.

–Pojechałeś za mną? Nie miałeś prawa!

–Przykro mi, ale nie mogę się z tobą zgodzić. Wiesz o mnie właściwie wszystko, co można wiedzieć. Wiesz, gdzie się urodziłem. Wiesz wszystko o mojej rodzinie. O mojej pracy, małżeństwie, ulubionych filmach. Niczego przed tobą nie ukrywam. Dlaczego więc nie miałbym dowiedzieć się czegoś o tobie?

–Ponieważ sobie tego nie życzę. Czy to nie wystarczy? Poza tym, czy kiedykolwiek cię o coś pytałam? Sam z siebie wszystko mi opowiadałeś! Frank, wszystko zepsułeś! – Wstała, podeszła do drzwi i zdjęła kurtkę z wieszaka. Frank powstał także.

–Wczoraj byłaś w Star-TV, a dzisiaj dotarłem za tobą aż do domu Charlesa Lassera. Na miłość boską, Astrid, oboje przeżywamy piękny romans! Jesteśmy kochankami! Nie sądzisz, że mam prawo wiedzieć przynajmniej to, czy nie spotykasz się z innym mężczyzną?

Astrid otworzyła drzwi, ale Frank natychmiast je zatrzasnął.

–To jest szalone! Jestem z tobą, Astrid, i chcę być ci wierny! Przekroczyłem próg i nie będę już mógł powrócić.

Policzki Astrid zaczerwieniły się. Było jasne, że z trudem nad sobą panuje.

–To jednak nadal nie daje ci prawa do wścibiania nosa w moje prywatne sprawy.

–Szczególnie w prywatne sprawy z szanownym panem Charlesem Lasserem?

–Nic ci do tego, co robię, kiedy wychodzę z tego pokoju, Frank. Jeśli nie potrafisz tego zaakceptować, muszę się stąd wynieść na dobre.

–O co ci chodzi? Nie ufasz mi?

–Ufam ci, oczywiście. Ale nie powinieneś wiedzieć o mnie więcej, niż wiesz do tej pory. To nie jest konieczne.

Frank rozejrzał się po pokoju, jakby się spodziewał, że bardziej rozsądna Astrid wciąż siedzi na kanapie. Wreszcie znów popatrzył na nią i odszedł od drzwi.

–Idź sobie. Jeśli chcesz odejść, nie zatrzymuję cię. Myślałem, że możemy zbudować wspólną przyszłość, tymczasem wszystko wskazuje na to, że się niepotrzebnie łudziłem.

–Frank, mówiłam ci to już tak wiele razy. Nie możesz mnie osiąść. Nie jestem jedną z postaci z twoich scenariuszy. Bardzo cię lubię. Być może jestem w tobie zakochana. Ale cała reszta musi pozostać kwestią twojego zaufania do mnie.

–Masz romans z Charlesem Lasserem?

–Nie zamierzam odpowiadać na to pytanie.

–Czy to Charles Lasser cię pobił?

–Frank!

Ton jej głosu i sposób, w jaki na niego patrzyła, mówiły mu, że jeśli teraz wyjdzie, już nigdy jej nie zobaczy. Nie będzie nawet wiedział, gdzie jej szukać. Powrócił do kanapy i usiadł, pozostawiając Astrid przy drzwiach.

Kiedy nad ranem promienie słońca wypełniły sypialnię i Frank się obudził, Astrid jeszcze spała z twarzą zatopioną w poduszce, tak blisko niego, że czuł na ramieniu jej oddech. Pomyślał, że tego, co czuje do niej, nigdy nie czuł do żadnej innej kobiety i pewnie nigdy już nie poczuje. Poglaskał złocistobrązowe włosy, a potem przesunął palcem wzdłuż jej kręgosłupa. Boże, była magicznie piękna.

Kiedy uniósł kołdrę, ujrzał na jej lewej ręce szkarłatnego siniaka. Zsunąwszy kołdrę jeszcze dalej, zobaczył dwa kolejne sińce nad jej biodrem i jeszcze po jednej ranie na każdym pośladku. Obie wyglądały paskudnie i wciąż krwawiły. Chryste! Ktoś na niej gasił papierosy!

W pierwszym odruchu chciał ją natychmiast obudzić i zapytać, kto przypalał ją papierosem. Ale zaraz sobie przypomniał tę niepewność, gdy poprzedniego wieczoru stała w drzwiach, gotowa wyjść i nigdy już nie wrócić. Było jasne, że jej życie jest znacznie bardziej mroczne i znacznie bardziej skomplikowane, niż mógł dotąd przypuszczać, a nie chciał jej stracić, zachowując się jak chory z miłości Dusty ze *Świnek*. Przecież nie mógłby jej pomóc, gdyby go opuściła. Delikatnie naciągnął kołdrę z powrotem, odwrócił się i zaczął udawać, że wciąż śpi.

Znacznie później tego ranka, kiedy Astrid już wyszła, Frank zatelefonował do

swojego starego kumpla, Johna Berengera ze Star-TV.

–Sloop, tu Frank. Jak ci leci?

–Drwisz sobie ze mnie? Jeśli chodzi o moją stację, to czujemy się, jakby w Kalifornii rozpoczęła się kolejna gorączka złota. Nasze wskaźniki oglądalności podskakują aż do orbity! Nie wiem, jak długo potrwa, zanim ci Arabowie wyślą nas do królestwa niebieskiego, ale na razie, czekając na śmierć, zarabiamy nieprawdopodobne pieniądze! – Umilkł. Przez chwilę jakby się wahał, po czym dodał: – Przepraszam cię, Frank, przepraszam. Ja i to moje gadulstwo. Co słyszałeś u ciebie? Ta historia z Dannym... Tak mi przykro. Tragedia. Tragedia. Czy kwiaty od nas dotarły? Jak się miewa Margot?

–Prawdę mówiąc, Sloop, Margot i ja postanowiliśmy trochę od siebie odpocząć. Strata Danny'ego, cóż, była dla nas potwornym wstrząsem. Oboje uznaliśmy, że musimy się z niego otrząsnąć osobno.

–Słucham tego z przykrością, Frank. Kim i ja sercem jesteśmy z wami.

–Dzięki ci, Sloop. Posłuchaj, pewnie już wiesz, że zostałem ze Świnkami na łodzi?

–Tak, słyszałem o tym. To samo, co Świnki, spotkało każdy inny porządny program. – Przed trzema laty John Berenger był szefem departamentu rozwoju kreatywnego w Fox i to jego hałaśliwy entuzjazm sprawił, że Świnki stały się hitem już od pierwszego odcinka. John był potężnie zbudowany, głośny i nigdy nie wahał się wypowiadać własnej opinii, chociaż, oczywiście, nie był ani tak potężny, ani tak zdecydowany w swoich opiniach jak jego szef, Charles Lasser.

–Sedno sprawy tkwi w tym, że potrzebuję od zaraz jakiegoś zajęcia – powiedział Frank. – Nie potrzebuję pieniędzy, ale beznadziejnie gram w golfa, a nie potrafię usiedzieć w miejscu i dłużyć w nosie.

–Napisz wielką amerykańską powieść. Każdy tego próbuje.

–Sęk w tym, że potrafię pisać jedynie komediowe scenariusze.

–Przykro mi, Frank, ale autorów mam w tej chwili aż nadto. Poza tym w każdej chwili to całe Dar Tariki Tariquat może także nas wysadzić w powietrze. Widzisz, Charlie Lasser może sobie grzmieć nie wiadomo jak głośno, a tymczasem wystarczy na nas kilkaset funtów trotylu.

–Wiem, zdaję sobie z tego sprawę. Mam jednak wspaniały pomysł na nowy serial komediowy. Jest kontrowersyjny, zabawny, ale, mówiąc językiem islamistów, zarazem politycznie poprawny, nie zdenerwuje więc żadnych potencjalnych terrorystów.

–O co w nim chodzi?

–Wolałbym nie dyskutować na ten temat przez telefon, jeśli nie masz nic przeciwko. Może się spotkamy?

–W porządku. Jaki mamy dzisiaj dzień? Aha... Może więc spotkamy się jutro około jedenastej trzydzieści? Jeżeli będziemy rozmawiać dość długo, może przeniesiemy dyskusję aż na lunch? Lubisz tuńczyka z *chermoula*?

–Mniam, mniam, uwielbiam. Co to takiego *chermoula*?

Miał właśnie wyjść z pokoju, kiedy zadzwonił telefon.

–Pan Bell? Tu recepcja. Jest tutaj niejaki pan Strange i chce się z panem zobaczyć.

Frank zszedł po schodach. Neville'a ujrzał natychmiast. Czekał na niego w hallu, ubrany w luźną, czarną płócienną marynarkę, w okularach przeciwsłonecznych o bardzo czarnych szklach.

–Frank! Cieszę się, że cię złapałem. Wydarzyło się coś bardzo ważnego.

–Naprawdę? W jakiej sprawie?

–Posłuchaj, trudno mi cię o to prosić, ale uważam, że powinniśmy jeszcze raz porozmawiać z Dannym.

–Myślałem, że pozostawimy go już w spokoju. Nie pamiętasz? Szaleństwo i śmierć.

–Tak, wiem, ale wczoraj wieczorem otrzymałem za pośrednictwem automatycznego pisma kolejną wiadomość. Jestem pewien, że to Richard Abbott. To, co mi napisał...

Widzisz, moim zdaniem to kolejny dowód, że cała ta kampania terrorystyczna ma jakiś związek z maltretowaniem dzieci.

–Powiedziałeś o tym policji?

–Nie, jeszcze nie. Szczerze mówiąc, porucznik Chessman traci wiarę we mnie. Jego przełożeni chcą dopaść Arabów, a skoro ja nie mogę im potwierdzić, że chodzi właśnie o Arabów, przestaje ich to interesować. Nie chcą uwierzyć, że chodzi o protest, który się zrodził tutaj, w Ameryce. Tymczasem zbliża się wielki kryzys, Frank. Wkrótce mogą wybuchnąć dziesiątki bomb. Jeśli istnieje jakiś sposób, żeby temu zapobiec, musimy podjąć próbę znalezienia go.

–Chodź, najpierw się napijemy.

Siedzieli na ocienionej werandzie New World Bar na Sunset Boulevard, naprzeciwko wielkiego billboardu z uśmiechniętym, wysokim na trzydzieści stóp George'em Clooneyem. Frank zamówił piwo, natomiast Neville uznał, że wystarczy mu woda sodowa.

Frank uniósł szklankę, jakby chciał wypić zdrowie George'a Clooneya.

–Cóż za dzieło sztuki – powiedział. – Widać nawet włosy w jego nosie.

Nevile sięgnął do kieszeni i wyciągnął wydruk.

–Wczoraj wieczorem próbowałem pisać list do mojego wydawcy i popatrz, co wyszło. Nie byłem w stanie przerwać pisania ani panować nad jego treścią.

Frank wziął kartkę do ręki i zaczął czytać:

Dzień nadchodzi kiedy Pożałujecie oddamy wam tO, czego doświadczyliśmy od was. Zawsze Nas raniliście i krzywdziliście ale teraz nasza kolej. Dar Tariki TariQuat pokaże wam taką ciemność do jakiej wy nas wysyłałiście. Przez was czuliśmy się jak O ale teRaz wy będziecie się Czuć jak 0. PRZESZLIŚMY przez PIEKŁo a wy mówiliście że życie jest radosne i szczęśliwe ale nasze życie NIGDY nie było szczęśliwe nasze życie było piekłem.

–Widzisz? – zapytał Neville. – Jestem w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach

pewien, że to napisał Richard Abbott. Twierdzi, że Dar Tariki Tariquat sprowadzi na nas ciemność i piekło. Interesujące jest jednak to, że ani słowem nie wspomina o bluźnierstwach. Twierdzi, że przyczyną, dla której Dar Tariki Tariquat chce ukarać przemysł rozrywkowy, jest to, że oszukiwał ich wizjami szczęśliwych rodzin, podczas gdy oni zawsze byli poniewierani i źle traktowani. „Przeszliśmy przez piekło, a wy mówiliście, że życie jest radosne i szczęśliwe”. Richard Abbott wcale mi nie wygląda na palestyńskiego zamachowca samobójcę ani w ogóle na nikogo, kto miałby związki z Al-Kaidą albo Hezbollahem.

Frank jeszcze raz uważnie przeczytał wydruk, po czym wręczył go z powrotem Nevile'owi.

–W porządku, zgadzam się, masz rację. Na kogo ci więc wygląda?

–Na dziecko, które było przez wiele lat maltretowane.

–Co takiego?

–Zwróć uwagę na jego zgorzknienie, załamanie, na to, jak jego słowa są całkowicie pozbawione nadziei. Ktoś biciem zabrał mu całe człowieczeństwo. Chyba jest zadowolony, że wreszcie nie żyje, ponieważ teraz będzie mógł wziąć rewanż na społeczeństwie, które zniszczyło jego życie. I zwróć uwagę, wcale mu nie zależy na ukaraniu tylko tych osób, które go biły i maltretowały, ale na ukaraniu nas wszystkich, w szczególności mieszkających w Hollywood. Każdego, kto próbuje udawać, że świat jest słoneczny i radosny, podczas gdy tak wiele dzieci żyje w ciemności.

–Danny albo ta osoba, która się pod niego podszywała, była także maltretowana.

–Racja. Problem w tym, że nie mamy dość dowodów, żeby iść z nimi na policję. Nie chcę wpuszczać ich w ślepy zaułek. Do tej pory mam jedynie nie potwierdzone majaki Richarda Abbotta albo Danny'ego z narzekaniem, że „tatuś mnie bił”. Koniecznie muszę porozmawiać jeszcze raz z Dannym, albo z tym duchem, który się pod niego podszywa.

Frank przez chwilę się wahał, wreszcie powiedział:

–Danny złożył mi wizytę przedwczoraj w nocy.

–Naprawdę? Tak po prostu? Nie próbowałeś wcześniej nawiązywać kontaktu?

To było krótko po trzeciej nad ranem. Dotknął mojego policzka i mnie obudził. Duch wyglądał dokładnie tak jak Danny, jak przedtem. Tyle że był ubrany w pidżamę, której nie mogłem rozpoznać. Powiedział mi, że jego tatuś go bił i robił z nim różne rzeczy. Chodzi o seks, jak sądzę. Powiedział, że tatuś płakał i go przepraszał, ale wciąż to robił.

Nevile upił łyk wody.

–Ten duch bardzo się stara wzbudzić twoje współczucie, nie sądzisz?

–Mówisz o nim w rodzaju męskim, ale kwestia płci jest tutaj chyba najdziwniejsza. Dotknąłem jego ręki i poczułem, że należy do kobiety.

–Naprawdę ją czułeś?

Frank pokiwał głową.

–To była bez wątpienia dłoń kobiety. Miała nawet pierścionek na palcu.

Nevile ściągnął ciemne okulary. Jego oczy ponuro spoglądały na Franka.

–I nie poprosił cię o nic? Na przykład o to, żebyś odnalazł jego tatusia i ukarał go?

–Nie. Nie powiedział mi nawet, kim jest. Pytałem go, ale odparł, że nie wolno mu odpowiedzieć.

–Hmm... Chociaż na pierwszy rzut oka sprawa wygląda idiotycznie, wcale taka nie jest. Ludzie nawet po śmierci często robią to, co kazano im robić, kiedy żyli. Przez większość czasu nie zdają sobie nawet sprawy, że nikt nie może już ich karać.

Frank dopił piwo.

–Powiem ci coś, Neville. Im więcej słyszę, jak wygląda życie po śmierci, tym mniej mam ochotę umierać.

Pojechali do Traveltown, muzeum kolejnictwa w Griffith Park. Było to jedno z ulubionych miejsc Danny'ego. Mógł tam wspinać się na stare lokomotywy i udawać maszynistę. Czasami wydawał dziwne odgłosy, próbując naśladować gwizd lokomotywy. Frank także lubił tutaj przebywać. Przeważnie siadał w jakimś wagonie na miejscu dla pasażera i pracował nad swoimi scenariuszami, a wobec Margot nazywało się to, że spędza czas z synem. Tego popołudnia w muzeum było, poza nim i Neville'em, tylko kilku zwiedzających, ledwie widocznych w kurzu unoszącym się nad ziemią, jednak powietrze zdawało się dziwnie wypełnione wspomnieniami.

Neville rozejrzał się i powiedział:

–To dobre miejsce. Czuję tu bardzo silny duchowy rezonans.

–Niewiele z tego rozumiem – odparł Frank. – Dlaczego musieliśmy przyjść właśnie tutaj? Wiem, że Danny uwielbiał to miejsce, ale przecież duch, o którego nam chodzi, to nie Danny, prawda? Poza tym, czy to jest on czy ona?

Neville uśmiechnął się.

–To jest ona, a już na pewno nie Danny. A dlaczego przyszliśmy tutaj? Bo tutaj łatwiej ci będzie wyobrazić sobie właśnie Danny'ego, a ona liczy właśnie na to, że wykorzysta wspomnienia i jego wizerunki, które tkwią w twojej pamięci.

Usiedli na ławce.

–Nie śpiesz się. Pomyśl o Danny'm, o tym, jak zabierałeś go tutaj, żeby się bawił. Spróbuj zobaczyć go takim, jaki był, kiedy stał na stopniach lokomotywy i machał do ciebie.

–Dokąd jedziesz, Danny? – zapytał Frank cicho.

Do Salt Lake City, Chicago i dalej. Uhuuuu...

Usłyszał śmiech małego chłopca, a po chwili zobaczył jego nogi pomiędzy wagonami.

–Powiem ci coś, Frank. To miejsce aż roi się od wspomnień. Czuję je. Słyszę je. Ludzi, którzy jeździli w tych wagonach, ludzi, którzy wychodzili na perony, żeby ich przywitać u celu podróży. No i chłopców, Frank. Wszystkich chłopców, podobnych do Danny'ego, którzy wspinali się na lokomotywy i marzyli, że są już dorośli.

A Danny już nigdy nie będzie dorosły, nigdy, pomyślał Frank.

Musieli siedzieć na ławce dobre dwadzieścia minut. Słońce przesunęło się na niebie i teraz świeciło prosto na nich przez okno najbliższego wagonu pasażerskiego. Frank musiał osłonić dłonią oczy. Zerknął na Neville'a, ale ten wciąż

siedział nieruchomo, wyprostowany, z rękami złożonymi na kolanach. Wzrok miał skupiony na jakimś odległym punkcie.

–No i co? – zapytał go Frank.

–Och, on tutaj jest, bez dwóch zdań – odparł Neville obojętnym tonem. – Jest tutaj, ale ukrywa się przed nami.

–Nie będzie chciał z nami rozmawiać?

–Daj mu czas.

Odczekali kolejne pięć minut, po czym Neville powiedział:

–W porządku. – I powstał.

–O co chodzi? – zapytał Frank.

–Chce z nami rozmawiać. Jest w tej starej lokomotywie za drzewem.

Frank poczuł, że serce zabiło mu szybciej. Neville ruszył przez tory, podążył więc za nim. W połowie drogi do lokomotywy potknął się o drewniany podkład i omal nie upadł. Utrzymał równowagę, odniósł jednak wrażenie, że nie przewrócił się tylko dzięki czyjeś pomocy, pomocy kogoś niewidzialnego. Od dnia, w którym poznał Neville'a, stawał się coraz bardziej świadomy tego, że świat wokół niego pełen jest duchów. Niektóre są złośliwe, inne uczynne, jednak większość spośród nich jest po prostu przerażona i zagubiona.

Dotarli do lokomotywy i zatrzymali się przy stopniach prowadzących do jej wnętrza. Plakietka na drzwiach głosiła, że jest to maszyna typu Central Pacific 4-4-0 i pochodzi z lat sześćdziesiątych XIX wieku. Miała potężny komin w kształcie dzwonu i lśniące stopnie, prowadzące do kabiny maszynisty, mocno wytarte przez kilkadziesiąt lat użytkowania.

–Wejdiesz na górę? – zapytał Neville.

–Naprawdę uważasz, że on tam jest?

–Powiedział, że tak. Nie mam powodu, żeby mu nie wierzyć.

Frank chwycił barierkę, jednak zawahał się.

–To jest szalone. Wiesz, chyba się boję.

–Na cokolwiek natkniesz się na górze, na Danny'ego czy też nie, będzie to tylko duch. Nie może zrobić ci nic złego i dobrze o tym wiesz.

–Tak – mruknął Frank.

Słowa Neville'a wcale nie dodały mu pewności siebie. Wszedł na pierwszy stopień, potem na następne i po chwili znalazł się na progu kabiny maszynisty. Wciąż był lekko oślepiiony przez słońce, w pierwszej chwili nie zauważył więc Danny'ego. Kiedy jednak jego wzrok przywykł do cienia, ujrzał go w najciemniejszym kącie. Miał brudne włosy i ziemistą białą twarz. Ubrany był w męską koszulę w brązowe paski, o rękawach tak długich, że nie było widać jego dłoni. Był boso.

–Danny? – odezwał się z trudem Frank.

–Czy on tam jest? – zawołał z dołu Neville.

Frank popatrzył w jego kierunku i pokiwał głową.

–Wejdz dalej, Frank. Dołączę do ciebie.

Z największą ostrożnością Frank wszedł do kabiny. Danny patrzył na niego, ale nawet na moment się nie uśmiechnął, jakby go nie rozpoznawał. W kabinie było

mroczno i dość chłodno.

–Danny? – powtórzył Frank, próbując nadać swojemu głosowi spokojne brzmienie.

Przed nim stał duch, który prawdopodobnie nie był duchem Danny’ego, jednak wyglądał jak Danny. Frank nie mógł nic poradzić na to, że znów zaczął czuć się jak ojciec.

Nevile podszedł do niego. Popatrzył uważnie na Danny’ego, poruszając głową, aby przypatrzeć mu się pod różnymi kątami.

–Fascynujące – powiedział. – Aż się wydaje, że jest prawdziwy, nie sądzisz? Popatrz na cienie na jego twarzy. Jego przecież tak naprawdę tam nie ma, a tymczasem cienie na twarzy są doskonale widoczne.

–Nie będę już więcej Dannym – powiedział chłopak, ledwie poruszając ustami.

–Co takiego? – zapytał Frank. – Dlaczego nie?

–Danny już czuje się lepiej. Wciąż śpi, ale już czuje się lepiej.

–Czy to znaczy, że mógłbym z nim porozmawiać? Z prawdziwym Dannym? Moim Dannym?

Danny gwałtownie pokiwał głową.

–Kiedy to nastąpi?

Danny odwrócił głowę, jakby myślał o czymś zupełnie innym. Nie odpowiedział.

–Kiedy? – powtórzył pytanie Frank, jednak Neville położył mu dłoń na ramieniu, jakby chciał go ostrzec lub nakazać cierpliwość.

–Danny – powiedział Neville. – Kimkolwiek jesteś, muszę ci zadać kilka pytań.

Danny potrząsnął głową.

–Nie mogę odpowiadać na pytania. Nie wolno mi.

–Chcę, żebyś opowiedział mi o Dar Tariki Tariquat. Muszę wiedzieć, kim oni są.

–Tatuś mnie bił. Za każdym razem kiedy to zrobił, przeproszał mnie, ale zawsze robił to znowu. Tak samo było ze wszystkimi innymi.

–Byli i inni? Ilu ich było?

–Nie wolno mi mówić.

Nevile podszedł do niego i pochylił się nad nim. Mógł teraz mówić bardzo cicho, prosto do jego ucha.

–Czy należałeś do Dar Tariki Tariquat? Nie musisz odpowiadać głośno.

Wystarczy, że pokiwasz głową.

Frank patrzył na niego i czekał, jednak Danny nic nie mówił. Nie poruszył również głową.

–Ty nie jesteś Dannym, prawda? – zapytał Neville. – Nawet nie jesteś chłopcem. Czy możesz mi powiedzieć, kim naprawdę jesteś?

–Nie. Nie wolno mi. Tatuś mnie bił i robił ze mną te wszystkie rzeczy.

Danny umilkł, po czym powoli odwrócił głowę w kierunku Neville’a. Wyglądało to tak, jakby był mechaniczną lalką wielkości człowieka. Utkwił w nim wzrok, pozbawiony wszelkiego wyrazu.

–Tatuś mówił, że to jest nasz wspólny sekret, którego nigdy nic możemy zdradzić.

–Posłuchaj – powiedział Neville. – Muszę wiedzieć, czy byliście członkami Dar Tariki Tariquat. Ty i wszyscy inni.

–Oni wszyscy też byli bici.

–I dlatego podkładają te bomby? Czy to dlatego chcą zniszczyć te wszystkie programy telewizyjne?

–To tajemnica.

–Cholera, to nas do niczego nie doprowadzi – stwierdził Frank.

–Nie, poczekaj chwilę – powiedział Neville i ponownie zwrócił się do Danny’ego.

Kiedy mówił, jego głos był bardzo łagodny, spokojny, brzmiał tak jednostajnie, jakby Neville wcale nie zadawał pytań. – Miejsce, gdzie spotykasz się z innymi, jest bardzo dobre, prawda? Wszyscy czujecie się tam znacznie lepiej niż gdziekolwiek indziej. Możecie ze sobą rozmawiać, możecie opowiadać sobie o bólu, jakiego zaznawaliście, kiedy byliście młodzi. Po raz pierwszy w życiu poczuliście tam, że ktoś was rozumie, że rozumie, jak bardzo nienawidzicie świata za to, co ten świat wam uczynił. Jak bardzo z was zadrwił, kiedy desperacko poszukiwaliście pomocy.

Danny wpatrywał się w niego, nawet nie mrugając oczyma.

–Tak – wyszeptał w końcu.

–Kiedy byliście młodzi, widywaliście w telewizji te wszystkie rodziny, prawda? Ale przecież wiedzieliście, że to wszystko są kłamstwa, po prostu dlatego, że nikt nie może być aż tak szczęśliwy, zgadza się? W telewizji dzieci miały ojców, którzy ich nie krzywdzili, nie straszili ich i nie zmuszali do robienia strasznych rzeczy, których nie chciały robić. Dzieci siadały do kolacji bez ciągłego strachu, że jeśli powiedzą coś złego, dostaną w twarz albo spotka je znacznie dotkliwsza kara. A wy przecież wiedzieliście, że życie wcale takie nie jest, prawda?

Danny nie odpowiedział, ale jedynie podniósł prawą rękę i zakrył dłonią oczy. Popatrzył na niego poprzez palce.

–Ale pewnego dnia – powiedział Neville, tak cicho, że Frank z trudem go usłyszał – pewnego dnia wstąpiliście do Dar Tariki Tariquat i już nie byliście sami. Spotkaliście ludzi, którzy zrozumieli, jak wiele złości nosicie w sobie, ludzi takich jak wy, którzy nigdy nie zapomną i nigdy nie wybaczą. Nie pragnęliście terapii, prawda? Nie zamierzaliście się przystosować do społeczeństwa. Bo któżby chciał się dostosowywać do społeczeństwa, które traktuje dzieci gorzej niż zwierzęta?

Danny zakrył twarz także lewą ręką.

–Tak – odparł przytłumionym głosem.

–Nevile, jak do tego doszedłeś? – zapytał Frank. – Czy to prawda?

Nevile wyprostował się.

–Docieram do prawdy tylko dzięki niemu. A w gruncie rzeczy dzięki niej. Miałaś rację. Nasz tu obecny przyjaciel wcale nie jest chłopcem.

–Czy wiesz, kim ona jest?

–Obawiam się, że nie zechce mi powiedzieć. Ale to w gruncie rzeczy nie ma znaczenia. Mówi z grubsza to samo, co Richard Abbott próbował napisać na moim komputerze. Nie sądzę, żeby Dar Tariki Tariquat miało cokolwiek wspólnego z fundamentalistami islamskimi. „W ciemności ścieżka” w ogóle nie jest związana z

żadną religią. To grupa mężczyzn i kobiet strasznie maltretowanych w dzieciństwie. Teraz próbują realizować swoją zemstę. Ktokolwiek założył tę grupę, wybrał dla niej arabską nazwę po prostu dlatego, żeby nas zdezorientować.

Frank popatrzył na Danny'ego, który wciąż zakrywał twarz rękami.

–Jak zamierzasz namierzyć tych ludzi? Jak uniemożliwimy im podkładanie dalszych bomb?

–Nie mam pojęcia. Ale policja i służby społeczne muszą dysponować tysiącami dokumentów o maltretowaniu dzieci. Prawdopodobnie będą w stanie dotrzeć do formalnie istniejących grup wspierających ofiary maltretowania oraz do ofiar, które założyły nieformalne stowarzyszenia, poruszając się chociażby po Internecie.

–Smaragdy – wyszeptał Danny.

–Smaragdy? Co masz na myśli?

–Smaragdy i drzewka pomarańczowe. Siedem tysięcy jedenaście drzewek pomarańczowych.

Wypowiedziawszy to, Danny powoli opuścił ręce. Nie uśmiechał się, ale można było odnieść wrażenie, że jest znacznie spokojniejszy niż przed chwilą.

–Danny – odezwał się Frank. – Danny, co to znaczy? Smaragdy i drzewka pomarańczowe?

Lecz Danny niespodziewanie zaczął blednąć. Jego kolory powoli ginęły i wkrótce nie było już widać jego głowy. Wyglądało to tak, jakby stopniowo zanikał obraz na ekranie telewizyjnym. W ciągu piętnastu sekund Danny zniknął całkowicie.

–Chyba go już nie zobaczymy – zauważył Neville po chwili. – Albo raczej jej.

–A co z Dannym? Z prawdziwym Dannym?

–Kiedy się w pełni obudzi, raczej nie będziemy mieli problemu, żeby z nim porozmawiać.

–Czy będziemy mogli także go zobaczyć?

–Nie jestem pewien. Ale wątpię w to. Musisz pamiętać, że kontakty wizualne są bardzo rzadkie. Dzisiejszy duch pojawił się przed nami tylko dlatego, że był bardzo silny i bardzo mocno umotywowany.

Opuścili lokomotywę i powrócili do samochodu Neville'a. Słońce już zaczynało zachodzić i razem z nimi poruszały się ich długie cienie. Miały szerokie nogi i małe głowy.

–Smaragdy i drzewka pomarańczowe – powtórzył Frank. – Jak myślisz, co chciała przez to powiedzieć?

Neville otworzył samochód.

–Moim zdaniem próbowała odpowiedzieć na nasze pytanie, mimo że nie było jej wolno tego robić. Chyba ci już mówiłem, że duchy często przemawiają zagadkami i metaforami. Musimy teraz wydedukować, co miała na myśli.

Zanim Frank wszedł do samochodu, popatrzył jeszcze na lokomotywę i wagony Traveltown. Prawdopodobnie już nigdy tutaj nie wróci. Słońce niespodziewanie zaśniło w szybach salonki Union Pacific i w tym samym momencie Frank odniósł wrażenie, że zobaczył kogoś w środku – kobietę w czarnej chuście osłaniającej głowę. Wagon znajdował się zbyt daleko, by Frank mógł być pewien, pomyślał

jednak, że rozpoznaje kobietę. Odwrócił się do Neville'a, wskazał ręką w tamtym kierunku i zapytał:

–Widzisz ją?

Jednak w chwili, w której Neville się zorientował, na co Frank wskazuje, kobiety już nie było.

–Mógłbym przysiąc, że widziałem kobietę. Patrzyła prosto na mnie.

–To gra światła – odparł Neville. – Poza tym chyba widzieliśmy już dość duchów jak na jeden dzień, nie sądzisz?

Astrid nie przyszła ani nie zatelefonowała. Frank przygotował sobie serowy omelet, jednak wcale nie był głodny i zjadł zaledwie połowę. Resztę wyrzucił do śmieci. Zatelefonował do kilkorga przyjaciół, w tym Pete'a Zellecka, swego producenta, i do Shanii Wallis, która wiele lat temu przedstawiła go Margot na jakimś seansie filmowym w Culver City.

–Shanii... Miałaś jakieś wiadomości od Margot?

–Tak, miałam. Telefonowała do mnie wczoraj po południu.

–I co?

–Była bardzo spokojna, jakby skupiona. Ale też taka jakaś zawzięta, mocno zdeterminowana...

–Wspomniała o mnie?

–Chyba ze dwa razy. Nazwała cię emocjonalnym bankrutem. Och, i jeszcze neandertalczykiem.

–Hmm... To miło, że nadal jej na mnie zależy.

Do późnych godzin (skończył grubo po północy) oglądał telewizję, dziwny horror zatytułowany *Dark Waters*. Film nakręcono na Ukrainie, nad morzem, pod niebem koloru zgniłych śliwek. Po ekranie jeździły rozklekotane autobusy z ludźmi spoglądającymi przez szyby. To przypomniało Frankowi o kobiecie w czarnej chuście na głowie, patrzącej przez okno wagonu w Traveltown. Brzeg morza usłany był na ogromnej przestrzeni srebrzystymi, martwymi rybami. Kiedy Frank położył się w łóżku, śniło mu się, że brodzi po kolana wśród śniętych makreli, a z bardzo daleka dobiega do niego zachrypnięty głos kobiety, bezustannie wołający jego imię:

–Frank! Frank!

Następnego dnia pojechał do Star-TV. Kiedy wyszedł z hotelu, było już prawie południe, mimo to powietrze wciąż było wilgotne i unosił się w nim smog, który sprawiał, że Frankowi łzawiły oczy.

John Berenger zostawił jego nazwisko w recepcji, otrzymał więc identyfikator i zgodę na wjazd na szesnaste piętro. Uprzednio dwóch strażników dokładnie go obszukało. Kiedy czekał na windę, ani na chwilę nie spuszczała z niego czujnych spojrzeń. Początkowo kabina windy była zatłoczona i Franka przyciśnięto do bardzo ładnej Chinki. Uśmiechnęła się do niego trochę nerwowo, a on odpowiedział jej krótkim porozumiewawczym uśmiechem, jakby dzielili jakiś wspólny sekret.

Kiedy winda dojechała na szesnaste piętro, wysiadło z niej dwóch ostatnich pracowników Star-TV, Frank jednak pozostał w środku. Odczekał, dopóki nie był pewien, że nikt nie może go podejrzeć, aż wreszcie nacisnął guzik najwyższego piętra. Niemal w tej samej chwili jakiś młody mężczyzna ruszył pędem w kierunku windy, wołając:

–Hej, zaczekaj!

Frank jednak szybko nacisnął przycisk zamykający drzwi. Zanim winda ruszyła, usłyszał jeszcze pełen wściekłości głos młodzieńca:

–Dzięki, pieprzony dupku.

Winda wjechała na najwyższe piętro i kiedy drzwi otworzyły się ponownie, Frank

ujrzał korytarz wyłożony ciemnoniebieskimi dywanami. Było tu bogato, dostojnie i cicho. Frank chwilę się wahał, zanim wysiadł z windy. Na korytarzu stały niskie stoliki z białymi liliami w wazonach, a na ścianach wisiały obrazy olejne. Na wprost znajdowały się białe dębowe drzwi ze złotymi klamkami i złotym logo Star-TV.

Otworzył drzwi i znalazł się w obszernym hallu recepcyjnym, zastawionym fotelami z białej skóry i szklanymi stolikami, na których leżały kolorowe czasopisma. Za trójkątnym szklanym biurkiem siedziała jasnowłosa recepcjonistka w obcisłym czerwonym swetrze. Malowała właśnie paznokcie, lakierem dokładnie takiego samego koloru, jaki miał jej sweter. Za jej plecami znajdowały się następne drzwi, z następnym logo Star-TV i nazwiskiem „Charles T. Lasser” na złotej tabliczce.

–Czy pan Lasser jest u siebie? – zapytał Frank.

–Pana nazwisko?

–Frank Bell. Nie byłem umówiony.

–W takim razie bardzo mi przykro, ale pan Lasser nie przyjmuje nikogo, kto nie był wcześniej umówiony.

–Dzisiaj zrobi wyjątek.

Frank obszedł biurko i dotknął klamki. Recepcjonistka natychmiast zerwała się z miejsca i próbowała go powstrzymać, machając gwałtownie rękami, ponieważ wciąż miała mokre paznokcie.

–Proszę pana, nie może pan tam wejść! Będę musiała wezwać ochronę!

–Dobrze, doskonale – odparł Frank. – Niech pani wzywa ochronę. Zajmę panu Lasserowi tylko minutę.

Miał właśnie nacisnąć klamkę, kiedy drzwi się otworzyły. Frank stanął twarzą w twarz z łysym czarnym mężczyzną w obcisłym, szarym, dwurzędowym garniturze.

–Co tu się dzieje? – zapytał. – Kim pan jest?

Frank pchnął drzwi, by otworzyły się szerzej, i zobaczył Charlesa Lassera, stojącego w kącie ogromnego gabinetu. Lasser był tak potężny, że w pierwszej chwili można było odnieść wrażenie, iż coś jest nie w porządku z perspektywą w gabinecie. Rozmawiał z nim trzech mężczyzn w marynarkach. Mimo że znajdowali się znacznie bliżej Franka niż Lasser, ich sylwetki były znacznie mniejsze.

Czarny mężczyzna wypchnął Franka na zewnątrz.

–Przepraszam pana, ale nie może pan wejść do środka.

–Muszę porozmawiać z panem Lasserem.

Ten pan nie ma umówionego spotkania – powiedziała recepcjonistka. – Próbowałam go powstrzymać, ale on po prostu mnie zignorował.

–Dzwoń po ochronę – zażądał czarny mężczyzna.

–Nie ma takiej potrzeby – powiedział Frank. – Chcę tylko zamienić jedno słowo z panem Lasserem i nic więcej. To będzie naprawdę krótka rozmowa.

Czarny mężczyzna wziął do ręki identyfikator Franka.

–Zdaje się, że ma pan spotkanie z Johnem Berengerem na szesnastym piętrze. Znalazł się pan tu przez pomyłkę, jak sądzę. To jest penthouse.

–Panie Lasser! – zawołał Frank. – Muszę z panem porozmawiać o Astrid!

Charles Lasser przerwał rozmowę z trzema mężczyznami i zerknął w kierunku

drzwi.

–Stanley! – krzyknął grubym, głębokim głosem. – Do ciężkiej cholery, co się dzieje?

–Nic nadzwyczajnego. Ten dżentelmen pomylił piętra, panie Lasser.

–Pozbądź się go, dobrze?

–Tak, panie Lasser, oczywiście.

W tym samym momencie Frank wyrwał się Stanleyowi i powiedział do Lassera:

–Pobiłeś ją, prawda? Gasłeś papierosy na jej plecach! Co jeszcze jej zrobiłeś, ty przeklęty sadysto?

Stanley wykręcił rękę Franka za plecami i zaczął ciągnąć go z powrotem w kierunku drzwi. Niespodziewanie Charles Lasser zawołał:

–Poczekaj!

Szybkim krokiem przemierzył gabinet i stanął przed Frankiem, przypatrując się mu z niedowierzaniem.

Charles Lasser miał czoło jak zwisająca skała, pod którą lśniły, jakby ukryte w głębokich grotach, ciemne, złe oczy. Jego nos był przeogromny i pofałdowany, z kościstym mostkiem oraz szerokimi, mięsistymi nozdrzami. Miał proste, rzednące włosy, barwione na intensywnie czarny kolor i z boku zaczesane na uszy.

Ubrany był w starannie wykrochmaloną białą koszulę, jasnozielone spodnie i jaskrawozielony krawat w purpurowe wzorki. Z daleka intensywnie czuć go było lawendą.

–Kim ty jesteś, do cholery? – zapytał.

–Nazywam się Frank Bell. Zna pan ten program komediowy, *Gdyby świnki potrafiły śpiewać*? To moja robota. Jestem jego pomysłodawcą, scenarzystą i drugim kierownikiem produkcji.

–Ale co tutaj robisz? Co to za brednie o papierosach gaszonych na plecach?

–I mnie pan o to pyta? To ja domagam się wyjaśnień, na miłość boską! Pięć śladów po przypalaniu papierosami, na całych jej plecach, że nie wspomnę o licznych ranach, zadrapaniach i czarnych sińcach pod oczami. To pana podnieca, bicie bezbronnych dziewcząt?

–Nie wiem, o czym mówisz, człowieku. Stanley, wyrzuć go stąd.

–Mówię o Astrid, panie Lasser. Niech mi pan nie wmawia, że pańska pamięć jest aż tak krótka.

–Nie znam żadnej Astrid, przyjacielu. Na twoim miejscu nie mówiłbym już ani słowa więcej, bo jeśli to zrobisz, jeśli choć raz wspomnisz o biciu, ranach i przypalaniu papierosami, zrobię z ciebie nędzarza.

Stanley spróbował wyciągnąć Franka z pokoju, on jednak uderzył go łokciem w żołądek i z całej siły pchnął na drzwi.

–Nie zna pan żadnej Astrid? – zawołał. – Kogo próbuje pan oszukać? Nie zna pan dwudziestoczteroletniej brunetki o krótkich włosach, która była wczoraj rano w pana domu? Jeszcze nic nie świta w pańskiej mózgowicy?

Charles Lasser wbił w niego złe spojrzenie lśniących, głęboko osadzonych oczu. Przez blisko dziesięć sekund ciężko oddychał przez usta, nic nie mówiąc. Frank

odniósł wrażenie, że intensywnie nad czymś myśli, nad czymś zupełnie nie pasującym do jego sposobu pojmowania świata.

–*Gdyby świnki potrafiły śpiewać...* To chyba program Fox, prawda? – zapytał wreszcie.

–Ostrzegam pana, niech ją pan zostawi w spokoju – zażądał Frank. – Nie mogę dyktować jej, co ma robić. Nie mogę żądać od niej, żeby się więcej z panem nie spotykała. Ale jeśli jeszcze choć raz ją pan uderzy, chociaż jeden raz, przysięgam na Boga, że osobiście stłukę pana na kwaśne jabłko i dopilnuję, żeby policja i dziennikarze dokładnie się dowiedzieli, dlaczego to zrobiłem.

Charles Lasser wyciągnął w jego kierunku wielki, gruby palec, zakończony kwadratowym paznokciem.

–Posłuchaj mnie, człowieczku. Nie wiem, z kim wcześniej rozmawiałeś i skąd wzięłeś te swoje szalone pomysły. Wstąpiłeś jednak na bardzo niebezpieczny grunt. Radzę ci po dobroci, żebyś natychmiast opuścił ten budynek. A jeśli komukolwiek kiedykolwiek powtórzysz te swoje oszczerstwa, każę cię ścigać i zgnieść jak robaka, którym jesteś w rzeczywistości.

–W porządku – powiedział Frank. – Już sobie idę. Niech pan jednak pamięta, panie Lasser, że pana ostrzegałem. Niech zobaczę jeszcze choć jednego siniaka, jeszcze jeden ślad po ugryzieniu albo po zgaszonym papierosie na ciele Astrid, dopadnę pana i zniszczę.

Charles Lasser zdążył już odwrócić głowę, jakby stracił zainteresowanie Frankiem. Trzej mężczyźni w marynarkach wykonali kilka nerwowych kroków, chcąc znaleźć się jak najdalej od niego, niczym gazele, gdy lew niespodziewanie zmienia kierunek ataku.

–No, dobra, co jest z tą pieprzoną ofertą? – warknął. – W którym momencie podlegamy pod prawo antytrustowe?

Frank spróbował dodzwonić się z samochodu do Johna Berengera, żeby powiedzieć mu, iż nie mógł przyjść na spotkanie, jednak jego osobista sekretarka powiedziała mu tylko:

–Pan Berenger jest obecnie na spotkaniu u pana Lassera.

Jezu, już? – pomyślał Frank. Miał nadzieję, że Sloop mimo wszystko nie straci pracy. Charles Lasser znany był z tego, że potrafi wyrzucić człowieka chociażby dlatego, że uśmiechnął się do niego w sposób, który uznał za zbyt poufały i pozbawiony szacunku. „Naprawdę powiedziałem coś zabawnego? To powiem ci coś jeszcze bardziej komicznego: jesteś zwolniony!”

Zatelefonował do Lizzie i przystał na jej propozycję, by zjeść razem lunch w Inajer, etiopskiej restauracji na La Brea. Samochód zaparkował Frankowi najwyższy i najbardziej patykowaty mężczyzna, jakiego kiedykolwiek widział. Odniósł zresztą wrażenie, że wszyscy kelnerzy w restauracji są równie wysocy i równie patykowaci. Z ich ust nie znikają zarozumiałe uśmiechy, jakby sugerowali, że wiedzą o czymś, o czym Frank nie ma zielonego pojęcia. Ściany restauracji były pokryte czerwono-brązowym batikiem, a z sufitu zwisały miedziane lampy i wyrzeźbione z drewna ptaki.

Lizzie siedziała już w najodleglejszym ciemnym kącie, za jakąś rośliną o szerokich

liściach. Ubrana była w cytrynowozieloną marynarkę i ekstrawaganckie jaskrawe spodnie. Miała na sobie naszyjnik, który z daleka wyglądał, jakby wykonano go z małych pomidorów.

–Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek dotąd jadł coś etiopskiego – powiedział Frank, siadając na drewnianym rzeźbionym krześle i biorąc do ręki menu.

–Trzeba się przyzwyczać do tego smaku – odparła Lizzie. – Muszę przyznać, że jeszcze się nie przyzwyczałam, ale przynajmniej pozwalają mi tutaj palić.

Podszedł do nich kelner i Frank zamówił piwo Harar. Było słodsze i mocniejsze niż miejscowe piwo z Kalifornii, podawano jednak do niego talerz z chili, piklami i aromatycznymi orzeszkami, ledwie więc czuł jego smak. Lizzie, jak zwykle, zamówiła polską wódkę w kieliszku, podawaną prosto z zamrażalnika.

–Miałaś mnóstwo romansów, prawda? – zapytał Frank.

–Cholera, to zabrzmiało, jakbyś zaraz oczekiwał ode mnie jakiejś porady.

–Niezupełnie. Chcę tylko, żebyś mi coś wyjaśniła.

–Słucham cię.

–Zastanawiam się, czy miałaś kiedykolwiek romans z kimś, o kim zupełnie nic nie wiedziałaś. Nie mówię o jakiejś przygodzie na jedną noc, lecz raczej o związku, który rodziłby nadzieję, że zmieni się w coś poważnego.

Lizzie wyciągnęła paczkę marlboro i zapaliła papierosa.

–Kiedyś przeżyłam przygodę z facetem, który twierdził, że jest oświetleniowcem w ekipie u Marilyn Monroe. Na imię miał Biff, uwierzyłybyś? Biff Brennan. „Pani Monroe nie wierzy nikomu, jeśli chodzi o oświetlenie, ufa jedynie mnie”. Potem się okazało, że mył okna w jej domu.

Frank potrząsnął głową.

–Ja nie żartuję, Lizzie. Po śmierci Danny’ego spotkałem pewną dziewczynę i nawiązaliśmy intensywny, gorący romans. Intensywny fizycznie, to mam na myśli. Ale mentalnie także, jednak tylko do takiego stopnia, do jakiego ona dopuszcza. Ma na imię Astrid, nie powiedziała mi jednak swojego nazwiska, nie powiedziała, gdzie mieszka, z czego żyje, ani słowa o swojej rodzinie. Początkowo mnie to nie martwiło, ponieważ uważałem, że spotykając się z nią, jedynie unikam myślenia o Danny’u i uciekam przed Margot oraz tymi wszystkimi śmiertelnie obrażonymi spojrzeniami, którymi zaczęła mnie obdarzać.

–Jednak teraz zaczyna ci zależeć na tej dziewczynie i ta sytuacja cię martwi, prawda?

Frank przeczesał włosy palcami.

–Cholernie. Nie sądziłem, że będzie aż tak.

Podszedł kelner i Lizzie zamówiła yemisir wot.

–To stek z czerwonej soczewicy. Smakuje okropnie, jednak tak bardzo podoba mi się ta nazwa...

Frank zdecydował się na alitcha fit-fit, czyli coś w rodzaju cierpkiej zapiekanki z mięsem baranim, na chlebie injer.

–Może ta dziewczyna jest zameżna? – zasugerowała Lizzie, wydechając nosem dym.

–Jestem pewien, że nie.

Frank opowiedział o ranach i siniakach Astrid, przypalaniu papierosami i o swojej wizycie w biurze Charlesa Lassera. Lizzie wręcz zapięła z zachwytem, kiedy powiedział jej, że nazwał Charlesa Lassera sadystą.

–Dlaczego nie zabrałeś mnie ze sobą? Odebrałeś mi tyle uciechy! Mam w zanadrzu przynajmniej tysiąc epitetów, którymi bym go obdarzyła.

–A mnie chodzi tylko o to, żeby przestał bić Astrid. A mówiąc prawdę, chciałbym, żeby w ogóle przestał się z nią spotykać.

Lizzie zakaszlała i zdusiła papierosa w popielniczce.

–Przepraszam cię, Frank, ale odnoszę wrażenie, że nie masz żadnych szans na sukces. Jesteś miłym facetem, naprawdę miłym facetem, ale z tego, co mi powiedziałeś, wynika, że dziewczyna leci na władzę i pieniądze, i mężczyzn, którzy po prostu źle ją traktują. Za młodu też byłam taka. Mój pierwszy mąż bez przerwy mnie bił, a ja zawsze wracałam do niego na kolanach. Pewnie, że częściowo wynikało to z braku pewności siebie, jednak z drugiej strony wynikało też z przekonania, iż jeśli facet mnie bije, to znaczy, że wciąż mu na mnie zależy. To miało także wiele wspólnego z seksem. Najsilniejsze orgazmy miałam, kiedy szarpał mnie za włosy. Teraz kiedy facet pociągnie mnie za włosy, najwyżej ściągnie mi perukę.

–Co więc twoim zdaniem powinienem zrobić?

Lizzie położyła na stole dłoń o długich i chudych jak szpony palcach upstrzonych kolorowymi pierścionkami.

–Moje doświadczenie mówi, Frank, że powinieneś się cieszyć swoim romansem, dopóki on trwa.

Kelner przyniósł jedzenie, aromatyczne i bardzo gorące, a ponieważ w restauracji Inajer nie podawano gościom widelców, musieli rozrywać chleb rękami.

–No i co o tym sądzisz? – zapytała Lizzie z pełnymi ustami. – Nie można tego opisać, prawda? Wciąż nie mogę się zdecydować, czy uwielbiam to jedzenie, czy go nienawidzę.

Przez chwilę rozmawiali o *Świnkach*. Frank stwierdził, że teraz, kiedy program został zawieszony, nie ma sensu pisać kolejnych odcinków, Lizzie jednak powiedziała:

–To żyje, Frank... Dusty i Henry to żywi, oddychający ludzie.

Dodała, że powinien rozwinąć wątek romantycznego związku pomiędzy Dustym i Libby, a Henry musi zacząć pobierać lekcje gry na gitarze u starego bluesmana Muddy'ego Puddle'a, który urodził się miesiąc po Muddym Watersie, kiedy już tak mocno nie padało.

–Miałam przyjaciółkę, która odbierała przekazy z zaświatów od Louisa Armstronga – powiedziała Lizzie. – Przesyłał jej przepisy na zupę z ketmii.

–Wierzysz w takie rzeczy? – zapytał Frank ostrożnie. – Chodzi mi o duchy i inne tego typu sprawy.

–Oczywiście, że wierzę. Moja matka umarła, kiedy miałam zaledwie sześć lat, i ojciec ponownie się ożenił. Nie lubiłam macochy, mimo że, tak widzę to teraz, bardzo się starała być dla mnie miła i dobra. Dlatego też każdej nocy przed snem

prowadziłam ze zmarłą mamą długie rozmowy. Opowiadałam jej, co robiłam w szkole i jak bardzo bym pragnęła, żeby do mnie wróciła.

Podszedł do nich jeden z uśmiechniętych kelnerów i powiedział:

–Czy państwo skończyli?

Frank popatrzył na swoje alitcha fit-fit. Miał wrażenie, że zjadł już całkiem sporo, tymczasem na półmisku było jakby dwa razy więcej jedzenia niż wtedy, gdy rozpoczynał.

–Tak, ja już skończyłem, dziękuję. Bardzo dobra potrawa. I bardzo sycąca.

Kelner, ani na chwilę nie przestając się uśmiechać, sprawnie posprzątał stolik. Frank z trudem powstrzymywał się przed zadaniem mu pytania, co go tak cholernie śmieszy.

Lizzie zapaliła kolejnego papierosa.

–Pewnego dnia poszłam do szkoły i w samym środku lekcji matematyki dostałam okres. Poplamiałam całą spódnicę; nie masz pojęcia, jak się wstydziłam. Tej nocy, leżąc w łóżku i płacząc, opowiedziałam o wszystkim mamie. Wreszcie przewróciłam się na bok i na chwilę zasnęłam. Niespodziewanie poczułam, że ktoś dotyka mojego ramienia. Otworzyłam oczy i zobaczyłam, że stoi nade mną mama. Czułam zapach jej perfum, czułam bijące od niej ciepło. Wydała mi się wtedy tak realna jak... Hmm, jak ty w tej chwili. Powiedziała: „Nie płacz, Lizzie. Jesteś teraz kobietą, tak jak ja”. Potem dodała: „Zajrzyj do najniższej szuflady w mojej toaletce, nikt nie wie, że to tam jest”. A potem po prostu zniknęła. Początkowo byłam pewna, że to był tylko sen. Ale następnego dnia rano poszłam do garderoby macochy i zajrzałam do szuflady w toaletce, którą miała po mojej mamie. I znalazłam to.

Wsunęła dłoń pomiędzy fałdy swojej bluzki i pokazała Frankowi srebrny wisiorek w kształcie syreny, ozdobiony turkusami.

–Należał do niej – powiedziała Lizzie. – Od dnia śmierci mamy nikt go nie widział, chociaż ojciec długo i wytrwale go szukał. Tylko mama mogła wiedzieć, gdzie on jest, dla mnie jest on więc dowodem, że to właśnie ona naprawdę przyszła do mnie w nocy, że to nie był sen.

–Czy później kiedykolwiek ją jeszcze widziałaś?

–Tylko raz, na pogrzebie ojca. Mogłam się pomylić, ponieważ stała w cieniu drzew, ale jestem mocno przekonana, że to była ona. Poza tym kilkakrotnie słyszałam jej głos, głównie w sytuacjach, kiedy byłam zdenerwowana lub nieszczęśliwa, co zwykle się zdarza, kiedy wyjdę za mąż. – Na moment umilkła, zaciągnęła się papierosem. – Inaczej mówiąc, co kilka lat.

Frank odwiózł Lizzie do jej domu w Clearwater Canyon. Kiedy otwierał jej drzwiczki samochodu, poradziła mu:

–Pamiętaj, co powiedziałam, Frank. Żyj chwilą. Ciesz się, dopóki masz czym. Spójrz na mnie, gdy tylko spotkałam mężczyznę, mówiłam sobie, że to ten właściwy, właśnie ten, z którym chcę spędzić resztę życia, zostać już na zawsze. Ale nie ma czegoś takiego jak „na zawsze”, Frank, a jutro nigdy nie przynosi tego, czego się spodziewasz, nie warto więc robić żadnych planów.

–Przypomnij mi, żebym do ciebie zatelefonował, kiedy będę naprawdę w ciężkiej

depresji.

Lizzie pocałowała go w jeden policzek, a potem w drugi.

–Wszystko będzie dobrze – powiedziała. – Sprawdzę dziś wieczorem w kartach, żeby się upewnić.

–Złych wiadomości nie chcę znać.

Wrócił do samochodu i pomachał jej na pożegnanie. Właśnie wtedy zadzwonił telefon komórkowy. John Berenger był tak zdenerwowany, że z trudem mówił.

–Czy wiesz, jak bliski byłem wyleceni na bruk? Mam rodzinę na utrzymaniu, Frank, mówię ci to na wypadek, gdybyś nie pamiętał. I chcę ci powiedzieć jeszcze jedno: nigdy więcej do mnie nie dzwoń, nigdy, nawet gdybyś miał pomysł na najlepszy program od czasu *Simpsonów*.

–John, bardzo cię przepraszam. Musiałem porozmawiać z Lasserem i nie potrafiłem wymyślić innego sposobu.

–Dlaczego więc nie wysłałeś mu anonimu jak wszyscy inni, na miłość boską?

Właśnie kończył brać prysznic, kiedy usłyszał pukanie do drzwi. Owinął się ręcznikiem i poszedł otworzyć. W progu stała Astrid w jasnoróżowej sukience bez rękawów, z ustami wymalowanymi różową szminką i włosami lśniącymi od żelu.

–Nie cieszysz się, że mnie widzisz? – zapytała. Zdjęła okulary przeciwsłoneczne. Sińce pod jej oczami bladły już, miały teraz żółty i liliowy kolor, a powieki były znacznie mniej zapuchnięte. Wyglądała bardzo atrakcyjnie.

–Oczywiście, że się cieszę. Wejdz.

Weszła do salonu i usiadła w ostatnich promieniach słońca sączących się przez okno. Frank stanął nad nią w milczeniu.

–No i? – zapytała. – Co się stało? Ktoś ci odgryzł język?

–Nie, wszystko w porządku. Napijesz się czegoś?

Zmarszczyła czoło.

–Coś jest nie tak, prawda? Chyba nie podobają ci się moje włosy.

–Masz bardzo ładną fryzurę.

–A więc, o co chodzi? O kolor szminki?

–Szminka też jest bardzo ładna.

–Więc co jest grane?

Frank głęboko odetchnął.

–Rozmawiałem z Charlesem Lasserem. Powiedziałem mu, żeby przestał cię bić.

Astrid powolnym ruchem zakryła dłonią usta. Jeszcze nic nie powiedziała, ale jej oczy mówiły: „O mój Boże!”

–Wiem, mówiłaś, żebym trzymał się z daleka od twojego życia – kontynuował Frank. – Wiem, mówiłaś mi, żebym pilnował własnych spraw. Ale dopóki jesteśmy kochankami... Widzisz, Astrid, po prostu jesteś moją sprawą. Zależy mi na tobie. Kocham cię. Nie mogę tak po prostu się przyglądać, jak cię bije, przypala i w ogóle traktuje jak śmieć.

Nastąpiła bardzo długa cisza, którą w końcu przerwał Frank.

–Nie mogę, Astrid, i tyle mam na ten temat do powiedzenia. Nawet jeśli teraz stwierdzisz, że z nami koniec.

–Naprawdę powiedziałaś Charlesowi Lasserowi, żeby przestał mnie bić?

Frank pokiwał głową.

Astrid wstała, podeszła do niego i zarzuciła mu ręce na szyję.

–Nie mogę w to uwierzyć. Co ci odpowiedział?

–A jak myślisz? Powiedział, że nie ma najmniejszego pojęcia, o czym mówię.

–Zaprzeczył, że mnie bił?

–Żartujesz? Zaprzeczył, że w ogóle istniejesz.

–Co dokładnie mu powiedziałaś?

–Zażądałem, żeby trzymał się od ciebie z daleka, to wszystko.

Astrid popatrzyła na niego swoimi tajemniczymi oczami, jakby chciała zapamiętać każdy szczegół, jakby go miała już nigdy więcej nie zobaczyć.

–Uważasz, że go przestraszyłeś?

–Co? Szczerze w to wątpię. Ostrzegłem go jednak, że jeśli dotknie cię jeszcze

choć raz, zemszczę się na nim. I, na Boga, Astrid, zrobię to.

–Jak na to zareagował?

–Powiedział, że jeśli kiedykolwiek wymówię publicznie jego nazwisko, puści mnie z torbami.

Astrid pociągnęła za ręcznik na jego biodrach. Poluźniła węzeł i ręcznik opadł na podłogę. Dotknęła jego członka.

–Nie dbam o to, dopóki nie odetnie ci tego – mruknęła.

Później długo leżeli obok siebie. Frank się zdrzemnął, a kiedy otworzył oczy, zauważył, że Astrid bardzo uważnie mu się przygląda.

–O co chodzi? – zapytał.

Przez chwilę dotykała jego brwi, a potem pośliniła palec wskazujący i zaczęła błądzić nim po torsie Franka.

–Uważam, że jesteś niesamowicie odważny.

–Nie jestem odważny i nigdy nie byłem. Nie uważam jednak, że takim facetom jak Charles Lasser należy się z góry poddawać.

Zacząła się bawić włosami na jego klatce piersiowej. Chciał ją powstrzymać, ale tak nieszczęśliwie złapał ją za rękę, że pierścionek drasnął mu skórę.

–Hej, to jest ostre!

Rozłożyła dłoń, żeby mógł się lepiej przyjrzeć pierścionkowi i go podziwiać. W świetle nocnej lampki lśnił intensywną zielenią.

–To szmaragd – powiedziała Astrid. – Ojciec podarował mi go na szesnaste urodziny.

–Prawdziwy? Zastanawiałem się nad tym już wtedy, kiedy zobaczyłem go po raz pierwszy. Twój ojciec musi być bardzo szczodry.

–Nie za bardzo. Nigdy nie podarował nikomu ani centa, jeśli nie spodziewał się czegoś w zamian.

–Dlaczego więc podarował ci pierścionek? Czego spodziewał się w zamian?

Astrid wzruszyła ramionami.

–Smaragd to mój kamień. To także kamień świętego.

–Kamień świętego? Co to znaczy?

–Dwunastu świętych miało swoje specjalne kamienie, nie wiedziałeś o tym?

Święty Neville miał szafir, a święty Piotr jaspis. Smaragd przypisany jest świętemu Janowi Ewangelście. Wszystkie dwanaście kamieni razem nazywano Kamieniami Ognia i należały one do Lucyfera. Jednak Lucyfer źle się zachowywał, dlatego Bóg mu je odebrał i umieścił kamienie w murach Jerozolimy. Jeśli ktoś dysponuje dwunastoma kamieniami, takimi, jakie miał Lucyfer, mówi się, że może wołać na pomoc anioły.

–Jeden anioł leży właśnie przy mnie.

Pocałowała Franka w nos.

–Skąd przyszło panu do głowy, panie Bell, że należy on do pana?

Nie odpowiedział, tylko spojrzał jej głęboko w oczy. Jej twarz była tak blisko niego, że z trudem mógł skupić na niej wzrok.

Minęła długa chwila, zanim Astrid odezwała się ponownie.

–No, słucham cię.

–Wiem, że nie jestem twoim właścicielem. Wiem, że to, co robisz, kiedy stąd wyjdiesz, to całkowicie twoja sprawa i nie powinienem tym w ogóle się zajmować. Ale ty i Charles Lasser? Nie potrafię tego pojąć.

–Zdaje się, że Charles Lasser zaprzeczył, iż w ogóle istnieje.

–Ktoś cię ciężko pobił. Jeśli to nie on, to kto?

Astrid zamilkła. Po chwili odwróciła się, zamknęła oczy i udawała że śpi. Frank patrzył na nią i nie potrafił odpędzić od siebie obrazu Charlesa Lassera, zwalistego i prostackiego, z czołem neandertalczyka i głęboko osadzonymi oczami. Po raz pierwszy w życiu miał ochotę kogoś zabić. Było to przerażające uczucie, przerażające, lecz zaskakująco ekscytujące. Wyobrażał sobie, jak jedzie samochodem za Charlesem Lasserem i rozjeżdża go na miazgę.

Następnego ranka w wiadomościach o siódmej rano komisarz Williams oznajmił, że organizacja Dar Tariki Tariquat nawiązała kontakt z policją i wyraziła „złość, żal i rozczarowanie”. Uznała za „obelgę” fakt, iż główne sieci telewizyjne nadal wyświetlają „bluźniercze” seriale, chociaż *Szaleni i napaleni* zostali zastąpieni przez *Autostradę do nieba*, a większość codziennych oper mydlanych ustąpiła miejsca filmom rysunkowym i programom z życia dzikich zwierząt. W mediach zaczął się pojawiać nowy rodzaj humoru. Reporter „Los Angeles Times”, Walter Makepeace, zauważył, że „jedyna różnica pomiędzy oglądaniem wczesnych odcinków *The Waltons* a śmiercią w wyniku wybuchu dwustupięćdziesięciofuntowej bomby polega na tym, że oglądanie wczesnych odcinków *The Waltons* prowadzi do śmierci w długich i ciężkich męczarniach”.

Dar Tariki Tariquat oświadczyła: „Jest dla nas jasne, że przemysł rozrywkowy nie ma zamiaru zrezygnować z pokazywania zła ani też odpokutować za swe bluźnierstwa. Zatem, tak jak uprzedziliśmy, w dniu dzisiejszym, dokładnie w południe, zaczniemy detonować kolejne bomby. Dzisiaj wybuchnie pierwsza; następne będą eksplodowały co dwadzieścia cztery godziny albo do czasu, kiedy uznamy, że przemysł rozrywkowy wreszcie dostrzegł, iż droga, którą z taką determinacją uparcie się porusza, jest zła i prowadzi donikąd”.

–Słyszałaś to? – Frank zapytał Astrid. – Nie wiem, dokąd dzisiaj jedziesz... W porządku, dobrze, nie będę cię o nic pytał. Ale, jak mawiają w Posterunku przy Hill Street, uważaj tam na siebie.

–Nie wybieram się do Star-TV, jeśli tym najbardziej się martwisz. Ani też do domu Charlesa Lassera.

–Doskonale. Odnoszę dziwne wrażenie, że Star-TV jest następnym obiektem na liście terrorystów.

Przez długi czas w milczeniu pili kawę, siedząc przy kuchennym blacie i przypatrując się sobie. Frank bardzo był ciekaw, o czym myśli Astrid, jednak wyraz jej twarzy niczego nie zdradzał.

–Každy, kto zauważy jakieś podejrzane zachowania powinien natychmiast to zgłosić – mówił komisarz Williams. – Prosimy także o korzystanie z numeru alarmowego, jeśli zauważycie jakieś samochody zaparkowane w dziwnych bądź

niwłaściwych miejscach albo wzbudzające jakiekolwiek podejrzenia. Wszystkie telefony będą odnotowywane z najwyższą powagą, prosimy więc powstrzymać się od telefonicznych dowcipów. W ciągu najbliższych godzin życie wielu setek ludzi zależeć będzie od naszej wspólnej czujności.

–Przerażające, prawda? – zapytała Astrid.

–Tak. Nadal nie chcesz mi powiedzieć, dokąd dzisiaj pojedziesz?

Dotknęła jego dłoni.

–Nie martw się o mnie. Nic mi nie grozi.

–Nikt dzisiaj nie jest bezpieczny.

–Tak uważasz? Ja jestem niezniszczalna, Frank. Tak naprawdę nikt nie może mi zrobić nic złego.

O dziesiątej dwadzieścia trochę znudzony Frank postanowił przejechać się do Fox. Lizzie napelniła go nowym entuzjazmem dla *Świnek*, kiedy powiedziała, że Dusty i Henry to „żywi, oddychający ludzie”. Napisał kilka konspektów nowych odcinków i chciał się przekonać, co sądzą o nich Mo i Lizzie. Uznał, że program powinien nabrać trochę patosu, wycisnąć z widzów trochę łez. Może babcia Dusty’ego powinna dowiedzieć się od lekarzy, że cierpi na zagrażającą życiu chorobę? Jeśli cokolwiek zmusi widzów do szlochu, to właśnie młody chłopiec, który stopniowo zaczyna zdawać sobie sprawę, że niezależnie od tego, jak mocno kocha swoją babcię, nie będzie ona żyła wiecznie.

Spróbował otworzyć drzwi do biura, jednak zdołał je zaledwie uchylić, kiedy o coś zawadziły.

–Daphne? – odezwał się, wcisnąwszy głowę do środka.

Daphne klęczała na podłodze, otoczona górami papierowych teczek, skryptów z pozaginanymi rogami i fotografii.

–Przepraszam, panie Bell. Nie wiedziałam, że pan przyjdzie dzisiaj do biura.

–Tęskniłem za tobą, Daphne. Nie mogłem już wytrzymać ani minuty dłużej.

Odsunął od drzwi stertę jakichś folderów.

–Przepraszam pana za ten bałagan. Pan Cohen powiedział, że skoro nie mam nic do roboty, mogę posprzątać podręczne archiwum.

Wreszcie wcisnął się do środka. Przechodząc nad jakąś górą papierów, ujrzał wielką czarno-białą fotografię ich trojga – jego, Mo i Lizzie – zrobioną w dniu, w którym wyemitowano pierwszy odcinek *Świnek*. Pochylił się i podniósł ją.

W tym samym momencie z sąsiedniego pokoju wyszedł Mo. W ustach miał cygaro i poklepywał się po kieszeniach odwiecznym odruchem człowieka, który szuka zapalniczki.

–Spójrz tylko – powiedział Frank. – Trudno uwierzyć, że kiedyś byliśmy tacy młodzi.

Mo popatrzył na fotografię i zmarszczył czoło.

–A ja nie wierzę, że kiedykolwiek byłem taki przystojny.

–Przecież to jestem ja. Ty to ten brzydki facet po prawej stronie.

Mo znalazł wreszcie na biurze Daphne jakieś zapalniczki i zapalił cygaro.

–A więc przyjechałeś taki kawał drogi do biura, żeby się ze mnie nabijać? Mogłeś

oszczędzić sobie drogi i wysłać e-maila. Hej, Daphne, kto napisał *Czterdzieści lat życia szambonurka*?

–Nie wiem, Mo. Kto to napisał?

–Makał Nawardze.

–Czy Lizzie jest także w biurze? – przerwał im Frank.

–Jasne. Oboje jesteśmy niewolnikami naszej pracy. Gdzie indziej byś się nas spodziewał o tej porze? Prawdę mówiąc, ostatnio przyniosła scenariusz ze sceną pierwszego koncertu Dusty’ego i Henry’ego. Zaczynają śpiewać *Your Cheating Heart*, jednak publiczność tak ich nienawidzi, że muszą uciekać. Wsiadają do traktora, nieszczęśliwie wpadają razem z nim do rzeki i płyną z jej nurtem.

–Zrobić panu kawy, panie Bell? – zapytała Daphne.

W głównym pomieszczeniu Lizzie siedziała przy komputerze i pisała coś w szaleńczym tempie. Z jej ust zwisał papieros. Ubrana była w jasnozieloną satynową marynarkę i szkarłatną bluzkę z falbankami.

–Cześć, Frank. Co u ciebie? Co słyhać u tajemniczej Astrid?

–„Bezimienni są zawsze wśród nas”. – Mo zacytował Edgara Allana Poe.

–Powiedziałaś Mo o Astrid? – Frank zapytał Lizzie.

–Oczywiście, że mi powiedziała – Mo odparł za nią. – Lizzie i ja jesteśmy jak brat i siostra, chociaż w rzeczywistości nie moglibyśmy nimi być, ponieważ moi rodzice mieli wysublimowany gust i utopiliby ją zaraz po urodzeniu. Popatrz tylko na nią. Zielona marynarka i czerwona bluzka. Żaba Kermit wypruwa sobie właśnie tętnice.

Frank usiadł za swoim biurkiem.

–W sumie nie jest to wasze zmartwienie. Powiem wam jednak, że Astrid nadal nie chce mi zdradzić swojego nazwiska, a kiedy zostawia mnie samego nad ranem, nie mówi mi, dokąd idzie ani w jaki sposób będzie spędzać czas.

–Dziękuj za to Bogu – powiedział Mo. – Naomi co rano dokładnie mi opowiada, jaki odwiedzi sklep i o jaką kwotę zamierza uszczuplić moje konto.

Frank szybko sprawdził swoją pocztę, jednak nie znalazł wśród listów nic interesującego, poza rachunkami i ulotkami z informacjami o różnych promocjach i obniżkach cen.

–Lizzie, Mo powiedział mi, że napisałaś coś o pierwszym koncercie Dusty’ego i Henry’ego. Pokażesz mi to?

Mo ponownie zapalił cygaro, które zdążyło zgasnąć.

–Wspaniały pomysł! – zawołał. – Ale jeśli chodzi o fragmenty wokalne, kochanie, raczej ich nie śpiewaj. Pamiętaj, jak ostatnio próbowałaś śpiewać? Strażnik pomyślał, że zarzynamy w biurze wieprza i zatelefonował do Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami.

–Zamknij się, Mo. – Lizzie powróciła do tekstu na ekranie. Jedno oko miała przymknięte, żeby nie leciał do niego dym z papierosa, który wciąż zwisał z jej ust. – Przy okazji, Frank, zajrzałam wczoraj wieczorem do kart, tak jak ci obiecałam.

–Naprawdę? Kiedy dostanę pierwszą nagrodę Emmy? – Prawdę mówiąc, twoje karty układały się bardzo dziwnie. Spróbowałam tarota, jednak karty niczego mi nie powiedziały. W tarocie tak się czasem zdarza. Ujrzałam jedynie mnóstwo zamętu i

sprzeczności.

Mo zakaszał i rozpędził gęstą chmurę dymu.

–Czy wpadłaś na to, że karty wskazują zamęt i sprzeczności dlatego, że taka przyszłość czeka Franka?

–Wiem, jaka przyszłość czeka ciebie, jeśli się wreszcie nie zamkniesz!

–Nie – powiedział Frank. – Może Mo ma rację? Może rzeczywiście ogarnął mnie zbyt wielki zamęt? Może nadszedł czas, żebym podjął jakieś jasne decyzje?

–Jesteś w żałobie, Frank. Nie zapominaj o tym. To nie jest właściwy czas na podejmowanie ważnych decyzji. Na razie powinieneś jedynie ocenić swoją przeszłość.

–Racja – przyznał Mo. – Jedź do Kansas i spróbuj trochę dojść do siebie.

–W końcu wzięłam karty Gargi. Są bardziej filozoficzne niż tarot.

–Karty Gargi? Tak się nazywają?

–To talia sześćdziesięciu trzech kart, wymyślonych przez Gargę, ojca indiańskiej astrologii. Każda karta opiera się na innym aspekcie gwiazdnego znaku człowieka, można więc dzięki nim przepowiadać przyszłość jak w horoskopie.

–Nigdy o nich nie słyszałem.

–Są bardzo rzadkie. Ale z pewnością słyszałeś o Osiemnastu Przeznaczeniach. W skład talii wchodzi osiemnaście kart przeznaczenia. Dziewięć z nich wyraża to, co może cię spotkać najlepszego, kolejne dziewięć przepowiada najgorsze.

–Dobrze i jak w nich wyszedłem? Rozumiem, że wkrótce będę musiał zapłacić wielkie zaległe podatki i wygram randkę z Madonną.

Mo potrząsnął głową.

–Nikt nie zasługuje na randkę z Madonną.

–Prawdę mówiąc – odezwała się Lizzie – zabrałam twoje karty przeznaczenia do biura. Pomyślałam, że cię zainteresują.

Pochyliła się i zaczęła grzebać w swojej wielkiej czerwonej torbie z wełny. W końcu wyciągnęła dwie duże karty do gry i położyła je, rysunkami w dół, na biurku. Na rewersie ozdobione były rysunkami purpurowych lotosów, oplecionych serpentynami. Nad kwiatami świeciły gwiazdy.

–Wzięłabym całą talię, jednak te mniej znaczące karty mówiły, że będziesz szczęśliwy w życiu i dobrze ci będzie szło w pracy, chociaż przez wiele miesięcy będziesz musiał sprzeczać się z kimś ci bliskim, kimś, kogo kiedyś kochałeś, ale już nie kochasz.

–To mi wygląda na Margot.

–Cóż, być może. Ale to może także oznaczać koniec związku w biznesie.

Mo uderzył się otwartą dłonią w głowę.

–A więc mnie zwolnisz, wiedziałem! Jednak ani przez chwilę sobie nie pomyśl, że nie będę się starał o prawa do albumów Johna Denvera. Zarezerwuję sobie przynajmniej prawo do cotygodniowych wizyt, żeby ich słuchać.

–Co z tymi kartami przeznaczenia? – zapytał Frank.

Lizzie odwróciła pierwszą z nich.

–To jest to, co cię może spotkać najlepszego – powiedziała.

Karta ukazywała otoczony murem ogród. Rosły w nim krzewy róż, a cały środek zajmował zegar słoneczny. Na ławce pod murem siedział uśmiechnięty człowiek, a obok niego siedziała uśmiechnięta kobieta. U ich stóp klęczało dziecko, grające w diabolo, dwiema pałeczkami i metalową szpulką. Mężczyzna miał na głowie nadzwyczajny kapelusz ze spiralnymi rogami, co sprawiało, że wyglądał jak demon. Jego ubranie ozdobione było rysunkami szeroko otwartych oczu. Kobieta była spokojna i piękna, ubrana w sari, które odsłaniało jej lewą pierś.

–No i co to znaczy?

–Ta karta oznacza ponowne zjednoczenie rodziny i przebaczenie. W niedługim czasie będziesz znów miał wszystkich, których kochasz, przy sobie, będziesz żył bezpiecznie i pogodnie.

–Twój gust w kwestii ubrań odwróci się o sto osiemdziesiąt stopni – dodał Mo. – Jednak zawsze będziesz dobrze zaopatrzony we wschodnie przyodziewki.

Lizzie odwróciła drugą kartę. Ta przedstawiała dwóch zmagających się wojowników, zwartych tak ciasno, że trudno było dostrzec, która ręka należy do kogo. Pierwszy z nich był przystojny i postawny, na głowie miał hełm ze skrzydłami. Drugi był powykręcany, miał demoniczne oczy i hełm w kształcie gigantycznego chrabąszcza. Mężczyzn otaczały języki ognia, a niebo nad nimi było pełne błysków i gromów. Dopiero przyjrząwszy się uważnie rysunkowi, Frank dostrzegł, że torsy obu przebija ta sama włócznia.

–To jest to najgorsze, co ci się może przydarzyć – powiedziała Lizzie. – Pokonasz mężczyznę, którego nienawidzisz najbardziej ze wszystkich, zapłacisz za to jednak straszną cenę.

–Albo to, albo przydarzy ci się przykry wypadek z jakimś gejem w roli głównej – wtrącił Mo.

–Mo – upomniała go Lizzie. – To jest poważna sprawa. Karty Gargi zawsze ukazują przyszłość bardzo dokładnie. Nie używam ich często tylko dlatego, że wykładanie ich zajmuje bardzo dużo czasu.

–Może i są dokładne – odezwał się Frank – ale żadna z tych kart przeznaczenia wiele nie znaczy. Ja i Margot faktycznie jesteśmy w separacji, Danny nie żyje, Świnki są zawieszane. I jak tu marzyć o łączności z najbliższymi i pomyślnym życiu? – Wziął do ręki drugą kartę. – Jeśli chodzi o nią... Nie nienawidzę nikogo, z wyjątkiem Mo, kiedy pisze bardziej zabawne sceny niż ja.

Piątek, 28 września, godz. 11.52

Kiedy wszyscy troje usiedli w fotelach, wypili po trzy kawy i powyrzucali papierowe kubki do kartonu po pączkach cynamonowych, wzięli się wreszcie ostro do pisania. Brakowało ośmiu minut do południa, gdy mieli gotową przerobioną scenę koncertu, naszkicowaną przez Lizzie. W końcu sam Mo przyznał, że jest „prawie wesoła”. Powiedziawszy to, zaniósł się dzikim śmiechem, uderzając pięścią w biurko i tupiąc nogami w podłogę.

–Umieram! – zawołał, z trudem łapiąc oddech. – Wiesz, co zrobiłaś, Lizzie? Zabiłaś mnie.

Zadzwoił telefon. Frank podniósł słuchawkę i usłyszał głos Daphne:

–Pan Bell? Był telefon do pana, ale rozmówca się rozłączył.

–Czy wiesz, kto to był?

–Kobieta. Powiedziała, że ktoś koniecznie musi się z panem zobaczyć. Jest na parkingu. Powiedziała, że to bardzo pilne.

–Nie przedstawiła się?

–Nie, powiedziała tylko tyle: „Proszę przekazać panu Bellowi, że ktoś musi się z nim pilnie zobaczyć na parkingu. Sprawa bardzo ważna”.

Zmarszczywszy czoło, Frank powoli odłożył słuchawkę i podszedł do okna. Wyjrzał na parking, jednak w pierwszej chwili nie zobaczył nikogo oprócz dostawcy z Pizza Hut, który wysiadał właśnie z samochodu. Ale po chwili w pobliżu schodów prowadzących do portierni ujrzał drobną sylwetkę kryjącą się w cieniu.

–Danny – wyszeptał. W jednej chwili wezbrała w nim nadzieja, że tym razem jest to prawdziwy Danny, a nie inny duch, podszywający się pod niego.

Rzucił kartki ze scenariuszem na biurko Lizzie, ruszył biegiem do drzwi.

–Co się stało? – zawołała Lizzie ze zdziwieniem. – Czyżbyś był aż tak zazdrosny?!

–Przepraszam, będę z powrotem za minutę. Ktoś na mnie czeka... Muszę go zobaczyć.

Lizzie i Mo wymienili skonsternowane spojrzenia. Frank tymczasem pobiegł korytarzem w kierunku klatki schodowej. Na schodach niemal zderzył się z chłopakiem z Pizza Hut, wchodzącym na górę. Chłopak miał włosy ostrzyżone na jeża, ciemne okulary i niósł dużą torbę posiadającą izolację termiczną.

–Bell, Cohen i Fries? – zapytał, patrząc na niemal przejrzysty, przetłuszczony kwit dostawczy.

–Piąte drzwi na prawo.

Frank jak szalony zbiegł ze schodów, przebiegł przez hall i wybiegł z budynku frontowymi drzwiami. Biegnąc przez parking, musiał jeszcze ustąpić drogi jakiemuś garderobianemu, który pchał przed sobą wózek pełen sukien balowych. Kiedy dotarł do portierni, Danny’ego już nie było. Zatrzymał się na schodach, ciężko dysząc i rozglądając się dookoła.

Minął go elektryk w koszulce z napisem Z „Archiwum X”. Za pas miał powtykane kombinerki i mnóstwo śrubokrętów.

–Nie widział pan tutaj małego chłopca? – zapytał go Frank. – Ośmiolatek, z brązowymi włosami, w niebieskim ortalionie.

Elektryk zmrużył oczy, jakby zaczął myśleć tak intensywnie jak nigdy dotąd.

–Nie, proszę pana – odparł w końcu. – Nikogo takiego nie widziałem.

Frank szybko obszedł z zewnątrz całą portiernię, ale po Dannym nie było nawet śladu. Albo zniknął, albo się gdzieś schował. Dlaczego w ogóle się pojawił? I kto telefonował do biura, mówiąc, że Frank ma pilnie zejść na parking? Kobieta? Jaka kobieta?

Wciąż krążył po parkingu, kiedy jego wzrok spoczął na brązowej hondzie, którą przyjechał dostawca z Pizza Hut, ten sam chłopak, który pytał o jego biuro. A przecież ani on, ani Mo, ani Lizzie nie zamawiali pizzy!

Poczuł tak mocne ukłucie w piersi, że przez moment obawiał się, iż dopadł go atak serca. Odwrócił się i z przerażeniem spojrzął na okna swojego biura. W jednym z nich dostrzegł Mo. Stał z rękami złożonymi na piersiach i palił cygaro. Frank zaczął gwałtownie machać rękami i krzyczeć:

–Mo! Mo! Wynoś się stamtąd, na miłość boską! Chłopak od pizzy! Mo, to chłopak od pizzy! – Jak szalony wbiegł z powrotem do budynku. Przebiegając przez hali, krzyknął do recepcjonistki: – Policja! Niech pani dzwoni po policję! I pogotowie! Mamy tutaj bombę!

–Co takiego? – zdziwiła się recepcjonistka i popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

–Bomba! – wrzasnął, lecz jego głos zabrzmiał w hallu już znacznie słabiej, gdyż biegł po schodach.

Piątek, 28 września, godz. 12.01

Lizzie zapaliła kolejnego papierosa.

–Nie jestem pewna, czy babcia Dusty’ego powinna umierać na raka. A co ty o tym sądzisz? Bo moim zdaniem powinna umierać, oczywiście, ale może na coś bardziej zabawnego?

–Może masz na myśli niedożywienie? To by dopiero był śmiech.

–Sama nie wiem. Chyba nie chcę, żebyśmy za bardzo eksploatowali czyjąś tragedię. W porządku, pisanie o śmierci może pomóc Frankowi pogodzić się z utratą Danny’ego, ale Świnki to opowieść o małych poniżeniach, dziurach w bucie zapchanych papierem gazetowym czy suchym czarnym chlebie na drugie śniadanie, ponieważ rodziców na więcej nie stać.

–A tymczasem umieranie na raka to coś naprawdę krępującego, prawda?

–Musimy o tym porozmawiać z Frankiem. Mo popatrzył przez okno.

–Frank jest na parkingu.

–Co?

–Popatrz tylko na niego. Macha do nas. Lizzie wstała i także wyjrzała przez okno.

–Masz rację. Może to jakiś nowy rodzaj współpracy przy pisaniu scenariuszy?

Wymachuje do nas niczym semafor.

–Mam! – ucieszył się Mo. – Chciałby napisać odcinek o głuchych ludziach.

Doskonały pomysł. Nazwiemy go *Gdyby świnki potrafiły dawać znaki*.

–Wraca do środka. Jak myślisz, wszystko z nim w porządku?

Mo westchnął.

–Nie wiem, Lizzie. Ale uważam, że jest o wiele bardziej rozbity, niż to okazuje.

Kiedy tracisz kogoś, kogo kochasz, wszystko pieprzy ci się w głowie. Ale kiedy przeżywasz własne dziecko, cóż, wówczas giną wszystkie powody, dla których przebywasz na ziemi.

Do drzwi zapukała Daphne.

–Czy któreś z was zamawiało pizzę?

–Ja nie – odparła Lizzie. – Pewnie ty, Mo?

–Pizzę? Żartujesz? Właśnie zjadłem cztery i pół paczka.

Daphne odwróciła się do dostawcy i powiedziała:

–Przykro mi... – Jednak chłopak odepchnął ją i wtargnął do biura.

–Hej, to jest chyba Bell, Cohen i Fries, tak? Duża neapolitańska z dodatkowym chili.

–Dodatkowe chili? – zdziwił się Mo. – Mój proktolog by mnie zabił.

Dostawca położył torbę na biurku Franka i otworzył ją.

–Prawdę mówiąc, zaraz wszyscy otrzymacie to, na co zasługujecie – powiedział dziwnym szeptem.

–O czym ty mówisz, młodzieńcze? – zawołała Lizzie. – I na Boga, nie otwieraj tego przy mnie. Nienawidzę zapachu pizzy. Śmierdzi jak pot!

Dostawca zignorował ją. Wyciągnął z torby dużą sześciokątną paczkę, wielkości mniej więcej pudełka z pizzą, jednak owiniętą czarnym papierem. Kiedy położył ją na biurku, Mo zauważył podłączone do paczki druty wychodzące z jego rękawa.

Popatrzył na chłopaka i zapytał grubym, ponurym głosem:

–Co to jest, do diabła? – Po chwili zadał kolejne pytanie, znacznie wolniej: – Czy to jest to, co mam na myśli?

Dostawca zignorował go. Mógł mieć nie więcej niż dwadzieścia trzy albo dwadzieścia cztery lata. Miał ciemnobrązowe oczy o długich, niemal dziewczęcych rzęsach, a usta zaciskał w wyrazie złości. Przeciętny chłopak z sąsiedztwa.

–Tak, stary człowieku. Zaraz wysadzimy cię w powietrze. Ciebie i wszystkie twoje kłamstwa.

–Co się dzieje? Mo? O co chodzi? O czym on mówi? – dopytywała się Lizzie.

–Daphne – powiedział Mo. – Zatelefonuj na policję. Powiedz im, że mamy tutaj bombę.

–Nie ruszać się, do cholery! – krzyknął chłopak. Podniósł prawą rękę i pokazał mały czarny przełącznik elektryczny.

Daphne zastygła w miejscu, z szeroko otwartymi oczyma, nerwowo gryząc palce.

–To jest bomba? – zdziwiła się Lizzie, poprawiając okulary, żeby lepiej ją zobaczyć. – Jakie więc masz plany, młody człowieku? Chcesz nas wysadzić w powietrze? Dlaczego? Po co? Przecież piszemy tylko seriale komediowe. Co ci kiedykolwiek zrobiliśmy?

–Wyśmiewaliście się z nas, to właśnie robiliście! – odparł chłopak. Zaczął się intensywnie pocić.

–Wyśmiewaliśmy się? Kto się z ciebie wyśmiewał? Nikt z nas nigdy tego nie robił.

–Och, tak uważasz? My przeżywaliśmy piekło, a co widzieliśmy w telewizji? Szczęśliwe rodziny i roześmianych ludzi.

–Daj spokój, synu – powiedział Mo. – Nikt się z ciebie nie śmiał.

–Tak uważasz? Musiałem się chować za kanapą, żeby nie znalazł mnie ojciec, a w telewizorze widziałem jedynie roześmianych ludzi.

–Oni się śmiali z dowcipów i nic poza tym. Dlaczego sądzisz, że śmiali się z ciebie? Hej, przecież chowałeś się za kanapą, więc nawet ciebie nie widzieli.

–Teraz ty ze mnie drwisz! Wszyscy wciąż to robicie. Popatrz, pomyśl tylko o śmiesznym małym dziecku! Jest tak przerażone, że zmoczyło się w spodnie, a kiedy ojciec odkryje, że dziecko zmoczyło się w spodnie, och, wtedy mu pokaże!

–Synu. – Mo próbował zachować spokój. – Myślę, że popełniasz błąd. My nigdy się z ciebie nie wyśmiewaliśmy, nigdy. Cholera, nawet nie wiemy, kim jesteś.

Chłopak miał łzy w oczach i trząsł się, jak w wysokiej gorączce.

–Czy ojciec kiedykolwiek ściągał ci spodnie od pidżamy i przytrzymał zapalniczkę pomiędzy twoimi nogami? – zapytał. – Czy kiedykolwiek uderzył cię w głowę rozgrzanym żelazkiem?

–Nie – odparł Mo. – Ale jeśli twój ojciec tak robił, to nie ma się z czego śmiać i uwierz mi, Lizzie i ja bylibyśmy ostatnimi ludźmi, którzy by to zrobili.

–Ale się śmialiście! Słyszałem was. Ukryty za kanapą słyszałem was! Ale już nigdy więcej nie będziecie się śmiać. Żadne inne dziecko nie będzie już cierpiało tak jak ja.

–Poczekaj, synu, przemyślmy sytuację – zaproponował Mo. – Nikt nie musi na tym ucierpieć. Powiedz mi, jak się nazywasz. No powiedz, niech wiemy chociaż, kto

tutaj przyszedł, żeby nas wysłać do królestwa niebieskiego.

Chłopak opuścił rękę.

–Jestem Alexander Sutter.

–W porządku. Mogę mówić do ciebie Alex?

–Dlaczego? Dlaczego chcesz udawać, że jesteś moim przyjacielem albo bliskim znajomym, jak ci wszyscy zadowoleni z siebie ludzie, którzy zamawiają pizzę?

–Wcale nie chcę być twoim przyjacielem, Alex. Mam sześćdziesiąt dwa lata, lubię grać w golfa i słuchać Tony’ego Bennetta. Chcę ci uświadomić, że zabijając nas, nie uczynisz niczego konstruktywnego. Posłuchaj, oboje z Lizzie rozumiemy, dlaczego jesteś wściekły. Świat to niesprawiedliwe miejsce, jeśli chodzi o podział szczęścia. Niektórzy ludzie już od urodzenia są szczęśliwi. Mają kochających rodziców, mnóstwo pieniędzy i cokolwiek uczynią, wychodzi im na dobre. Inni ludzie miewają życie gówniane od początku do końca. Wyobraź sobie dzieci urodzone w jakiejś wiosce w Afryce, gdzie nie ma co jeść, nie ma czystej wody i w ogóle masz szczęście, jeśli nie przyjdiesz na świat ślepy.

–To was nie usprawiedliwia! – krzyknął Alex piskliwie. Lizzie i Mo widzieli, że jest nie tylko rozwścieczony, ale i przerażony. – Gdybym się urodził w Afryce, nigdy bym się nie dowiedział, że można żyć lepiej, prawda? Tymczasem w Ameryce przez całe życie byłem poniżany i karany, a jak wy na to reagowaliście? Pokazywaliście mi, jak to jest być szczęśliwym. Pod nos mi wtykaliście te swoje radosne historie. No, ale na szczęście nikt już tego nie zazna, żadne inne dziecko, przenigdy!

–Posłuchaj – odezwał się Mo. – Odłóż detonator i porozmawiajmy o tym wszystkim. Musi istnieć jakieś rozsądniejsze wyjście z sytuacji niż zdetonowanie bomby.

–Dar Tariki Tariquat! – wrzasnął Alex.

Piątek, 28 września, godz. 12.04

W chwili, w której wybuchła bomba, Frank był niemal przy drzwiach biura. Gdyby znalazł się trzy stopy bliżej, otrzymałby potężne uderzenie w twarz chmurą odłamków szkła. Drzwi wypadły z zawiasów i przeleciały przez cały korytarz. Siła wybuchu rzuciła Franka na ścianę, prosto na oprawiony w ramki plakat, który natychmiast spadł na podłogę. Ramki popękały na kilkanaście części.

Korytarz natychmiast wypełnił czarny dym, w którym unosiły się setki kartek płonącego papieru. Smród semteksu i spalonego nylonowego dywanu był wszechogarniający. Frank opadł na czworaki. Dzwoniło mu w uszach, oczy łzawiły, z trudem łapał oddech.

W całym budynku rozzwoniły się dzwonki ostrzegające o pożarze, z pomieszczeń biurowych zaczęli wybiegać rozwrzeszczani i zdezorientowani ludzie. Frank był w stanie myśleć o jednym. Nie, tylko nie Lizzie, nie Mo, nie Daphne. Byli przecież niemal częścią jego rodziny, prawie jak ojciec i matka, albo jak Carol i Smitty. W pewnym sensie byli mu nawet bliżsi, bo przecież przez ostatnie trzy i pół roku spędzał z nimi każdy dzień pracy, razem z nimi się śmiejąc, sprzecząc, pisząc i poprawiając teksty. O Lizzie i Mo wiedział zapewne więcej, niż kiedykolwiek wiedział o Margot.

Zasłonił usta dłonią i wszedł do biura. Pokój Daphne był stosunkowo mało zniszczony, choć wypełniał go dym, a komputer leżał na podłodze. Juka, którą starannie się opiekowała, teraz była kompletnie pozbawiona liści.

Daphne leżała w drzwiach prowadzących do głównego pokoju. Nie wyglądała na ciężko ranną. Frank przeszedł po potłuczonym szkłe zalegającym dywan i ukląkł obok niej.

–Daphne – powiedział cicho i potrząsnął jej ramieniem.

Nie zareagowała, więc położył ją delikatnie na plecach. Wtedy zobaczył, że jej klatkę piersiową przebił trójkątny metalowy podłokietnik biurowego krzesła. Martwa Daphne wpatrywała się we Franka z takim skupieniem, jakby właśnie miała mu powiedzieć coś ważnego.

Rozejrzał się po zdevastowanym biurze. Mo leżał w przeciwnym rogu. Prawą rękę miał uniesioną, jakby chciał zwrócić na siebie uwagę Franka. Część czaszki była oderwana i mózg powoli wyciekał na ramię. Lewa ręka Mo była tylko zakrwawionym żalonym kikutem, a poczerniałą kość pokrywały jedynie skrawki ścięgien i mięśni.

Lizzie siedziała na krześle. Wyglądała zadziwiająco dobrze. Jej ręce obejmowały pustkę, włosy sterczały, a szeroko otwarte usta wyrażały nieme zdziwienie.

Pokaszłując, Frank okrążył cały pokój. W pierwszej chwili nie potrafił zrozumieć, co się stało z dostawcą pizzy, lecz w końcu dostrzegł coś, co wyglądało jak mokry czerwony płaszcz przeciwdeszczowy, zawieszony na oparciu jego własnego krzesła. Nie miał zamiaru przyglądać się temu bliżej.

Wychodził z biura w tym samym momencie, w którym na korytarz wpadło z łoskotem trzech strażaków.

–Proszę pana? Nic się panu nie stało?

–To była bomba – odparł i zakaszłał. Usta miał pełne pyłu. – Ci dranie zdetonowali

u nas bombe.

–Ale dlaczego u nas? – zapytał wieczorem Astrid.

Prawie nie tknął zamówionego przez nią tajskiego makaronu, który stygł teraz w miseczkach. Dlaczego tak się dzieje, dlaczego po stracie bliskiej osoby, po katastrofie, ludzie zawsze powtarzają: „Wiemy, co czujesz, jednak nie możesz zapominać o jedzeniu”? Frank wcale nie miał apetytu. Nawet nie miał ochoty się upić. Wciąż był otumaniony i na wpół głuchy. W jego głowie tkwiła wyłącznie żądza zemsty na człowieku, który rozkazał zamordować Mo i Lizzie. Zamierzał go odszukać i pobić na śmierć kijem baseballowym.

Astrid ubrana była dzisiaj w obcisły czarny kaftan ze skóry, obcisłe czarne skórzane spodnie i buty na wysokich obcasach. Włosy, wysmarowane żelam, miała zaczesane do tyłu, a do uszu przypięła duże srebrne kółka. Wyglądała, jakby właśnie zeszła z planu niskobudżetowego horroru.

–Przecież mówili, że będą podkładać bomby w całym przemyśle rozrywkowym, prawda? – przypomniała Frankowi. – Mówili, że codziennie będzie wybuchać jedna bomba, przez jedenaście dni. Po prostu nie mieliście szczęścia. – Głos miała bardziej ochryply niż zazwyczaj.

–Wiem o tym. Ale ten chłopak, który przyniósł pizzę, wyraźnie zapytał właśnie o firmę Bell, Cohen i Fries. Nie przyjechał, żeby podłożyć bombę w Twentieth Century Fox. Zjawił się, żeby podłożyć ją właśnie nam.

–W porządku, przyjechał specjalnie do was. Ale zastanów się tylko. Jeśli jest prawdą, co opowiada twój przyjaciel Neville... To znaczy, jeśli Dar Tariki Tariquat to wyłącznie maltretowani ludzie szukający zemsty... Cóż, chyba rozumiesz, dlaczego zdenerwował ich taki program jak Świnki.

–Świnki to komedia, na miłość boską.

–Tak, ale komedia rodzinna, ciepła i mówiąca o szczęściu.

–Nie zawsze o szczęściu. Przecież przez większość czasu Dusty i Henry mają kłopoty, są w żalonym położeniu. A ich ojciec właściwie cierpi na depresję maniackalną.

–Wiem. Ale przecież na końcu każdego odcinka wszystko się szczęśliwie wyjaśnia, prawda? Każdy epizod kończy się mało apetyczną sceną, jak cała rodzina Dungerów, zgromadzona wokół chlewu, śmieje się, cieszy, wszyscy się ściskają i w ogóle radują.

–Astrid, to ma być parodia, przerysowanie.

–Naprawdę? Wytlumacz to jakiemuś samotnemu dzieciakowi, którego ojciec na dobranoc bije pasem i posyła spać bez kolacji.

–Co więc sugerujesz? Że telewizja rodzinna powinna być dysfunkcyjna, epatować ojcami, którzy posuwają własne córki, matkami, które się upijają, i dzieciakami, które nawiewają z domu i podpalają ubrania na włóczęgach, tylko dlatego żeby widownia nie nabrała przekonania, że jesteśmy zadowoleni z siebie i zbyt politycznie poprawni? Na miłość boską, Astrid, nigdy nie próbowaliśmy wmawiać nikomu, że świat jest doskonały. Jednak ludzie lubią historie rodzinne, ciepło i szczęście, dlaczego więc nie mielibyśmy im tego pokazywać? Czy to kogoś rani? Wyrządza zło?

–To ty musisz odpowiedzieć na to pytanie. Zobacz, co się stało z Lizzie, Mo, Daphne i wszystkimi innymi ludźmi. Popatrz, co przydarzyło się Danny’emu.

Frank zakrył twarz dłońmi, jakby te dłonie były drzwiami, za którymi mógłby się ukryć już na zawsze. Nadal był w szoku, nadal nie potrafił uwierzyć, że Lizzie i Mo nie żyją. Zbierało mu się na płacz, jednak brakowało mu łez. Wyobrażał sobie Mo, zamyślonego, z wygasłym cygarem w ustach, zastanawiającego się nad tym, czy warto ponownie je zapalić. Przypomniawszy sobie Lizzie, jak dowcipkowała nad etiopskim jedzeniem i przekonywała go, że trzeba cieszyć się życiem, dopóki to jest możliwe.

Astrid usiadła blisko niego i pogłaskała go po włosach. Czuł zapach jej perfum i ciepło jej ciała przez skórzane spodnie.

–Przepraszam – powiedziała. – Nawet nie potrafię sobie wyobrazić, jak okropnie się czujesz.

–Powiedz mi, że nadal jest poranek – odezwał się. Zza dłoni jego głos docierał do niej przytłumiony. – Powiedz mi, że właśnie się obudziłem i nie byłem jeszcze w biurze.

Astrid pocałowała go.

–Kiedy byłem mała i wydarzyło się coś naprawdę złego, udawałam, że jestem jedynie w kinie i gram swoją rolę w filmie. Było mi wtedy trochę łatwiej...

Frank oderwał dłonie od twarzy i popatrzył na nią.

–Wiesz co? Po raz pierwszy powiedziałaś mi coś bardzo osobistego.

–Przez cały czas opowiadam ci osobiste rzeczy, Frank. To ty po prostu nie zawsze dobrze mnie słyszysz.

–W porządku. Więc co się zdarzyło aż tak złego, że udawałaś, iż to jedynie film?

Uśmiechnęła się do niego, wciąż głaskając go po włosach.

–Straciłam niewinność.

–Straciłaś niewinność? Kto ci ją zabrał?

–Świat jest pełen złodziei, Frank. Kradną nie tylko portfele. Zabierają wszystko, co jest warte posiadania. Urodę, radość, niewinność... Tak naprawdę nie pragnę tego dla siebie, po prostu chcą pozbawić tego innych.

–Opowiedz mi o tym – poprosił Frank.

–Nie. Nie nadajesz się dzisiaj na słuchacza. Potrzebny ci środek uspokajający i trochę snu.

–Snu? Nie, dziękuję. Miałbym jedynie koszmary.

W tym momencie ktoś zapukał do drzwi. Astrid otworzyła i ujrzała w progu Neville’a. Był nienagannie ubrany, w czarnej koszuli i w czarnych spodniach, jakby grał rolę drugiego wspaniale odzianego wampira w tym samym horrorze co Astrid. Pachniał drogą wodą po goleniu.

–Och! Mam nadzieję, że państwu nie przeszkadzam – powiedział ze swoim brytyjskim akcentem.

–Oczywiście, że nie – odparł Frank. – Wejdz, proszę. Aha, poznaj Astrid. Astrid, to jest Neville, Neville Strange, światowej sławy medium.

–Proszę, proszę – powiedziała Astrid. – Miło mi cię wreszcie poznać. Właśnie o tobie rozmawialiśmy.

–A ja się zastanawiałem, dlaczego tak mnie pieką uszy. – Neville wyciągnął rękę, chcąc się przywitać z Astrid, ona jednak się uśmiechnęła i odwróciła, jakby wolała uniknąć jakiegokolwiek fizycznego kontaktu.

–Próbowałem dociec – odezwał się Frank – dlaczego Dar Tariki Tariquat zawzięło się na *Świnki*. Może się czegoś napijesz? Mam w lodówce białe wino wytrawne.

–Nie, dziękuję, nie będę pił. Ledwie godzinę temu policja poinformowała mnie o bombie i wpadłem, żeby się przekonać, czy u ciebie wszystko w porządku.

–Mam na sobie tyle siniaków i zadrapań, że wyglądam jak patchworkowa narzuta, a w uszach wciąż słyszę łoskot. Byłem jednak na badaniach w szpitalu Mount Sinai; w zasadzie wszystko ze mną w porządku, jestem w jednym kawałku.

Neville podszedł do niego i zajrzał mu w przekrwione oczy.

–Miałeś cholerne szczęście, że nie było cię wtedy. Przykro mi z powodu twoich przyjaciół, to wielka tragedia.

Frank uniósł ramiona.

–Psychicznie czuję się tak, jakby pozbawiono mnie obu rąk. Potrafisz to zrozumieć? – Następne słowa wypowiedział z dużym trudem: – Widzisz, przez trzy i pół roku codziennie pisaliśmy razem ten serial i czułem się z nimi, jakbyśmy byli...

–Wiem, rozumiem. Ale nie wiem, co ci powiedzieć. Frank przełknął ślinę i odchrząknął.

–W gruncie rzeczy, muszę z tobą porozmawiać.

–Niestety, mam mało czasu. Może przełożymy tę rozmowę na jutro?

–Czy policjanci powiedzieli ci, że bombę przyniósł dostawca pizzy?

Neville pokiwał głową.

–A więc na kilka minut przed pojawieniem się tego chłopaka Daphne odebrała informację telefoniczną. Była przeznaczona dla mnie. Dzwoniła kobieta. Ktoś chciał się spotkać ze mną na parkingu, i to bardzo pilnie. Wyjrzałem przez okno i przysięgam, że zobaczyłem Danny'ego. Stał w cieniu, widziałem tylko jego sylwetkę, ale przysięgam, że to był on. To dlatego wybiegłem z biura w takim pośpiechu.

Neville uniósł brew.

–Czy Danny był tam jeszcze, kiedy wybiegłeś?

–Nie. Nie było ani jego, ani nikogo, kto by go tam wcześniej widział. Nadal go szukałem, kiedy przyszło mi do głowy, że przecież nikt z nas nie zamawiał pizzy. Nie powiedziałem ci jeszcze, że kiedy zbiegałem po schodach, natknąłem się na dostawcę, a on zapytał mnie o nasze biuro, Bella, Cohena i Fries. Nikt z nas nie zamawiał tej pizzy! Zobaczyłem Mo w oknie, próbowałem go ostrzec, machałem rękami, krzyczałem... – Na wspomnienie tych chwil Frank umilkł. – Chyba pomyślał, że żartuję. Mo nie potrafił brać niczego na poważnie. Nawet ostrzeżenia o bombie.

Neville popatrzył na niego uważnie.

–Moim zdaniem to, że ujrzałeś Danny'ego na parkingu, mogło być swego rodzaju przecuciem zbliżającego się zagrożenia. Czasami widzimy coś, co ostrzega nas o zbliżających się wydarzeniach. Ptaki, zwierzęta albo specyficzne pojazdy, jak ambulanse czy karawany. Ale w tym wypadku... Nie jestem do końca pewien. Sytuacja jest niezwykła dlatego, że twoja sekretarka otrzymała prawdziwy telefon z

informacją, że ktoś czeka na ciebie na dole.

–Co to może znaczyć?

–Albo z tym ostrzeżeniem telefonowała realnie istniejąca kobieta, albo otrzymałeś ostrzeżenie z bardzo silnego źródła psychicznego, tak silnego, że potrafiło sprawić, iż zadzwonił telefon. Znane są takie wypadki, głosy duchów słyszane w telefonie. Pewna kobieta z Walii usłyszała w ten sposób swoją matkę, mimo że ta zmarła pięć lat wcześniej na raka. Obwody elektryczne są dla duchów bardzo wdzięczną drogą przekazywania wiadomości. Podobnie jak automatyczne pismo, które powstało w moim komputerze.

–Jest jakiś sposób, żeby się dowiedzieć, czy to było prawdziwe ostrzeżenie czy też przekaz od ducha?

–Powinniśmy spotkać się jutro i spróbować kolejnego seansu. Teraz naprawdę muszę już iść. Telefonował do mnie porucznik Chessman; właściwie to wpadłem do ciebie po drodze do Century City. Chcą sprawdzić, czy potrafię odczytać jakieś wibracje z butów faceta, który podłożył tę bombę. Mimo że są niemal w stu procentach pewni, iż znają już jego nazwisko.

–Naprawdę?

–Miał przy sobie fotografię matki. Właściwie przybranej matki. W tle widnieje tabliczka z nazwą ulicy i po tym śladzie do niej dotarli.

–Wiesz, co mnie najbardziej wkurza? – zapytał Frank. – Ten chłopak wysadził się razem z moimi przyjaciółmi i nigdy nie będę mógł się na nim zemścić.

Nevile wyciągnął notes oprawny w skórę.

–Jego szczątków jeszcze formalnie nie zidentyfikowano, ale nieoficjalnie już wiadomo, że był malarzem pokojowym, mieszkał w Culver City i nazywał się Alexander Sutter. Miał dwadzieścia cztery lata. Jego przybranymi rodzicami byli państwo Happel z MacManus Park. Został oddany pod ich opiekę w wieku siedmiu lat, po tym jak jego ojca skazano za fizyczne i seksualne maltretowanie własnego syna.

–Kolejna ofiara maltretowania przez rodziców? Wygląda na to, że twoja teoria się sprawdza.

–Po ostatnim wybuchu tak. Właściwie jestem jej już całkiem pewien.

–Mimo wszystko trudno jest zaakceptować fakt, że ofiary maltretowania zebrały się w grupę, wspólnie planują i dokonują czegoś takiego. Spotkałem kiedyś takie dzieci. Były ciche, zahukane, rozumiesz? Nie miały w sobie żadnej energii.

–Zgadzasz się z tobą – powiedział Neville. – Wygląda jednak na to, że ktoś zdołał ich zgromadzić i zainspirować do działania. Przecież to, co robią, wymaga starannej organizacji. Dar Tariki Tariquat używa za każdym razem innego rodzaju materiału wybuchowego i innej metody dostarczenia go na miejsce. Między innymi dlatego tak trudno jest ich dopaść. Ktoś planuje to wszystko za nich i dla nich, takie jest moje zdanie. Ktoś bardzo sprytny i dość bogaty.

–A co sądzi policja?

–Wciąż są przekonani, że mają do czynienia z Arabami. Dopuszczają jednak myśl, że to Arabowie używają maltretowane dzieci do wykonywania za nich brudnej roboty.

–Jakie jest twoja opinia?

–Cóż, rozmawiałem dziś po południu z panią psycholog z FBI. Zgodziła się ze mną, że ofiary maltretowania w dzieciństwie prawdopodobnie nie przełożyłyby swoich uraz na kampanię terrorystyczną, jeśli ktoś nie poprowadziłby ich za rękę. A kto bardziej pragnie ujrzyć Hollywood na kolanach niż islamscy terroryści?

–Sądysz, że ma rację?

–Nie wiem. Z pewnością coś w tym jest. Uważam jednak, że zwalając wszystko na Arabów, idziemy na łatwiznę. Mam silne przeczucie, że w tym wszystkim jest jeszcze jakiś inny wymiar. Bardzo chciałbym do niego dotrzeć.

Frank odprowadził go do drzwi.

–Zadzwoń do ciebie jutro po południu, co ty na to?

–Doskonale – odparł Neville. Miał już wyjść, kiedy popatrzył nad ramieniem Franka na Astrid i zapytał: – Kto to jest?

–Dziewczyna, o której ci opowiadałem. Ta, którą spotkałem po wybuchu bomby w Cedars.

–Bardzo ładna, prawda?

–Tak, owszem. I muszę powiedzieć, że bardzo mi pomogła w pierwszych dniach po stracie Danny'ego.

Neville wciąż na nią patrzył.

–Nie chciała dotknąć mojej ręki, zauważyłeś to?

–A to ma jakieś znaczenie?

–Niekoniecznie. – Neville wciągnął powietrze nosem. – Chyba wyczuwam w powietrzu jakiś zapach. Ale z natury jestem przewrażliwiony. No to do jutra.

W wiadomościach o dwudziestej pierwszej komisarz Campbell przeczytał oświadczenie, które otrzymał po południu od Dar Tariki Tariquat. Wyglądał na bardzo zmęczonego, a jego głos drżał.

–„Po dzisiejszej karnej akcji przeciwko Twentieth Century Fox Dar Tariki Tariquat ma nadzieję, że przemysł rozrywkowy zda sobie wreszcie sprawę, iż nie rzucamy słów na wiatr, i natychmiast wstrzyma emisję tych wszystkich programów telewizyjnych i filmów, które delektują się świętokradztwem i obscenicznymi zachowaniami. Jeśli to nie nastąpi, jutro w południe nastąpi kolejna eksplozja, w innym miejscu. Kolejne bomby będą wybuchały codziennie w południe do czasu, aż telewizja i cały przemysł rozrywkowy zostaną oczyszczone z korupcji moralnej, która pchnęła tę planetę na skraj potępienia.

Jesteśmy w szczególności dumni, że ukaraliśmy twórców telewizyjnego programu otwarcie drwiącego z moralnych i religijnych wartości. Pragniemy dodać jeszcze jedno: są wśród was ludzie, którzy przedwcześnie uznali, że zdołali uciec przed tym, co niesie im przeznaczenie. Jednak ich radość nie potrwa długo, każdy bowiem, kto oskarżył kiedyś Boga o okrucieństwo, będzie ścigany jak robak, którym jest w rzeczywistości, i będzie musiał zapłacić życiem za swoje oszczerstwa”.

Słuchając, Frank nagle zmarszczył czoło i wyprostował się.

–Astrid, słyszałaś to?

–Co takiego? – Leżała obok niego, odwrócona plecami i prawie już zasypiała.

–Dar Tariqi Tariquat wydała oświadczenie na temat dzisiejszego wybuchu. Powiedzieli, że każdy, kto uciekł, będzie ścigany i zginie.

–No i co?

–Każdy, kto uciekł? Pomyśl tylko. Przecież to chodzi o mnie! Astrid zamrużyła oczyma, próbując skupić na nim spojrzenie.

–Jesteś pewien?

–Kto poza mną ocalał z dzisiejszej eksplozji?

–Hmm, nikt.

Frank był coraz bardziej podekscytowany.

–Powiem ci coś jeszcze. Oznajmili, że każdy, kto oskarżył Boga o okrucieństwo, będzie ścigany jak robak.

–Nie rozumiem.

–Kogo oskarżyłem o okrucieństwo? Nie Boga przecież, lecz kogoś, kto zachowuje się, jakby był Bogiem. I kto powiedział niemal te same słowa: „każę cię ścigać i zgnieść jak robaka, którym jesteś w rzeczywistości”.

–Chyba nie mówisz poważnie? Masz na myśli Charlesa Lassera?

–Dokładnie.

–Nic z tego nie rozumiem. Co może mieć wspólnego z tym wszystkim Charles Lasser?

–Żeby wiedział... Ale kto mógłby lepiej od niego zorganizować kampanię terrorystyczną? Facet ma pieniądze, ma wpływy. Ma też mnóstwo kontaktów międzynarodowych.

–Ale dlaczego zależałoby mu na zniszczeniu przemysłu rozrywkowego? Przecież on jest jego częścią.

–Jeśli się nad tym dobrze zastanowić, to może wcale nie ma takich zamiarów. Zawsze był gdzieś z boku. Nie znam dosłownie nikogo w Hollywood, kto pracowałby dla Star-TV, jeśliby nie musiał. Star-TV to nie jest kompania telewizyjna. To raczej coś w rodzaju buldożera Charlesa Lassera. Gdybyś wiedziała o kontraktach, które zignorował, i o producentach, których zrujnował, znała liczbę młodych, niezależnych wytwórni, które podkupił po to tylko, żeby je zaraz zamknąć, nie powiedziałabyś o nim jednego dobrego słowa.

–Ale przecież zaoferował dziesięć milionów dolarów, prawda? Dziesięć milionów dolarów dla tego, kto pomoże dorwać terrorystów. Dlaczego miałyby robić taki gest, skoro to właśnie on jest terrorystą?

–Może to swoista zasłona dymna? Może Lasser chce wyglądać jak prawy rycerz w lśniącej zbroi, a tymczasem za kulisami wpływa na przebieg całego turnieju?

Frank podniósł z podłogi spodnie.

–Dokąd idziesz? – zapytała Astrid.

–Zadzwoń na policję, a co innego mi pozostało?

–Ale przecież nie masz pewności, że za tym wszystkim stoi Charles Lasser, prawda?

–Nie, nie mam. Ale warto zwrócić na niego ich uwagę. Pomyśl tylko o tym, Astrid, jeśli to Charles Lasser, to zabił także Danny’ego.

Frank widział swoje odbicie w szybie; wyglądał jak duch. Duch podniósł słuchawkę i czekał na połączenie.

–Porucznik Chessman? Tu Frank Bell, pamięta mnie pan? Niech pan posłucha, właśnie usłyszałem ostatnie oświadczenie Dar Tariki Tariquat. Mogę się mylić, ale sądzę, że zawiera pewną wskazówkę.

–Naprawdę? – Porucznik Chessman miał usta pełne jedzenia. – Jaką wskazówkę?

–Po pierwsze, uważam, że to oświadczenie jest ostrzeżeniem, skierowanym do mnie osobiście. Terrorysty oznajmiają w nim, że są dumni, iż zabili twórców *Świnek*, ale zarazem nie spoczną w pogoni za tymi, którym udało się przeżyć atak.

–Rozumiem. Jeszcze nie słyszałem tego oświadczenia.

–Uważam także, że to oświadczenie w pewien sposób zdradza personalia osoby, która stoi za wybuchami.

–Co takiego?

–Nielatwo to wyjaśnić, ale moim zdaniem za wszystko odpowiada Charles Lasser. Na linii zaległa długotrwała cisza.

–Mam nadzieję i modłę się, że nie usłyszałem od pana tego, co sądzę, że właśnie usłyszałem.

–Gdybyśmy mogli się spotkać, poruczniku, wszystko panu wyjaśnię.

–Dobrze. Niech pan już nic więcej nie mówi przez telefon. Gdzie pan teraz jest?

–W hotelu Sunset Marquis.

–W porządku, niech mi pan da dwadzieścia minut. Skontaktuję się z panem.

Wróciwszy do sypialni, stwierdził, że Astrid wkłada właśnie spodnie.

–Dokąd idziesz? – zapytał. – Chyba nie wychodzisz? Jest późno.

–Wiem. Ale jeśli ma tu przyjść policja, lepiej, żebyś przyjął ich sam.

–Oczywiście, tylko ja będę z nimi rozmawiał. Nie musisz wychodzić.

Astrid poprawiła włosy i popatrzyła na swoje odbicie w lustrze.

–Nie, idę sobie. Pewnie zobaczymy się jutro. Zadzwońię po taksówkę, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

–Astrid, naprawdę nie musisz wychodzić. Jeśli chcesz, spotkam się z nimi w hallu.

Wspięła się na palce i pocałowała go w czoło.

–Znasz takie powiedzenie? Jeśli znalazłeś się w pędzącym pociągu, w którym zabrakło maszynisty, musisz z niego wyskoczyć, kiedy jeszcze masz szansę.

–Astrid, zamordowano dzisiaj dwoje moich najlepszych przyjaciół. Nie żyje mój syn. Jeśli Charles Lasser ma z tym cokolwiek wspólnego, chcę, żeby został aresztowany, osądzony i zgładzony.

–Oczywiście, doskonale cię rozumiem. Ale jakie masz przeciwko niemu dowody? Jedynie słowa, które usłyszałeś w telewizyjnych wiadomościach.

–Charles Lasser użył słowa „robak”. Oni także go użyli.

–Przecież nie możesz być pewien, że chodziło im właśnie o ciebie.

–Wysadzili w powietrze moje pieprzone biuro! Zabili moich przyjaciół.

Zamordowali Danny’ego. A przecież miał tylko osiem lat!

Astrid pozapinała guziki skórzanego kaftana.

– Nawet jeśli masz rację i to Charles Lasser jest wszystkiemu winien, chyba nie sądzisz, że zdołasz to udowodnić?

Frank zmarszczył czoło i popatrzył na nią.

– To jest pytanie czy stwierdzenie?

– To po prostu zdrowy rozsądek, Frank. Charles Lasser ma aż dwudziestu sześciu prawników.

– A ty doskonale o tym wiesz? Skąd znasz dokładną liczbę? Posłuchaj tylko, naprawdę należą mi się od ciebie jakieś wyjaśnienia w związku z Lasserem. Co cię z nim łączy? On twierdzi, że cię nie zna, ale ja w to nie wierzę. A jeśli chodzi o ciebie, jeszcze nie powiedziałaś mi o nim ani słowa.

Astrid wyciągnęła rękę i dotknęła jego policzka. Frank złapał jej rękę i ścisnął tak mocno, że nie mogła się wyrwać.

– Bo nie mogę ci nic powiedzieć – odparła.

– Nie możesz czy nie chcesz?

– Nie kocham cię, Frank, zdajesz sobie z tego sprawę?

– A kto tu mówi o miłości?

– Ty o niej mówiłeś.

Uwolnił jej rękę. Wzięła ze stolika torebkę, po czym przeszła do salonu, żeby zamówić taksówkę.

– Potrzebuję taksówkę – powiedziała do słuchawki. – Sunset Marquis, pokój numer dwieście siedemnaście. Tak. Jak najszybciej.

Frank pozostał w sypialni. Telewizja pokazywała właśnie zdjęcia nakręcone w jego zniszczonym biurze. Wśród stert papieru leżała popękana rzeźba przedstawiająca trzy tańczące świnki. Jedna miała oderwaną przednią nogę, druga nie miała głowy, a trzecia pozbawiona była obu tylnych kończyn. Już się nie obejmą, nie będą razem myśleć ani tańczyć.

Frank popatrzył na zegarek. Dochodziła dwudziesta trzecia dwadzieścia i nie potrafił sobie wyjaśnić, co aż tak długo zatrzymuje porucznika Chessmana. Spróbował dodzwonić się do niego jeszcze raz, ale jego telefon komórkowy był zajęty. Szok, jakiego doznał po wybuchu bomby, powoli mijał, i Frank dopiero teraz zaczynał się trząść jak w gorączce. Jeszcze raz obejrzał wiadomości i spróbował zapisać słowo w słowo oświadczenie Dar Tariki Tariquat, jednak ręka drżała mu tak mocno, że większości notatki, którą sporządził, nie był w stanie odczytać.

Właśnie miał zrezygnować z czekania i położyć się do łóżka, kiedy usłyszał gwałtowne pukanie do drzwi.

–Chwileczkę, poruczniku! – zawołał.

Właśnie miał otworzyć drzwi, kiedy powstrzymała go przed tym jakaś drobna rączka. Spojrzał w dół i ujrzał obok siebie Danny'ego, wpatrującego się w niego rozszerzonymi oczyma. Miał na sobie to samo ubranie, w którym został pochowany.

Do tej pory Frank miał nadzieję, że kiedy ujrzy w końcu prawdziwego Danny'ego, prawdziwego martwego Danny'ego, z trudem opanuje radość. W tej chwili jednak tak się przeraził, że cicho zawył, a kolana odmówiły mu posłuszeństwa do tego stopnia, że niemal upadł na podłogę. Dłoń Danny'ego była lodowato zimna, a paznokcie na jego palcach niebieskie. Jego rzęsy były jakby pokryte szronem, a kiedy oddychał, z jego ust wydobywała się gęsta para.

–Co ty tutaj... – odezwał się Frank.

Znów rozległo się jeszcze głośniejsze pukanie do drzwi.

–Panie Bell, policja! Zechce pan nam otworzyć?

Frank nie wiedział, co odpowiedzieć. Danny trzymał swoją dłoń na jego dłoni i zdecydowanie pokręcił głową, jakby ostrzegając go przed otwarciem drzwi.

–Moment! Właśnie wyszedłem spod prysznica!

–Niech się pan pośpieszy, panie Bell. Mamy mnóstwo roboty! Nie będziemy sterczeć całą noc pod pańskimi drzwiami!

–W porządku, dwie sekundy.

Spojrzał na Danny'ego, niemal pragnąc, żeby zaraz zniknął, ale Danny nie zniknął. Zamiast tego odezwał się wywołującym dreszcze, dziwnie dorosłym, ochryplym głosem:

–Niebezpieczeństwo.

–Niebezpieczeństwo? Jakie niebezpieczeństwo? Przecież to są gliniarze.

–Niebezpieczeństwo – powtórzył Danny.

Niewątpliwie mówił z trudem, ale to przekonało Franka bardziej niż jakikolwiek inny dowód, że ma do czynienia z prawdziwym Danny'm. W odróżnieniu od poprzedniego wcielenia sprawiał wrażenie słabego i zdenerwowanego. Tak pewnie

zachowywałyby się każde dziecko, które jeszcze nie przywykło do nowej sytuacji.

Zabrzmiało kolejne pukanie do drzwi, a gromki głos z korytarza zawołał:

–Panie Bell! Niech pan otworzy te przekłete drzwi!

–Jeszcze minutka, dobrze?

W zupełnym milczeniu Danny przewrócił się na plecy. Upadał jakoś dziwnie, bardzo powoli. Frank patrzył, jak chłopiec otwiera i mruga powiekami jakby w zwolnionym tempie. Skoczył, żeby go przytrzymać, ale w tej samej chwili znów załomotano w drzwi. Rozległo się pięć wyraźnych uderzeń, w krótkich odstępach, jakby policjanci zamierzali rozbić drzwi młotkiem.

Upadłszy na dywan, Danny zniknął. Zaskoczony Frank również się przewrócił. Poczul ból.

–Cholera jasna – zaklął i zaraz wstał. W tej samej chwili ujrzał w drzwiach pięć dużych dziur i dym, wpadający przez nie do pokoju. Zrozumiał, co się stało.

–Panie Bell! – zawołał głos zza drzwi. – Jeśli pan natychmiast nie otworzy, panie Bell...

Ktoś kopnął i drzwi zadrżały w futrynie. Nastąpiło kolejne kopnięcie, a po chwili jeszcze jedno.

Frank na czworakach przemknął w kierunku przesuwanych drzwi prowadzących na balkon. Dzięki Bogu, nie zatrzęsnał ich wcześniej. Otworzył je na oścież i, nadal na czworakach, wydostał się na zewnątrz. Piętro niżej, przy basenie, brytyjscy muzycy rockowi popijali alkohol i palili papierosy. W wodzie pluskały się trzy dziewczyny w strojach topless.

Frank podczołgał się w najdalszy róg balkonu. Teraz nie był widoczny z salonu. Szybko wspiął się na barierkę, przez chwilę stał na niej, próbując zachować równowagę, aż wreszcie skoczył. Uderzył w powierzchnię wody z głośnym pluskiem. Kiedy wypłynął na powierzchnię, dziewczęta zaczęły z wrzaskiem uciekać. Tymczasem muzyków cała ta sytuacja rozbawiła.

Ty pieprzony psycholu, wiesz o tym, że jesteś psycholem? – krzyknął jeden z nich. – Jesteś dyplomowanym wariatem!

Frank pozostał w wodzie; wysunął na powierzchnię tylko czubek głowy. Machał rękami, żeby utrzymać się na powierzchni. Popatrzył na swój balkon i za firankami ujrzał dwóch ludzi, poruszających się jak w teatrze cieni. Po chwili podeszli do okna i wyjrzeli na zewnątrz. Żaden z nich z pewnością nie był porucznikiem Chessmanem. Przez kilka sekund stali w oknie. Frank słyszał, jak przeklinają. Nie zobaczyli go i po chwili zrezygnowali z poszukiwań.

Wyszedł z basenu. Pidżama kleiła mu się do ciała. Jeden z muzyków wyciągnął ku niemu puszkę z piwem, ale Frank ją odepchnął.

–Nie, dzięki. Jak na jedną noc, mam już dosyć płynów.

–Psychol – powtórzył muzyk, wyraźnie pod wrażeniem. Frank cicho poczłapał z powrotem przez hotelowy hall, pozostawiając za sobą na marmurowej podłodze ślady mokrych stóp. Nocny portier oglądał w telewizji *Wielkie pościgi policyjne* i nawet nie podniósł na niego wzroku. Sprzed hotelu z piskiem opon odjechał jakiś samochód i Frank założył, że to odjeżdżają właśnie dwaj mężczyźni, którzy odwiedzili

jego pokój. Mimo wszystko bardzo ostrożnie wszedł po schodach, co chwilę zatrzymując się i wstrzymując oddech. W pokoju numer dwieście dwadzieścia jeden była akurat impreza. Wrzaski, śmiechy i muzyka heavy-metalowa wstrząsały hotelem. Nikt więc nie mógł się zdziwić, że przed chwilą dwaj mężczyźni pięciokrotnie przestrelili jego drzwi, a później włamali się do pokoju.

Znalazłszy się z powrotem w pokoju, szybko się wytarł, włożył dżinsy i jasnoniebieski golf. Właśnie próbował po raz kolejny dodzwonić się do porucznika Chessmana, kiedy ten, jak za sprawą czarodziejskiej różdżki, osobiście stanął w drzwiach. Krok za nim zatrzymał się detektyw Booker. Porucznik wyglądał na spoconego i zmęczonego. Koszula wychodziła mu ze spodni. Udał, że puka w to, co pozostało z drzwi.

–Panie Bell! Co się tu stało? Zapomniał pan kluczy czy co?

–Właśnie miałem do pana telefonować – odparł Frank, odkładając słuchawkę. – Niedawno dwóch facetów zapukało do moich drzwi. Udawali policjantów. Nie otworzyłem im, więc weszli na siłę.

Porucznik Chessman zrobił zdziwioną minę.

–Powiedzieli, że są z policji?

–Tak. Miałem szczęście, że im nie otworzyłem.

–Z pewnością. Ale dlaczego pan im nie otworzył?

Frank wzruszył ramionami.

–Nie wiem. Chyba zadziałała intuicja.

–Czy ktokolwiek poza panem wiedział, że się tu zjawię?

–Nie, nikt.

–A więc to jakiś zbieg okoliczności, że przyszli tu osobnicy podający się za policjantów akurat wtedy, kiedy naprawdę spodziewał się pan policji.

–Nie wiem. Chyba tak.

Porucznik wszedł do salonu i uważnie się rozejrzał.

–Ile razy strzelili?

–Przynajmniej cztery albo pięć. Wyskoczyłem przez balkon do basenu.

Porucznik Chessman wyszedł na balkon i popatrzył na muzyków rockowych oraz trzy rozbawione dziewczyny.

–Cóż, przynajmniej miał pan fajną zachętę do tego skoku – zauważył.

W ścianie obok kanapy znajdowały się trzy dziury po kulach. Porucznik Chessman przyjrzał się im uważnie i odezwał się:

–Booker, zadzwonisz po ekipę?

–Tak, szefie.

Porucznik uniósł głowę i wciągnął powietrze.

–Czy był pan tutaj sam, kiedy to wszystko się stało? – zapytał.

Frank pokiwał głową.

–Czuję zapach perfum.

–Była tu moja przyjaciółka, ale znacznie wcześniej.

–Rozumiem. – Porucznik Chessman po kolei uniósł wszystkie poduszki z kanapy, jakby spodziewał się znaleźć pod nimi jakieś obciążające dowody. – Co to za historia

z Charlesem Lasserem? Chyba nie twierdzi pan na serio, że to on zamieszany jest w te wybuchy, co?

–Kilka dni temu osobiście się z nim starłem.

–Osobiście?

–Posprzeczaaliśmy się. Oskarżyłem go, że bije pewną kobietę, moją znajomą.

Poszedłem do jego biura i ostrzegłem go, żeby zostawił ją w spokoju.

–Naprawdę? Może mi pan powiedzieć, jak się nazywa ta kobieta?

–Może to zabrzmie dziwnie, ale znam tylko jej imię. Astrid.

–Dobrze ją pan zna i nie wie pan, jak się nazywa?

–Poruczniku, zostawmy ją w spokoju.

–Dlaczego?

–Być może jest zamężna albo coś w tym rodzaju? Nie powiedziała mi tego.

–W porządku. Na razie skoncentrujmy się na panu i Charlesie Lasserze. Stwierdził pan, że bije pana znajomą, której nazwiska pan nie zna, poszedł pan więc do jego biura i dobrze nim wstrząsnął.

–Właśnie. Oczywiście wszystkiemu zaprzeczył i powiedział mi, że jeśli kiedykolwiek powtórzę moje oskarżenie, będzie mnie ścigał „jak robaka, którym jestem w rzeczywistości”. To są dokładnie jego słowa. Następnie w moim biurze wybuchła bomba, a Dar Tariki Tariquat wydało oświadczenie, że „każdy, kto oskarżył kiedyś Boga o okrucieństwo, będzie ścigany jak robak, którym jest w rzeczywistości”.

Frank wręczył porucznikowi kartkę z zapisem tych słów. Chessman przez chwilę czytał, poruszając ustami, po czym podniósł wzrok na Franka i powiedział:

–To jest dość kiepski dowód, panie Bell. Być może ci szaleńcy rzeczywiście mają na myśli pana, chociaż nie wymieniają pana z nazwiska. Ale raczej trudno przypuszczać, żeby miały z tym jakiś związek pańskie oskarżenia wobec pana Lassera, prawda? Raczej chodzi tutaj o coś, co pan napisał do programu telewizyjnego. Na przykład, czy któraś z pańskich postaci kiedykolwiek twierdziła, że Bóg jest okrutny?

–Co takiego? Chyba nie.

–Mimo wszystko to by było znacznie bardziej logiczne wyjaśnienie, nie sądzi pan? Chodzi o to, że ci terroryści mają zastrzeżenia do tego, co mówią wykreowane przez pana postacie, a nie do pana osobiście.

–A co z „robakiem”?

–„Robak” to bardzo często stosowane pejoratywne określenie, panie Bell. Nie może w tym wypadku dowodzić żadnego związku.

–Ale przecież przed chwilą zjawilo się tu u mnie dwóch facetów i chcieli mnie zabić.

–Dar Tariki Tariquat to fanatycy, panie Bell. Jest pan autorem programu telewizyjnego, który uważają za bluźnierczy, i właśnie z tego powodu chcą pana usunąć, to wszystko.

–Być może ma pan rację, ja jednak nadal uważam, że Charles Lasser może być w to wszystko zamieszany.

–Jasne. Oczywiście, porozmawiam z panem Lasserem. Mam taki obowiązek, skoro wskazał go pan jako podejrzanego. Muszę być jednak wobec pana szczery i powiedzieć, że taka rozmowa raczej do niczego nie doprowadzi.

–Rozumiem – powiedział Frank. Po chwili wahania dodał: – Niech go pan zapyta o Astrid.

–Oczywiście, zrobię to. Z nią także porozmawiam. Wie pan, w jaki sposób mógłbym się z nią skontaktować?

–Przykro mi, ale nie wiem, gdzie ona mieszka, nawet nie znam numeru jej telefonu. To ona zawsze kontaktuje się ze mną. Wiem jednak, że spotyka się z Charlesem Lasserem, zarówno u niego w domu, jak i w biurze. Wiem także, że Lasser ją bije. Sam widziałem rany.

Detektyw Booker zapisał informacje.

–Czy wiadomo panu, panie Bell, o skargach, składanych przez tę panią na pana Lassera w związku z takim traktowaniem?

–Nie, nic o tym nie wiem. Nie narzekała na niego nawet przy mnie.

Porucznik Chessman wyciągnął z kieszeni zmiętą papierową chusteczkę i wyczyścił nos.

–Kobiety – mruknął. – Kto tak naprawdę potrafi je zrozumieć? Im większy drań, tym bardziej je opętuje. Dobrze, porozmawiam jutro z panem Lasserem. Później do pana zadzwonię i powiem, o czym rozmawialiśmy.

–Zapewni mi pan ochronę? Co się stanie, jeśli ci faceci do mnie powrócą?

–Cóż, proponuję, żeby tę noc spędził pan gdzie indziej. Może w jakimś innym hotelu?

Policjanci mieli właśnie wychodzić, kiedy w progu pojawił się szef nocnej zmiany, młody mężczyzna z cienkimi wąsikami, ubrany w krzykliwą pomarańczowo-różową koszulę i szorty.

–Co tu się dzieje? – zapytał. – Do diabła, co się stało z tymi drzwiami? Patrzcie tylko na nie! Co się z nimi, do cholery, stało?

Porucznik Chessman przyjaźnie klepnął Franka w plecy i poradził:

–Tak jak powiedziałem. Inny hotel.

Frank spędził jednak noc u Carol i Smitty'ego. Powiedział Carol, że jego pokój w Sunset Marquis został podwójnie zarezerwowany i musiał ustąpić miejsca jakiemuś Japończykowi, który pojawił się w hotelu w późnych godzinach nocnych. Nie chciał jej wystraszyć. Jednak kiedy Carol poszła do łóżka i został sam na sam ze Smittym, i kilka puszek piwa, wszystko mu opowiedział.

–Cholera jasna – zaklął Smitty. – A co sądzi policja, kto to był?

–Oni uważają, że to ludzie z Dar Tariki Tariquat chcieli dokończyć to, co zaczęli.

–Uwierzyli w związek Charlesa Lassera z całą sprawą?

–Powiedzieli, że to prawdopodobnie przypadek, iż użył słowa „robak”. To wszystko.

–Nie zaproponowali ci ochrony?

–Poradzili jedynie, żebym zmienił hotel.

Smitty odstawił puszkę z piwem, wstał i poszedł do swojego pokoju. Po chwili

wrócił z jakimś przedmiotem, zawiniętym w irchę. Odsunął na bok popielniczkę oraz puste puszki i wydobyl z zawiniątka niklowany rewolwer kaliber.38, wsunięty w kaburę.

–Hmm... Weź do czasu, kiedy uznasz, że minęło zagrożenie. Jest naładowany.

–Lepiej nie – odparł Frank. – Nie przepadam za bronią.

–Nie obchodzi mnie, czy za nią przepadasz, ale to, czy żyjesz. Bierz i nie sprzeczasz się ze mną. Nie życzę ci, żebyś musiał go używać, ale przynajmniej noś go przy sobie.

Następnego ranka, kiedy jechał do Neville'a, w samochodzie zadzwonił telefon komórkowy.

–Frank? Tu Margot.

–Naprawdę? Czego chcesz?

Zawahała się, trochę zbita z tropu jego agresywnym tonem. Zaraz jednak powiedziała:

–Chciałam ci po prostu powiedzieć, jak bardzo jest mi przykro z powodu Lizzie i Mo. Musisz być zdruzgotany.

–Tak... Cóż, dziękuję ci. To cud, że i mnie nie dopadli.

–Frank, jeśli chcesz się ze mną spotkać i porozmawiać o...

–Nie, dzięki. Ale... dziękuję ci.

–Frank, nie chcę, żeby doszło do tego, że w ogóle przestaniemy ze sobą rozmawiać.

–Ani ja. Później do ciebie zadzwonię, teraz nie mam czasu.

–W takim razie do usłyszenia.

Zakończywszy rozmowę, długo myślał o Margot, dlatego przegapił wjazd do posesji Neville'a. Musiał sam przez sobą przyznać, że w pewnym sensie za nią tęskni. Może brała wszystko zbyt serio, była zbyt zaprzątnięta filozofią Wschodu, własnymi obrazami i dietą makrobiotyczną, ale przecież to właśnie zafascynowało go w niej na samym początku. Wnosiła w jego życie stabilność i porządek. On sam przecież bywał nadwrażliwy i podatny na chwilowe emocje, czasami zabierał się do czegoś, zanim na dobre się zastanowił, czy warto. A kiedy coś mu się nie udawało, wpadał w głęboką depresję.

Patrząc w przeszłość, zaczynał dochodzić do wniosku, że jej obrazy wcale nie są takie brzydkie. Były chłodne, spokojne. Jak kiedyś zauważył Mo, nie wzbudzały ani trochę więcej emocji niż nagie ściany.

Zawrócił z piskiem opon przed stoiskiem Earth Mother Juice. Jakiś autostopowicz, liczący na podwiezienie, zamarł w bezruchu z wyciągniętym w górę kciukiem i wściekłą miną, jakby przyszłość w jednej chwili zmieniła się na jego oczach.

Nevile siedział w gabinecie i układał karty na lśniącym marmurowym stoliku.

–Jak się masz? – zapytał. Czarną koszulę zapiął po samą szyję, nie miał jednak krawata, przez co wyglądał jak ascetyczny kapłan.

Frank usiadł naprzeciwko niego.

–Czuję się, jakbym spływał w beczce wodospadem Niagara. Dwa pokazy co wieczór i dodatkowe seanse w sobotnie popołudnia.

Nevile podniósł wzrok.

–A psychicznie?

–Jestem smutny. I cholernie wściekły. Myślę o zemście. Chryste, gdybym tylko dorwał tych drani.

–Kiedy policja rozmawia z Charlesem Lasserem?

–Powiedzieli mi, że dzisiaj. Ale to na pewno nic dobrego nie przyniesie.

Nevile ułożył jeszcze kilka kart, po czym niespodziewanie zmarszczył czoło.

–Co to takiego? – zapytał Frank. – Czytasz przyszłość?

–Nie, to taka gra. Nazywa się „Koty i księżycy”. To coś w rodzaju pasjansa, z tą różnicą, że gra się z duchem.

Frank odruchowo rozejrzał się po pokoju.

–Chcesz powiedzieć, że właśnie z kimś grasz?

–Z bardzo starym duchem. To jeden z pierwszych, które się ze mną skontaktowały, kiedy przeprowadziłem się do Kalifornii. Ma na imię Erasmus. Miał kiedyś farmę niedaleko Bakersfield. Umarł w wieku dziewięćdziesięciu siedmiu lat.

Frank patrzył przez chwilę, jak Neville układa jedną kartę na drugą.

–W jaki sposób Erasmus uczestniczy w grze?

–Przekazuje mi instrukcje – odparł Neville, stukając się palcem wskazującym w czoło. – Bardzo dokładne, zapewniam cię. Na przykład: „Karta z Syriuszem obok karty z kotem syjamskim, ty bałwanie”.

Frank wyprostował się. Mając za sobą osobiste spotkania z duchami, nie miał powodu, by nie wierzyć, że Neville gra w karty z kimś, kto od dawna nie żyje. W gruncie rzeczy żałował, że dopiero teraz dowiedział się o istnieniu duchów i o tym, jak ściśle związane są z żywymi.

–Sądysz, że to Charles Lasser nasłał tych ludzi, żeby cię zabili? – zapytał Neville.

–Nie mam na to żadnego dowodu, poza informacją z wiadomości telewizyjnych, ale jestem tego niemal pewien.

–Trzy koty! – zawołał Neville triumfalnie. – Wygrałem.

–Zastanawiam się, skąd wiedzieli, że czekam na policjantów.

Nevile zaczął zbierać karty.

–Mówię to z prawdziwą przykrością, ale główną podejrzaną wydaje się Astrid. Powiedziałaś jej, że podejrzewasz Charlesa Lassera o spowodowanie wybuchu bomby w twoim biurze, prawda? Powiedziałaś jej także, że zamierzasz wezwać policję. A to jeszcze nie wszystko. Opuściła twój pokój na długo przed pojawieniem się zabójców.

–Sam nie wiem. Ta sprawa z policją mogła być przypadkiem. Chodzi mi o to, że jeśli chcesz, żeby ktoś ci otworzył drzwi pokoju w hotelu, a masz złe zamiary, najpierw krzyczysz „policja”, nie? Przecież nie wrzątniesz „płatni zabójcy!”, prawda?

–W tej Astrid jest coś niezwykłego – mruknął Neville w zadumie. – I chodzi mi nie tylko o to, że nie chce ci zdradzić swojego nazwiska ani adresu. Uważasz, że spotyka się z Charlesem Lasserem?

–Nie mam pojęcia. Nie mogę wciąż jej śledzić. Zresztą nie mam do tego prawa.

–Masz prawo, żeby się chronić.

–Co masz na myśli? Uważasz, że ona jest niebezpieczna?

–Jeśli to ona wezwała tych dwóch mężczyzn ostatniej nocy, to oczywiście jest niebezpieczna. Ale nawet jeśli tego nie zrobiła, odnoszę wrażenie, że wplątana jest w coś bardzo skomplikowanego i bardzo ryzykownego, chociaż nie potrafię wskazać w co.

–Cokolwiek o niej powiesz, Astrid dała mi komfort psychiczny, uspokoiła mnie,

sprawiła, że nie rozpadłem się na kawałki.

–Oczywiście – przytaknął Neville. – Ale pomyśl o tym, że przez cały czas zdobywała twoje zaufanie dla swoich własnych celów, których nie znamy.

–Jakich celów? Do cholery, przecież jestem tylko pisarzem komediowym. Co mógłbym dla niej znaczyć? Przecież potrafiłbym ją tylko rozśmieszyć.

–Może Danny to wie?

–Danny?

–Dwukrotnie w tym tygodniu ukazał ci się i ocalił twoje życie. Istnieje szansa, że wie, kto próbuje cię zamordować. Może także wiedzieć, czego chce Astrid.

–To dlatego zaproponowałeś kolejny seans?

Nevile uniósł ręce do góry.

–Nie przeprowadzę go, jeśli nie chcesz.

W tym samym momencie karty do gry „Koty i księżycy” uniosły się ze stolika i spadły na podłogę. Neville rozejrzał się po pokoju i powiedział:

–Opanuj się, stary. Jeśli czegoś bardzo nie lubię, Erasmus, to graczy, którzy nie potrafią honorowo znosić porażek.

Siedzieli w milczeniu już ponad dwadzieścia minut. Słoneczna plama powoli przesunęła się po ścianie gabinetu i oświetliła obraz przedstawiający kobietę w liliowej sukni, stojącą nad zarośniętym grobem. We włosy miała wplecione kwiaty, a twarz zakrywała dłońmi, spoza których widoczne były tylko jej oczy. Nie wiadomo dlaczego, obraz zatytułowany był Brama.

Nevile wyglądał przez okno. Oddychał głęboko i powoli, jakby zasypiał. Franka zaczęło swędzić w lewej dziurce nosa. Z trudem się powstrzymywał, żeby nie kichnąć.

–Chcę rozmawiać z Dannym – odezwał się wreszcie Neville. – Danny, czy mnie słyszysz? Jest tutaj twój tatuś.

–Dotarłeś do niego? – zapytał Frank.

Nevile nie odpowiedział. Wciąż wpatrywał się w niebo i chmury za oknem. Minęło następne pięć minut. Jasna plama światła wciąż powoli przesunęła się po obrazie. Dawało to dziwny efekt, jakby ręce kobiety się roztopiały. Teraz Frank mógł już wyraźnie zobaczyć jej twarz. Była poważna, blada, oczy wpatrywały się prosto w niego, jakby go rozpoznawała.

–Danny! Słyszysz mnie?! – zawołał Neville. Przez chwilę nasłuchiwał, po czym zwrócił się do Franka: – Jest tutaj, ale uważa, że nie może z nami rozmawiać.

–Dlaczego?

Nevile jakby przez chwilę nasłuchiwał, po czym skinął głową.

–Twierdzi, że jeśli zacznie z nami rozmawiać, wpadnie w kłopoty.

–Kłopoty? Jakie kłopoty?

–Mówi, że dookoła jest wiele bólu i tylko jeden sposób, żeby to naprawić.

–Tak, ale o jakie kłopoty mu chodzi?

–Nie jestem pewien, ale mam wrażenie, że ktoś mu grozi.

–Grozi? W świecie duchów? Do diabła, kto mu może tam zagrażać?

–Inne duchy. Mówi, że szukają sposobu, żeby zapanować nad swoim bólem.

–Do diabła, co to znaczy? Czy istnieje jakiś sposób, żebym mógł bezpośrednio z nim porozmawiać?

–Powiedział, że cię kocha. Mówi, że nie chce, żeby przytrafiło ci się coś złego tak jak jemu.

–Dobrze, ale czy mogę sam z nim porozmawiać? Chcę się dowiedzieć, kto mu grozi.

–To jest świat duchów, Frank – odparł Neville. – Nawet jeśli Danny odpowie ci na to pytanie, nic ci to nie da.

Frank powstał.

–Danny! – zawołał. – Czy mnie słyszysz, Danny? No, Danny, ukazałeś się ostatniej nocy, uratowałeś mi życie! Chciałbym cię i teraz zobaczyć, Danny, proszę cię. Albo przynajmniej pozwól mi usłyszeć twój głos!

Nastąpiła cisza, którą przerwał Neville.

–Danny mówi, że nie może z tobą rozmawiać, przynajmniej nie teraz.

–Danny, muszę wiedzieć, co się dzieje! Muszę się dowiedzieć, kto zabił Lizzie i Mo. Muszę wiedzieć, kto zabił ciebie!

Znów cisza, tym razem o wiele dłuższa. Jakaś mucha usiadła na porozrzucanych kartach do gry i zaczęła po nich chodzić. Gdzieś w pobliżu zaczął ujadać pies.

–Już go nie ma – powiedział Neville. Frank popatrzył na zegarek.

–Jedenasta zero pięć. Za pięćdziesiąt pięć minut kolejni nieszczęśnicy wylecą w powietrze. Dobry Boże, Neville, musimy się dowiedzieć, kto za tym stoi.

–Danny nie mógł ci tego powiedzieć, nawet jeśli wie. Mówiłem ci już wcześniej, że duchy nie mogą opowiadać, kto pozbawił ich życia w świecie doczesnym. Nie mogą łamać praw natury.

–Ale, na miłość boską, wkrótce znów zginie mnóstwo niewinnych ludzi! Co to ma wspólnego z prawami natury?

Neville zebrał karty z podłogi.

–Świat nie mógłby istnieć bez sekretów i tajemnic, Frank. Gdybyśmy wiedzieli, co ma się zdarzyć jutro, życie nie miałoby sensu. Wszystko, co utrzymuje nas przy życiu, to nadzieja, prawda? Nadzieja i ciekawość.

Opuściwszy dom Neville'a, Frank pojechał Franklin Avenue w kierunku Cedars. Pomyślał, że może tam, oddychając tym samym powietrzem, którym Danny oddychał w ostatnich chwilach życia, nawiąże z nim kontakt. Zaparkował po drugiej stronie ulicy i wysiadł z samochodu. Ekipa rozbiórkowa rozwalala właśnie resztki tego, co zostało ze szkolnej biblioteki, a poranek rozbrzmiewał głuchym łoskotem młotów pneumatycznych. To właśnie tutaj, zaledwie przed dwoma tygodniami, życie Franka uległo całkowitej i nieodwracalnej odmianie.

–Danny – wyszeptał i spróbował wyobrazić sobie syna wymachującego torbą z książkami. Przed oczyma stanął mu jednak tylko obraz Danny'ego w trumnie, Danny'ego z policzkami czerwonymi jak u lalki.

Chodził po chodniku wzdłuż szkoły prawie przez dwadzieścia minut. Co chwilę patrzył na zegarek. Jeśli Dar Tariki Tariquat miała być wiarygodna, pozostało niecałe piętnaście minut do wybuchu kolejnej bomby.

Z ogromnym łoskotem padła właśnie kolejna ściana i powietrze wypełniło się gęstym pyłem. Frank ujrzał robotnika wyłaniającego się z białej chmury kurzu. Przypomniał sobie, że w taki sam sposób po raz pierwszy ukazała mu się Astrid. Kuśtykała, wychodząc z czarnego dymu po wybuchu bomby. Pod pewnymi względami Astrid zmieniła jego życie bardziej niż bomba, bardziej niż śmierć Danny'ego.

Przypomniał sobie o tym, co pomyślał tamtego ranka. Pomyślał wtedy, że skądś ją zna albo że już ją kiedyś spotkał. Niespodziewanie uzmysłowił sobie, że kobieta, która widziała ją na Gardner Street, powiedziała to samo. Może Astrid miała jedną z tych twarzy, które przypominają ludziom o innych ludziach? Takie sytuacje często się zdarzały w Los Angeles. Przecież nawet Franka już kilkakrotnie nagabywano na ulicy, czy nie jest przypadkiem Johnnym Deppem.

Jeszcze długo stał przed szkołą, rozmyślając. Drobinki szkła wciąż leżały przy krawężniku, a budka pana Lomaksa, strażnika, wciąż była przechylona pod nieprawdopodobnym kątem, jakby kiedyś szarpał nią już dawno zapomniany huragan.

Wsiadł z powrotem do samochodu i pojechał na południe, w kierunku Sunset. Minąwszy kilka przecznic, prowadzących w kierunku zachodnim, dotarł do Orange Grove Avenue* [*Orange Grove Avenue (ang.) – Aleja Drzewek Pomarańczowych (przyp. tłum.)]. Zwolnił. Co Danny powiedział w tej lokomotywie w Traveltown? Szmaragdy... z drzewka pomarańczowe.

Gwałtownie nacisnął na hamulec, sprawiając, że kierowca jadącej za nim ciężarówki oraz mercedesa kabrioletu z całej siły nacisnęli na klaksony. Skręcił w Orange Grove Avenue i powoli ruszył, trzymając się prawego pasa. Nie miał pojęcia, czego szuka, ale towarzyszyło mu dziwne uczucie, że został tutaj przyprowadzony. Czuł także, że znajduje się blisko czegoś ważnego. Szmaragdy i drzewka pomarańczowe. Siedem tysięcy i jedenaście drzewek pomarańczowych.

Dotarł do skrzyżowania z Melrose Avenue. Trafił na czerwone światło, musiał więc poczekać. Dokładnie naprzeciwko niego stał opuszczony kościół z łuszczącą się

kopułą, pomalowaną turkusową farbą. Kościół otoczony był wysokim żelaznym rdzewiejącym płotem, do którego po – przyczepiane były stare, postrzępione plakaty, reklamujące koncerty rockowe i kluby młodzieżowe. Na swoim miejscu wciąż jednak tkwiła tabliczka z informacją, że jest to kościół Świętego Jana Ewangelisty, a jego adres to Orange Grove Avenue numer 7011.

Frank poczuł, że włosy stają mu dęba. Podobnie czuł się w życiu tylko raz – wtedy, gdy na werandzie jego domu ukazał się wizerunek Danny'ego. Szmaragdy, kamienie świętego Jana Ewangelisty. Orange Grove Avenue. Siedem tysięcy i jedenaście. Kiedy światło zmieniło się na zielone, przeciął Melrose i, chociaż z pewnym trudem, znalazł miejsce do zaparkowania samochodu przed samym kościołem, ku niezadowoleniu kobiety, która nadal jechała za nim złotym mercedesem kabrioletem.

–Facet, ty nie powinienes prowadzić nawet wózka na zakupy! – wrzasnęła do niego z wściekłością.

Wysiadł z samochodu i ruszył wzdłuż płotu obwieszzonego plakatami. Od strony Orange Grove Avenue natrafił na prowizoryczną bramę, zamkniętą na kłódkę. Zajrzał przez dziurę, jednak dostrzegł jedynie fragment kamiennych schodów prowadzących do drzwi kościoła i górę śmieci, w tym żelazną ramę łóżka i kilka rozerwanych worków cementu.

Wyciągnął z kieszeni telefon komórkowy i szybko wystukał numer Neville'a. Neville dość długo nie odpowiadał, a kiedy wreszcie się odezwał, można było odnieść wrażenie, że brakuje mu tchu.

–Przepraszam, właśnie pływałem. Frank od razu przeszedł do rzeczy.

–Pamiętasz jak w Traveltown rozmawialiśmy o Dar Tariki Tariquat? Danny powiedział wtedy „szmaragdy i drzewka pomarańczowe” i „siedem tysięcy i jedenaście”.

–Oczywiście.

–Założę się, że nie wiesz, iż dwunastu biblijnych świętych ma własne kamienie i że szmaragdy to kamienie świętego Jana Ewangelisty.

–Nie, nie wiedziałem o tym. No i co?

–Zgadnij, gdzie właśnie jestem.

Sobota, 29 września, godz. 11.59

Siedział w samochodzie, czekając na Neville'a, gdy usłyszał odgłos eksplozji. Był to głuchy łoskot, który doleciał do niego z oddali, z północnego wschodu. Po dwóch minutach reporter KRCW, Kevin Jacobson, przerwał poranny program muzyczny.

–Właśnie odebraliśmy informację o potężnej eksplozji w siedzibie Warner Brothers w Burbank. Zginęło wiele osób, ocenia się także, że mnóstwo ludzi zostało poważnie rannych. W tej chwili nie dysponujemy innymi szczegółami, ale kolejne informacje przekazemy państwu w miarę, jak będą do nas napływać.

Po kilku minutach zza rogu wyłonił się lśniący czarny mercedes Neville'a i zaparkował po przeciwnej stronie Orange Grove Avenue. Wcześniej Frank zdążył jeszcze usłyszeć z radia, że zginęło co najmniej dwadzieścia pięć osób i są „dziesiątki” rannych, wielu w stanie krytycznym. Jakiś rozwścieczony ważniak z Warner Brothers oskarżył policję i FBI o „skrajną nieudolność i niekompetencję w działaniach mających chronić przemysł rozrywkowy”.

Należąca do Warner Brothers „French Street” została niemal całkowicie zniszczona w wyniku wybuchu tysiąca pięciuset funtów C4, umieszczonego w furgonetce. Reżyser John Portman został oślepiony, a aktorka Nina Ballantine straciła obie nogi. Wybuch urwał głowy co najmniej pięciu statystom.

Nevile podszedł do Franka z marsowym wyrazem twarzy.

–Pewnie już słyszałeś wiadomości? – odezwał się Frank.

–Tak – odparł Neville ponuro. – I możesz mi wierzyć, oni nie zamierzają na tym poprzestać. Będą podkładać bomby tak długo, dopóki nie otrzymają tego, czego chcą. Tak samo było z IRA, kiedy pracowałem w Irlandii Północnej. To samo pokrętnie myślenie. Terrorysty uważają, że to, co robią, jest usprawiedliwione, a za wszystkie ofiary winią przemysł rozrywkowy, który nie spełnia ich żądań. „Patrzcie, do czego nas zmusiliście”, wołają. Co gorsza, wierzą, że po swojej stronie mają Boga. Powiem ci coś, Frank, zanim to wszystko się skończy, zginie jeszcze wielu ludzi.

Obeszli dookoła kościół Świętego Jana Ewangelisty, od czasu do czasu potrząsając zardzewiałym ogrodzeniem, by się przekonać, czy w jakimś miejscu jest na tyle luźne, żeby mogli przedostać się do środka. W końcu doszli do wniosku, że najlepiej będzie, jeśli rozerwą kłódkę zamykającą bramę.

–Łyżka do kół? – zapytał Neville, a Frank otworzył bagażnik samochodu.

Frank stanął na czatach, a Neville włożył łyżkę w kłódkę i zaczął nią kręcić. Powoli minął ich radiowóz policyjny. Jeden z funkcjonariuszy popatrzył na Franka, jakby go brał za dealera narkotyków, handlującego na rogu ulicy, on jednak, udając zniecierpliwienie, popatrzył na zegarek, a następnie w dół ulicy, jakby czekał na kogoś, kto mocno się spóźnia. Policjanci pojechali dalej. Kłódka puściła wreszcie z trzaskiem przypominającym wystrzał z pistoletu i Neville zdołał otworzyć drzwi.

Zanim dotarli do schodów, z trudem przebrnęli przez śmieci. Większość witraży w oknach była powybijana. Na drzwiach kościoła widniały kolorowe graffiti. Swoje wypisane sprayem wizytówki pozostawili DE SKUL, MARMADUKE, UNCLE HORRIBLE i SENOR MEAT.

Razem wspięli się po schodach. Potężne dębowe drzwi były zamknięte na klucz. Neville przyłożył do nich płasko dłonie i zamknął oczy.

–Jakieś wibracje? – zapytał go Frank.

–Mnóstwo. Mnóstwo wibracji, mnóstwo uczuć... Nie uwierzyłbyś, ile tu jest nienawiści. Jeszcze nigdy w żadnym budynku czegoś takiego nie czułem. A to przecież jest kościół.

–Sądziś, że tutaj mogą się ukrywać ci z Dar Tariki Tariquat?

–Bardzo bym się zdziwił, gdyby było inaczej. Boże, ile tutaj jest bólu, cierpienia, desperacji...

Frank cofnął się kilka kroków.

–Problem w tym, jak dostaniemy się do środka – powiedział.

–Może znajdziemy jakieś tylne wejście?

Ruszyli wąską alejką, która oddzielała kościół od sąsiadującego z nim warsztatu wulkanizacyjnego. Zza ogrodzenia słyszeli stukot młotków i syk powietrza, wypuszczanego z kół. W połowie alejki Neville powiedział:

–Spróbujmy tędy.

Frank ujrzał małe zapomniane okienko piwniczne, którego szyba wzmocniona była drucianą siatką. Neville wsunął łyżkę do opon pod futrynę i kilkoma energicznymi ruchami wyrwał ją razem z szybą. Drugą część wepchnął do piwnicy silnym kopniakiem. Frank usłyszał, jak szkło rozbija się na betonowej posadzce piwnicy.

–Mógłbyś być włamywaczem – powiedział do Neville'a.

–Nie da się z tego wyżyć.

Neville wsunął się w zniszczone okno i na chwilę zniknął Frankowi z pola widzenia.

–Wszystko w porządku – zawołał po chwili. – Trzeba tylko skoczyć sześć stóp w dół.

Frank popatrzył w lewo i w prawo, żeby się upewnić, czy nikt go nie obserwuje, po czym także precyzyjnie przesunął się przez okienko i skoczył na posadzkę piwnicy.

–Cholera, skaleczyłem się – syknął. Popatrzył w górę i ujrzał pojedynczy fragment szkła, poplamiony jego krwią.

–Poczekaj. – Neville wyciągnął z kieszeni białą chusteczkę i starannie owinął kciuk Franka. – Możesz dziękować mojej mamie. Nigdy nie pozwalała mi wyjść z domu bez chusteczki i pieniędzy na bilet autobusowy.

W miarę jak ich oczy zaczynały się przystosowywać do słabego światła, odkrywali, że piwnica wypełniona jest składanymi drewnianymi krzesłami i innymi meblami, a także fragmentami pomalowanej drewnianej boazerii, przykrytej płachtami materiałów, żeby nie osiadał na niej kurz. Jedna ze szmat spadła i za jednym z krzesel, niczym za kratami więzienia, ukazało się oskarżycielskie oblicze Poncjusza Piłata. Neville przeszedł przez piwnicę i otworzył drzwi.

–Wspaniale. A już się bałem, że będą zamknięte na klucz.

Ruszyli gęsiego po wąskich ceglanych schodach i po chwili znaleźli się w kościele. Nie było tu ławek, ołtarza ani chrzcielnicy. Z wysoka wpadały do środka promienie słońca, jasne smugi przecinały półmrok. W tym oświetleniu można było dojrzeć dziesiątki metalowych pudeł w kolorze zgniłej zieleni, liny, koła do ciężarówek, śpiwory, butelki z wodą oraz wszelkie inne akcesoria, w tym przenośny generator dieslowski i kabestanową tokarkę.

Powoli ruszyli wzdłuż głównej nawy. Gryzący zapach nitroglikolu sprawiał, że łzawiły im oczy.

–Popatrz na to – powiedział Neville. – Cyklonit, trotyl, bloki dynamitu, plastik. Tutaj jest tyle materiałów wybuchowych, że można by zrównać z ziemią ze dwadzieścia bloków mieszkalnych.

–Jestem zdziwiony, że nikt tego nie pilnuje.

–A po co? Kto by szukał składu broni w opustoszałym kościele? Widziałem coś takiego także w Belfaście. Mała wiejska kaplica wypełniona była po sufit skrzyniami z karabinami AK47 i semteksem. A tutaj? Wszystko chroni jedynie stary zardzewiały zamek, a jednak nie natrafilibyśmy na to znalezisko bez podpowiedzi.

Frank zaczął myszковать w innej stercie metalowych skrzyń. Niektóre z nich były otwarte.

–Detonatory, zapalniki, przełączniki, zegary... A to co takiego?

Za skrzyniami leżało na stercie przynajmniej dziesięć błękitnych kamizelek. Każda miała wszyte z przodu i z tyłu głębokie kieszenie. Kieszenie trzech kamizelek były już wypełnione wielkimi kawałami jakiegoś tłustego materiału o kolorze gliny.

–Hej, nie podchodź do tego – ostrzegł Neville. – To szyte na miarę kamizelki dla zamachowców samobójców. Dziesięć funtów materiału wybuchowego w każdej kieszeni, razem z metalowymi kulkami.

–Jezu – jęknął Frank. – Ci ludzie muszą być kompletnie szaleni. Postradali rozum.

Jednak rozglądając się wokół, musiał sam przed sobą przyznać, że tych wszystkich skrzyń z materiałami wybuchowymi wcale nie zgromadził szaleniec i to czyniło znalezisko jeszcze bardziej przerażającym. To nie miało nic wspólnego z szaleństwem. Zionęło stąd czystą, niczym nie skażoną nienawiścią. Zaczynał rozumieć, co poczuł Neville, kiedy przyłożył dłonie do drzwi i powiedział, że w tym

miejscu zgromadziło się zło.

–Chyba już czas, żebyśmy wezwali policję – powiedział. – Nie sądzisz?

–Nie stąd. I nie z telefonu komórkowego. Chyba że chcesz, żebyśmy skończyli życie, porozrywani na miliony kawałków.

Ruszyli z powrotem do piwnicy. Już po kilku krokach usłyszeli szcęk kluczy w zamku. Odwrócili się i ujrzeli, że główne drzwi do kościoła się otwierają, a do środka wchodzi młody, wysoki mężczyzna. Miał długie rozwichrzone włosy, brodę i zakrzywiony orli nos. Ubrany był w luźną płócienną koszulę i postrzępione dżinsy. Kiedy ich zobaczył, zatrzymał się i zmarszczył czoło.

Przez chwilę wszyscy trzej stali bez ruchu. Ale zaraz młodzieniec odwrócił się i natychmiast zniknął za drzwiami. Frank ruszył za nim. Przebiegł przez kościół, wybiegł na zewnątrz i zaczął zbiegać po kamiennych schodach. Na jednym ze stopni potknął się i wpadł na żelazne ogrodzenie. Kiedy się pozbierał i wybiegł na ulicę, młody mężczyzna zniknął właśnie za rogiem.

Pobiegł za nim, mimo że miał stłuczone ramię i bolało go kolano. Zobaczył mężczyznę w połowie drogi do Fairfax Avenue. Uciekał jak oszalały z rozwianymi włosami. Jednak Frank nie zamierzał mu odpuścić. Kolano bolało go tak mocno, że co kilka kroków głośno przeklinał z bólu. Ale przecież zawsze dbał o kondycję, był wysportowany, tak że zanim uciekinier dotarł do Fairfax, Frank znacznie się do niego zbliżył.

Młody człowiek wybiegł na jezdnię z wyciągniętymi rękami, by powstrzymać zbliżające się samochody. Nie udało mu się. Jakaś taksówka z dużą szybkością przejechała skrzyżowanie na żółtym świetle. Młodzieniec nie zdążył w porę uskoczyć i samochód skośnie uderzył go bocznym lusterkiem. W tym samym momencie rozległ się jego krzyk i pisk opon. Chłopak padł całym ciałem na stojącą przy krawężniku furgonetkę, zachwiał się i przewrócił na jezdnię. Spróbował wstać, ale Frank w porę wybiegł zza furgonetki i chwycił go za koszulę.

–No, dobra, Jezus. Dorwałem cię!

–Nazywa się John Frederick Kellner – powiedział porucznik Chessman, kończąc taco z kurczakiem i zacierając ręce. – Dwadzieścia sześć lat, projektant sieci komputerowych. Pochodzi z Redondo Beach. Na razie milczy, ale rozmawialiśmy już z jego matką i siostrą bliźniaczką.

–Czy miały pojęcie, w co jest zamieszany? – zapytał Frank.

–Już od szkoły średniej miał radykalne poglądy. A to walczył o prawa zwierząt, a to o pokój, a to o zniszczenie broni nuklearnej i inne tego typu brednie. Ale matka nie widziała go od roku.

–Co z jego dzieciństwem? – zapytał Neville.

–Jego ojciec opuścił rodzinę, kiedy chłopak miał pięć lat. Od siódmego do trzynastego roku życia mieszkał u wujka i ciotki. Zabrano go stamtąd wkrótce po trzynastych urodzinach, ponieważ na wujka padło podejrzenie, że go molestuje. Do kwietnia ubiegłego roku regularnie był leczony w Westwood Center. Rozpoznano u niego zaburzenia lękowe.

–A więc mamy do czynienia z kolejną ofiarą molestowania – zauważył Neville. –

Wszystko wskazuje na to, że moja teoria jest trafna.

–Nie przyznał się, że jest członkiem Dar Tariki Tariquat – zauważył porucznik Chessman. – Ale, owszem, jest ofiarą maltretowania i miał dostęp do materiałów wybuchowych, które, mamy co do tego dziewięćdziesiąt dziewięć procent pewności, należą do organizacji Dar Tariki Tariquat. Zatem tak, w tej chwili pańska teoria wygląda na całkiem słuszną.

Siedzieli w gabinecie porucznika Chessmana w komisariacie policji w Hollywood przy North Wilcox Avenue. W całym budynku panował nieprawdopodobny chaos. Bez przerwy dzwoniły telefony, ludzie kłócili się i krzyczeli, a korytarze pełne były zabieganych policjantów i natrętnych jak muchy dziennikarzy. Furgonetki stacji telewizyjnych parkowały w dwóch rzędach na ulicy przed komisariatem, a wszystkich możliwych drzwi w budynku strzegli funkcjonariusze z oddziałów antyterrorystycznych. Kellnera, z zachowaniem nadzwyczajnych środków bezpieczeństwa, przesłuchiwały całe zastępy policyjnych detektywów oraz specjaliści agencji FBI i CIA.

Frank, Neville i porucznik Chessman jeszcze rozmawiali, kiedy, dokładnie o osiemnastej, w programach informacyjnych wszystkich telewizji wystąpił komisarz Marvin Campbell. Sprawiał wrażenie zadowolonego, pewnego siebie i wreszcie trochę rozluźnionego.

–Oczywiście, za wcześnie jest jeszcze, by stwierdzić, że zagrożenie minęło, jednak w dniu dzisiejszym siły odpowiedzialne za prawo i porządek zadały mocny cios terrorystom, którzy zagrażają naszemu miastu, naszej wolności wypowiedzi oraz naszemu życiu i zdrowiu. Eksperci z dziedziny materiałów wybuchowych właśnie usunęli znaczne ilości takich materiałów z kościoła Świętego Jana Ewangelisty. Wszystkie zostaną dokładnie zbadane. Jednak już teraz bez większych wątpliwości mogę powiedzieć, że ich skład chemiczny jest taki sam jak skład chemiczny materiałów wybuchowych, które zostały użyte do wywołania eksplozji w Cedars, studiach Universalu, Fox, Disney a czy wreszcie Warner Brothers.

Komisarz Campbell odmówił odpowiedzi na pytanie, w jaki sposób natrafiono na magazyn w kościele.

–Mogę państwu jedynie powiedzieć, że policja z Los Angeles, we współpracy z FBI i innymi agencjami, wykonała ogromną pracę wywiadowczą. Nie szczędziliśmy sił ani środków, wykazaliśmy się najwyższą kompetencją, a w konkretnych przypadkach – niemal cudowną inspiracją.

–Inaczej mówiąc – zauważył Neville kąśliwie – nie zrobili nic.

W ciągu następnych kilku godzin Dar Tariki Tariquat coraz bardziej pękała w szwach. Eksperci FBI przejrzeni komputer Johna Kellnera i stwierdzili, że przed trzema laty załogował się on do internetowej grupy dyskusyjnej noszącej nazwę „Biczowany koń”. Grupa rzekomo wspierała ofiary wszelkiego molestowania – bite dzieci, ofiary przemocy domowej, gwałtów i innych form przemocy seksualnej. W przeciwieństwie do innych związków tego typu, nie proponowali oni jednak ukojenia i pociechy ani fachowych porad. Oferowali natomiast coś innego, bardziej ekscytującego i wyzwalającego: szansę na dokonanie zemsty.

Ofiary molestowania zachęcano do odgrywania się na ludziach, którzy uczynili ich życie piekłem. Mogli to robić, natrętnie oferując swoim byłym prześladowcom, na przykład, kupno pizzy, zamawiając im taksówki albo jakiś nadzwyczaj atrakcyjny towar za pośrednictwem poczty. I tak dzień za dniem, tydzień za tygodniem. Ale mogli też zaśmiecać ich komputery biurowe dziecięcą pornografią. Albo stawiać pod znakiem zapytania ich kariery zawodowe, dzwoniąc do pracodawców z oskarżeniami o różne nielegalne działania.

„Zamieniajcie ich skarby w śmieci!” – głosiła strona internetowa „Biczowanego konia”. „Niszczcie ich domy, róbcie dziury w ich trawnikach, podpalajcie ich samochody. Po tym, co wyczyniali z wami, nie zasługują na nic lepszego. A przy okazji karę poniesie także społeczeństwo za przymykanie oczu na wasze cierpienia”.

Członków „Biczowanego konia”, którzy zdołali zemścić się w jakiś sposób na swoich prześladowcach, proszono o pisanie o tym listów, pod specjalny bezpieczny adres e-mailowy. Mieli w nich dokładnie opisywać, co zrobili, jak wyglądała ich zemsta. „Bez ogródek, soczyście, ze szczegółami. Wszyscy powinniśmy się cieszyć cierpieniami tych drani”. Osoby, których zemsta była najbardziej wyrafinowana, zapraszane były do uczestnictwa w „wewnętrznym sanktuarium”.

„Wewnętrzne sanktuarium będzie odbywało regularne spotkania w celu wynajdywania najbardziej efektywnych kar dla wszelkiego rodzaju prześladowców, a także dla osób, które staną się prześladowcami przez przeoczenie, poprzez udawanie, iż maltretowanie nie istnieje, a życie każdego bez wyjątku człowieka jest pasmem szczęścia i radości. Po raz pierwszy ofiary maltretowania mogą pokazać światu, jak to jest, kiedy życie człowieka niszczy się w sposób niemożliwy do naprawienia, kiedy zabiera mu się duszę. Po raz pierwszy w historii ofiarom maltretowania proponujemy ścieżkę w ciemności”.

Dar Tariki Tariquat. W ciemności ścieżka.

Następnego ranka, o godzinie dziewiętej dwadzieścia siedem, Franka obudził telefon. Usłyszał Neville’a.

–Znaleziono listę członków Dar Tariki Tariquat. Są na niej między innymi wszyscy ludzie, którzy spełnili rolę zamachowców samobójców. Jest Richard Haze Abbott, Alexander Sutter, chłopak i dziewczyna, którzy wysadzili Cedars, jednym słowem wszyscy. Policjanci dokonali już kilku aresztowań, ale przynajmniej siedemnaście osób pozostaje na wolności. To prawdopodobnie oni podłożą następne bomby.

–Czy mają podejrzenia, kto za tym wszystkim stoi?

–Jak dotąd nie. FBI przez całą noc przesłuchiwała Johna Kellnera. Są przekonani, że on tego nie wie.

–A może to ty powinieneś z nim porozmawiać, wczuć się w otaczającą go atmosferę?

–Zasugerowałem to. Na razie jednak wszystkie służby jakby nabrały wody w usta. Niechętnie odbierają moje telefony i tym podobne sprawy, sam rozumiesz. Sądzę, że są niezbyt szczęśliwi, iż to my znaleźliśmy magazyn materiałów wybuchowych. Chyba nie chcą, żeby jakaś gazeta wyskoczyła z artykułem *Brytyjski mistyk i komediowy scenarzysta telewizyjny wpadają na ślad terrorystów*. Nie wpłynęłoby to

dobrze na ich wizerunek, nie uważasz?

Frank podrapał się po głowie.

–Powiedz mi, kto wysadził w powietrze Cedars?

–Dwudziestosześcioletni artysta, niejaki Gerry Francovini z zachodniego Hollywood, i dwudziestoczteroletnia dziewczyna, Tori Fisher z Palo Alto. Była modelką, czy kimś takim.

–Sami byli prawie dzieciakami.

–Prawda. Ale to ich nie usprawiedliwia.

–W sumie nie obchodzi mnie, kim byli ani co zrobili. Teraz chcę wiedzieć, kto ich tam wysłał.

Dziesięć minut później znów zadzwonił telefon. To była Astrid.

–Chciałbyś się spotkać ze mną dziś po południu? – zapytała.

–Zgoda. Może postawiłbym ci lunch? Chwilowo mieszkam u siostry. Przenoszę się, co prawda, do Franklin Plaża, ale mój pokój będzie gotowy dopiero o trzeciej.

–Przykro mi, Frank, ale obiecałam już, że zjem lunch z przyjaciółką.

–Nie możesz jej odmówić?

–Przepraszam, Frank, ale nie mogę. Zobaczymy się dziś o piętnastej trzydzieści, dobrze?

–Astrid, zanim odwieszysz słuchawkę, chciałbym ci zadać pytanie na temat twojego pierścionka. Wiesz, tego, który podarował ci ojciec, ze szmaragdem. Kamieniem świętego Jana Ewangelisty. Widzisz, zaistniała taka zbieżność...

Nie zdołał powiedzieć nic więcej, ponieważ Astrid przerwała połączenie. Przez długą chwilę wpatrywał się w słuchawkę, tak jakby się spodziewał, że się do niego odezwie i udzieli mu odpowiedzi na wszystkie nurtujące go pytania. Wreszcie Carol zawołała ze schodów, że śniadanie już jest gotowe, odłożył więc słuchawkę i poszedł wziąć prysznic.

Namydlając się, myślał o tym, że tęskni za Margot, ale tak naprawdę pragnie Astrid. Nie potrafił odegnąć od siebie wspomnienia zapachu jej ciała, krągłości jej bioder, uwodzicielskiego spojrzenia. Neville uważał ją za niebezpieczną, a to jedynie czyniło ją dla Franka bardziej pociągającą.

Zabrał Carol i Smitty'ego na zenburgery do lyashinbou w Century City. Chciał chociaż w ten sposób podziękować im za gościnę. Carol protestowała, mówiąc, że mógłby przecież mieszkać u niej i Smitty'ego tak długo, jak długo by chciał, i nic nie musiałby płacić, jeśli od czasu do czasu zająłby się trochę dziećmi. Ale Frank nie chciał ryzykować, że pewnego dnia znów wpadną na jego trop fałszywi policjanci i włamią się do domu, zaczną strzelać i zrobią krzywdę dzieciom.

lyashinbou zawsze było miejscem nienaturalnie chłodnym, dostojnym i cichym. Sadzawki w starannie zagrabionym ogrodzie były pełne leniwie pływających karpi. Jednak tego ranka atmosfera w całym Hollywood była znacznie bardziej swobodna niż zazwyczaj. Zagrożenie wybuchami minęło, a przerażająca Dar Tariki Tariquat okazała się niczym więcej niż zbieraniną pałających zemstą, skrzywdzonych dzieciaków. Ludzie nie potrafili zrozumieć islamskich fundamentalistów, potrafili jednak zrozumieć skrzywdzone dzieci. Szybko więc pojęli, dlaczego wybrały drogę, którą obrał Timothy McVeigh. Kiwali więc głowami nad ich smutnym losem, ale dalecy byli od wybaczenia, szczególnie ci, których ulubione programy zniknęły z ekranów na zawsze. W gruncie rzeczy cała sprawa skończyła się tak, jak powinien się kończyć dobrze skonstruowany film. Zresztą, kilku scenarzystów już zabrało się do pisania scenariuszy o ostatnich wydarzeniach, a do roli komisarza Campbella już typowano Morgana Freemana.

–Jeśli o mnie chodzi, o wszystko winie Internet – powiedział Smitty. Był ubrany w purpurowy sweter i luźne spodnie wojskowe. – Zanim powstał Internet, jeden skrzywdzony dzieciak nie miał możliwości skontaktowania się z innym skrzywdzonym dzieciakiem. Wszyscy ci nieszczęśnicy istnieli osobno, każdy wypłakiwał swoje żale we własną poduszkę. Ale kiedy pojawił się Internet, wszystko się nagle zmieniło, dzieciaki połączyły się i niespodziewanie te pojedyncze żale stały się piekielnym zagrożeniem dla niewinnych, niczego nieświadomych ludzi.

–A ja bardzo współczuję tym młodym ludziom. Wiem, że właściwie nie muszę, biorąc pod uwagę to, co zrobili, a jednak im współczuję. Byli bici, wykorzystywani seksualnie i Bóg wie, co jeszcze, a świat tego nie zauważał. Wiem, że wszyscy zapłaciliśmy za to straszną cenę, może jednak dzięki temu zmienią się niektóre postawy – podsumowała Carol.

–Ja poproszę burgera teppanyaki z bakłażanami – znów odezwał się Smitty. – I kufel zimnego sapporo, żeby mi się dobrze ułożył w żołądku.

Frank i Carol zamówili to samo: burgery yakitori z kurczakiem i kulki ryżowe w occie. Frank wybrał właśnie lyashinbou, ponieważ była to ulubiona restauracja Mo, oczywiście jeśli nie brać pod uwagę Shalom Pizza na West Pico. Pomysł, żeby otworzyć w Hollywood japońską restaurację z hamburgerami, zyskał w umyśle Mo wymiar totalnego absurdu. Absurd ten i sama restauracja spodobały mu się jeszcze bardziej, kiedy się dowiedział, że „lyashinbou” znaczy tyle co „zachłanne trzewia”.

Kiedy czekali na posiłek, Carol niespodziewanie dotknęła dłoni Franka.

–Musisz pewnie czuć, że w historii Danny'ego zamknął się właśnie ostatni rozdział. Tym bardziej, że to ty natrafiłeś na zamachowców.

–Jeszcze nie wiem. Musimy jeszcze się dowiedzieć, kto to zorganizował, kto za to zapłacił. Przecież garstka amatorów nie mogła sama z siebie wysadzić połowy Hollywood, niezależnie od tego, czy używała Internetu czy nie. Tym bardziej nie mogła tego zrobić garstka emocjonalnie zniszczonych ludzi zrzeszonych w Dar Tariki Tariquat.

–Wiesz co? – wtrącił Smitty, – Dzisiaj żyjemy w zupełnie innym świecie niż dawniej. Kiedy byliśmy młodzi, kogo z nas interesował islam? Nikogo. Mieliśmy to gdzieś. Zresztą nawet nie wiedzieliśmy, że coś takiego istnieje. A teraz musimy z tym islamem postępować jak z jajkiem. To samo z gejami. To samo z wegetarianami. To samo z pediatrami.

–Chyba masz na myśli pedofilów?

–Jak ich zwał, tak zwał.

Smitty wciąż mruzczał coś o politycznej poprawności, gdy Frank nagle ujrzał na placu przed restauracją znajomą sylwetkę. Szyby w lyashinbou były metalicznie szare, więc nie mógł widzieć wyraźnie. A jednak rozpoznawał baseballową czapkę z długim daszkiem, długie, postrzępione bordowe spodenki do kolan, widział także psa, prowadzonego na bardzo długiej smyczy. Kiedy mężczyzna podszedł bliżej, zatrzymał się. Po chwili ostrożnie zajrzał przez szybę do środka, a przecież z zewnątrz w oknie można było zobaczyć jedynie własne odbicie.

–Też zauważyłeś tego starucha? – zapytał Smitty. – Ma chyba w oczach promienie Roentgena.

Jednak Frank bez słowa wstał, odłożył serwetkę i wyszedł na zewnątrz. Przed restauracją było gorąco i jasno, chociaż lekki wietrzyk poruszał luźnymi spodenkami na chudych, pokrytych strupami kolanach starca.

–Cześć, Frank. – Stary człowiek uśmiechnął się. – Jak ci leci? Z przykrością dowiedziałem się o śmierci twoich przyjaciół.

–Powiedz mi, co powinienem teraz zrobić.

Starzec wzruszył ramionami.

–Cholera, rób to, na co masz ochotę. Taka jest moja sugestia.

–Nie, nie. Jeśli chodzi o moje przeznaczenie, wydajesz się ekspertem. Powiedz mi.

Starzec potrząsnął przecząco głową.

–Już podjąłeś decyzję, Frank. Przeszedłeś przez próg i znajdujesz się po drugiej stronie. Nie ma już drogi powrotu, przecież to wiesz. Uważaj jednak na każdy krok. Nigdy nie będziesz wiedział, co trafi cię za chwilę.

–Na przykład?

–Oglądasz czasami kreskówki, Frank? Idziesz sobie ulicą w najlepszym garniturze, z kwiatkiem w butonierce, od czasu do czasu wesoło podskakując, gdy nagle od budynku odrywa się kawał tynku i przygniata cię do trotuaru. Albo siedzisz w domu z sześciopakiem piwa i oglądasz telewizję. Nagle ktoś puka do drzwi, a kiedy je otwierasz, widzisz lokomotywę Union Pacific, pędzącą na ciebie z pełną prędkością.

–Nie rozumiem.

–Chcę ci jedynie powiedzieć, żebyś na siebie uważał. Patrz do góry, ale także

przed siebie i za siebie. I zawsze pytaj „kto tam”, zanim otworzysz drzwi. Hmm... Sądzę, że tej szczególnej lekcji już się nauczyłeś.

–Czy to jest ostrzeżenie?

–Można to tak ująć. Ktoś mi kiedyś powiedział, że człowiek może wrzucić podłączony toster do wanny, w której się kąpie, i wbrew temu, czego się spodziewa, nie zostanie porażony prądem. Nigdy tego jednak sam nie próbowałem.

Frank miał mu już powiedzieć, że to oczywiste, gdyż śmierdzi, jakby się nie kąpał od urodzenia, jednak w tym samym momencie dotarł do jego uszu głośny odgłos eksplozji. Dobiegł ze wschodu, z odległości nie większej niż trzy mile. Wszyscy przechodnie zatrzymali się, unieśli głowy i w przerażeniu pootwierali usta. Nastąpiło pięć sekund całkowitej ciszy, po czym odgłos eksplozji zaczął odbijać się echem w górach.

–Tak na oko, to chyba wybuchło w CBS, w Television City – powiedział starzec i pociągnął nosem.

Z restauracji wybiegł Smitty. Tuż za nim pojawiła się Carol i kilkoro innych gości oraz trzech japońskich kelnerów.

–Jezu Chryste – jęknął Smitty. – To była następna bomba, prawda? A przecież ledwie przed chwilą powiedziałeś, że to już koniec.

Frank popatrzył na zegarek. Była dokładnie minuta po południu. Wyglądało na to, że Dar Tariki Tariquat zamierza podkładać bomby dopóty, dopóki nie zginie ostatni członek organizacji.

Jakaś kobieta stojąca za Frankiem zaczęła łkać. Nic innego nie można było zrobić. Frank rozejrzał się dookoła, ale starca już przy nim nie było. Dostrzegł jedynie psa znikającego za rogiem.

Znalazłszy się w pokoju w hotelu Franklin Plaża, rzucił na łóżko walizki, po czym zamknął za sobą drzwi. Lampka automatycznej sekretarki migiała, wskazując, że ktoś już pozostawił dla niego wiadomość. Nacisnął guzik, by ją odsłuchać, po czym zaczął szukać w papierowej torbie piwa, które kupił w supermarkecie.

–Panie Bell, przy telefonie porucznik Chessman. Próbowałem się do pana dodzwonić, ale telefon był zajęty. Chciałbym, żeby się pan dowiedział, iż dziś rano rozmawiałem z Charlesem Lasserem. Muszę panu powiedzieć, że był gotów do daleko idącej współpracy, zaprzeczył jednak, by kiedykolwiek znał kobietę o imieniu Astrid. W gruncie rzeczy stwierdził, że nigdy nie traktował źle żadnej kobiety. – Kaszel, szelest papieru. – Pan Lasser gotów jest przyznać, że nazwał pana „robakiem”, zauważył jednak, że bez przerwy nachodzą go dziennikarze i inni ludzie, którzy chcą uzyskać od niego jakieś pieniądze lub prosić o przysługi. Spotkawszy pana, odniósł wrażenie, że jest pan jednym z takich ludzi. W końcu wdarł się pan do jego biura nie zaproszony, prawda?

Pan Lasser bardzo nam pomógł w tym, by jak najszybciej położyć kres tragicznym wybuchom, które zagrażały naszemu miastu. Opowiedziałem mu o pańskiej cennej roli w odszukaniu składu materiałów wybuchowych należących do Dar Tariki Tariquat. Odniosłem wrażenie, że usłyszawszy to, bardzo się ucieszył. Jeśli uda nam się postawić przed sądem ludzi, których aresztowaliśmy, może się pan

spodziewać dużej nagrody. Zadzwoń do pana później, panie Bell. Tymczasem nie kłopotałbym się więcej panem Lasserem. Niech pan mi wierzy, to dobry człowiek.

Wiadomość została nagrana o godzinie jedenastej czterdzieści osiem, a więc trzynaście minut przed eksplozją ostatniej bomby. Stary człowiek miał rację, tym razem celem zamachowców była stacja CBS i jej Television City. Doliczono się dwudziestu dwóch ofiar śmiertelnych, siedemnastu osób dorosłych i pięciorga dzieci. Ponad trzydzieści osób zostało poważnie rannych.

Frank wyszedł z piwem na balkon. Z oddali słyhać było odgłosy syren ambulansów, a nad Beverly Boulevard wciąż unosiła się smuga dymu. Poza wyjącmi syrenami Hollywood było jednak bardzo spokojne, niemal pogrążone w ciszy. Ludzie bali się wychodzić z domów, bali się nawet mówić.

W końcu zadzwonił telefon.

–Pan Bell? Mówi Marcia z recepcji. Jest tutaj jakaś kobieta i pyta o pana. Prawdę mówiąc, jest w kiepskim stanie.

Frank pośpieszył do hallu. Kobieta siedziała na jednym z krzeseł przy drzwiach frontowych i ukrywała głowę w dłoniach. Pochylona nad nią recepcjonistka dotykała jej czoła zakrwawioną chusteczką. Obok stał kierowca taksówki, Meksykanin z opadającymi smutno wąsami. Wyglądał na zrozpaczonego.

–Co się stało? – zapytał Frank.

Kobieta podniosła głowę. To była Astrid. We włosach miała zaschniętą krew, wszystko wskazywało też na to, że ma złamany nos. Ubrana była w jasnozieloną bluzkę, całą we krwi. Ślady krwi znajdowały się też na jej wysokich butach.

–Zabrałem ją sprzed Star-TV – powiedział taksówkarz. – Chciałem zawieźć ją prosto do szpitala, ale zażądała, żeby zabrać ją tutaj.

–W porządku, dobrze pan zrobił – odparł Frank. – Astrid, co się stało? Astrid, na miłość boską, czy to zrobił Lasser?

–Chciałem ją zawieźć do szpitala – powtórzył taksówkarz. – Nie pozwoliła mi. Mówiła: „Franklin Plaza, wieź mnie do Franklin Plaza”.

–W porządku, dziękuję – powiedział Frank i wręczył mu dwie dwudziestki oraz dziesiątkę.

–Nie proszę o pieniądze. Próbowałem postąpić jak dobry Samarytanin, to wszystko. Żaden inny taksówkarz nie chciał jej wieźć. Wyglądała, jakby wybiegła z planu filmu Piątek, trzynastego, jeśli pan rozumie, co mam na myśli.

–Czy mam wezwać ambulans? – zapytała recepcjonistka.

–Nie, jeszcze nie – odpowiedział Frank. – Niech mi pani pomoże zabrać ją do mojego pokoju. Tam ją umyję. Dziękuję za to, co pani zrobiła do tej pory.

–Wygląda, jakby walczyła z Godzillą.

–Rzeczywiście, wydarzyło się coś właśnie w tym rodzaju.

Astrid zamrugła oczyma.

–Frank – powiedziała ochryplym głosem. – Czy to ty?

–Chodź, kochanie, zabiorę cię na górę. Czy możesz chodzić?

Frank objął ją ramieniem i pomógł powstać na nogi. Straciła równowagę i nieomal upadła, jednak recepcjonistka chwyciła ją za rękę. Frank spróbował namówić Astrid,

żeby powoli ruszyła po schodach, jednak kolana uginały się pod nią i w końcu musiał ją wziąć na ręce. Była zaskakująco lekka, niewiele cięższa od dziecka, tak że bez trudu wniósł ją do windy.

–Niech pan zadzwoni, jeśli będzie pan potrzebował pomocy – powiedziała recepcjonistka.

–Oczywiście. Jeszcze raz pani dziękuję. Astrid ukryła twarz na jego piersiach.

–Już myślałam, że cię nigdy nie odnajdę – szepnęła.

–Jednak mnie znalazłaś. Wszystko będzie dobrze.

–To drań. – Rozkaszała się.

Przeniósł ją do swojego apartamentu i położył na kanapie obitej materiałem w drzewa palmowe. Jej głowę oparł wysoko na poduszkach. Następnie poszedł do łazienki i wrócił z ręcznikiem zmoczonym w zimnej wodzie. Delikatnie starł z twarzy Astrid krew. Potem wypłukał ręcznik, złożył go i przyłożył jej do nosa.

Wpatrywała się w niego bladoniebieskimi oczyma, nawet nimi nie mrugając.

–Wymień chociaż jeden ważny powód, dla którego do niego wróciłaś – zażądał. – Tylko jeden.

–Nie muszę się przed nikim tłumaczyć, Frank. Nawet przed tobą.

–Do cholery, Astrid, on ci złamał nos!

–Wiem. Chyba mam też pęknięte żebra.

–Dlaczego, do diabła, do niego poszłaś? Nie mogę tego zrozumieć. Jesteś piękna, jesteś inteligentna, możesz tak wiele czerpać z tego świata. A ty pozwalasz jakiemuś śmieciowi bić cię na miazgę. Kim ty jesteś, masochistką?

Astrid nadal się w niego wpatrywała.

–Nawet jeśli nią jestem, to moja sprawa, nie sądzisz?

–Nie, to nie jest tylko twoja sprawa. Przyjechałaś tutaj, ponieważ potrzebujesz mojej pomocy. A więc to także moja sprawa. Obiecałem Charlesowi Lasserowi, że jeśli tknie cię jeszcze raz, to mi za to drogo zapłaci. Mam zamiar dotrzymać słowa.

Zerwała ręcznik z twarzy.

–Frank, nie wiesz, w co byś się wpakował!

–Więc ty mi powiedz w co. Powiedz mi. W co się pakuję? Wygląda na to, że już od naszego pierwszego spotkania to ty chcesz mnie w coś wpakować. Do cholery, o co ci chodzi?

Astrid milczała, Frank jednak odniósł wrażenie, że po tym wybuchu pojawił się na jej twarzy jakiś nowy wyraz. Mógł to być żal albo smutek, albo jeszcze coś innego. Nagle przypomniał sobie zdanie, które wyczytał w *Procesie*: „Dwa życia to za mało. Daj mi więcej”.

–Zabiorę cię teraz do hotelowego lekarza. Powinien obejrzeć twój nos – powiedział do Astrid. – Moim zdaniem jest tylko opuchnięty, ale to musi stwierdzić specjalista.

–Frank, nic mi nie jest. Potrzebuję jedynie odpoczynku.

–Akurat. Potem zabiorę cię do szpitala, a jeszcze potem pojedę do Star-TV i osobiście odstrzelę Charlesowi Lasserowi głowę.

–Frank...

–Nie kłóć się ze mną, dobrze? Chociaż raz zrobimy coś tak, jak ja chcę.

Pomógł jej wsiąść do samochodu, po czym pojechał do Szpitala Sióstr Jerozolimskich. Przypuszczał, że w Mount Sinai będzie pełno rannych w wyniku wybuchu bomby w CBS. Jednak i tutaj na parkingu panował chaos, a w poczekalni izby przyjęć tłoczyli się ludzie w większości w szoku i z różnymi drobnymi ranami. Ze trzydzieści zakrwawionych osób czekało w kolejce na rejestrację. Odnosiło się wrażenie, że wszyscy krzyczą jednocześnie, jakby się umówili.

Frank posadził Astrid w kącie i powiedział:

–Posłuchaj, muszę cię tu na chwilę zostawić. To nie potrwa długo, zaraz wracam.

–Frank, błagam cię, nie szukaj Charlesa Lassera. To nie była jego wina.

–Przestań. Może potknęłaś się i upadłaś? A może uderzyłaś nosem w drzwi kuchenne?

–Nie chcę cierpieć jeszcze bardziej, to wszystko.

–Uwierz mi, teraz będzie cierpieć już tylko ten facet. – Uścisnął rękę Astrid, żeby ją uspokoić i upewnić, że wszystko będzie dobrze. – Daj mi dwadzieścia minut, dobrze? Muszę to zrobić, Astrid. W przeciwnym razie będzie cię bił tak długo, aż cię zabije.

–Frank, proszę cię.

Frank podszedł do recepcjonistki i powiedział:

–Bardzo panią proszę, niech mi pani zrobi przysługę. Proszę uważać na moją przyjaciółkę. Nadal jest w szoku. Nie będzie mnie najwyżej pół godziny... Gdyby zaszła jakaś nieprzewidziana sytuacja, proszę, oto numer mojego telefonu komórkowego.

Nie oglądając się za siebie, wyszedł ze szpitala. Jeszcze nigdy w życiu nie czuł się tak jak w tej chwili. Czasami tracił panowanie nad sobą, jednak nigdy nie doświadczył tak wszechogarniającej wściekłości płonącej w sercu jak ogień.

Przeszedł przez parking, otworzył samochód i wyciągnął ze skrytki rewolwer Smitty'ego. Następnie wrócił przed główne wejście do szpitala i pomachał na taksówkę. Nie chciał sam prowadzić auta, ponieważ na parking przed Star-TV mogły wjeżdżać tylko upoważnione pojazdy, a nie zamierzał sprawiać sobie problemów jeszcze przed wejściem do budynku.

Taksówkarzem był Koreańczyk.

–Wie pan, co bym zrobił z tymi zamachowcami samobójcami? – zapytał Franka. – Pozbierałbym ich szczątki, zebrał z powrotem do kupy i wstrzyknął śmiertelny zastrzyk. Po prostu, żeby pokazać ludziom. Możesz się zabić, przyjacielu, ale nie możesz umknąć przed sprawiedliwością.

Frank pomyślał o Charlesie Lasserze. *Nie możesz umknąć przed sprawiedliwością.* Jeszcze nie wiedział, co mu zrobi, ale po raz pierwszy w życiu rozumiał, dlaczego można być zdolnym do zabicia człowieka.

Ochrona w Star-TV była bardzo szczelna. Dwóch facetów w brązowych mundurach zatrzymało go, kiedy tylko przeszedł przez drzwi obrotowe.

–Czy ma pan umówione spotkanie?

–Tak. O godzinie czwartej. Z panem Berengerem.

–Jak się pan nazywa?

–Bell. Frank Bell.

Jeden ze strażników sprawdził notatnik.

–Nie mam tu informacji o panu.

–Co takiego? Przecież wyraźnie mi powiedział: „Szesnasta i żebyś się nie spóźnił”.

–Rozumiem, proszę pana. Niech pan chwilę zaczeka, zatelefonuję do jego biura.

Zaczął wystukiwać na tarczy telefonu wewnętrzny numer pokoju, w którym pracował John Berenger. W tylnej części hallu akurat otworzyły się drzwi windy. Frankowi przyszło do głowy, że mógłby teraz skoczyć pomiędzy ochroniarzy i wbiec do windy. Czy zdołają go zatrzymać? Nie miał jednak pojęcia, jak długo zamykają się drzwi do windy, a poza tym w hallu kręciło się mnóstwo ludzi. Ktoś z pewnością stanąłby mu na drodze.

W tym momencie minął go Rufus Newton. Rufus pracował w dziale produkcyjnym w Fox, kiedy wprowadzano na ekrany *Świnki*. Przy tej pracy się poznali i natychmiast zostali przyjaciółmi. Rufus był bardzo kreatywnym facetem, ale zarazem szalenie nieposłusznym. Przed osiemnastoma miesiącami wylał go z Fox Kenneth Fassbinder, za wyemitowanie parodii reklamy, wyśmiewającej namiętność Fassbindera, którą było „wzmacnianie wątków ukazujących najlepszego przyjaciela człowieka”. Tytuł parodii brzmiał: „Obszczekiwacze zaginionej arki”.

–Rufus! Hej, to ja, Frank!

–Frank, dobry człowieku! – Rufus podszedł i potrząsnął jego dłonią. Był znacznie chudszy niż wtedy, gdy pracował w Fox, a jego włosy znacznie od tamtego czasu posiwiały. Kiedyś wyglądał jak Eddie Murphy, ale teraz był podobny co najwyżej do starszego wujka Eddiego. – Co ty robisz w Star, Frank? Nie mów mi tylko, że pozbyłeś się swoich zasad i sprzedałeś się Charlesowi Lasserowi.

–Ty to zrobiłeś, więc wystarczy.

–Wcale nie, przede wszystkim dlatego, że nie miałem żadnych zasad, których musiałbym się pozbywać. Poza tym musiałem spłacać kredyt hipoteczny. Co cię tu sprowadza?

–John Berenger. Właśnie omawiamy pomysł na nową komedię.

Rufus potrząsnął głową.

–Johna nie ma w mieście, czyżbyś o tym nie wiedział? Wysłali go do obsługi nowego reality show. Pomyśl tylko: Umieściliśmy sześć powszechnie znanych osób w jakimś zapchlonym motelu w Meksyku, ale najpierw zabraliśmy im wszystkie ubrania i wszystkie pieniądze. Pierwsza osoba spośród nich, która pojawi się u nas w studio, wygra pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Nazywa się to *Masz jaja? To w drogę!*

–John pracuje przy takim gównie?

–John robi dokładnie to, co my wszyscy, przyjacielu. Wykonuje polecenia. Tym bardziej teraz, gdy inne sieci telewizyjne praktycznie się kończą. Te bomby, uwierz mi, raz na zawsze zmieniły oblicze telewizji.

Podszedł do nich strażnik.

–Przykro mi, panie Bell – powiedział do Franka. – Wygląda na to, że pan Berenger

wyjechał. Może zapomniał odwołać spotkanie z panem?

–Wiesz co? Jak już tutaj jesteś, to wstąp do mnie na kawę – zaproponował Rufus.

– W porządku, panie oficerze. Zajmę się tym typem. Podejdź tylko do recepcji, Frank, musisz odebrać przepustkę. Nawet nie wiesz, jak się zmartwiłem, kiedy usłyszałem o Dannym. A potem o śmierci Mo i Lizzie. Płakałem całe popołudnie, człowieku. Mo. Lizzie. Przecież to byli prawdziwi artyści. Ostatni prawdziwi artyści w naszej branży.

Rufus poprosił recepcjonistę o przepustkę i przypiął ją do klapy marynarki Franka.

–Nad czym teraz pracujesz? – zapytał go Frank, kiedy wsiedli do windy.

–Nad *Gdzie jadają krętacze*. To nowy program, który dopiero rozkręcamy. Prowadzimy rozmowy z parami, które jedzą w restauracjach. Pytamy, czy im smakuje, i tak dalej... a potem zadajemy pytanie, czy są małżeństwem. Pilot był wspaniały, mówię ci. Wrzaski, szamotanina, makaron fruający w powietrzu... Jerry Springer z sosem do spaghetti.

Winda zajeżdżała na siódme piętro i Rufus poprowadził Franka do swojego gabinetu. W Fox Rufus znany był z tego, że stale miał na biurku bałagan. Zwykle zarzucone było mnóstwem scenariuszy, fotografiami, listami, na które nie miał czasu odpowiedzieć, magazynami, nagrodami telewizyjnymi i nadgryzionymi kanapkami. Tutaj, w Star, miał wielkie biurko, pokryte szarą skórą, a stał na nim jedynie telefon, laptop, zegar cyfrowy i oprawiona w srebrną ramkę fotografia jego żony Natashy. Przez okno miał widok na Century City i zatłoczoną Aleję Gwiazd.

Rufus podniósł słuchawkę telefonu i poprosił sekretarkę o przyniesienie dwóch kaw z ekspresu.

–A ty pewnie wciąż pijasz zalewajkę, co? – zapytał Franka.

Frank czuł ciężar rewolweru w lewej kieszeni płóciennej marynarki. Miał nadzieję, że nikt go nie zauważy.

–A więc podoba ci się praca tutaj? – zapytał Rufusa.

–Chodzi ci pewnie o to, czy lubię Charlesa Lassera? Cóż ci mogę powiedzieć? Charles Lasser to Ray Kroc telewizji. Daje ludziom to, czego pragną, nawet jeśli to nie jest dla nich zbyt dobre. Szczerze mówiąc, rzadko kiedy go widuję. Nie przypuszczam, żeby miał pojęcie, kim jestem.

–Czy nie sądzisz, że mógłby mieć coś wspólnego z tą kampanią terrorystyczną?

Rufus popatrzył na niego z zaskoczeniem.

–Co?

–Pomyśl tylko o tym. Bombę podłożono już w prawie wszystkich stacjach telewizyjnych z wyjątkiem HBO i Star.

Rufus zrobił powątpiewającą minę.

–Chyba nie, człowieku. Z tego, co słyszałem, to grupa psycholi, ofiary maltretowania w dzieciństwie, które próbują mścić się na społeczeństwie.

–Ale ktoś przecież musi ich finansować. Ktoś pociąga za sznurki.

–I ty uważasz, że to Charles Lasser?

–Nie wiem, dlatego pytam.

Rufus wstał, podszedł do drzwi, wyjrzał na korytarz, a potem starannie je

zamknął.

–Piekielna myśl – powiedział. – To znaczy, rozumiem, do czego zmierzasz. Od czasu, gdy inne stacje zawiesiły nadawanie swoich oper mydlanych, nasze wskaźniki oglądalności skaczą tak wysoko, że strzelają przez dachy. Dochody z reklam, nie wiem, chyba się potroiły. Poza tym zaczynamy pozyskiwać nowych ludzi. Podchody pod nas robi już Bill Katzman i Gerry Santosky... ludzie, którzy przysięgali, że nigdy nie będą pracować dla Charlesa Lassera, nawet gdyby im ktoś groził obcięciem członków. – Rufus usiadł. – Czy pamiętasz rozdanie Złotych Globów sprzed dwóch lat? Kiedy Lance Kasabian mówił o telewizji szczurów? Pił przeciw do Lassera, a on tego nie zapomniał i nie wybaczył ani jemu, ani wszystkim innym, którzy się wówczas z niego śmiali: ani Fox, ani Disneyowi, ani NBC, ani CBS, ani UPN. Dosłownie nikomu.

Frank milczał. Po chwili Rufus pochylił się ku niemu na obrotowym krześle. Wyraz twarzy miał taki, jakiego Frank jeszcze nigdy u niego nie widział. Wyglądał na zaniepokojonego, ale jednocześnie przybitego.

–Rozumiem, że nie masz wątpliwości, iż Charles Lasser jest bardzo mściwym człowiekiem. Ale żeby podkładać bomby i wysyłać do Pana Boga niewinnych ludzi... Co to, to nie. – Urwał na moment, po czym dodał: – Przynajmniej mam taką nadzieję.

Usłyszeli pukanie do drzwi i w gabinecie zjawiała się sekretarka z dwiema filiżankami kawy i ciasteczkami czekoladowymi.

–Zostaw drzwi otwarte, Thelmo – powiedział do niej Rufus. Kiedy wyszła, wyjaśnił Frankowi: – To taka reguła naszej firmy. Drzwi muszą być otwarte, żeby nikt za nimi nie spiskował.

Zegar wskazywał szesnastą siedemnaście. Frank upił łyk kawy i zapytał:

–Przepraszam cię, czy mogę skorzystać z toalety?

Ruszył z powrotem długim korytarzem, aż wreszcie dotarł do wind. Nadusił przycisk przywołania i czekał, oglądając cię co chwilę za siebie w nadziei, że Rufus nie wyjdzie jednak z gabinetu, by sprawdzić, czy przypadkiem nie pomylił drogi. W końcu jednak winda przyjechała. Frank wszedł i nadusił przycisk najwyższego piętra.

Winda zatrzymała się na następnym piętrze i wszedł do niej młody mężczyzna w okularach, ze stertą papierów pod pachą.

–Co słyhać? – zapytał, jakby znał Franka od wielu lat.

–Wszystko w porządku – odparł Frank.

Trzy piętra wyżej mężczyzna wyszedł z windy ze słowami:

–Uważaj na siebie.

–Ty też.

W końcu dotarł na najwyższe piętro. W korytarzu, wyłożonym grubym dywanem, panowała całkowita cisza. Odczekał, aż zamkną się za nim drzwi windy, po czym ostrożnie ruszył w kierunku recepcji. Stanąwszy przed podwójnymi drzwiami, pchnął je gwałtownie. Stwierdził, że za biurkiem siedzi inna dziewczyna niż poprzednio, ładna Wietnamka w lśniącej turkusowej bluzeczce.

–Przepraszam pana – odezwała się, ujrawszy Franka – ale pan Lasser nikogo już dziś nie przyjmuje.

–Och, mnie na pewno przyjmie.

–Nie, nie. Dał mi wyraźne instrukcje.

Dziewczyna wstała, ale Frank obszedł jej trójkątne biurko i pchnął ją z powrotem na fotel.

–Proszę się stąd nie ruszać. Nic nie mówić i do nikogo nie telefonować, rozumiała mnie pani?

–Nie może pan wejść do gabinetu pana Lassera. Pan Lasser będzie wściekły!

–Popatrz tylko na mnie, mała. Czy nie widzisz, że ja też jestem wściekły? I to cholernie wściekły. W porównaniu ze mną pan Lasser jest teraz bardzo spokojnym człowiekiem.

–Proszę pana, jeśli pana wpuszczę, stracę pracę.

–A więc czynię pani wielką przysługę, może mi pani wierzyć.

Pochylił się nad biurkiem i wyrwał z gniazdka kabel telefonu.

–Do nikogo pani nie zadzwoni i nigdzie się nie ruszy, dobrze?

Wreszcie podszedł do drzwi gabinetu Charlesa Lassera i otworzył je na oścież.

Charles Lasser stał na środku gabinetu. Spod krótkich rękawów koszuli widać było potężne mięśnie ramion. Ścisnął w dłoniach kij do golfa. Otaczał go gęsty dym z cygara; przez chwilę Frank odnosił wrażenie, że Lasser nie ma głowy. Nagle jednak wyprostował się i dym się rozproszył. Popatrzył na Franka oczyma, które lśniły jak główki gwoździ.

–Kto pana tu, do diabła, wpuścił? – zawołał. – Kim Cu’c!

–Panie Lasser, przepraszam, próbowałam go powstrzymać.

–To nie jej wina – odezwał się Frank.

Zrobił kilka kroków w kierunku okna, żeby nikt nie mógł stanąć mu za plecami.

Charles Lasser znów opuścił głowę, zawahał się, po czym odłożył kij pod biurko.

–Zechce pan opuścić mój gabinet, panie Bell. Nie mam panu nic do powiedzenia.

Poza tym, że przerwał mi pan trening.

–Może pan nie ma mi nic do powiedzenia, ale, na Boga, ja mam wiele do powiedzenia panu.

–Naprawdę? A ja myślałem, że przez jakiś czas będzie pan bardzo zajęty pisaniem mowy pogrzebowej dla swoich przyjaciół.

–Chryste, co za obłuda. To przez pana zginęli!

–Postradał pan zmysły, panie Bell. Uważa pan, że to ja ich zabiłem? Dlaczego, do cholery, coś takiego przyszło panu do głowy?

–Ponieważ jest pan przeklętym sadystą i cholernie dobrze pan wie, kto finansuje Dar Tariqi Tariquat. Pan jest tą osobą! I to pan kazał podłożyć bombę w moim biurze po tym, jak przyszedłem tutaj, żeby ostrzec, że ma pan zostawić Astrid w spokoju. Nie podłożono bomby w żadnym ze studiów, żadnym z bocznych budynków. Nie, przysłał pan bombę specjalnie do mojego biura, i gdybym z niego na chwilę nie wyszedł, zabiłby pan także mnie.

–Czy mam zawołać ochronę, panie Lasser?! – zapytała recepcjonistka.

Charles Lasser potrząsnął przecząco głową.

–Nie. Nie martw się, Kim Cu’c. Sam dam sobie radę z panem Bellem. Cierpi na jakieś urojenia, to wszystko.

Powrócił do biurka, wielkiego mahoniowego mebla ozdobionego rzeźbami głów satyrów i winorośli. Oparł się o nie masywnym pośladkiem i uśmiechnął się do Franka. Znów wziął do ręki kij golfowy i lekko uderzał nim w dłoń.

–Dlaczego pan się do tego nie przyzna? – zapytał Frank. – Podłożył pan bombę w moim biurze, prawda? To pan zorganizował całą tę kampanię. Tak naprawdę to ona nie ma nic wspólnego z ofiarami molestowania, prawda? To pańska robota, to pan się mścił na całym przemyśle rozrywkowym.

Charles Lasser wykrzywił twarz w uśmiechu. Można było odnieść wrażenie, że ma za dużo zębów. Mimo że wszystkie były zdrowe i zadbane, były lekko pożółkłe od nikotyny.

–Wspaniała teoria, panie Bell. Z testu na kreatywność dałbym panu dziesięć punktów na dziesięć możliwych. Nie mogę powiedzieć, że ta kampania terrorystyczna nie przyniosła Star-TV korzyści. Do tej pory mamy szczęście, że nie staliśmy się i my

jej celem. Jednak znacznie mnie pan przecenia. Nigdy bym czegoś takiego sam nie zdołał wymyślić. No i nie miałbym odwagi, żeby to zrealizować.

–Miał pan odwagę, żeby złamać nos Astrid!

–Co? Czyż nie wyraziłem się dość jasno już za pierwszym razem? Nie znam nikogo o takim imieniu.

–Przecież dzisiaj ją pan pobił. Niech pan nie zaprzecza, to nie ma sensu. Właśnie zostawiłem ją w Szpitalu Sióstr Jerozolimskich. Czeka na oględziny.

Charles Lasser westchnął ze złością.

–Przez cały dzień miałem dzisiaj różne spotkania. W najbliższym sezonie wprowadzamy na ekran aż dziewięć nowych seriali. Ja po prostu nie mam czasu, żeby łamać nosy jakimś dziewczynom.

Frank podszedł do niego, tak blisko, że gdyby Charles Lasser chciał, mógłby uderzyć go kijem golfowym.

–Ostrzegałem – powiedział. – Ostrzegałem pana, że jeśli jeszcze raz dotknie pan Astrid, wrócę i potraktuję pana tak, że już nigdy więcej nie zrobi jej pan krzywdy.

–No i pan wrócił, panie Bell. Niech pan jednak postara się zrozumieć to, co mówię. Kiedy przyszedł pan tutaj po raz pierwszy, nie znałem żadnej dziewczyny o imieniu Astrid i nie poznałem nikogo takiego do dnia dzisiejszego. A więc nos złamał Astrid, niestety, ktoś inny. Naprawdę współczuję tej Astrid, kimkolwiek ona jest. Ale musi pan skierować swoje groźby pod innym adresem, ponieważ ja nie mam z tym nic wspólnego.

Frank wyciągnął z kieszeni rewolwer. Przy okazji rozerwał kieszeń, gdyż kurek zahaczył o cienkie płótno. Odbezpieczył broń i wycelował w twarz Charlesa Lassera.

–Boże wszechmogący! – zawołał Lasser.

–Tak jest – zadrwił Frank. – Boże wszechmogący. Może wszechmogący Bóg wybaczy panu to, co pan zrobił, wybaczy śmierć niewinnych ludzi i pobicie Astrid, ot, po prostu, dla zabawy. Jest pan chorym człowiekiem, panie Lasser. Zamordował pan mojego syna, moich przyjaciół, kobiety i dzieci, które jeszcze nie zaczęły na dobre żyć.

–Kim Cu'c – odezwał się Charles Lasser, nie odrywając wzroku od lufy rewolweru.
– Zawołaj ochronę.

–Policję także, panie Lasser?

–Jesteś głucha czy co? Powiedziałem: ochronę. Żadnej policji. Także im powiedz, żeby się nie ważyli wzywać policji.

–Czego się pan boi? – zapytał go Frank, mimo że drżały mu ręce i z trudem celował w jego głowę.

–Niczego się nie boję, panie Bell. Nie bałem się i nie będę się bał.

–To dlatego, że nigdy w życiu nie musiał się pan mierzyć z kimś, czyja potęga była równa pańskiej.

–Co chce mi pan zrobić? Zastrzelić mnie? I co potem? Spędzi pan piętnaście lat w celi śmierci i na koniec podadzą panu śmiertelny zastrzyk.

–Kiepski scenariusz. Nic takiego się nie stanie, jeśli pana nie zabiję, tylko po prostu odstrzelę panu jaja. – Wypowiedziawszy te słowa, Frank powoli wycelował

rewolwer pomiędzy nogi Lassera.

Charles Lasser wziął głęboki oddech.

–Mówię panu, nie znam żadnej dziewczyny o imieniu Astrid. Nigdy nie skrzywdziłem żadnej dziewczyny.

–Cóż, kłamie pan bardzo przekonująco, muszę to przyznać. Kim Cu'c, nie podchodź do tych drzwi! Musimy najpierw udzielić twojemu szefowi lekcji pod tytułem „Dziewczyny, którym łamałem nosy”. Być może nie zna pan Astrid pod tym imieniem. A jednak była tu dziś u pana, a pan ją ciężko pobił. Jeszcze nie widziałem kobiety tak pobitej, chociaż nie będę się upierał, że oglądałem wiele takich przypadków. Astrid ma pięć stóp i cztery cale wzrostu, jest brunetką o jasnoniebieskich oczach. Ma na klatce piersiowej kilkanaście pieprzyków, przypominających układem gwiazdozbiór Andromedy. Zawsze nosi pierścionek ze szmaragdem. No, czy już coś panu świta? W końcu złamał jej pan nos zaledwie dzisiaj przed południem.

Charles Lasser bardzo powoli, jakby bezwiednie, otworzył usta, ale zaraz zamknął je z powrotem.

–Pan... – zaczął, ale najpierw musiał kilkakrotnie głęboko odetchnąć, żeby się uspokoić. – Z kim pan o tym rozmawiał?

–Z nikim. Widziałem ją dzisiaj osobiście.

–Astrid? Tak się panu przedstawia?

–A więc zna ją pan?

Charles Lasser milczał. Oddychał z coraz większym trudem, mimo że znów szeroko otworzył usta, obnażając równiutkie żółtawe zęby. Frank nie wiedział, co robić. Czy strzelić mu w głowę, czy w jądra, a może po prostu odwrócić się i odejść, pozostawiając go ledwo zipiącego. Odniósł wrażenie, że bardziej podzielał na niego dokładny opis Astrid niż widok rewolweru.

–Chcę, żeby mi pan coś obiecał – powiedział głośno.

–Co?

–Tu i teraz ma mi pan obiecać, że już nigdy w życiu nie spotka się z Astrid.

Charles Lasser potrząsnął głową z wyraźnym niedowierzaniem.

–Obiecać? Jak ja mogę panu to obiecać?

–To bardzo proste. Liczę do pięciu. Jeśli, zanim skończę, wypowie pan słowa: „Obiecuję, że już nigdy w życiu nie spotkam się z Astrid”, odłożę rewolwer i sobie pójdę. Jeśli pan tego nie powie, odstrzelę panu jaja.

–Jest pan żaloszny – skomentował Charles Lasser. Wie pan co, panie Bell? Jest pan całkiem beznadziejny. Przecież nawet nie wie pan, o co mnie prosi. Nie wie pan tego, prawda?

Frank był skonsternowany.

–Życzę sobie, żeby zostawił pan w spokoju dziewczynę, to wszystko! Czy to tak trudno zrozumieć?

Charles Lasser zaczął się śmiać głośnym, desperackim śmiechem kogoś, kto uznaje świat za zbyt śmieszny, by można było na nim żyć.

–Nie wiem, skąd się pan urwał, panie Bell. Jest pan zbyt szalony nawet jak na

uciekiniera z domu wariatów. – Nagle przestał się śmiać. – A jednak mnie pan nie zabije, prawda? Nawet mi pan nie odstrzelił jaj. Powiem coś panu, panie Bell. Każdy facet, który ma czelność wejść do mojego gabinetu z bronią palną i mi grozić, powinien użyć tej broni natychmiast. Inaczej drogo za to zapłaci.

–Nie potrzebuję rewolweru – odparł Frank. – Wystarczy, że powiem dziennikarzom, co wyrabiał pan z Astrid.

–A co takiego im pan powie? Gliniarze już mnie przesłuchiwali. Nie znam żadnej Astrid.

–Ale zna pan dziewczynę ze szmaragdowym pierścieniem i pieprzykami na piersiach.

Bez żadnego ostrzeżenia Charles Lasser wstał, zrobił dwa kroki i kijem do golfa uderzył Franka w przegub ręki, w której trzymał on rewolwer. Broń wypadła mu z dłoni. Frank odwrócił się i w tym samym momencie Charles Lasser uderzył go jeszcze raz, tym razem prosto w ciemię.

Początkowo nie był w stanie nawet otworzyć oczu. Potwornie bolała go głowa. Miał wrażenie, że jego czaszka jest rozłupana.

W końcu zdołał otworzyć lewe oko. Leżał w przedziale bagażowym furgonetki, na aluminiowej pofałdowanej podłodze, pomiędzy stertami skrzyń w kolorze khaki i tanimi szarymi kocami. Dach ciężarówki wykonany był z mieniącego się bursztynowym kolorem włókna szklanego, przez które przebijały się czarne cienie i wąskie pasma promieni słonecznych, jakby samochód stał zaparkowany w garażu albo pod mostem. Z trudem usiadł i zdał sobie sprawę, że ręce ma ciasno skrępowane na plecach i że jego nogi związane są w kostkach. Prawą powiekę miał sklejoną, a na twarzy czuł mnóstwo lepkiej krwi.

–Jezu Chryste – jęknął.

Ból głowy był niemal nie do zniesienia. Pomyślał, że może będzie lepiej, jak przetoczy się na bok, obawiał się jednak, że ból jeszcze się nasili. Postanowił najpierw przypomnieć sobie, kim jest i co tutaj robi.

–Frank Bell – wycharczał po chwili. Kiedy to powiedział, przypomniał sobie, jak Charles Lasser uderzył go w rękę. Ale to było wszystko.

Nie miał pojęcia, od jak dawna leży w tym samochodzie. Oczywiście, na zewnątrz było jasno, ale przecież mógł to już być poranek następnego dnia. Odczuwał nudności, ale przecież nic nie jadł przed wizytą u Charlesa Lasser'a, mdłości więc mogły być efektem uderzenia w głowę. No i natrętnego zapachu chemikaliów, którym przesiąknięty był cały samochód.

Zdołał lekko unieść głowę. Miał nie tylko związane ręce i nogi, ale ubrany był także w grubą, niebieską, płócienną kamizelkę. Uniósłszy policzek jeszcze trochę wyżej, ujrzał, że głębokie kieszenie kamizelki są wypełnione różnokolorowymi prostopadłościanami. Mógłby je wziąć za klocki dla dzieci, gdyby nie wiedział doskonale, że jest to zupełnie coś innego.

Pozwolił, żeby głowa znów mu opadła. Miał na sobie strój zamachowca samobójcy.

Mniej więcej pięć minut później znów uniósł głowę. W furgonetce panował

półmrok, było jednak wystarczająco jasno, by mógł odczytać napisy na skrzyniach koloru khaki. Dominowało na nich jedno słowo: OSTROŻNIE. Nie potrzeba było eksperta, by stwierdzić, iż w samochodzie znajduje się wystarczająco dużo materiału wybuchowego, żeby wysadzić w powietrze średniej wielkości budynek.

–Hej! – krzyknął. Odczekał chwilę, ale nikt nie zareagował. Powtórzył więc. – Hej!
– Jednocześnie zaczął kopać piętami w podłogę.

Nikt nie reagował na jego rozpaczliwe krzyki.

–Zabierzcie mnie stąd! Słyszycie? Do diabła, wyciągnijcie mnie stąd! Niedługo będą mnie szukać gliniarze. Słyszycie mnie? Powiedziałem policji, dokąd idę!

Znów zaczął nasłuchiwać. Usłyszał słaby szum ruchu ulicznego i odgłos przelatującego samolotu. Ponownie opuścił głowę. Mógł sobie tylko wyobrażać, co zaplanował dla niego Charles Lasser. Furgonetka miała prawdopodobnie zostać użyta w kolejnym ataku Dar Tariki Tariquat. Kiedy wybuchnie, on, Frank, będzie w środku, przebrany za męczennika. Jeżeli pozostanie z niego dość, żeby można było zidentyfikować ciało, prawdopodobnie cały świat natychmiast się dowie, że on także był członkiem Dar Tariki Tariquat.

Dlaczego, do diabła, nie pociągnął za spust rewolweru, kiedy miał szansę? Wcześniej, kiedy zobaczył pobitą Astrid, wyobrażał sobie, że jest wystarczająco wściekły, żeby zamordować Charlesa Lassera. Może jednak prawda była taka, iż nigdy nie mógłby zabić człowieka. W końcu był tylko autorem programów komediowych. Im sprawy przybierały gorszy obrót, tym stawały się w jego oczach zabawniejsze. Nie mógł przestać sobie wyobrażać, co powiedzą jego znajomi, kiedy w wyniku wybuchu wyparuje. „Ot, i cały Frank”.

Czekał bezsilnie, nie wiadomo na co, a tymczasem dudnienie w jego głowie powoli zaczynało ustępować; robiło mu się coraz zimniej i stawał się coraz bardziej otępiały. Zastanawiał się, czy Astrid została zbadana. Zastanawiał się, czy ona się zastanawia, gdzie on się podziewa. Zastanawiał się, czy ktokolwiek się martwi i zastanawia, gdzie on teraz jest.

Pomyślał o Dustym i Henrym ze *Świnek*. W jednym z odcinków Dusty myślał, że Henry został porwany, a tymczasem nikt Henry’ego nie porwał. On po prostu się ukrywał, bo Dusty nazwał go „najgłupszą rzeczą od czasu wynalezienia podwiązek do podtrzymywania skarpetek”.

Pomyślał o *Procesie* i szepcie pustynnego wiatru. Nigdy w życiu nie przejdiesz ponownie tej drogi. Przekroczyłeś próg, przyjacielu, i nie możesz już zawrócić.

Może po kolejnej godzinie usłyszał jakieś głosy, dochodzące z zewnątrz. Już chciał krzyknąć, jednak postanowił być cicho. Głosy oddaliły się.

Być może przespał kolejne pół godziny, jednak nie był tego pewien. Niespodziewanie poczuł, że ktoś potrząsa jego ramieniem.

–Obudź się!

Otworzył oczy. To był Danny. Blady, ze zmartwioną miną i potarganymi włosami, jak zawsze, kiedy budził się rano, ale to był Danny. Wciąż ubrany był w to, co miał na sobie w dniu pogrzebu.

–Danny?

–Obudź się, nie mamy dużo czasu.

–Czy to mi się śni?

–Nie. Odwróć się.

–Co?

–Odwróć się na brzuch.

Frank zawahał się. Nie mógł się zdecydować, czy to jest sen czy jawa. Ale przecież Danny już raz go uratował, wtedy w Sunset Marquis, prawda? No i co mówił Neville o duchach? Zawsze przebywają blisko najbardziej ukochanych członków rodziny. Jęknąwszy z bólu, Frank przetoczył się na brzuch.

–Nie ruszaj się, leż w jednej pozycji – powiedział Danny. – Spróbuję rozciąć ci więzy, ale to będzie bardzo trudne.

Frank przygnał twarzą do jednego z wgłębień podłogi. Poczuł nieprawdopodobny ból w plecach. Drżał, jednak gdy Danny próbował go rozwiązać, zdołał zachować spokój.

–To moja pierwsza próba poruszenia czegokolwiek – wyjaśnił mu Danny. – Nie jestem w tym dobry. Mogę różnych rzeczy dotykać, ale tak naprawdę wcale ich nie czuję.

Minęło dziesięć minut. Frank w ogóle nie czuł palców Danny’ego, lecz jedynie chłód, jakby przez szczelinę w oknie wpadało do samochodu mroźne zimowe powietrze. Odczuwał jednak, że więzy, krępujące jego dłonie, milimetr po milimetrze rozluźniają się.

–Danny, nawet jeśli nie zdołasz tego zrobić, dziękuję ci, że podjąłeś próbę.

–Zrobię to, tato. Tylko leż spokojnie.

–Wiesz, jak bardzo cię kocham? Czy wiesz, że nigdy nie chciałem, żeby ci się stała krzywda?

–Wiem.

Więzy wyraźnie się poluźniły, a potem, zupełnie niespodziewanie, opadły i Frank był wolny. Odwrócił się na plecy i zdołał usiąść. Uśmiechnięty Danny uklęknął obok niego.

–Jesteś wspaniały, wiesz o tym? Jesteś naprawdę wspaniały.

–Jestem zawsze blisko ciebie, tatusiu. Nie pozwolę, żeby ktoś ci zrobił coś złego. Frank potrząsnął głową.

–To ja miałem zawsze się tobą opiekować.

–To jest bez znaczenia – odparł Danny. – W porządnym rodzinach wszyscy troszczą się o siebie nawzajem.

–Danny – wyszeptał Frank i jego oczy wypełniły się łzami.

Sięgnął ręką w bok, by przytulić do siebie syna, jednak Danny nagle się skurczył, jakby było w nim tyle materii co w jedwabnej chustce, i zniknął. Frank siedział spokojnie przez dziesięć minut, starając się przywrócić krążenie krwi w rękach. Wreszcie pochylił się i zaczął rozwiązywać węzeł krępujący mu nogi.

Kolejne dwie godziny minęły w zupełnej ciszy. Wreszcie Frank usłyszał hałas i po chwili otworzyły się tylne drzwi furgonetki.

–Proszę, niech pan tu wejdzie – ktoś powiedział. – Proszę postawić tu nogę.

Furgonetka zatrzęsała się, przechyliła i drzwi znów zamknięto.

Frank podniósł głowę. Przed nim, pomiędzy skrzynkami, stał Charles Lasser, uważnie mu się przyglądając. Ubrany był w szeroką marynarkę, uszytą z płótna w naturalnym kolorze. Z kieszeni na jego piersi wystawał fragment zwiniętej w kulę i upchniętej tam chusteczki.

–A więc się pan obudził, panie Bell? – zapytał głosem słodkim jak ciastko owocowe.

Frank nie odpowiedział.

–Pewnie chciałby pan wiedzieć, ile czasu już pan tu spędził. Cóż, mogę panu powiedzieć. Prawie piętnaście godzin. Brakuje dwudziestu minut do południa.

–Gliny wiedzą, że wczoraj pana szukałem – powiedział Frank.

–Wcale nie. Nikt tego nie wie.

–Wie Astrid.

–Jak długo jeszcze będę tego słuchał? Nie ma żadnej Astrid.

–Naprawdę? Więc co pana zabolalo, kiedy ją opisywałem?

Charles Lasser co chwilę poprawiał dłonią włosy, jakby przy okazji się upewniając, że nadal ma głowę na karku.

–Chciałbym pana o coś zapytać, panie Bell. Gdzie i kiedy zobaczył pan tę dziewczynę po raz pierwszy?

–Spotkałem ją po tym, jak kazał pan wysadzić w powietrze Cedars. Mój syn zginął tego dnia. Pomogła mi przetrwać najtrudniejsze dni po jego śmierci.

–Spotkał ją pan po zniszczeniu Cedars?

Tak. Od tamtego dnia spotykaliśmy się dość regularnie.

–Nigdy wcześniej pan jej nie widział?

Frank zazgrzytał zębami w złości.

–A co pana to obchodzi?

–Bardzo mnie obchodzi, panie Bell. Uważam jednak, że pan kłamie. Albo pan kłamie, albo jest szalony. Kto panu powiedział, że robiłem jej krzywdę?

–Nikt mi nie powiedział. Sam widziałem na jej ciele siniaki i ślady po papierosach. Przez dwa dni śledziłem Astrid. Za pierwszym razem pojechała do Star-TV, a za drugim do pańskiego domu.

Charles Lasser złożył ręce jak do modlitwy.

–Nic z tego nie rozumiem.

–A co tu jest do rozumienia?

Charles Lasser przez chwilę rozmyślał. Wreszcie popatrzył na skrzynie i powiedział:

–Przypuszczam, że zgadł pan, co się zaraz z panem stanie. Za piętnaście minut ta furgonetka przejedzie przez bramę Culver Studios. Kiedy tylko znajdzie się w kompleksie studiów, użyję tego.

Sięgnął do wewnętrznej kieszeni i wydobyl czarne plastikowe pudełko z czerwonym przyciskiem na obudowie.

–To jest pilot sprzęgnięty z detonatorem, znajdującym się w kieszeni pańskiej niezwykle eleganckiej kamizelki. Tak, panie Bell, to pan podłożył tę szczególną

bombę. A przynajmniej wszyscy pomyślą, że pan to zrobił. Prawdopodobnie wiele z pana nie zostanie, ale to, co pozostanie, pozwoli zidentyfikować pana jako zamachowca samobójcę z Dar Tariki Tariquat. A to z kolei sprawi, że od dzisiejszego dnia Hollywood będzie pana wspominał z nienawiścią i obrzydzeniem. Także pańskiego ojca. Przecież wszyscy uznają, że molestował pana w dzieciństwie, że pana los był za młodu taki sam jak los każdego innego członka Dar Tariki Tariquat.

–Na co ty jesteś chory, człowieku?

–Jestem zupełnie zdrow. To jest po prostu moja zemsta. Chcę, żeby była absolutna.

–Zemsta? Za co?

Charles Lasser popatrzył na swojego roleksa.

–Muszę już iść, panie Bell. Mam spotkanie w Spago. Pan natomiast ma spotkanie w piekle.

–Proszę mi chociaż powiedzieć dlaczego – poprosił Frank. – Skoro mam zostać rozerwany na strzępy, przynajmniej na tyle zasługuję.

Charles Lasser przykucnął obok niego. Spodnie miał trochę zbyt ciasne, dlatego szwy niebezpiecznie zatrzeszczały. Śmierdział zwietrzalymi cygarami i mocną wodą po goleniu.

–Urodziłem się na Litwie, panie Bell, w rodzinie tak biednej, że do dwunastego roku życia nie miałem nawet własnych butów. Ojciec codziennie mnie bił, poniewierał i molestował. Pewnej nocy, kiedy miałem piętnaście lat, wskoczył do mojego do łóżka, jak zwykle pijany, i wtedy udusiłem go gołymi rękami. Przeniosłem jego zwłoki do pokoju dziennego i posadziłem na krześle. Następnie wziąłem lampę, oblałem go naftą i podpaliłem.

Ktoś delikatnie zapukał do tylnych drzwi.

–Proszę pana, czas nas pogania.

–Już idę, Michael! – odkrzyknął Charles Lasser. Następnie przybliżył twarz do ucha Franka i wyszeptał chrapliwie: – Tej nocy, kiedy na moich oczach płonęły zwłoki ojca, poprzysiągłem sobie, że już nigdy nikomu nie dam się wykorzystywać, przenigdy. Nikomu nie pozwolę mną gardzić ani się ze mnie śmiać. A jeśli dojdzie do czegoś takiego, zemszczę się zemstą stokrotnie bardziej okrutną niż sprawiona mi przykrość.

–I to pan nazwał mnie szalonym?

Charles Lasser kilkakrotnie pokiwał głową.

–Nawet pana lubię, panie Bell. Przykro mi, że nasza znajomość trwała tak krótko.

–Mnie też – warknął Frank.

Charles Lasser odwrócił się, żeby wyjść z furgonetki. Ten właśnie moment wykorzystał Frank. Zerwał się na równe nogi, złapał go za szyję i z całej siły trzasnął jego głowę w boczną ścianę samochodu.

Charles Lasser wydał z siebie zduszony pisk. Frank złapał go za uszy i powtórzył uderzenie jeszcze kilkakrotnie. W furgonetce zadudniło jak w kotle.

–Wszystko w porządku, panie Lasser? – zawołał ktoś z zewnątrz.

–Naturalnie! – odkrzyknął Frank, starając się nadać swojemu głosowi jak

najniższą barwę.

–Zostało tylko kilka minut, panie Lasser.

Ciężko dysząc, Frank zdjął z siebie kamizelkę samobójcy. Następnie złapał za bezwładne ramiona Charlesa Lassera i wsunął je w rękawy kamizelki. Było to trudne, ponieważ Lasser był wielki i ciężki, jednak na koniec udało mu się zapiąć z przodu dwa spośród trzech guzików. Zabrał mu pilot do detonatora i wcisnął go za pasek własnych spodni.

–Panie Lasser, już czas.

Frank uderzył go kilkakrotnie w twarz.

–Obudź się, draniu! Dalej, obudź się!

–Panie Lasser, albo zaczniemy teraz, albo nie dotrzemy południowego terminu.

–Obudź się, na miłość boską – syknął Frank. Miał nadzieję, że go nie zabił. Na kołnierzyku jego koszuli była krew, a jego twarz zrobiła się kredowobiała. – Obudź się, do cholery, szybciej!

Powieki Charlesa Lassera poruszyły się. Nagle parsknął i otworzył oczy. Popatrzył na Franka mętным wzrokiem.

–Wstań – rozkazał Frank.

Charles Lasser rozejrzał się. Mrugnął powiekami raz, potem jeszcze kilkakrotnie. Nagle nabrał w płuca powietrze i wrzasnął:

–Ty kupo gówna! Wyrwę ci ten pieprzony łeb i naszczam do szyi. – Lasser złapał się za jeden ze wsporników na ścianie furgonetki i z trudem podniósł się na nogi.

Frank cofnął się. Nie miał pojęcia, że Charles Lasser może przebudzić się aż tak gwałtownie. Postanowił zademonstrować mu pilota. Wyciągnął antenę i podsunął mu pod nos.

–Nie ruszaj się.

–Ty żałosny kretynie – powiedział Charles Lasser szyderczym głosem. – Michael! Louis! Włączcie do środka!

–Nie ruszaj się – powtórzył Frank. – Chyba nie rozumiesz, co się tutaj dzieje. Wiesz, co to jest?

Charles Lasser zmarszczył czoło. Powoli na jego twarzy zaczynało pojawiać się zrozumienie. Wreszcie opuścił wzrok na swoją pierś i położył dłonie na ładunkach ukrytych w kieszeniach kamizelki.

Tylne drzwi otworzyły się i do samochodu wsiadło dwóch mężczyzn w brązowych kombinezonach. Pierwszy był łysy i miał w uszach kolczyki. Drugi miał czarną bujną czuprynę.

–Nie ruszać się! – krzyknął do nich Frank. Głos mu zadrżał i zabrzmiał jak wołanie przestraszonej baletnicy.

Mężczyźni zignorowali go i zaczęli torować sobie drogę pomiędzy skrzynkami.

–Róbcie to, co on wam każe – ryknął niespodziewanie Charles Lasser.

–Panie Lasser... – odezwał się łysy.

–Nie rozumiecie po angielsku? Róbcie, co ten facet każe. A może nie zauważyliście jeszcze, że mam na sobie dwadzieścia pięć funtów plastiku, a on trzyma w rękach pilot do detonatora?

Czarnowłosy dwukrotnie się przeżegnał. Łysy jedynie patrzył, całkowicie zdezorientowany.

–Cofnąć się! – rozkazał Frank. – Wyłaźcie z furgonetki i spieprzajcie stąd. Kiedy z niej wysiądziemy, pan Lasser i ja, nie chcę już żadnego z was widzieć. W przeciwnym razie nastąpi wielkie bum! Jasne?

–Bum, jasne, oczywiście, zrozumieliśmy – odparł czarnowłosy. Złapał za ramię swojego kompana i obaj w pośpiechu wyskoczyli z furgonetki.

Frank odwrócił się do Charlesa Lassera.

–Teraz pan.

–A jeżeli odmówię? Jeśli ładunek wybuchnie, zginiemy obaj.

–To będzie dobry koniec całej historii.

Charles Lasser patrzył przez chwilę na Franka, po czym zapytał:

–Co mam zrobić? Przeprosić?

–To pańska sprawa. Mnie zależy jedynie na prawdzie.

–Nie istnieje nic, co by mnie łączyło z Dar Tariki Tariquat. Proszę mi wierzyć, byłem bardzo ostrożny. Nic poza panem mnie z nimi nie łączy.

–Wysiadać – rozkazał Frank.

Charles Lasser wierzchem dłoni otarł pot z czoła.

–Mógłbym całkowicie odmienić pańskie życie, panie Bell. Mógłby pan pisać programy dla Star-TV, a ja bym im dawał taką promocję, o jakiej większość pisarzy może jedynie marzyć. Płaciłbym panu trzy miliony dolarów rocznie.

–Niech pan wysiada, bardzo proszę – powtórzył Frank.

–Nikt nie jest święty, panie Bell. Nawet pan.

–Co z pana za człowiek? Zabił mi pan syna, przyjaciół, dziesiątki niewinnych ludzi, kobiet i dzieci, i po tym wszystkim proponuje mi pan, żebym prowadził jakiś telewizyjny show?

–Życie musi toczyć się dalej, panie Bell.

–Niech pan wysiada.

Charles Lasser wzruszył ramionami i zaczął człapać w kierunku drzwi. Frank ruszył za nim, przez cały czas trzymając kciuk na guziku pilota. Znalazłszy się na progu, Lasser zapytał raz jeszcze:

–Naprawdę, nie przemyśli pan mojej propozycji, panie Bell?

Frank nie odpowiedział mu. Drżał i odnosił wrażenie, że ktoś przez cały czas wali młotkiem w jego głowę. Charles Lasser zeskoczył na ziemię i dopiero wtedy Frank odezwał się:

–Dalek od samochodu. Dobrze.

Dopiero wówczas sam wyskoczył. Rozejrzał się dookoła. Znajdowali się na zamkniętym parkingu na tyłach jakiegoś opuszczonego magazynu. Niedaleko stały jeszcze na betonie dwa zapomniane zardzewiałe samochody. Po łysym i czarnowłosym nie było śladu.

–Gdzie jesteśmy? – zapytał Frank.

–Niedaleko Hughes Airport. Piętnaście minut drogi od Culver Studios, gdzie David O. Selznick spalił Atlantę. A właściwie stare dekoracje do *King Konga*, *Ostatniego Mohikanina* i *Małego Lorda*. Jeśli chodzi o mnie, nie uznaję substytutów. Skoro powiedziałem, że zamierzam wysadzić w powietrze Hollywood, to wysadzę Hollywood, a nie coś innego.

Powoli ruszyli przez parking. Kiedy już przebyli siedemdziesiąt pięć jardów, Frank odezwał się:

–Dosyć. Stać.

Charles Lasser przystanął i Frank oddalił się od niego o kilka kroków.

–Aha, więc teraz wybuchnę?

–Dzwonię po policję – odparł Frank. – Powiem im, kim pan jest, gdzie pan jest i że chce im pan coś wyznać.

–A jeśli tego nie zrobię?

–Moim zdaniem jest dość dowodów, które potwierdzą, że Dar Tariki Tariquat to pan. Między innymi furgonetka i materiały wybuchowe.

–Nie ma żadnych dowodów, panie Bell. Chociażby razem z FBI szukali do sądnego dnia, nie znajdą ani jednego dokumentu, ani jednego odcisku palca, ani jednego pliku komputerowego, który potwierdziłby, że istnieją jakiegokolwiek związki pomiędzy Charlesem Lasserem a Dar Tariki Tariquat.

W tym momencie Frank zauważył, że ktoś do nich się zbliża. W pierwszej chwili trudno mu było rozpoznać, kto to jest, ponieważ w drżącym z gorąca powietrzu, które unosiło się nad betonem, kontury postaci były rozmazane, ale w miarę jak się zbliżała, stawało się dla niego jasne, że jest to młoda kobieta w białej bawełnianej sukience.

Wkrótce Charles Lasser zdał sobie sprawę, że Frank patrzy ponad jego ramieniem. Odwrócił się i on także ujrzał kobietę.

Minęło niemal pół minuty. W powietrzu zawyły silniki samolotu lądującego w Los Angeles i przez chwilę nie można było wyróżnić żadnego innego odgłosu. Ale kiedy samolot się oddalił, Frank usłyszał głos Charlesa Lassera:

–Nieeee...

Młoda kobieta podeszła bliżej i w końcu stanęła zaledwie kilka kroków od nich. To była Astrid, z włosami zaczesanymi do tyłu, spiętymi białymi spinkami w kształcie stokrotek. Miała ciemne okulary, nie można więc było dojrzeć jej oczu.

Charles Lasser przez chwilę patrzył na nią, po czym odwrócił się do Franka. Wydawało się, że nie może wykrztusić słowa.

–A więc jest pan w potrzasku – stwierdził Frank. – To jest Astrid, która podobno nie istnieje. Ta sama Astrid, którą pan bezlitośnie bił. Wie pan, kto to jest?

–Ona wcale nie ma na imię Astrid – wyjąkał Charles Lasser. W jego głosie brzmiała panika.

–Niezależnie od tego, jak ma na imię, to jest właśnie kobieta, o którą mi chodziło.

–To niemożliwe! – krzyknął Charles Lasser.

–Oczywiście, że możliwe. Ona przecież stoi przed nami.

–To niemożliwe! Ona przecież nie żyje!

–Nie żyje? Do diabła, co ty bredzisz?

–Ona nie żyje! Nie żyje! Nie żyje!

Frank popatrzył na Astrid z konsternacją.

–Wiesz, o czym on mówi?

–Oczywiście – odparła Astrid.

Zdjęła okulary. Frank ujrzał, że nie ma sińców pod oczyma, a jej twarz wcale nie jest opuchnięta. Wyglądała dokładnie tak, jak tego ranka, kiedy wybuchła bomba w Cedars. Uzmysłowiwszy to sobie, Frank nagle zaczął sobie zadawać oczywiste pytania. Skąd wiedziała, gdzie jestem? Jak się tutaj dostała? W pobliżu nie było widać żadnego samochodu, żadnej taksówki.

Astrid ruszyła w kierunku Charlesa Lassera. Ten zasłonił twarz obiema rękami, jakby chciał się przed nią bronić.

–Odejdź ode mnie. Nie dotykaj mnie. Odejdź!

–Astrid! – zawołał Frank. – On ma na sobie materiały wybuchowe! Trzymaj się od niego z daleka!

Astrid przystanęła i uśmiechnęła się do niego.

–Myślisz, że ma to dla mnie jakieś znaczenie? On ma, niestety, rację, Frank. Nic już nie może mnie przestraszyć.

Charles Lasser ukląkł na betonie.

–Przecież nie mogłem wiedzieć, że do nich dołączysz!

–Nie przyszło ci do głowy, że jestem doskonałą kandydatką?

–Nie wiedziałem, gdzie jesteś. Nie wiedziałem, jak się z tobą skontaktować.

–Nie próbowałbyś się kontaktować, nawet gdybyś wiedział, gdzie jestem. Popatrz na siebie. Tylko na siebie spojrzij. Ty marny, spocony, tchórzliwy grubasie.

Charles Lasser zamknął oczy i zacisnął dłonie w pięści. Jego twarz była purpurowa. Błyszczały na niej wielkie krople potu. Frank niemal fizycznie czuł, że rośnie w nim ciśnienie. Wyglądał jak kocioł parowy, który ma za chwilę eksplodować. Ale niespodziewanie otworzył oczy i wycharczał:

–Ciebie tu nie ma! Jesteś martwa i zasługujesz na to, żeby być martwa!

Wstał i ruszył ku Astrid z rozłożonymi rękami.

–Astrid! – krzyknął do niej Frank. – Uciekaj!

Ale Astrid stała w miejscu, nadal uśmiechnięta, z półprzymkniętymi oczyma. Jej biała sukienka lśniła w słońcu, jednak gorące powietrze, unoszące się nad ziemią, dawało Frankowi złudzenie, że patrzy na nią przez warstwy muślinowych zasłon.

Charles Lasser złapał Astrid za gardło i zaczął nią potrząsać.

–Lasser! – krzyknął Frank. – Lasser, puść ją. Charles Lasser wydawał dzikie wrzaski i tak mocno wcisnął kciuki w szyję Astrid, że niemal zniknęły. Jej twarz była dziwna, pozbawiona wszelkiego wyrazu, jej ręce i nogi luźne, raczej jak u lalki o rozmiarach człowieka niż u kobiety.

–Lasser! – zagrzemiał Frank.

W tym samym momencie pilot wypadł mu z ręki. Spróbował złapać go w locie, chybił dłonią, podjął jeszcze jedną próbę...

Właśnie wtedy cały świat zniknął. Nie było już nic.

Ktoś uderzył Franka w pierś i nagle poczuł, że leci do tyłu. Zrobił w powietrzu kilka fikołków i wreszcie padł na beton, raniąc rękę, uderzając w coś głową, boleśnie wykręcając kręgosłup. Przez pięć lub dziesięć sekund leżał zwinięty w kłębek, aż wreszcie zdał sobie sprawę, że jest mokry. Miał mokrą twarz, mokre włosy i spodnie.

Usiadł. Podniósł do oczu obie ręce i stwierdził, że są całe w krwi. Przez chwilę sądził, że został ciężko ranny, ale zaraz rozejrzał się dookoła i zrozumiał, że krew jest wszędzie, a trysnęła na parking z miejsca, w którym przed chwilą stał Charles Lasser.

Chmura dymu unosiła się w powietrzu jak wielki szary sęp z rozpostartymi skrzydłami. Na betonie leżały porozrzucone szczątki Charlesa Lassera. Wybuch odciął mu nogi w biodrach; leżały daleko od niego i wyglądały jakby zaraz miały biec. Wnętrznosci tworzyły na betonie kolorowe wzory. Początkowo Frank nie potrafił znaleźć jego głowy. W końcu spostrzegł ją przy drzwiach do jakiejś szopy – patrzyła w przeciwną stronę, jakby specjalnie, jakby Charles Lasser nie chciał patrzeć na efekt, jaki spowodował wybuch. Nigdzie nie było śladu po Astrid. Ani jej ciała, ani białej sukienki, niczego.

Frank niepewnie się pozbierał. Dzwoniło mu w uszach, jednak mimo to usłyszał następnego boeinga 747, który zbliżał się do lotniska. Nie wiedział, co robić. Przyszło mu do głowy, że powinien zatelefonować po policję, ale z drugiej strony przecież wielu ludzi musiało słyszeć eksplozję; ktoś już z pewnością zadzwonił.

Czuł się nadzwyczajnie. Miał lekką głowę, niemal triumfował. Wciąż się rozglądał, jakby chciał dostrzec kogoś, komu mógłby opowiedzieć, co zrobił. Nikt jednak nie pojawił się w zasięgu jego wzroku.

Nevile otworzył drzwi osobiście.

–Wejdz, Frank, Miło cię widzieć.

Poprowadził go od razu do salonu, gdzie w oszronionym srebrnym wiaderku z lodem czekała już na stole butelka różowego wina. Tym razem Neville ubrany był w luźne czarne spodnie, starannie skrojone w hiszpańskim stylu, oraz jedwabną koszulę, lśniącą jak księżyc w pełni.

–Jak się czujesz? – zapytał. – Mówiąc szczerze, nie wyglądasz faceta w doskonałym stanie, żeby to powiedzieć najdelikatniej.

Frank sztywno usiadł w jednym z białych skórzanych foteli i zdjął okulary przeciwsłoneczne, skrywające purpurowe siniaki pod jego oczami.

–Jeśli wziąć pod uwagę, że niedawno dostałem w głowę kijem golfowym i poleciałem wysoko w powietrze w wyniku eksplozji co najmniej dwudziestu pięciu funtów materiału wybuchowego, chyba mam się dość dobrze.

Nevile nalał mu kieliszek wina.

–Byłem dziś rano na policji i rozmawiałem z porucznikiem Chessmanem. Powiedział, że to, co się stało, całkowicie ich zdumiało, jednak nie jest to dla mnie zaskoczeniem. Oni są zawsze zdumieni; to naturalny stan ich umysłów. Technicy wciąż zbierają Charlesa Lassera z betonu. Może kiedy skończą badania laboratoryjne, dojdą do jakichś mądrych wniosków, jednak ja w to wątpię.

Frank przez długi czas milczał. Nie był pewien, jak wyartykułować pytanie, które zamierzał zadać. Wreszcie zaczął z wahaniem:

–Czy przypuszczałeś?

–Co takiego? Że Astrid od dawna nie żyje?

–Mówisz to tak lekko.

–Bo być osobą martwą to naturalny stan. Spójrz prawdzie w oczy, Frank. Liczba umarłych ma się do liczby żywych jak całe miliony do jednego.

–A przecież wydawała się taka... żywa. Czuję ją, dotykałem ją, rozmawiałem z nią. Kochałem się z nią.

Nevile pokiwał głową.

–Wiem. Była bardzo silnym duchem. Bardzo stanowczym.

Podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz, a Frank obserwował odbicie jego twarzy w szybie. Po długiej chwili Neville odezwał się znów:

–Kiedy mnie jej przedstawiłeś, odniosłem nieodparte wrażenie, że wcale nie jest osobą, za jaką się podaje, chociaż nie zdałem sobie z tego sprawy od razu. No i było wtedy coś jeszcze, na co od razu nie zareagowałem, a teraz sobie pluję z tego powodu w brodę. Zapach octu. Wyczułem ocet, taki sam zapach, jaki podchwyciłem w Cedars. Kwaśny aromat nieubłaganej zemsty. Przykro mi, że nie połączyłem tych dwóch rzeczy.

–Chciała, żebym zabił Charlesa Lassera, prawda? – zapytał Frank. – I nie obchodziło jej, czy zginę razem z nim.

Nevile pokiwał głową.

–Obawiam się, że tak właśnie było. Miała w sobie ogromne pokłady nienawiści,

jednak nie mogła ci powiedzieć, kto ją zabił, przynajmniej nie bezpośrednio. Duchy nie mogą tak postępować, a szkoda, przynajmniej z mojego punktu widzenia, punktu widzenia medium. Gdyby było inaczej, życie stałoby się znacznie łatwiejsze. Ale...
Podała ci na tacy motyw, powód, by ukarać Charlesa Lassera, zgadza się? Zazdrość. To jeden z najsilniejszych motywów ludzkiego działania. – Wypił trochę wina i znów zaczął mówić: – Kiedy po raz pierwszy objawił się nam Danny, to była Astrid w jego postaci. Celowo niszczyła twój związek z Margot. Chciała, żebyś zaczął szukać kogoś innego, kto dałby ci ukojenie po strasznej tragedii. Ostatni raz pojawiła się jako Danny w Traveltown. Musiała być bardzo zniecierpliwiona i sfrustrowana, ponieważ podała nam bardzo ważną wskazówkę o świętym Janie Ewangelistcie i Orange Grove Avenue. Była to informacja z trudem mieszcząca się w granicach, jakie zakreślają prawa naturalnej sprawiedliwości. Charles Lasser utrzymywał, że nie zna Astrid, ponieważ to była prawda. Nie znał jej. Wszystkie jej siniaki, rany po przypalaniu papierosem, były całkowicie iluzoryczne. Gdyby mogła wyglądać jak ktoś inny, na przykład Danny, z pewnością pokazywałaby się jako pobity i posiniaczony chłopak. Nigdy nie chodziła w odwiedziny do Charlesa Lassera, Frank, i nigdy też Charles Lasser jej nie bił. A przynajmniej w interesującym nas czasie.

–A co z prawdziwym Dannym? Kiedy on się zjawił?

–Chyba już wtedy mogłeś zauważyć różnicę, co? Prawdziwy Danny robił wszystko, żeby jak najlepiej się tobą zaopiekować, żeby nie dopuścić, by ktoś cię zranił. Rozwiązał cię, chociaż musiał włożyć w to praktycznie całą siłę, jaką dysponował.

–A zatem... A więc już wtedy mi wybaczył.

Nevile położył dłoń na jego ramieniu.

–Tak, możesz być tego pewien. Ale, popatrz, chcę, żebyś jeszcze coś zobaczył.

Nevile usiadł obok Franka i włączył telewizor. Następnie uruchomił odtwarzacz wideo. Na ekranie pojawił się odcinek *Prawa i bezprawia*, policyjnego serialu o przestępstwach seksualnych w Nowym Jorku.

–To jeden z pierwszych odcinków – wyjaśnił Neville. – Straciłem trochę czasu, zanim go odnalazłem. Ale popatrz, o to właśnie mi chodziło. Dwaj detektywi wchodzą do baru, żeby porozmawiać z tą prostytutką. I co widzisz?

Frank zobaczył Christophera Meloniego i Mariskę Hargitay. Ujrzał także uderzająco piękną młodą dziewczynę w srebrzystej bluzeczce, ze srebrnymi kółkami w uszach. Astrid.

–Jak to znalazłeś? – zapytał Neville’a. – Zatrzymaj to, niech na nią popatrzę.

Nevile spełnił jego prośbę i oto widział Astrid w całej okazałości, piękną i szczupłą, z rozmarzonymi oczyma i uśmiechem, którego widok sprawił, że zaczęła mu się marszczyć skóra na czaszce.

–Sprawdzałem w Internecie nazwisko Tori Fisher – powiedział Neville. – Czyli dziewczynę, która była zamachowcem samobójcą w Cedars. Zacząłem się zastanawiać, dlaczego strażnik otworzył bramę i pozwolił furgonetce wjechać na boisko szkolne, nie sprawdzwszy najpierw dokumentów kierowcy. Jedyna rozsądna odpowiedź była taka, że strażnik znał jedną z osób w kabinie samochodu.

Znał Tori Fisher, a znał ją dlatego, że Tori Fisher uczęszczała do Cedars jako dziecko. Tori Fisher... Tak brzmiał filmowy pseudonim Amandy Lasser, jedynej córki Charlesa Lassera i jego drugiej żony, Rebekki Lasser. Oczywiście w chwili śmierci był już żonaty po raz czwarty.

–„Tatuś mnie bił” – zacytował Frank. – Tak właśnie mówiła, kiedy ukazywała się jako Danny. To nie Danny zwracał się do mnie, lecz Astrid... Mówiła o swoim ojcu.

–Właśnie – przytaknął Neville. – I właśnie przez niego dołączyła do Dar Tariki Tariquat. Była ofiarą straszliwego molestowania seksualnego i chciała zemścić się za to na całym społeczeństwie. Niestety, aż do swej śmierci nie zdawała sobie sprawy, że to jej ojciec założył Dar Tariki Tariquat, jako fałszywy środek, który miał mu pozwolić na osiągnięcie bardzo konkretnego celu.

–Jak się o tym dowiedziała?

Neville wyłączył telewizor.

–Kiedy umrzesz, Frank, zdasz sobie sprawę, że wszystko stoi przed tobą otworem. W niebiosach nie ma sekretów.

Frank dokończył wino.

–Czuję się wyczerpany – powiedział. – Chyba potrzeba mi snu.

–Wypijesz jeszcze jeden kieliszek?

–Nie, dzięki. – Wstał. – Chciałbym ci podziękować za pomoc. Gdybyś się nie zgodził na te seanse...

–Nie dziękuj mi, Frank. Mogłeś zginąć.

Frank uścisnął mu obie dłonie.

–Spotkajmy się za kilka dni – zaproponował. – Chciałbym jeszcze porozmawiać o tym, co się wydarzyło. Właściwie chyba muszę o tym porozmawiać.

–Skontaktuj się z Margot. Jestem pewien, że chętnie cię wysłucha.

Frank wyszedł z domu Neville'a, wsiadł do samochodu i ruszył stromym, krętym podjazdem w kierunku głównej drogi. Miał właśnie skręcić w lewo, z powrotem do Hollywood, kiedy popatrzył w lusterko i zdał sobie sprawę, że zostawił u Neville'a okulary przeciwsłoneczne. Dojechał aż do Earth Mother Juice i zawrócił. Powoli przejechał pod dom Neville'a i wysiadł z samochodu.

Ku jego zaskoczeniu wszystkie zasłony w oknach były zaciągnięte. Podeszedł do frontowych drzwi, nacisnął przycisk dzwonka i czekał. Zdziwił się, zobaczywszy na trawniku nie zgrabione liście, jakby nikt się nimi nie interesował od wielu miesięcy. Zadzwoił jeszcze raz.

Czekał długo, jednak nikt nie zamierzał mu otwierać.

–Nevile! – zawołał. – Neville, jesteś tam? – Zaczął nasłuchiwać, jednak słyszał tylko wiatr szumiący pomiędzy drzewami.

Pchnął drzwi, które natychmiast się otworzyły.

–Nevile? Czy wszystko w porządku?

Zawahał się, po czym wszedł do środka.

Dom był opustoszały. Nie było mebli, rzeźb, żadnych obrazów na ścianach. Odgłos kroków Franka rozbrzmiewały echem, kiedy chodził od pokoju do pokoju. W końcu otworzył drzwi do gabinetu Neville'a. Także tam było pusto. Żadnych książek,

ani śladu po marmurowym stoliku z Delf, dosłownie nic. Nawet śladów na ścianach w miejscach, gdzie przedtem wisiały fotografie.

–Nevile – wyszeptał. Kilka suchych liści jakimś cudem wleciało do hallu i unosiły się teraz w powietrzu w dziwnym tańcu. – Nevile, ty draniu.

Frank ujrzał na podłodze ciemnoniebieski prostokąt. Pochylił się, podniósł go i odwrócił. Była to karta z talii do gry „Koty i księżycy”. Ukazywała gwiazdozbiór Andromedy. Pod spodem widniały słowa: „Nigdy w życiu nie przejdiesz ponownie tej drogi”.

Pojechał z powrotem do Laurel Canyon. Jadąc, zaczął coś nucić, potem śpiewać. Śpiewał dla Astrid. Albo dla Tori. Albo dla Amandy. Miał nadzieję, że go słyszy, gdziekolwiek się teraz znajduje.

*Moja miła jest miła tak i śliczna tak
Że przy niej blednie róży kwiecie
Jak księża tysina oczy jej lśnią
I pierś tętni rozkosznie w gorsecie!
Moja miła nimfą jest i boginią jest
Lecz kiedyś spadła z jabłonki
Okulała biedaczka na lewą nogę wnet
I podarła majteczki z koronki.
Moja miła jest mądra tak, że aż strach
Lecz powiada: ja dojsć donikąd nie mogę
Bo jak chcę iść prosto, to jakoś tak już jest
że zaraz mnie skręca, niebogę.
I tak raz dokoła, raz dokoła, raz dokoła
A jednak iść prosto nie mogę
choć mam ją mnie dale, na wieczny karuzel
Los skazał biedną kuternogę.*

Dotarłszy do skrzyżowania Laurel Canyon i Hollywood Boulevard, ujrzał dwie dziwne postaci stojące przy słupach sygnalizacji świetlnej. Najpierw zobaczył starca w czapce baseballowej i workowatych szortach. Obok niego stał Danny i trzymał go za rękę. Jego włosy lśniły w słońcu. Nie pomachali mu. Po prostu stali i patrzyli na Franka, a po chwili odwrócili się i odeszli.

Jakiś niecierpliwy kierowca za nim nadusił na klakson. Światła już dawno zmieniły się na zielone. Frank uniósł w górę rękę, w geście przeprosin, i ruszył. Jednak zdołał dojechać tylko do Genesee Avenue i musiał zatrzymać auto, ponieważ oślepiły go łzy.

This file was created with BookDesigner program
bookdesigner@the-ebook.org
2010-10-30

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/